

ROMANS DELI FESTIVALI

Kochanica SZATAKA



Brodie-Innes John William

Kochanica Szatana

Romans okultystyczny

Opowieść o czarownicach

Rozdział I

Folwark Lochloy

Mniej więcej w połowie siedemnastego wieku mój pra-prapradziadek — ufam, iż wymieniam właściwą liczbą owych „pra” — czcigodny pan Patrick Innes był pastorem w Banff. Powiadano, że to człowiek niezwyklej pobożności, a w każdym razie za takiego uchodził. Pobożność to w naszej rodzinie zjawisko raczej rzadkie, by nie powiedzieć — dziwaczne. Nieobyčajność, która stanowiła znak owych czasów, głęboko go zasmucała, jako że ojciec, chirurg w Aberdeen, wychował go według ścisłych zasad protestantyzmu. Ponadto jego protektor, Lord Findlater, powierzył mu opiekę nad swymi dwoma synami, dosyć swawolnymi młodzieńcami, chociaż pan Patrick słał do rodzica sprawozdania o ich doskonałym sprawowaniu się.

W owych czasach rzeczywiście uprawiano w kraju ciemne praktyki. Należy wyznać, iż wbrew długim świątobliwym rozważaniom, płynącym co niedziela z ambon, w Banff panowało zepsucie. W mieście skoszarowano żołnierzy, a żołnierze prowadzą przysłowiowo bezbożne życie. Ale przecie na przestrzeni wieków niewiasty odczuwały nieodparty pociąg do munduru, i niektóre mieszkanki Banff wołały samotne spacerować z żołnierzami nad brzegami Deveron, nawet w Dzień Pański — od kazań wielebnego pastora; tak wpadły w sieci Złego, co było do przewidzenia. Radosny dzień nastał dla czcigodnego pastora, gdy nakłoniono burmistrza do wyrugowania z miasta tych niecznych praktyk; nakazał, by wychłostano bezwstydną pannice w obecności żołnierzy, specjalnie w tym celu zwołanych, i wypędzono je z miasta. Możemy dziś wnioskować, że dyscyplina była w owych czasach ostrzejsza niż dziś, a żołnierze bardziej potulni. Trudno dziś pomyśleć, by jakiś cywilny sędzia wydał podobny wy-

rok i by wyrok ten wykonano bez sprzeciwu ze strony mężczyzn, gdzie damy serca potraktowano tak grubiańsko.

Nikt nie mógł wątpić, że te bezceństwa uprawiano z podszeptu samego Szatana. W samym Banff żyło wiele kobiet — uznanych za czarownice, które zbierały się koło studni Świętej Panienci nie opodal kościoła prezbiteriańskiego w Ordiąhill i klęcząc tam — co było oczywiście ciężkim zabobonem — otrzymywały od Szatana magiczną moc; mieszkał tam także włóczęga zwany Johnem Philp, który zamawiał choroby, odczyniając diabelskie gusła; osadzono go w dymbach, a następnie sprawiedliwie spalono na rozstajach w Banff.

Pan Patrick niepokoił się nie bez kozery, gdyż ledwie dwadzieścia lat minęło od czasu, gdy straszne praktyki wyszły na jaw w sąsiednim hrabstwie Moray. Jakby na przekór świętej dyscyplinie kościoła prezbiteriańskiego diabeł zdawał się zyskiwać większą władzę nad duszami i ciałami ludzkimi niż kiedykolwiek w przeszłości.

Pan Patrick był częstym gościem zarówno w Nairn, jak i w Forres, dokąd udawał się co pół roku na zgromadzenia religijne i, jak mówiono, wygłaszał kazania przez jakieś dwie godziny z wielkim powodzeniem. To na tych zgromadzeniach, jak również późniejszych spotkaniach pastorów i biskupów, Usłyszał on z ust ludzi, którzy byli dobrze obznajomieni z faktami — przedziwne historie, które tu zostaną opisane.

Jego stary przyjaciel, pan Harry Forbes, pastor z Aulderne, brał czynny udział w niektórych z tych wydarzeń, i z własnego doświadczenia znał siłę i poczynania arcywroga ludzkości. Nie może być zatem cienia wątpliwości co do prawdziwości tych strasznych wydarzeń. Zjawiska te gwałtownie narastały zgodnie z przepowiednią, a pan Patrick dowodnie się o tym przekonał. Siły zła zwierały szyki przed wielką próbą sił z zastępami Pana, reprezentowanymi — jak powszechnie wiadomo — przez prawowierny kościół protestancki Szkocji. Nie mogło więc być wątpliwości, że koniec był bliski, a ostateczna bitwa, triumf sprawiedliwych i koniec świata nie mogły być zbyt odległe.

Świat wciąż istnieje, ale nie wątpię, że mój praprapra-dziadek orzekłby, że koniec świata został tylko nieznacznie odroczoney.

Poniższa historia została z konieczności skompilowana z informacji uzyskanych z bardzo wielu źródeł, ale jej głów-

ne wątki są dostępne dla ciekawych w archiwach sądowych. Istnieje także obfita dokumentacja, która udowadnia, że mój praprapradziadek nie wysłał tej opowieści z palca, powodowany nienawiścią wobec potęgi i władzy Szatana, co byłoby dosyć naturalne przy jego powołaniu i przykładowej pobożności, ani nie wymyślił jej po prostu z zamiłowania dla rzeczy niezwykłych.

Ktokolwiek podróżował w tych dniach na wschód od Nairn, podążając północnym traktem niedaleko wybrzeża w kierunku lasów Brodie, przybywał po paru milach do folwarku Lochloy. Było to posepne miejsce, zapomniane przez Boga i ludzi, mimo że od strony oddalonej od morza ziemia była dosyć żyzna. Budynek mieszkalny był kryty słomą, o niskich bielonych ścianach i małych okienkach; obory i stajnie stały tak blisko domu, że ich woń trwała w pokojach dzień i noc; strzecha przepuszczała wodę, a ściany były miejscami przesiąknięte wilgocią i pokryte ociekającym mchem czy raczej grzybem o przykrym zapachu. A jednak John Gilbert, dzierżawca, cieszył się najlepszą opinią jako człowiek pracowity i zapobiegliwy, przez wielu uważany za skąpca, a przy tym starszy kościoła protestanckiego, z najwyższą przykładowością uczęszczający na niedzielne nabożeństwa i utrzymujący w karności parobków i dziewczki. Ale był to człowiek ponury i zacięty, uparty jak kozioł, kiedy nabił sobie czymś głowę i wołał cierpieć wszelkie niewygody niż kiwnąć palcem, by naprawić dom. To należało do dziedzica i nie widział powodu, by się tym zająć. Pan Hay, dziedzic Lochloy i Parku, nie widział powodu, dla którego miałby być zobowiązany do naprawy domu Gilberta; poza tym nie miał pieniędzy. Ponadto — co zdaje się było dla niego bardzo ważne — żona Gilberta dała mu jasną i ostateczną odprawę, a on był człowiekiem przekonanym o własnej wartości i nie godził się na takie traktowanie. Między domem a morzem rozciągały się torfowiska, podłużna tafla posepnego jeziora połyskiwała ciemno, nieruchoma, a krzyki wielkich gromad ptactwa wodnego na tafli jeziora brzmiały niewypowiedzianie żałośnie. Patrząc od strony domu, na lewo i prawo widać było błotnista i wyboista droga między torfowiskiem a polem zbożowym. Podążały nią wozy Gilberta i jego krowy, rano i wieczorem, w drodze na pastwiska i z powrotem, ale rzadko stąpała tam obca stopa, od czasu gdy dziedzic przestał przejeżdżać koło

Lochloy. Był czas, gdy jego gniada klacz skręcała w drogę na torfowiskach niemalże z własnej woli. Nie, żeby dziedzic Lochloy i Parku żywił szczególną przyjaźń wobec swojego dzierżawcy Johna Gilberta. Dziedzic był pogodnym, towarzyskim człowiekiem, gustującym w winie i dobrej kompanii, a ponury ubogi stary farmer niezbyt mu przypadł do smaku. Była jednak rzecz, która budziła w nim nieodpartą ciekawość: co na Boga skłoniło pannę Isabel Goudie do poślubienia Johna Gilberta; by to wyjaśnić, odbywał częste przejażdżki w pobliżu farmy, wybierając godziny, kiedy — jak wiedział — John pracował na odległych polach. Nie tylko tę kwestię roztrząsał dziedzic. Panna Isabel córka wiejskiego prawnika, otrzymała wyjątkowo staranne wykształcenie jak na epokę i stan. Dużo czytała, niezłe grała na szpince i umiała tańczyć menueta jak prawdziwa dama. Jej ojca wychowano jako papistę, ale że nie skłaniał się szczególnie ani ku jednej, ani ku drugiej wierze, dołączył bez wielkich skrupułów do prawowiernego kościoła protestanckiego Szkocji, zachowując w ten sposób swą praktykę i zamożność. Jego córka zachowała pewną słabość do obrządków starej wiary. Lecz że była to herezja, jak wszyscy wiedzą, grożąca ogniem piekielnym, jak również bardziej namacalnym ryzykiem utraty mienia i dobrej sławy, a może nawet kajdanami i więzieniem, Isabel skrzętnie skrywała wszelkie ciągoty w tym kierunku, posłusznie chodziła do kościoła z ojcem i spokojnie spała podczas rozpraw pastora. Wyglądem zewnętrznym dziwnie różniła się od wiejskich kobiet z Moray — wysoka i drobnej kości, z bogactwem ogniście rudych włosów, głęboko osadzonymi piwnymi oczyma, w których zdawały się jarzyć ukryte ognie, i ciemnymi, niemal prostymi brwiami, miała twarz nienaturalnie bladą, nos nieco orli i pełne czerwone wargi. Cóż na Boga mogło łączyć ją i Johna Gilberta, ponurego, powolnego, niechlujnego farmera, rozczochranego i nie ogolonego, który zmieniał ubranie tylko wtedy, gdy w niedzielę wdziewał zrudziały czarny surdut, by jako starszy kościoła chodzić z tacą w kościele w Aulderne i słuchać budujących rozpraw Harry'ego Forbesa, pastora? Dziedzic Lochloy i Parku wciąż roztrząsał tę sprawę sam przed sobą. W gruncie rzeczy Isabel podobała mu się znacznie bardziej, niż on podobał się Isabel. Miała ogładę i wykształcenie o wiele za dobre dla swej klasy i pozycji, gdy

tymczasem on z natury był jeszcze bardziej nieokrzesany niż przeciętny szlachcic siedemnastowieczny. Był jednak szlachcicem i mógł wiele zrobić; dom wymagał pilnych napraw, nie miała więc nic przeciwko temu, by go obejrzał. Mogłaby skłonić go, by wprowadził pewne udogodnienia; wydawało się, że dziedzic był gotów coś dla nich zrobić. Ale jego zainteresowanie domem i gospodarstwem przybrało postać nieukrywanego podziwu dla niej samej; napomknął przy tym o cenie, którą miałyby zapłacić za jego pomoc. Oburzyła ją ta nikiemna propozycja — poczuła wstręt do jego zapuchniętej czerwonej twarzy i gorącego oddechu cuchnącego alkoholem o tak wczesnej godzinie i przemówiła do niego ostro, co było nierozsądne z jej strony. Wtedy dziedzic, śmiejąc się i czkając, próbował ją pocałować, a ona wymierzyła mu policzek i zawróciła do domu, widząc tylko jego czerwoną twarz płonąca gniewem i perukę przekrzywioną od jej uderzenia.

— Zwierzę! — mamrotała. — Prawdziwe zwierzę! Obyś nigdy nie miał męskiego potomka! Zatem dziedzic nie jeździł już drogą biegnącą wzdłuż Lochloy; domu nie naprawiano i gnijące krokwie gięły się i trzeszczały, aż dziw brał, że to wszystko jeszcze stało. John Gilbert miał gdzieś schowany ciężki trzos, ale jego żona nie wiedziała, gdzie znajdowała się skrytka; zdawała sobie sprawę, że mąż nie wyda na dom ani pensa, ona też nie mogła kupić sobie nowej sukni, chociaż wniosła mu bogate wiano, i wstydząc się swej zszarzałej odzieży, rzadko bywała w mieście — chodziła na dalekie spacery po okolicy, w lasach i wrzosowiskach. Rzadko też odwiedzali Lochloy sąsiedzi. Gilbertowa nie należała do ich klasy, wiedzieli o tym i mieli za złe jej wyższość; może dlatego szeptali zjadliwie między sobą o częstych przejażdżkach dziedzica traktem Lochloy, napomykając o słusznych powodach, dla których przestał pokazywać się tam otwarcie. Tylko Janet Broadhead przyjeżdżała od czasu do czasu, snując z przejęciem opowieści pełne przygód i romansów, które nie wiadomo gdzie słyszała, przez co rzeczywistość wydawała się jeszcze bardziej ponura i obskurna.

W gruncie rzeczy w małżeństwie Gilbertowej nie było żadnej tajemnicy, choć para ta była rzeczywiście dziwnie niedobrana; była to transakcja czysto handlowa. Jej ojciec, prawnik, winien był Gilbertowi okrągłą sumę i w owym

czasie trudno mu było ją spłacić; Gilbert chciał poprawić swoją pozycję społeczną przez małżeństwo, co nierzadko zdarzało się w jego środowisku. Panna Isabel stała od niego wyraźnie wyżej społecznie, była poza tym ulubienicą wielu okolicznych dziedziców i ich rodzin — zawarto więc umowę. W tamtych czasach córki były posłuszne, więc i Isabel się nie sprzeciwiała. Jeśli kiedyś rumieniła się i drżała, gdy jakiś przystojny młody żołnierz zasalutował jej przelotnie, to była to sprawa przeszłości; nie mówiono więcej o długu jej ojca, a ona zadowalała się pozycją żony farmera, na ile to było możliwe.

Jednak nadzieje Gilberta nie spełniły się. Żona starego dzierżawcy była kimś innym niż córka mecenasa; okoliczna szlachta zapomniała o niej, a żony farmerów zazdrościły jej urody i wykształcenia. Dla Gilberta pozostała równie obca jak wtedy, gdy układał się o jej rękę; szczerze starała się pozyskać jego względy, lecz on widział jej wybredną dystynkcję, której nienawidził, i im bardziej starała się nadać pozór przyzwoitości jego odzieży i sposobowi bycia, tym bardziej stawał «ię nieokrzesany, z czystej przewrotności.

Myślała o tym wszystkim niejasno, stojąc w drzwiach domu i patrząc na zachód jesienno słońca, płonącego za Inverness i przydającego świetnego blasku dachom i wieżom Nairn.

— Kupiona i sprzedana — snuła gorzką myśl — sama do końca życia! Należało teraz liczyć się z niechęcią Lorda Lochloy, a nie był to człowiek, którego można było bezkarnie obrażać. Sam, możny i wpływowy pan, był blisko spokrewniony z rodziną Brodie, ponieważ jego ciotka poślubiła pana na Brodie i wydała na świat siedmiu tęgich synów, z których każdy otrzymał godność lorda.

— Bydlę! — wzdychała. — Prawdziwe bydlę. Będzie nas teraz prześladował. Och, żeby tak można było odpłacić mu pięknym za nadobne!

Zapra gnęła zobaczyć się z Janet Broadhead, bo Janet umiała opowiadać niezwykle ciekawie, a Isabel słuchała chciwie tych niezwykłych opowieści, przy których jej własne życie wydawało się później tak szare i bezbarwne, iż prawie żałowała, że Janet ją odwiedziła. Ale jej przyjaciółka nie dawała znaku życia już od wielu dni, więc Isabel znów zateęskniła do przeżycia choćby w wyobraźni tego barwnego

życia, pełnego wydarzeń i emocji — życia prawdziwego. Była" gotowa zapłacić zwykłą cenę apatii i przygnębienia, które potem następowały. To było jak wino: gdy słuchała barwnie opowiadanych historii, krew żywiej krążyła w jej żyłach, policzki płonęły, w rękach i nogach czuła rozkoszne drzenie. Wszystko to dowodzi, jak wielebny Harry Forbes mówił o wiele później, jak subtelne są sidła arcywroga ludzkości; gdyby tylko słuchała pobożnych rozważań, które zalecano odczytywać w każdą niedzielę, znalazłaby w nich pewne lekarstwo na dręczące ją niepokoje. Lecz prawdą jest również — co wszyscy wiedzą — że to diabeł płodzi papistów i nie może on wręcz ścierpieć nauk prawowiernego kościoła protestanckiego Szkocji.

Cień nocy przesunął się nad Jarem Moray, długie pasma mgły otulały żyzne ziemie w Culben, a z pobliskiego posepnego jeziora uniosło się stado dzikiego ptactwa i poleciało nad Jezioro Buckie. Ludzie i zwierzęta już dawno wrócili z pól; Isabel słyszała, jak bydło porusza się w zagrodzie. Każdy dzień był odbiciem minionego dnia i każdy następny dzień będzie taki sam, aż zamknie się nad nią ziemia na cmentarzu w Aulderne. Tylko Gilbert się spóźniał. Dziwne, nigdy nie wracał tak późno.

Zapragnęła, by wrócił — było to u niej dziwaczne i nowe pragnienie. Zew przygody odezwał się w jej krwi. Czy mogła obudzić pragnienie w tym tępym, ociążalym mężczyźnie, dla którego istniały tylko dwie rzeczy: kościół i trzosa pełne pieniędzy? Muszą się w nim kryć jakieś namiętności, które by można obudzić. Gdyby nawet rzucił się na nią i rozdarł na dwoje, skończyłaby się ta beznadziejna, śmiertelna monotonia. Weszła do domu z gorączkowym pośpiechem i otworzyła ciężki dębowy kufer, który przywiozła na folwark, gdy po raz pierwszy tu przyjechała. Trochę starych ozdób, z których wiele podarowały jej okoliczne panie, małżonki lordów, których sprawy prowadził jej ojciec; miała kiedyś nadzieję przyozdobić się nimi na wizytach w Nairn czy Forres, a może nawet — przy odrobinie szczęścia — w zamku Brodie. Ileż dawnych wspomnień budziły, a teraz miały służyć jako podnieta dla tego nieokrzesanego, ponurego starego farmera.

Z pewnym wahaniem wyjęła wykwintną połyskliwą szatę, którą niegdyś nosiła jako peniuar pewna francuska markiza, jeszcze w tych czasach, kiedy Ludwik XIV wstępował na

tron, Anna Austriaczka była regentką, a wielkie damy, zgodnie z ówczesną gorszącą modą, przyjmowały swych przyjaciół i wielbicieli we wczesnych godzinach rannych w negliżu. Szata przeszła następnie w ręce kadeta z wesołego i kochliwego rodu Gordonów, później otrzymała ją Isabel w darze ślubnym.

Pośpiesznie rozpięła swoją suknię z szorstkiego samodziału, gdy usłyszała ciężkie kroki Johna Gilberta przekraczającego próg. Zaśmiała się cicho, opanowała zalotność — nie wyjdzie mu na spotkanie, niech on zauważy, że jej nie ma, niech ją zawoła, wtedy ukaże mu się w pełnej krasie francuskiej szaty i zupełnie go podbije.

Zwykła pora wieczery dawno minęła; jedzenie czekało w kuchni.

Wszedł ciężko i usiadł w milczeniu; słyszała, jak nalewa sobie wielki kufel piwa i zaczyna głośno jeść; wydawało się, że nie zauważył jej nieobecności. Dotknęło ją to i rozgniewało. Noc po nocy wzdychała za tym, by był daleko, tęskniąc za spokojem i samotnością; teraz, o dziwo, pragnęła go. W latach dziewczęcych była świadoma swej siły oddziaływania na mężczyzn i jeśli zapragnęła — przelotnym spojrzeniem, uniesieniem brwi, ruchem ramienia, sama udając obojętność lub zdziwienie przyciągała ich, po czym odsyłała z niczym. Dziś zapragnęła wypróbować swoją potęgę jeszcze raz — a John Gilbert jadł i jadł. W końcu nie mogła już tego znieść; otworzyła drzwi i zajrzała do kuchni. John palił fajkę przy ogniu, siwe włosy miał zmierzwione, a na policzkach i podbródku tygodniowy zarost; jego odzież, ciężka od potu ludzkiego, zwierzęcego i od wyziewów obór, wstrętne cuchnęła; z pewnością nie był ponętym mężczyzną. Nic to nie szkodziło — był wszak mężczyzną, nie było tu innego, musi odczuć jej potęgę.

— Nie idziesz spać, John? — zawołała cicho. Obrócił się i zobaczył tylko jej twarz wyzierającą zza drzwi, a i to niezbyt wyraźnie, gdyż było już prawie ciemno. — Nie — odrzekł — nie idę, muszę wstąpić, przed wschodem słońca. Położę się w oborze. Ta odprawa podziałała na nią jak uderzenie w twarz, jednak wzmogła tylko pragnienie podbicia go. Siła jej kobiecego czaru była niegdyś dostatecznie wielka, by oczarować serce mężczyzny — także teraz, gdy tak stała, w mieniącym się peniuarze, zgrabna i delikatna, mogła zauroczyć każdego. Ale, jak mawiał pobożny pastor Harry Forbes, były to sidła

Szatana — nie było dla nich miejsca w świętym kościele protestanckim. John Gilbert popatrzył na nią bez zainteresowania małymi, sprytnymi oczkami, ukrytymi pod nawisłymi, siwymi brwiami.

— Cóż to za głupstwa? — warknął.

Podeszła śmiało, tłumiąc uczucie wstępu wobec tego mężczyzny i przykucnęła obok ognia, kładąc na jego kolana smukłe, białe ramię.

— John — powiedziała, a w jej głosie zabrzmiały miękkie tony gołębiczy w czasie godów — przyjdź do mnie na noc. Jestem zmęczona i osamotniona, i sowy tak strasznie pohukują.

Rzucił się ostro w bok, strząsając jej ramię ze swoich kolan.

— Ruszaj do łóżka, pomiotło! I naucz się ubierać jak chrześcijanka z Bogiem w sercu, a nie francuska wszeteczniczka. Słuchaj no! Żebyś mi była w kościele w niedzielę! Dość tych niby bólów głowy i niedomagań; i masz być przyzwoicie ubrana, jak przystoi żonie starszego kościoła. Już mi do łóżka i daj mi pokój, albo będziesz się kajać przed całym zgromadzeniem, ty przekłeta papistko!

Powstał ciężko, odepchnął ją od siebie i wyszedł ociężałym krokiem; słyszała, jak otwiera i zamyka drzwi obory.

Stała przez chwilę przy gasnącym ogniu niczym piękny posąg, z uniesionym ramieniem, jakby w oskarżeniu. Jej czary zawiodły. Magia urody i płci nie działała na tępa brutalność.

— Och, gdyby mieć moc! — wykrzyknęła głośno. — Nie pozwolę tak sobą pomiatać! Po cóż tracić całą młodość i nigdy nie zaznać chwili radości! Czy muszę umrzeć, nim naprawdę zacznę żyć?

Wróciła do sypialni i schowała wzgardzone ozdoby w skrzyni. Przez małe okienko zaglądał księżyc w pełni; Isabel była jak w gorączce i chłodne powietrze nocy łagodnie, ożywczo kąpało jej długie, smukłe ciało. ¹

Wychyliła się przez okno i przywołała w pamięci opowieści Janet Broadhead. Inni ludzie mieli życie pełne przygód, życie pełne barw. A czy ona nie mogłaby mieć swojego udziału w tych niezwykłych czynach i poczuć, że żyje, niechby przez kilka dni? Dalej na zachód, Dunbar Durris był panem na Grangehill, a był to dziki ród i nie cofał się przed

niczym. A jeszcze dalej leżały ziemie Culbenów. Kinnaird Culben niezbyt zaprzął sobie głowę kościołem czy pastorem. Nawet w Dzień Pański siadał z zarządcą do kart, podczas gdy wyszczerbiony dzwon parafii Findhorn wzywał ich na kazanie. Chętnie poszłaby pograć z dziedzicem, bo doprawdy całkiem nieźle radziła sobie z kartami. A jeszcze dalej, za Wieżą, Sir Robert Gordon kumał się z samym diabłem. Janet wiele opowiadała o owym sir Robercie. Jak powiadano, stracił swój cień, badając w Salamance w Hiszpanii tajniki magii, a całkiem niedawno, po wieloletnich trudach urobił z ognia stworzenie, które spełniało, cokolwiek mu zlecił. Zdarzyło się, że przejechał przez jezioro Spynie swoim starym powozem zaprzężonym w czwórkę czarnych koni po jednodniowym lodzie.

Gdy tak myślała o sir Robercie — bez szczególnego powodu, bo nigdy go nie widziała — przez jej ciało jakby przebiegały fale gorąca i chłodu, policzki jej płonęły, z trudem łapała powietrze, a bicie jej serca było niemal słyszalne. Myślała, jak wspaniale byłoby siedzieć wraz z nim w powozie, gdy czarne jak węgiel konie mknęły przez noc. Popatrzyłaby w dół na Johna Gilberta, który nią wzgardził, na Haya z Lochlond, którego zaloty były dla niej obelgą, na Harry'ego Forbesa, który wygłaszał do niej kazania — patrzyłaby i szydziła; posłałaby do nich istotę, którą sir Robert stworzył z ognia, by ich dręczyła. Sir Robert pozwoliłby jej na wszystko — tego była pewna. Byłby najbardziej szarmanckim, najbardziej pożądanym kochankiem.

Jej wysmukłe ciało gięło się i drżało z podniecenia. To było nierozsądne, szalone, ale ona nie dbała o nic. W wyobraźni pozwalała sobie na wszystko. Potem przyszła fala nierozumnej trwogi. Kim były widma, które ciągnęły ją w głębiny? Jak gdyby obejmowały ją ich ramiona i brały w swe posiadanie. Musi się jakoś ratować. Potem nagle, bez żadnej przyczyny, pojawiła się przed nią twarz lady Jean Gordon, która przyjaźniła się z nią w dawnych czasach. Kłęcząca obok niej w czasie mszy, nim jej ojciec przeszedł na wiarę protestancką, a potem jako jedyna z jej dawnych przyjaciółek podjęła trudy całodziennego podróży na samotną farmę, by odwiedzić Isabel i życzyć jej pomyślności; zostawiła jej maleńki złoty krzyżyk, teraz wszyty w przód jej ręcznie tkanej sukni, pod podszewką, gdzie nikt nie mógł go widzieć.

A teraz, jak słyszała, lady Jean miała iść za mąż, za młodego żołnierza z rodu Hamiltonów. Ale że oboje byli papistami, czekały ich nie lada kłopoty; może będą musieli wyjechać do Francji i żyć tylko z niewysokiego żołdu. Ogarnęła ją fala współczucia dla przyjaciółki, ale i fala zawiści wobec kogoś, kto miał przed sobą miłość i życie.

— Och, gdyby tak mieć moc! — westchnęła znów. — Jakże pięknym uczyniłabym ich życie! A jestem tak bezsilna!

Nocne powietrze przejęło ją dziwnym chłodem, więc czujna, ale spokojna wśliznęła się do łóżka — całe jej rozgorączkowanie gdzieś znikło — i mocno zasnęła.

Rozdział II

Jak Isabel Goudie spotkała nieznanego

Jak zapisał mój praprapradziadek, fala trwogi przeszła przez te ziemie za jego chłopięcych lat, wywołana pewnymi dziwnymi wypadkami. W niektórych domach znajdowano rankiem sprzęty poprzewracane i w nieładzie, jakby w nocy zabawiała się tam bezecnie pijacka czereda — słychać było dziwne odgłosy stuków i łomotów, które tak straszyły domowników, że żaden nie ważył się wyjść ze swojego pokoju, a jednak wszystkie drzwi wejściowe były zaryglowane. Podobne przypadki, jak mówią, zdarzają się i dziś i — jak sądzą niektórzy — są dziełem duchów zmarłych, którzy tym sposobem przypominają swoim bliskim o swojej miłości. Inni twierdzą, że są to tylko oszukańcze sztuczki zawodowych mediów. Jednakże pan Patrick Innes, nieugięty wyznawca wiary reformowanej, nie żywił najmniejszej wątpliwości co do bezpośredniej interwencji Szatana, któremu zezwolono — jak to był wyłożył w jednej ze swoich krasomówczych rozpraw kościelnych — przez czas pewien niepokoić wybranych; przy czym, rzecz jasna, pastor nie miał na myśli Hebrajczyków, którzy chępnili się tą nazwą jako sobie przynależną, ale Kościół Szkocji. Bydło padało od nieznannej

zarazy, a i ludzie, zdarzało się, padali martwi z niejasnych przyczyn. Nic zatem dziwnego, że strwożeni ludzie szukali u pastorów ratunku przed tą straszną karą boską. Ale pastory byli bezsilni. To dlatego, że ich owieczki zbłądziły, spadło na ich głowę przekleństwo. Konsystorz wskazywał także na godny ubolewania spadek datków pieniężnych na kościół, jako na przekonywający dowód upadku wiary, co ułatwiło wrogowi rodu ludzkiego wtargnięcie w głąb dusz ludzkich.

Na farmie Lochloy dwie krowy straciły mleko, co zdarza się czasem krowom, jak mówią, ale John Gilbert bez wahania przypisał to wpływowi Złego, któremu papistowska wiara jego żony ułatwiła dostęp do niego, Johna Gilberta. Nakazał jej więc, by regularnie uczęszczała do kościoła i zastanawiał się, czyby nie oczyścić jej ze złych skłonności przez zadanie pokuty w białym prześcieradle wobec całej kongregacji, jak było zwyczajem w owym czasie.

Kiedy Isabel otworzyła oczy z długiego spoczynku bez snów, po wydarzeniach opisanych wyżej, Gilberta już nie było od jakiegoś czasu. Ekonom, który zwykle orientował się we wszystkim, co robił jego pan, nie wiedział lub nie chciał mówić, co ów zamierza: wyjechał daleko, nie wróci tej nocy, a może i następnej. Isabel czuła się wypoczęta i świeża, gorączka i podniecenie minionej nocy zupełnie minęły, ale dawne uczucie osamotnienia wróciło ze zdwojoną siłą. Nawet John Gilbert, którego obecność drażniła ją na każdym kroku, był lepszy niż nic; wciąż miała trochę nadziei, że uczyni go choć trochę bardziej podobnym do ludzi, a w każdym razie te wysiłki nadawały jej życiu jakiś sens. Teraz była zupełnie sama; życie wydawało się jej nieskończoną pustką, szarą i beznadziejną. Pragnęła siły, potęgi, wiedząc, że umiałyby ją dobrze wykorzystać, ale w istocie nie było chyba stworzenia równie bezsilnego. Gdybyż jakiś silny mężczyzna pojawił się w jej życiu! Pragnienie męskiej siły było przemożne; ale taki mężczyzna nie zjawiał się. Podeszła do drzwi — folwark opustoszał, ludzie wyszli, bo i żniwa były w pełnym toku: tylko dwie chore krowy zostały w oborze. Nigdy nie pozwolono jej pracować w gospodarstwie. Gilbert początkowo chciał ją widzieć jako jaśnie panią, a gdy ten plan zawiódł, było za późno, by mogła stać się gospodynią, żoną farmera.

Jedynym lekarstwem na jej ogromne przygnębienie był,

jak przedtem, długi spacer; nie mogła pozostać ani chwili dłużej na tym opustoszałym posepnym folwarku. Dziwny instynkt ostrzegł ją przed założeniem starej, domowego wyrobu, sukni, w której gorsie był zaszyty złoty krzyżyk; założy dziś jeszcze starszą i bardziej znoszoną suknię z brunatnego samodziału, zabrudzoną i wystrzępioną — nie zbliży się do żadnego miejsca, gdzie mogłaby spotkać jakąkolwiek żyjącą istotę; na swoje płomienne włosy nałożyła cienką chustę tartanową w kratę i wyszła z domu. Cały czas pamiętała o swoim wyglądzie, ona, która kiedyś tak starannie się ubierała, dbała o każdy szczegół. Gdyby zobaczył ją teraz któryś z sąsiadów, powiedziałby na pewno, że niechlujny, grubiański farmer ściągnął ją do swego poziomu, przy czym nie stała się nawet dobrą wyrobnicą. Chciała teraz unikać ludzkich oczu, przesmyknąć się obok siedlisk ludzkich jak bojaźliwe zwierzę i schronić się w przyjaznej leśnej głuszy. Po lewej stronie miała lasy Brodie, było tam jednak wiele gospodarstw" i domostw. Poza tym, obecne pokolenie rodziny Brodie wyróżniało się przykładną wprost pobożnością — kilka panien poślubiło pastorów, ta atmosfera była jej obca. Po prawej stronie miała ziemie i dwór Park, którego musiała unikać w równym stopniu. Na wprost, przez wilgotny, bagnisty teren biegły kręte ścieżki — przez opustoszałą okolicę, w której było niewiele domostw — hen, w nieprzebyte puszcze Darnaway. Pójdzie w tamtą stronę. Zgubi się wśród przyjaznych drzew i choć na chwilę zapomni o brudzie i beznadziei swojego życia. Wbrew naukom kościoła miała głęboko zakorzenioną instynktowną wiarę w duchy lasów i strumieni, co, jak wiadomo, jest ciężkim pogańskim zabobonem, nie tak szkodliwym, co prawda, jak papistowska wiara w świętych, ale jednak błędem, nie znajdującym usprawiedliwienia w Piśmie świętym i oświeceni wyznawcy wiary reformowanej powinni się go wystrzegać. Jednakże Isabel niewiele dbała o wiarę reformowaną czy jej duchownych; duchy leśne były łagodne i przyjazne, snuła o nich rozkoszne marzenia, lubiła wyobrażać sobie, jak znajduje schronienie w ich potężnych ramionach. W miarę jak postępowała naprzód, znikało jej uczucie samotności i przygnębienia. Po gęstym, nieruchomym powietrzu, które zdawało się wisieć nad błotami Lochloy, lekkie, czyste powietrze lasów Darnaway napełniło jej płuca, usuwając trujące miazmaty z jej żył; poczuła w żyłach przyływ nowego

życia, serce biło lekko w przeczuciu nieznannej przygody. Było to uczucie w połowie rozkoszą, a w połowie jakby bo-jaźliwym wzdraganiem się. Ostatecznie życie mogło jej jeszcze ofiarować parę silnych doznań. Nie całym światem rządzą pastorzy i starsi kościoła.

W młodości przeczytała wiele wierszy i romansów, nawet niektóre sztuki Mistrza Wiliama Szekspira; jej wyobraźni, tłumionej i potępianej przez lata, zaczęły na nowo wyrastać skrzydła. Rozpostarła swój tartan na ziemi pod wielkim dębem, położyła się i usiłowała sobie wyobrazić ducha, który w nim mieszkał. To musi być piękny, silny mężczyzna. Ja-kimże byłby pożądanym kochankiem! Przymknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić, jak nadchodzi, jak bierze ją w ramiona. Serce gwałtownie biło w jej piersiach. Później niebo i drzewa poszarzały, gałęzie splotły się w jedno i zasnęła.

Obudziła się w samo południe; śniła o czymś, ale nic już nie pamiętała — pozostały tylko jakieś niejasne obrazy. Śniła, że posiadała wielką moc, wypowiadała słowa, od których zależało życie i śmierć, wymierzała sprawiedliwość i wyrównywała krzywdy, lecz jak — nie wiedziała.

Jednego była pewna — otóż niezmiernie zgłodniała. Przy ścieżce pod ogromnym jesionem stał cichy nieduży domek; w oknie wygrzewał się w słońcu czarny kot. Na pewno dadzą jej tam trochę mleka i chleba. W drzwiach stała kobieta o miłym wyglądzie, spokojna, z włosami czarnymi jak noc.

— Wejdźże, wejdź, kochana — powiedziała. — Czekałam na ciebie.

— Nie, to niemożliwe. Dopiero przed chwilą poczułam się głodna, zobaczyłam pani dom i pomyślałam, że może dostanę tu trochę mleka do picia. — Wejdź zatem, a przekonasz się, że czekałam na ciebie.

Zaprowadziła ją do środka; na stole stał duży dzban z mlekiem i talerz pełen świeżo upieczonych bułeczek. Isabel patrzyła zdumiona.

— Widziałam, jak tu idziesz, moja kochana, dawno temu, jeszcze jak wychodziłaś z folwarku. Nie dziw się tak, ja mam widzenia. A teraz siądź, jedz i pij do syta! Radam cię widzieć, miło porozmawiać z taką nadobną dziewczyną. Tęskno mi samej czasami, bez ludzi. Pewnie wiesz, jak mnie zwą. Margaret Brodie to ja, jestem córką zmarłego dziedzica Brodie i przyrodnią siostrą jego lordowskiej mości,

choć może nie wspominał o tym, bo Brodie to teraz możliwy ród, a w każdym razie na takich wyglądają. Moja matka jest Cyganką, dlatego widzę rzeczy, których inni nie widzą. Umieję także inne rzeczy.

Gdy mówiła, Isabel oddawała sprawiedliwość gościnnemu stołowi, zjadając bułki i mleko. Oto miała jeszcze jedną przyjaciółkę, z którą mogła dzielić się myślami; życie rnie było już tak ponure jak jeszcze tego ranka.

— Może zobaczymy się w kościele którejś niedzieli — rzekła Margaret po pewnym czasie.

— A tak! Mój mąż mówi, że muszę chodzić do kościoła, ale ja nie dbam o to.

— Ale ja myślałam... nie, nic nie powiem, ale dobrze jest chodzić do kościoła. Sama się kiedyś przekonasz.

Isabel nieco zastanowiły te słowa; jej nowa przyjaciółka nie wyglądała na osobę, która by wysłuchiwała pobożnych napomnień z wielką ochotą, nie miała też męża, który by ją do tego zmuszał.

W głębi pokoju uchyliły się drzwi i ukazała się twarz, na której widok Isabel zlodowaciała z przerażenia i odrazy. Twarz miała barwę starego, zabrudzonego pergaminu, ściemniałego od starości i pomarszczonego w niesamowity sposób. Spod krzaczastych brwi błyszczały niezwykle jasne oczy, a po obu stronach głowy zwisały długie posiwiałe kosmyki. Długi nos nad bezzębnymi ustami prawie stykał się z wystającym podbródkiem. Było to przerażające oblicze. Isabel drgnęła i zbladła jak płótno. Wtedy drzwi przymknęły się znowu i twarz znikła. Margaret Brodie roześmiała się lekko. — To tylko moja matka — powiedziała. — Widząc ją teraz nie uwierzyłabyś, jaką była kiedyś piękną. Cyganki szybko się starzeją. Zmarkotniała bardzo i zdziczała, dba tylko o swojego starego kruka. Niech tam! Przyszłaś tu do mnie, nie musisz bać się mojej matki, ona nigdy nie opuszcza swojego kąta.

Kiedy Isabel wyszła już z domku na świeże powietrze, kiedy znalazła się pośród drzew, szybko odzyskała dobry nastrój; zapomniała o odrażającej starej kobiecie, pamiętała tylko miłą i gościnną Margaret Brodie. Tak, pójdzie do niej znowu w odwiedziny. Oto jeszcze jedna istota, zda się równie samotna jak ona, a jednak biorąca życie z pogodą, która udzielała się innym. Gdy jednak wyłoniła się z lasów

i ujrzała mgły ścielące się nad niziną, poczuła przyływ dawnego nerwowego przygnębienia. Wspięła się na niewielkie wzniesienie obok niedużej farmy Drumduana i popatrzyła na wschód ponad posepnymi bagnami. Tam biegła jej ścieżka.

Te płaskie przygnębiające pola wydawały jej się przedtem realnym kształtem jej własnej przygnębiającej egzystencji, a teraz, po krótkotrwałej ucieczce i przebłyskach nadziei, które przyniósł jej dzień, sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej przybita niż kiedykolwiek przedtem. Och, przeżyć coś niezwykłego, cokolwiek! Spotkać silnego mężczyznę, któremu mogłaby zaufać!, który pomagałby jej, przynosił radość, nie wprowadzał jej w irytację. Nawet sama przed sobą nie użyła słowa „kochanek”, gdyby jednak miała wprawę w analizowaniu własnych uczuć, zrozumiałaby po chwili zastanowienia, że to właśnie miała na myśli.

Wychodząc z zakrętu drogi, nie zdziwiła się na widok mężczyzny idącego w jej kierunku w pewnej odległości od niej. Nie zdziwiła się, gdyż w jakiś sposób poznała go, nim jeszcze go zobaczyła; wiedziała, że tam jest, a jednak serce załomotało w jej piersi, gdy zdała sobie sprawę, że był tam naprawdę. A przecież nie było w nim nic szczególnego. Szary płaszcz i spodnie do kolan, ciemnoniebieska szkocka czapka, jak to było w modzie w owym czasie — oto, co ujrzała; a także jego chód, równy i pełen godności, ani ociężały, ani buńczuczny.

Przez chwilę odczuwała radosne podniecenie. Oto jej przygoda. Nie był to żaden znajomy z okolicy, to ktoś obcy, może przybysz z jakiegoś miasta, a na pewno ktoś z ogładą. Nadszedł jej wielki dzień.

Nagle ogarnął ją lęk przed niewiadomym; dotychczasowe dobrze znane życie w Lochloy wydało jej się zaciszne i bezpieczne. Czy powinna — czy może — je odmienić? Skoro już spotkała tego mężczyznę, on na pewno do niej przemówi, wejdzie w jej życie. Nic już nie będzie takie jak przedtem. Wstrząsnął nią nerwowy dreszcz. Nie, nie powinna tego robić. Zdecydowanie i nieodwołalnie skrzyła na prawo między wysokie drzewa w kierunku wrzosowisk Inshosch, gdzie droga niknęła z oczu za niewysokim wzniesieniem. Będzie szła okrężną drogą, aż ów mężczyzna odejdzie w swoją stronę, a wtedy ona wróci na folwark.

Ledwie straciła drogę z oczu, a już ogarnęło ją poczucie straty. Jakże była głupia! Nadeszła jej szansa, a ona, tchórz, bała się z niej skorzystać; taka sposobność mogła się już nie powtórzyć. Stała niepewna, ważąc decyzję, z boleśnie bijącym sercem. Jak stawi czoła nadchodzącym latom w Lochloy, nie kończącym się, ponurym? Ostatecznie, kimże był ten człowiek? Przybyszem z dalekich stron, nikomu nie szkodzącym i zapewne miłym człowiekiem. A gdyby tak pozdrowić go, zamienić parę słów na jakiś obojętny temat? Potem łatwo mogłaby się pożegnać i wrócić na folwark — nic by się nie stało. Gdyby za wiele sobie pozwalał, odprawi go bez trudu, tak jak dziedzica z Lochloy. Ale on tak nie postąpi, była tego pewna. Ach, znów poczuć się damą, rozmawiać z kimś grzecznym i dwornym jak równa z równym! Z pewnością była głupia, przepuszczając taką szansę, nawet gdyby wszystko skończyło się na pięciu minutach rozmowy. Miała nadzieję, że mężczyzna jeszcze nie odszedł, a za chwilę niemal pragnęła, by już go nie było. Zawróciła na trakt i szła powoli, jakby wleczona wbrew swej woli, potem przyśpieszyła, prawie biegła, aż nagle niemal znieruchomiała, gdy zobaczyła, że on wciąż tam jest i idzie jej naprzeciw tym samym miarowym, nieśpiesznym krokiem. Mechanicznym ruchem strąciła na plecy kraciatą chustę; słońce, stojące nisko za jej plecami, zapłonęło jaskrawo w jej włosach. Taką powinien ujrzeć ją ten człowiek — sama nie wiedziała dlaczego. Przyjrzała mu się ciekawie. Był ubrany z niezwykłą starannością; szare ubranie świetnie na nim leżało, szare pończochy uwydatniały zgrabne łydki i smukłe kostki, przy butach błyszcząły klamry z jasnego srebra. Miał ciemne włosy, lekko przyprószone siwizną, twarz studenta, poważną i trochę smutną, ale oczy jasne i przenikliwe, o dziwnie magnetycznym spojrzeniu. Poczwała dziwne dreszcze w całym ciele. Był teraz blisko; uniósł beret w uprzejmym powitaniu. — Witam panią — powiedział niskim, melodyjnym głosem. — Wygląda pani, jakby spotkała ją jakaś przykrość. — Nie, panie. To nie to... tylko czuję się samotna. Tak strasznie samotna. Sama się dziwiła, że wyjawia swoje troski zupełnie obcej osobie. Ale nie mogła uważać go za obcego. — Nie, nie sędzę, by tak piękna dama mogła być samotna. Myślę, że nie znasz pani własnej mocy. — Mocy! Wiele bym dała, by ją mieć! Jestem bezsilna

jak biedna myszka schwytna w pułapkę, i tyle mogę, co ona. Jestem jeszcze młoda, mam męża, a nigdy nie zaznałam miłości. Och, dlaczego to mówię? Co też pan o mnie pomyśli!

— Nie, pani! Traktuj mnie jak kogoś, kto zna świat od wielu, wielu lat. Poznałem naturę mężczyzn i kobiet, potrafię im współczuć. Może potrafię i pomóc. Jeśli chodzi o moc, o siłę — to zrobisz z niej dobry użytek. Piękna kobieta ma zawsze władzę, jeśli tylko chce. Ale mógłbym nauczyć cię czegoś więcej. Wiedza rodzi władzę; zgłębiłem wszelkie nauki i zdobyłem władzę i potęgę. Mógłbym ci ją przekazać, jeśli sobie życzysz, pani.

— Jaki pan dobry — powiedziała cicho. — Nigdy cię, panie, nie widziałam, ale ufam ci bardziej niż komukolwiek innemu.

— Mógłbym coś dla pani zrobić. Sądzę, że po części znam przyczynę pani kłopotów. Jest pani ochrzczona, czy tak?

— Ochrzczono mnie, gdy przyjmowałam wiarę protestancką, całkowicie wbrew mojej woli. Dlaczego pan pyta?

— Oto i źródło wielu pani kłopotów. Ludzie powiadają, że ktoś ma szczęście. Szczęście to głupie słowo. To oni sami przyciągają władzę i szczęście. Głupi obrządek chrztu odrzuca wszystko, co miłe i pożądane. W rzeczy samej, pani, kościół protestancki uważa wszelkie przyjemności za złe.

— Och, wiem o tym i nie mogę tego znieść! Gdyby pan wiedział, jak go nienawidzę! Ale stało się i nic nie mogę na to poradzić.

— Nie, uważam, że możesz temu zaradzić. Co się przyjęło, można później odrzucić. Kiedy już odrzucisz tę niemądrą formę chrztu, będziesz mogła sięgnąć po wszystko, czego zapragniesz.

— Czy naprawdę będę mogła to zrobić? Czy tak łatwo mogę zdobyć władzę nad innymi? A czy ty ją posiadasz?

— Widzę, że potrzebujesz jakiegoś dowodu. Spójrz na wschód. Jak wiesz, na polach Culben trwają teraz żniwa. Tamtejszy farmer ma jutro urządzić wielkie święto zbiorów dla swoich parobków i sąsiadów, aby uczcić najbogatsze zbiory w swoim życiu. Teraz słuchaj: to święto się nie odbędzie. Jego ziemie i wszystko, co zrodziły, zostanie pogrzebane, i niech się tak stanie z twoimi wrogami, z każdym, kto cię skrzywdzi, jeśli tylko zechcesz, by tak się stało.

— To wszystko jest tak niezwykle! Więc pan jest cudotwórcą?

— Nie, tylko ubogim uczonym, który nauczył się paru rzeczy.

— Więc mógłby pan... zechciałby pan... naprawdę mnie tego nauczyć?

Och, oddałabym wszystko, by zdobyć siłę i władzę. Ale dlaczego tak się pan mną interesuje? Jesteśmy sobie zupełnie obcy.

— Posłuchaj, pani. Kiedy władcy tego świata obdarzają kobietę taką piękną, zamierzają także dać jej wielką władzę nad innymi, bo piękno jest najwyższym źródłem potęgi. Jeżeli, jak pani powiada, jest pani bezradna, to znaczy, że nie dopełnia swojego przeznaczenia. Wszystkie moje badania przekonały mnie, że pomagając komuś w osiągnięciu przypisanego mu losu, osiągam korzyści równe jego korzyściom.

Urodziłaś się, by osiągnąć wielkość, władzę i szczęście. Mogę ci je dać, jeśli zechcesz. Jeśli się odważysz spotkać ze mną jutro o północy przy kościele w Aulderne, o pełni księżyca, dowiesz się więcej.

— Przyjdę, przyjdę! Ale jak to zrobić? Mój mąż... — Nagle przypomniała sobie o mężu — przecież on w żadnym razie nie wypuści jej z domu o północy.

— On jeszcze nie wróci do tej pory. Nie masz się czego obawiać.

— Więc przyjdę. Nigdy nie chciałam tego chrztu. Ale zaczekaj, panie. Poprzednio udzielono mi chrztu katolickiego.

— To mnie nie dotyczy — powiedział poważnie. — Bądź zdrowa, pani, zobaczymy się jutrzejszej nocy. Przekonasz się wtedy, jakie życie czeka piękną kobietę.

Odwrócił się i odszedł. Nie umiałyby powiedzieć, czy poszedł boczną ścieżką, na której przeżyła tyle wahań i wątpliwości, nim zdobyła się na odwagę, by się z nim spotkać — czy też znikł w jakiś inny sposób.

Co do zagadkowego zdania, które rzucił na odchodnym, to wywołało ono wiele dyskusji wśród uczonych w późniejszym czasie. Otóż kościół prezbiteriański, którego mój pra-prapradziadek był prawdziwą ozdobą, utrzymywał, że chrzest papistowski jako obrządek czysto pogański i ciężki zabobon nie miał żadnego znaczenia; wdawano się przy tym w niezwykle uczone wywody. Jednakże ojciec Bernard Angélico z Florencji stwierdził w zawiłym traktacie pisany

po łacinie i gęsto przetykanym cytataми z dzieł wielkich autorytetów kościoła, że chrzest udzielany przez święty kościół katolicki jest sakramentem tak potężnym, iż nie można się go wyrzec w żadnych okolicznościach; wszelkie zatem próby w tym kierunku są z góry skazane na niepowodzenie. Możemy z tego sądzić, że nieznajomy, który zaczepił Isabel między Drumduan a Bogheads był ważną osobistością, jako że jego wypowiedzi stały się tematem tylu uczonych rozpraw.

Co do Isabel, to wracała na folwark Lochloy w stanie dziwnego uniesienia, nękana gwałtownymi myślami i uczuciami, tak iż miała w głowie zupełny mętlik. Tamten mężczyzna był uprzejmy i pełen szacunku, obiecał dać jej władzę nad innymi — coś, czego tak bardzo pragnęła. I rzeczywiście, cała jego postać zdawała się tchnąć potęgą. Mówił o potędze jej urody, ale nad nim nie miała ona władzy — myślała Isabel. Najmniejszym słowem ni spojrzeniem nie zdradzał wobec niej miłosnych zamiarów. Była gotowa zareagować oburzeniem na wszelkie propozycje tego rodzaju, a teraz była jakby rozczarowana, że nic takiego nie nastąpiło. Rosło w niej na wpół świadome pragnienie, by ów mężczyzna zalecał się do niej, a wtedy ona miałaby go w swej władzy; władzy, o której mówił. Czy potrafi tylko mówić, spędzać kwadrans na pogawędce z przygodnie spotkaną kobietą, czarując ją niemądrymi przechwałkami? Coraz bardziej ją intrygował.

Gilbert będzie w domu następnego wieczoru, więc nie musiała więcej zaprzętać nim sobie głowy. Sprawa była zamknięta — nie chce już więcej myśleć o tym obcym. Gdyby jednak Gilbert nie wrócił, byłoby to jakimś dowodem, że nieznajomy wiedział więcej niż zwykli ludzie. Przydałoby się iść do kościoła w Aulderne i zobaczyć, co z tego wyniknie. Nie byłoby w tym nic złego — po prostu przekonałaby się, co to wszystko znaczy. Nie musiała niczego robić — w rzeczy samej nic nie robi, po prostu wyjdzie sobie na jeszcze jeden spacer i tyle.

Dziwne, jak wszyscy ją namawiali, by poszła do kościoła w Aulderne.

Nakazywał jej to Gilbert. Margaret Brodie mówiła, że na pewno się tam spotkają, a teraz ten obcy mężczyzna wyznaczył jej tam schadzkę.

I jeszcze ta fantastyczna historia z majątkiem Culben. To na pewno czcze przechwałki. Ale co chciał osiągnąć, wypo-

wiadając twierdzenie, które będzie można obalić po upływie kilku godzin?

Tak czy owak była to jakaś przygoda. Mogła przełamać szarą monotonię jej codziennego życia; to było coś, co będzie mogła wspominać, historyjka, którą opowie Janet Broadhead, równie intrygująca jak wiele opowiadań Janet. Jednak była zadowolona, że ma tę przygodę za sobą. Słońce zachodziło, ciężkie posepne chmury krwistoczerwonej barwy były poszarpane w tysiące fantastycznych kształtów za wielkim purpurowym masywem Wyrvis. Nad Lochloy zalegała niemal śmiertelna cisza. Morze było ciemne i posepne, promienie zachodzącego słońca połyskiwały czerwono na wielkich piaszczystych wzgórzach u wejścia do starej zatoki. Widok był niesamowity, niezwykły. Obdarzona wrażliwą wyobraźnią poetycką, Isabel rozkoszowała się chwilą. Patrzyła, jak płonące barwy zachodu przechodzą stopniowo w tępą szarość ołowiu, a słońce niknie z oczu. Słyszała jęśliwe zawodzenie jakby wiatru, a przecież na drzewach nie drgnął ani jeden liść. Nagły chłód spłynął na niziny. Ptactwo wodne było dziwnie niespokojne, odlatywało z jeziora w głąb łądu, wydając urywane okrzyki. Na uschłym drzewie za domem pohukiwała para puszczyków.

Isabel zadrżała i weszła do domu. Prawie natychmiast wśliznęła się do łóżka i skuliła pod kołdrą, czekając na sen. Wciąż prześladował ją obraz nieznanego. Widziała go w miejscu, gdzie się spotkali, otoczonego jakby płomienną aureolą; uniósł ramię we władczym geście, a chmury burzowe i dzikie błyskawice zdawały się posłuszne jego dłoniom.

Obudziła się drżąc. Potem powiedziała sobie: „Co za bzdury! Po prostu śnią mi się te wszystkie nedorzecznosci, o których mówił.”

Wstrząsnęła się niecierpliwie, obróciła na drugi bok i znów zasnęła.

Wzmagający się wiatr wył wokół domu. Drzemała i budziła się, gdy brzęczały szyby w małym okienku, a ściany drżały. Cieszyła się, że jest w zaciszu domu, gdyż burza wyraźnie się nasilała. Burza wyła i jęczała nad farmą; z dachu spadł z trzaskiem komin, w okno ostro biły strumienie piachu. Isabel leżała drżąc, czekając nadejścia świtu. Nie zasnęła, aż szarawe smugi światła zaczęły słabo rozświetlać ścianę naprzeciw okna, a wichura ucichła tak nagle, jak się zaczęła i zapanowała głęboka cisza.

Wtedy, umęczo-

na, twardo zasnęła i nic jej się nie śniło. Obudziła się o godzinę później, niż zwykła wstawać, gdy do pokoju wpadła jedna z dziewcząt od krów, krzycząc:

— Niech się pani zbudzi, pani gospodyni! Stało się coś strasznego! W nocy burza zasypała piachem całe gospodarstwo Culben!

Rozdział III

Piaski Culben

Wiadomość o nieszczęściu, które spadło na farmę Culben, szybko rozeszła się po okolicy i zewsząd nadciągali panowie, gospodarze i wyrobnicy, by zobaczyć wszystko na własne oczy. Wszystkie prace na razie przerwano, zboże stało w polu nie zebrane. Na farmie Lochloy nie było żywej duszy; Isabel została sama w pustym domu. Na prawo za torfowiskiem, patrząc w kierunku morza, widziała zarys piaszczystej łąchy na brzegu, teraz ledwie widoczny nad poziomem wody. Znikły te ogromne piaszczyste wzgórza na zachodnim krańcu, na które jeszcze wczoraj patrzyła przy czerwonym blasku zachodzącego słońca. Tylko na wschodniej stronie pozostały ogromne góry piachu, jak miniaturowa wyspa-góra otoczona błękitnymi wodami.

Teraz było jasne, co się naprawdę stało. Gwałtowna wichura idąca od północnego wschodu przecięła piaszczyste wzgórza, idąc prosto od Souterrow z Cromarty, przegarniając zwały piachu, nagromadzone przez wiatr i przyływy morza na przestrzeni lat, a może wieków i przeniosła je przez wąski pas wody na farmę. Przez całe stulecia narastały te rumowiska rozpadającego się piaskowca, by nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia prawie czwarta część tej masy zwała się teraz na urodzajne ziemie, znane jako „spichlerz Moray” ze względu na niebywałą żyzność tutejszej gleby. Zasypana została jedynie część najbardziej wysunięta na zachód, zwana Mains of Culben, ale warstwa piachu, która

te ziemie pogrzebała, osiągnęła grubość od czterech do ponad dwudziestu stóp. Dwór z przyległościami oraz farmy od strony wschodniej pozostały nietknięte. Wichura szła bardzo wąskim i ostro zarysowanym klinem; przeszła nad polami, ale zatrzymała się prawie w linii prostej, omijając kaplicę św. Niniansa wraz z dziedzińcem, gdzie panowie Culben chwalili Boga w dawnych, bardziej bogobojnych czasach.

Na wieść o nieszczęściu dziedzic Lochloy i Park natychmiast wyjechał z dworu, by obejrzeć dzieło zniszczenia. Po drodze spotkał wielebnego Harry'ego Forbesa z Aulderne i pojechali razem, ale ślepy kucyk pastora z trudem dotrzymywał kroku gniadoszowi dziedzica, chociaż dziedzic ustawicznie ścigał wodze swojego wierzchowca przez wzgląd na towarzysza.

Isabel zobaczyła, jak nadjeżdżają i ukryła się w domu, ale widziała z okna, jak dziedzic rzucił w jej kierunku spojrzenie pełne jadu i złości, a następnie schylił się i mówił coś do pastora; pastor także popatrzył w stronę jej domu — najpierw ze zdziwieniem, a potem z odrazą.

Pan Patrick Innes notuje, jak to wiele lat później pan Harry Forbes opowiedział mu o tej jeździe i o swym zdziwieniu, z jakim słuchał o złej sławie pani Isabel Coudie, żony głęboko pobożnego człowieka i starszego swego własnego kościoła.

Jeśli chodzi o dziwny szlak burzy, która ominęła dwór i kaplicę, pan Patrick, świadek ich ostatecznej zagłady w 1694 roku, kiedy to potężna piaskowa nawałnica doszczętnie ją zniszczyła — był zupełnie pewien, że niegodziwość pana Culben i pogański papizm kaplicy, która ocalała, chociaż powinna runąć w gruzy, były przyczyną ostatecznej zagłady pięknej posiadłości, ale w czasie, o którym mowa, miara ich nikczemności jeszcze się nie dopełniła.

Wydaje się, że pan Harry Forbes bardzo obrazowo opisał trwożę, jaka opanowała okolicę i jak to wydarzenie w Culben, które zapoczątkowało inne, opisane wyżej, wywołało wśród wieśniaków panikę bliską szaleństwa. Głośno domagano się ujęcia winnego, ale na razie nie udawało się go odszukać. Owszem, dziedzic Culben był niezaprzeczalnie bardzo złym człowiekiem, bo jak każdy wie, gra w karty to zabawka samego diabła, a poza tym nagminnie bezcześcił świętą niedzielę, lecz w tym wypadku zemsta dosięgła

właśnie jego. Jak słusznie dowodził lord Brodie, senator Kolegium Sprawiedliwości z Edynburga, nikt nie doprowadza do swojej własnej ruiny.

— Gdyby Szatan występował przeciwko samemu sobie — mówił — jakże przetrwałoby jego królestwo?

Lord Brodie był nie tylko wybitnym prawnikiem, ale i człowiekiem niezwykle pobożnym.

Takie to sprawy omawiali dziedzic Parku i pastor w drodze na zasypaną farmę Culben. I żaden z nich nie wątpił, że to ludzkie występki sprowadziły na te ziemie tak straszną karę.

Patrząc, jak przejeżdżali obok, Isabel Goudie zauważyła, jak¹ wymienili spojrzenie; czuła złość dziedzica przeciw sobie.

— Zwierzę — powtórzyła. — Och, gdybyż nieznajomy mówił prawdę! Gdyby dał mi tę moc, o której mówił, jeszcze bym się z tobą policzyła. Obyś nie doczekał męskiego dziedzica!

Zamyśliła się. Nieznajomy przepowiedział zniszczenie ziem Culben.

Tego dnia, mówił, farmer miał wydać wielką ucztę dla parobków, by uczcić zbiory. Ale ta uczta, mówił, nigdy się nie odbędzie, gdyż te ziemie zostaną pogrzebane. Jego słowa zabrzmiały wtedy jak niemądre przechwałki. Ale teraz się potwierdziły. Czy on tego dokonał, czy to mieściło się w głowie? Nawet jeśli tylko to przewidział, musiał posiadać niezwykły dar. Co się przytrafiło dziedzicowi Culben, mogło się zdarzyć i dziedzicowi Park. Na myśl o tym przeszedł ją dreszczyk.

Nieprzerwany strumień ludzi wciąż ciągnął obok jej domu w kierunku Culben, by obejrzeć ostatnią sprawkę diabła, jak sądzili; zrozumiała to ze strzępków rozmów, które dotarły do jej uszu. Sama pragnęła zobaczyć pogrzebane obejście, ale wstrzymywał ją wstyd, gdy myślała o swym ubogim przyodziewku. Gdyby posiadała tę cudowną moc, o której mówił, na pewno mogłaby zdobyć nowe suknie

1 stroje.

Oczom przybyłych, którzy wynurzyli się z lasów Brodie i przeszli obok pięknego domu Dunbara na Grangehill, ukazał się niezwykły widok.

Ziemie, zaledwie wczoraj ozłoczone bujnym zbożem, pokryte pokosami, były teraz pustynią, obszarem oślepiająco białego piasku, który raził oczy. Wichura szalejąca nocą dawno ucichła, słońce na bezchmur-

nym niebie oświetlało zniszczenia i piaszczyste wydmy, w których noga zapadała się po kostkę. Nad białym pustkowiem wisiała jakby złotawa poświata; w jej blasku ziemia i poruszający się na niej ludzie wyglądali jak widma. A pracowali biedacy gorliwie, usiłując ocalić jak najwięcej mienia, odkopując zasypane domy, ratując konie i bydło. Sztorm wyrwał ich ze snu w samym środku nocy i zdążyli uratować tylko własne życie — uciekali na oślep, by wydostać się poza strefę straszliwego piaskowego cyklonu. Ludzie napływali ze wszystkich stron, by zobaczyć, co się stało i pomóc w miarę sił. Sir Robert Gordon przybył z Gordonstown w swoim słynnym starym powozie, tym samym, którym kiedyś przejechał podobno przez jezioro Spynie, ledwie zamrożone po jedno-nocnym mrozie, a z nim jego krewna, lady Mary Gordon i jej siostrzenica Jean, ta sama, która okazywała Isabel łaskawość w dawnych czasach, a teraz była zaręczona z młodym Hamiltonem, mimo wielkich przeszkód i trudności.

Sir Robert wspaniale się prezentował, biła cd niego siła i powaga. Miał szerokie czoło, bystre spojrzenie; nosił ciemną, starannie utrzymaną bródkę. Był niegdyś tajnym radcą króla Karola I; po egzekucji króla, a z nadejściem rządów Olivera Cromwella wycofał się do swojej wiejskiej siedziby Gordonstown. Rzucało się w oczy, że gdy tak stał pośród innych na granicy piachów, rozmawiając z Thomasem Kinnaird, dziedzicem Culben, ludzie stojący obok, mimo iż okazywali mu wielki szacunek, odsuwali się od niego, rzucając bojaźliwe spojrzenia. Rzeczywiście obawiano się sir Roberta Gordona, ale nikt nie ważył się wtrącać w jego sprawy; krążyły przedziwne opowieści o jego czarodziejskich zdolnościach. A w czasach gdy — jak wiadomo — diabeł bardziej niż kiedykolwiek przedtem nękał szkocki kościół prezbiteriański, zwykły rozsądek zalecał ostrożność. Jednak byli i tacy, którzy nie wahali się nazwać lorda Culbena i lorda Gordonstown naczyniami gniewu i zniszczenia. Ale te uwagi wymieniano szeptem jedynie w gronie zaufanych przyjaciół. Lady Mary, która stała u jego boku, była wyniosłą damą o postawie królowej, lecz jej siostrzenica Jean zdobywała serca wszystkich, którzy ją widzieli. Należała do rzadkiego typu kruchej piękności — miała miękkie ciemnobrązowe włosy, cerę jak płatki polnej róży i chabrowoniebieskie oczy.

Na jej wrażliwej twarzyczce widniało współczucie; podczas gdy ten niezwykle widok wyraźnie ją zainteresował, a jego malowniczość do głębi poruszyła jej wyobraźnię i zmysł artystyczny, serce jej się ścisnęło na myśl o biedakach, których ta straszna katastrofa pozbawiła dachu nad głową i całego ich ubożego mienia.

Pastor z Aulderne i dziedzic Park przeszli obok; dobiegły do niej strzępki rozmowy, przy czym słowo Lochloy często się powtarzało. Słyszała głos dziedzica:

— Zupełny dzikus, może mi pastor wierzyć! Rzucił się na mnie jak furia, chociaż chciałem tylko popatrzeć, jakich napraw trzeba by dokonać, żeby im ułatwić życie.

Więcej Jean nie dosłyszała.

Ale usłyszała słowo Lochloy. Zastanawiała się przez chwilę niepewnie, z czym kojarzy jej się ta nazwa. Przypomniała sobie, że tam właśnie przeprowadziła się po ślubie jej dawna przyjaciółka Isabel Goudie, z którą nieraz klęczały razem w małej katolickiej kapliczce. Od tej pory bolała po cichu, że Isabel przeszła na wiarę protestancką. Ale w owych dniach prześladowań tylko bardzo niewielu wytrzymało przy swojej religii. Przypomniała sobie również, że Lochloy nie mogło być stąd zbyt odległe. Z przyjemnością zobaczyłaby się znów z Isabel.

— Wuju — powiedziała do sir Roberta; zwracała się do niego tym czułym mianem, chociaż był tylko dalekim krewnym. — Czy nie byłoby zbyt daleko dla koni jechać do Lochloy?

— Lochloy, dziecko? To tereny Haya, zaraz po drugiej stronie Brodie. Cóż, to nie więcej niż trzy czy cztery mile szkockie. Moje konie jadą, gdzie im każę i basta. Chciałabyś tam pojechać? To ponure miejsce.

. — Nie, wuju, ale tam mieszka moja dawna przyjaciółka, która wyszła za farmera z okolicy, Isabel Goudie. Chętnie bym ją odwiedziła, jesteśmy tak blisko.

— Isabel Goudie! Oczywiście znam to nazwisko — powiedział sir Robert, który znał wszystkich okolicznych mieszkańców i nigdy nie zapomina! nazwisk. — Taka rudowłosa panienska, prawda? Wyrastała o głowę ponad otoczenie, powinna być jedną z nas. To taka osoba, która wyrasta na prawdziwą świętą albo zostaje wielką grzesznicą. Tak, pojedziemy do niej. Że też, do diabła, musiała wyjść za takiego

nieokrzesanego gbura! Istne zatracenie łaski Boskiej, jak mówi pastor. Zatem ciężka kareta, zaprzężona w cztery kare konie, ruszyła przez lasy Brodie, a, sir Robert zabawiał panie sarkastycznymi uwagami na temat lorda Brodie, gdyż w gruncie rzeczy niezbyt poważał tego szacownego senatora. Jako człowiek wszechstronnie wykształcony, niegdyś ozdoba pełnego galanterii i dowcipu dworu Stuartów, sławny ze swej wiedzy w połowie krajów Europy — niezbyt sobie cenił ograniczoną i pedantyczną pobożność stronnika i wielbiciela OHviera Cromwella i zbiór jego prawniczych powiedzonek.

Sąsiedzi, którzy dość się napatrzyli zasypanych pól Cul-ben, byli zaskoczeni widokiem wielkiej rodzinnej karety zaprzężonej w cztery smoliście czarne konie, która brnęła, kołysząc się, błotnistą, wyboistą drogą między jeziorem a polami uprawnymi Lochloy, a następnie zatrzymała się u drzwi niewielkiego domu folwarcznego, krytego strzechą. Zaraz też zaczęto szeptać i wydziwiać, a niektórzy czynili przejrzyste aluzje, jak to sir Robert Gordon zajął miejsce Haya z Lochloy i Park, podczas gdy dziwnym trafem Johna Gilberta nie było w domu. Ale plotkarze nieco przycichli, widząc dwie damy wysiadające z karety — mężczyzna, wyruszający na podbój żony sąsiada nie zabierałby raczej ze sobą swoich krewniaczek.

Lecz sir Robert i panie ani nie widzieli tych spojrzeń' i poszeptywań, ani o nie dbali. Ledwie wydostali się z wielkiego i niezgrabnego powozu, a już Jean i Isabel obejmowały się czule, mówiły obie naraz, wykrzykując słowa powitania i wypytyując się o nowiny — nim wreszcie Jean opamiętała się i przedstawiła swoją ciotkę i sir Roberta, Gordona; stali z boku, rozbawieni tą niewieścią wylewnością. Isabel uspokoiła się i powitała gości głębokim, uroczystym pokłonem. Sir Robert zdjął kapelusz w dwornym geście, jakby witał się z księżną.

— Proszę państwa do środka — powiedziała Isabel. — To ubogi dom, ale szczęśliwy, że może przyjąć gości mojej kochanej przyjaciółki.

— Daruj, pani — odrzekł baronet. — Nie patrzy się na oprawę, gdy klejnot tak piękny.

Sąsiedztwo Isabel jeszcze podkreślało delikatną i kruchą urodę Jean; już teraz jej wątłość, która miała się rozwinąć

w poważną chorobę, zaznaczała się jakby proroczym cieniem.

— Pozwolą państwo, że ich ugoszczę — mówiła Isabel. — Przybyliście z daleka, musicie być zdrożeni.

— Nie, nie, nie będziemy jedli — rzekł sir Robert. Jego instynktowna kurtuazja uświadomiła mu ubóstwo tego wiejskiego domku, a nieśmiałe wahanie Isabel kazało mu odgadnąć jej obawy co do zasobności spiżarni. — Wracamy na kolację do Gordonstown. Ufam, że innym razem będziemy mieć zaszczyt gościć panią, Isabel. Pewne sprawy mogłyby panią zainteresować.

Isabel przeprosiła baroneta i lady Mary i zaprowadziła przyjaciółkę do swojego małego pokoiku. Pokazała jej mały złoty krzyżyk i opowiedziała o swoim życiu, ponurym i pełnym zmartwień. Jednak słowem nie wspomniała o nieznanym. Z kolei Jean opowiedziała jej o własnych smutkach, o prześladowaniach, których doświadczali — ona i jej dzielny narzeczony, o słabym zdrowiu, które przysparzało jej tylu zmartwień oraz o beznadziejnej przyszłości, która czekała oboje. Później, czule objęte, wróciły do reszty towarzystwa.

Nim odjechali, sir Robert wstał z ławy przy kuchennym palenisku, gdzie spoczywał i zwrócił się do Isabel:

— Chciałbym prosić panią o pokazanie mi jeziora. Może słyszała pani, że bardzo interesuję się drenowaniem gruntów. Mam w majątku wielkie jezioro — nazywa się Spynie — właśnie to jezioro chciałbym drenować.

— Proszę za mną, sir Robercie, jeśli panie pozwolą — odrzekła Isabel. — Z tego wzgórza będzie je pan dobrze widział, to na wschód od nas.

— Robert nie da się odwieść od swych zamiarów — rzekła lady Mary. — Kiedy zacznie mówić o drenowaniu, nie istnieją dlań żadne inne tematy. Ale kiedy już skończysz, Robercie, musimy zaraz odjeżdżać, żeby nas noc nie zaskoczyła — uśmiechnęła się.

Kiedy wyszli z domu, sir Robert zwrócił się do swej towarzyszki:

— Przyprowadziłem tu panią, Isabel, nie po to, by rozmawiać o drenowaniu, bo chyba niezbyt dobrze zna się pani na tym, ale dlatego, że coś panią gnębi, a chciałbym pani pomóc, jeśli można.

— Och, panie — powiedziała drżącym głosem — jest pan zbyt dobry. Rzeczywiście, w moim życiu jest więcej zgryzot niż zadowolenia. Ale teraz bardziej martwię się o moją drogą Jean niż o

siebie. Jesteśmy tak bliskimi przyjaciółkami i serce mi się ściska... jest tak wątpa, a przecenia swoje siły. Musi znosić prześladowania za człowieka, którego kocha.

— Właśnie w tej sprawie mogłaby zrobić pani więcej niż ktokolwiek inny — powiedział łagodnie sir Robert. — Możliwość zaradzenia złu jest w zasięgu twojej ręki, jeśli tylko zdobędziesz się na odwagę. Możesz pomóc przyjaciółce i możesz zrobić wiele dla samej siebie. Z pewnością jest coś, czego pragniesz ponad wszystko inne!

— To prawda, sir Robercie, są ludzie, którzy źle się ze mną obeszli. Sam widzisz, panie, jak nędzny jest mój dom. Prawie niczym nie mogłam ugościć przyjaciół, którzy przyjechali mnie odwiedzić — zawołała w nagłym przyływie szczerości. Czwała, że mogłaby polegać na tym silnym, niezwykłym człowieku, który tak szczerze ofiarowywał jej pomoc. Milczeć przed nim byłoby niedorzecznością.

— Wszystko to możesz zrobić, jeśli tylko zechcesz, pani. Ale pamiętaj o jednym: strach to wielki błąd. Kiedy nadarzy się sposobność, musi być pani odważna i skorzystać z niej. Pamiętaj, pani, o jeszcze jednej rzeczy. Pastorzy mówią, że jeśli czegoś brak, trzeba pójść do kościoła i prosić o to. I to jest prawda, ale nie w sensie, o którym mówią. Żegnam panią! Może niedługo i mnie mogłaby się pani czymś przysłużyć. Pilnie potrzebuję sekretarza, ale nie znalazłem nikogo odpowiedniego. Chętnie widziałbym u siebie panią w tym charakterze, myślę, że byłaby mi pani bardzo pomocna.

Rozstali się wreszcie, wymieniając wiele komplementów i serdecznych słów pożegnania. Isabel została sama, w dziwnie podniosłym nastroju, myśląc o wydarzeniach minionego dnia.

Wypadki zdawały się pchać ją nieubłaganie w jednym kierunku. Nie był to już tylko przypadkowo spotkany nieznajomy na trakcie. Sir Robert Gordon, człowiek mądry i wykształcony, tajny radca, mówił prawie jakby wiedział coś o nieznajomym i nalegał, by nie zaprzepaściła tej okazji, chociaż nie był przy tym natarczywy. „Strach to wielki błąd”, mówił oraz „Sposobność jest w zasięgu pani ręki”. Czyż nie była taką właśnie sposobnością propozycja nie-

znajomego? I co ją wstrzymywało — czy uczciwość wobec siebie nie jest strachem?

Zarówno sir Robert, jak i nieznajomy byli uprzejmi i pełni względów. Nie obrazili jej jak ten nieokrzesany brutal, dziedzic Park. Sir Robert podziwiał jej urodę, ale w sposób, w jaki uprzejmy szlachcic zwróciłby się do damy swego stanu — z szacunkiem pełnym powagi. A'ta zagadkowa uwaga na temat kościoła? Dlaczego wszystko jakby zmówiło się, by ją zaprowadzić do kościoła, dokąd — szczerze mówiąc — wolałaby wcale nie chodzić. O północy przy kościele w Aulderne! To miało posmak tajemniczej, niesamowitej przygody. Czy będą się tam błąkać duchy w prześcieradłach?

Ciekawe, że sir Robert wspominał o kościele — ludzie mieli o nim inną opinię. Ale cóż ją obchodziły wiejskie plotki! A jeśli sir Robert naprawdę zawarł pakt z diabłem, jeśli zrobił z ognia jakiegoś stwora czy istotę, która była mu posłuszna — to tym lepiej. Był dżentelmenem, człowiekiem poważnym, zamożnym i o wielkiej wiedzy — o wiele lepszym od przeciętnego szlachcica. Każdy, kto zna się na subtelnej naturze ludzkiej, może z tego wywnioskować, że Isabel w głębi duszy — może tylko na wpół świadomie — pragnęła iść na umówione spotkanie z nieznajomym i szukała argumentów i usprawiedliwień.

Był jeszcze John Gilbert. Gdyby John wrócił tej nocy do domu, przygoda byłaby niemożliwa. Niemal pragnęła, by tak właśnie się stało — skończyłaby się wtedy jej wewnętrzna rozterka.

Ale gdy po zachodzie słońca zaczęła zapadać ciemność i za oknem rozległy się czyjeś kroki, pomyślała, że wrócił i odczuła wielkie rozczarowanie — przygoda, szansa całego jej życia, miała ostatecznie przepaść. Był to jednak tylko któryś z parobków, który szedł do chorych krów. Odetchnęła z ulgą. Gdy samotnie jadła kolację, zadała sobie odwieczne kobiece pytanie: w co ma się ubrać? Strój nieznajomego był czysty i bardzo staranny. Jej stara suknia z samodziału była zbyt uboga, zbyt zniszczona, a wczorajszy ubiór, który miała na sobie podczas spotkania z nieznajomym, prezentował się jeszcze gorzej. W starym kufrze, skąd przedtem wyjęła powiewną szatę, usiłując oczarować Johna Gilberta i przegrała tak sromotnie — znajdowały się jeszcze inne suknie, reliktydawnych dni, kiedy jako córka mecenasa nie mogła opędzić się od

wielbicieli. Stroje były jednak zbyt wymyślne, zupełnie nie pasowały do jej obecnego życia. Od tamtej pory nigdy ich nie wkładała, nawet nie oglądała. Nie lubiła tych pięknych strojów, skoro nie mogła ich nosić. Teraz znalazła suknię barwy łagodnej zieleni — dawny podarek Jean Gordon — z dyskretnym złotym haftem, kwefem i białym kapturkiem. Czy może ją włożyć, czy się odważy? Suknia była lekka i powiewna, miała głęboki dekolt zgodnie z ówczesną modą; była przeznaczona na wytworne wieczorowe przyjęcia.

Wyrzała przez okno. Noc była spokojna i ciepła. Zeszło-nocna burza oczyściła powietrze. Wkrótce wszędzie księżyc w pełni. O tej porze nie będzie nikogo na dworze. Zaryzykuje.

Miała wycucie czasu jak wieśniaczka — nie potrzebowała zegarka, by wiedzieć, która godzina. Kiedy tej nocy księżyc osiągnie wierzchołek uschłego świerku, stojącego po wschodniej stronie domu, będzie pół godziny przed północą. Wtedy wyjdzie z domu. Rozłożyła przed sobą zieloną suknię.

To kolor wróżek, mruzczała, przyglądając się jej z czułością. Czy jeszcze kiedyś będzie nosić takie suknie na co-dzień, znów przebywać w towarzystwie dobrze ułożonych mężczyzn i kobiet? Tak, oczywiście, jeśli wierzyć sir Robertowi.

Była teraz niespokojna i niecierpliwa. Krążyła po farmie, zajrzała do chorych krów, nasłuchiwała, czy czeladź już śpi. Uspokoiły ją odgłosy głośnego chrapania, dziewczyny od krów także mocno spały — cały folwark był jakby w mocy sennych czarów — ona jedna nie spała i wcale nie była senna. Serce jej zabiło, gdy usłyszała jakiś hałas od strony drogi. Może jednak wrócił Gilbert, tak późno w nocy?

Ale był to tylko jakiś zabłąkany koń, chyba cygański; skubał trawę przy drodze.

Nareszcie nad samotnym wrzosowiskiem ukazał się skrawek księżyca. Był to sygnał, ażeby wyruszyć.

Wróciła do domu, pośpiesznie, drżącymi rękami zrzuciła samodziałową suknię i stanęła w jasnym świetle księżyca w samej koszuli; wspaniałe włosy, płonące czerwienią, otaczały ją jak welon. Włożyła zieloną suknię — trzeba powiedzieć, że niewiele myślała o złotym krzyżyku. Włożyła kwef i kaptur, a swoje bujne włosy po prostu odrzuciła do

tyłu i związała zieloną wstążką. Zapomni o Johnie Gilbercie i nieszczęsnym małżeństwie — powróci do prostej mody swych dziewczęcych lat. Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego tak postąpiła — po prostu czuła, że tak musi się ubrać na tajemną schadzke.

Wyruszyła na południe, właśnie gdy krągły księżyc osiągnął szczyt świerku. Nareszcie uwolniła się od wszelkich wahań. Gorączkowo wyczekiwała ponownego spotkania z owym szarmanckim nieznajomym: uczuła dreszcz, gdy mijala to miejsce na drodze, gdzie stał podczas tamtej rozmowy. Cóż to za wspaniały mężczyzna. Inni byli przy nim jak blade cienie — a teraz znów miała go zobaczyć. Odczuła lekką obawę: a gdyby nie przyszedł, gdyby sobie z niej tylko żartował? Odrzuciła tę myśl jako zbyt okropną i przyśpieszyła kroku.

Kościół w Aulderne górował nad licznymi nagrobkami. Napięcie nerwów i wyczekiwanie sprawiło, że Isabel była gotowa na wszystko. Gdyby rzeczywiście ujrzała teraz blade kształty wielu pokoleń zmarłych, nie odczułaby strachu. Była jak odurzona. On, ten wspaniały mężczyzna, czekał na nią; zstąpił z wyżyn, by ją rozpoznać i wezwać. Przybył tutaj, a ona szła do niego.

W oknach kościoła migotało dziwne światło. Nie było to światło wieczornego nabożeństwa w ciemny wieczór zimowy, kiedy garstka ogarków tylko pogłębia ciemność, oświetlając jedynie pulpit kaznodziei. Wydawało się raczej, jakby kościół płonął. A więc on zapalił świece — na jej cześć. Czy będą tam jeszcze inni? Miała nadzieję, że tak, gdyż czuła teraz dawną nieśmiałość. Przyśpieszyła kroku w obawie, że się spóźni. Gdy przechodziła przez cmentarz, poczuła, że czyjeś ramię opasuje jej kibić. Podniosła oczy z na wpół uświadomioną nadzieją: czy to on? W następnej chwili rozpoznała Margaret Brodie.

— Witaj, moja kochana! Wiedziałam, że przyjdiesz, ale nie myślałam, że tak szybko.

— Doprawdy, sama tego nie wiedziałam — powiedziała Isabel, ciesząc się ze spotkania z przyjaciółką, jednak czuła ukłucie zazdrości. Czy Margaret także go znała? Czy znała blisko tego niezwyklego człowieka? Nie, przecież on znał na pewno bardzo wielu ludzi, ale ją, Isabel Goudie, obdarzył specjalnym zaszczytem.

— Wiem — powiedziała Margaret. — Sam Ciebie zaprosił. Och, dziewczyno, to rzadki zaszczyt. Wejdź do środka! On czeka na ciebie. Weszły do kościoła. Całe wnętrze kościoła było oświetlone ciepłym, czerwonym blaskiem, tak różnym od zwykłego tu przenikliwego chłodu. Byli tam licznie zgromadzeni ludzie, ale Isabel nie rozpoznawała twarzy, czuła tylko ich obecność. Przy pulpicie stał nieznajomy. Gdy stanęła w drzwiach, odszukał wzrokiem jej oczy, a ona patrzyła w niego tak, jakby byli sami w całym tym zgromadzeniu; prawie nie czuła ramienia Margaret, która ją podtrzymywała.

— Pani Isabel Goudie — powiedział, a jego głos był smutny i dźwięczny, jak głos wielkiego dzwonu. — Czy rozważyłaś pani, com ci mówił minionego wieczoru? Czy jesteś gotowa?

— Nie musiałam niczego rozważać — odpowiedziała. Nie prosiłam o chrzest, nie chciałam go. Teraz chętnie się go zrzeknę.

— Czy przyjdiesz więc do mnie? Czy poświęcisz mi się na zawsze — ciałem i duszą?

Niezwykłość tego mężczyzny przyciągała ją jak magnes. Przez całe jej ciało przebiegały jakby elektryczne drżenia; upadłaby, gdyby Margaret nie objęła jej w pól. Iść do niego, należeć do niego — to szczęście, o jakim marzyła. Była szalona, nieprzytomna. Straciła zdolność myślenia, nie wiedziała, gdzie była, ani jak się tam znalazła. Mogła tylko słabo wyszeptać:

— Tak, chcę tego.

— Zatem zechciej położyć jedną dłoń na podeszwie swojej stopy, a drugą na głowie i powtarzaj za mną...

Pochyliła się i uczyniła, jak kazał, mocno wsparta na podtrzymujących ją ramionach, podczas gdy on dyktował słowa przysięgi:

— Przysięgam na wysokości niebieskie i morskie głębiny, na wiew powietrza i chwałę ognia, iż wyrzekam się wszystkiego, co jest między mymi dwiema dłońmi i oddaję to tobie. Tak, na zawsze, duszą i ciałem będę należeć do ciebie, którego ludzie zwą diabłem.

— Którego ludzie zwą diabłem — powtórzyła mocnym głosem.

Wokół rozległy się oklaski i powinszowania, ale Isabel nie zwracała na to uwagi.

— Przeprowadź ją do mnie — powiedział nieznajomy, zamykając czarną księgę, którą trzymał przed sobą.

Wpół niesiona, wpół prowadzona przez Margaret, Isabel stanęła przed pulpitem.

Łagodnie położył dłoń na jej ramieniu i odsunął zieloną szatę, obnażając białe ciało. Grzbietem drugiej dłoni dotknął jej przedramienia. Uczuła ostre ukłucie, jakby przebił ją nóż. Jej miękka skóra spłynęła krwią.

Nieznajomy schylił się jakby w dwornym geście i wysał ustami ranę, aż krew przestała płynąć. Włożył do ust palec i tym palcem, uma-zanym jej krwią, zrobił na jej czole dziwny znak.

Powiedział:

— Wyrzekłaś się fałszywego chrztu. Teraz udzielam ci chrztu właściwego, we własnym imieniu. Zapomnimy teraz na zawsze twoje ziemskie imię. Odtąd przybierzesz imię Janet, którym wzywać cię będziemy podczas naszych zgromadzeń. Jesteś teraz jedną z nas. Jeśli pragniesz dowiedzieć się więcej, zdobyć wiedzę, potęgę i radość, którą mogę ci dać, przyjdź w miejsce, które ci wyznaczę.

— Przyjdę — wyszeptwała.

Przez niebo przetoczył się odgłos gromu i jakby otwarł wrota niebieskie — o ściany kościoła uderzyła fala deszczu. Zapadła ciemność. Blisko jej policzka głęboki melodyjny głos mówił:

— W zamku Inshoch, w następną niedzielę, podczas nabożeństwa.

Potem zapadła cisza.

— Jak się dostanę do domu w taką burzę? — spytała Isabel, sądząc, że Margaret jeszcze tam jest. Później myślała już tylko o tym, by przeczekać burzę. Siadła na ławce i przez chwilę zdawało jej się, że śni. Nagle otrzeźwiała na widok znajomego światła, wpadającego przez małe okienko jej pokoju.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale rzeczywiście leżała w swoim własnym łóżku, a świt właśnie się budził.

Rozdział IV

Schadzka z Szatanem

Znajome światełko tylko częściowo rozbudziło w niej niejasne wspomnienia minionej nocy. Odniosła wrażenie, że to wszystko działo się jakby na granicy jawy i bardzo żywego snu, a towarzyszyło temu obezwładniające uczucie trwogi i obawy, z którego na wpół rozbudzony umysł nie mógł się otrząsnąć. Myśli snuły się automatycznie, nie była w stanie nad nimi zapanować.

Wspomnienia powracały w seriach przerażających obrazów.

— Co ja zrobiłam? O Boże, co ja zrobiłam — mówiła do siebie, a potem znów:

— To był tylko sen. Ale dlaczego mi się to śniło? Później, gdy wspomnienia nabrały ostrości:

— O Boże, na wieki oddałam się diabłu. Będę płonąć w piekle na wieki wieków. Co począć? Jak temu zaradzić?

Następnie przekonanie, że to był tylko sen. Pamiętała siłę ulewy i odgłosy burzy. Jak mogła dotrzeć do domu? Gdyby zdarzyło się to naprawdę, musiałyby przemoknąć do suchej nitki, a przecież nie pamiętała momentu, gdy wychodziła w deszcz; nie była ani trochę mokra czy zabłocona. Oto jej zielona suknia, którą założyła wczoraj z taką dumą i radością. Czy w ogóle miała ją na sobie? Na pewno nie w deszcz ani burzę. Suknia wisiała na wieszaku również świeża jak wtedy, gdy wyjmowała ją z kufra. Jej oczom, zmaconym snem, suknia wydała się jakimś fantastycznym obrazem własnej osoby, jakby patrzyła na siebie samą stojącą u drzwi. Potem obraz zakołysał się i zbladł. Błysnęła jej przytomność na krótką chwilę, potem napłynęła ciepła, leniwa fala, jej rozluźnione ciało stało się ciężkie i znów zasnęła.

Gdy obudziła się w godzinę później, był już biały dzień. Znikły nocne upiory, znikły strachy i obawy. Czuła niezwykłą jasność wszystkich zmysłów, a także pewność siebie, która była jej zupełnie obca od czasu zameścia. Nie była już tą myszką w pułapce, jak opisała siebie przed nieznajomym;

była raczej złocistym orłem, swobodnie szybującym w przestworzach. Może mieć, o czym tylko zamarzy, może się zdarzyć to, co ona nakaze siłą swojej woli.

O wydarzeniach minione.; nocy myślała spokojnie i bez emocji.

Oczywiście musiała być burza, gdyż wszędzie stały kałuże, których przedtem nie by Jo. Równie pewne było to, że nie wychodziła na deszcz w zielonej sukni - nie było na niej śladu błota ani wilgoci, chociaż poddała ją drobiazgowym oględzinom. Zatem wspomnienie o nieznanym i wizyta sir Roberta zrodziły sen, w Który wplotły się odgłosy burzy, czyniąc go bardzo realistycznym. Czytała o takiej teorii snów. Poczula lekki ból poniżej ramienia. Pobieгла do małego, niewyraźnego lusterka: na ramieniu, tuż nad wzgórkiem białej piersi widniała wyraźna, ciemna blizna, otoczona różową aureolą, na czole — plama krwi. Przyjrzała się jej bliżej — było to coś więcej niż plama krwi, jakby znak. Odwrócona podkova? Dwa rogi. Udało jej się zmyć plamę, ale była wytracona z równowagi. Zatem wydarzenie rzeczywiście miało miejsce, mimo że zielona suknia temu przeczyła. Isabel była w kościele i została napiętnowana. W jakiej więc poszła sukni? Przecież nic w zielonej, a żadna inna nie była mokra. Przyszło jej na myśli inne rozwiązanie; być może jakoś zraniła się w czasie snu, może wstała wciąż śpiąc i podrapała się o jakiś gwóźdź. To by wszystko wyjaśniało.

Potem przypomniała sobie, że nieznanomy wyznaczył jej schadzkę w zamku Inshoch w następną niedzielę podczas nabożeństwa. Będzie musiała jakoś się wymówić wobec męża, chociaż John Gilbert zdecydowanie nakazał jej, by mu zawsze towarzyszyła na nabożeństwach. Mogłaby . wstać, a potem udać omdlenie; zrobi to albo coś podobnego, byle się go pozbyć z domu. Czula teraz, że może bez trudu tak postąpić i że pójdzie na spotkanie z nieznanym. Pragnęła tego spotkania każdą kroplą swojej krwi. Niech będzie co ma być — ona musi się z nim zobaczyć. Wciąż drżała na wspomnienie tego ostatniego szeptu, gdy wyznaczał jej schadzkę. Ale straszna obawa podeszła jej do gardła — jeśli to także jej się śniło, jak wszystko inne?

Nie. Wbrew wszelkim świadectwom, to musi być prawda. Raczej niech te wszystkie sny będą prawdą, byle schadzka się odbyła. Nie dbała o to, czy był człowiekiem, czy diabłem; tęskniła za nim gorączkowo.

Zapra gnęła teraz zobaczyć się z sir Robertem Gordonem. Ten mądry człowiek mógłby rozwikłać wszystkie jej wątpliwości, wszystko wyjaśnić. Ale oczywiście nie było to możliwe — był oddalony o dobre piętnaście czy dwadzieścia mil szkockich. Nie miała żadnego sposobu, by się tam dostać, chociaż sir Robert tak mile ją do siebie zapraszał. Pomyślała o Margaret Brodie. Margaret będzie wiedziała, czy był to sen czy jawa. Ona pierwsza powiedziała Isabel o spotkaniu w kościele, ona pierwsza ją tam powitała. Zanosilo się na to, że wszystkie te szalone sprawy nie były jej obce. Czuła ramię Margaret obejmujące ją podczas tamtego przedziwnego wydarzenia. A co ważniejsze, Margaret będzie coś wiedziała o nieznanym, mogłaby powiedzieć Isabel, gdzie ów mężczyzna przebywa, o ile w ogóle gdzieś przebywał. Ale — i tu zawistna natura dała znać o sobie — Isabel nawet nie wspomni Margaret o schadzce w Inshoch. Ta sprawa, jeśli oczywiście nie była tylko snem, dotyczyła tylko Isabel i nieznanego; Isabel nie mogłaby się z nikim podzielić swoimi oczekiwaniami, radością i słodyczą, którą sobie obiecywała po tej schadzce.

Zniszczona suknia z brunatnego samodziału była dostatecznie dobra na tę wyprawę, Margaret już ją znała. Ale najpierw zajrzy do obory, zobaczy, co z chorymi krowami. Wszyscy parobcy już wyszli. Nikt nie widział, jak wchodziła. Nad przegrodami i nad głowami dwóch niedomagających krów wisiała niezdrowa, żółtawa mgiełka — wydawała się zatruta. Przez mgłę niewyraźnie majaczyła jakaś złośliwa twarz — raczej się ją wyobrażało, niż widziało.

— Ktoś ty? — zapytała podniesionym tonem, zaskoczona. — Nic tu po tobie! Już cię tu nie ma — zabieraj się do diabła!

Było to potoczne wyrażenie, używane w tamtych czasach, a także późniejszych — użyła go bez zastanowienia. Natychmiast, jakby dmuchnął na nią wiatr, żółtawa mgła zwinęła się, zakreśliła, zawahała przez chwilę i znikła. Isabel podeszła do krów i lekko położyła dłoń na czole bliżej stojącego zwierzęcia.

— Biedna Białonóżka! Już ci chyba lepiej.

Jakoś od razu wiedziała, że krowy zostały uleczone. Wiedziała, że potrafi leczyć chore zwierzęta. Nie zaprzętała sobie głowy pytaniem, jak to było możliwe — sprawa wy-

dawała się zupełnie normalna. To było jak możność poruszania się lub mówienia. Wręcz dziwne byłoby, gdyby tego nie potrafiła uczynić!

* * *

W drzwiach chatki stała Margaret Brodie i patrzyła na nią życzliwie i przyjaźnie.

— Wiedziałam, że przyjdiesz, moja miła — powiedziała. — Inaczej sama bym przyszła porozmawiać z tobą, kiedy nie ma nikogo w domu. Chyba nie byłoby dla ciebie dobrze, gdyby widziano nas razem. Ludzie różnie mówią o mojej matce. Do mnie nic nie mają, a może by mieli, gdyby wszystko wiedzieli. Ale nazywają mnie córką czarownicy i chyba się mnie boją. Wiedziałam, że spotkam cię w kościele, ale nie przypuszczałam, że nastąpi to tak szybko. Wejź do środka i opowiadaj. Pomyśleć tylko, że sam cię odszukał. A większość ludzi musi długo czekać, prosić i błagać, dokonywać przeróżnych zabiegów, a nawet i wtedy może nigdy go nie spotkają.

— Więc go znasz, Margaret?

— Pana Ciemności? Tak go nazywamy. Tak, kochanie, znam go dobrze. Przecież to ja przyprowadziłam cię do niego do kościoła.

— Kim on jest, Margaret? Czym się zajmuje? Czy to był sen czy jawa? Wszystko było jak prawdziwe; zaprowadziłaś mnie do niego, jak sama mówisz. Ale jak wróciłam do domu w taką burzę i nawet kropla na mnie nie spadła?

— To całkiem łatwe. Spójrz na mnie.

Isabel obejrzała się dookoła, ale Margaret nigdzie nie było. W górze, gdzieś nad dachem, usłyszała śmiech. Spojrzała zdumiona, a w tej chwili Margaret wyszła zza węgła domu.

— Co to? Jak to? — Isabel ledwie mogła wykrztusić parę słów. — Więc jesteś...

— Czarownicą, tak, kochanie. Tak by u mnie mówili, gdyby wiedzieli. Ale nie wiedza i nigdy się nie dowiedzą. On dba o swoich przyjaciół. Pytasz mnie, kim on jest, a ja sama niewiele wiem. Czasem myślę, że to człowiek, tylko wspanialszy i silniejszy od wszystkich, których kiedykolwiek znałam. Czasami może przybierać inne postacie, albo tak: to przynajmniej wygląda. Mowi, że jest tym, kogo ludzie

zwą diabłem. Moja matka mówi, że diabeł jest czarny, straszny, że biją od niego płomienie, że ma rogi. Nikt nie mógłby go dotknąć, bo jest gorący jak ogień. Pan Ciemności nie jest taki. I jest bardzo dobry dla swoich przyjaciół.

— Ale powiedz mi, czy to prawda, czy to wszystko nam się śni? — Isabel myślała o pewnym romansie, który czytała dawno temu; wiedziała coś o potędze wyobraźni. — Często nad tym myślałam — powiedziała Margaret po chwili zastanowienia. — Czasami robimy dziwne rzeczy. Znasz Maggie Wilson z Aulderne. Ona musi uważać na swojego męża, ale przychodzi, kiedy urządzamy nasze zloty. Kładzie do łóżka miotłę i mąż myśli, że to ona. Nigdy się nie spostrzegł, że jej nie ma. Ale nikt nie wie, czy to Maggie jest w domu, czy też Maggie jest razem z nami, czy też owej nocy są dwie kobiety. Ona też nie wie. Zaklina się, że jest z nami, a jej stary mówi, że Maggie siedzi w domu. Wiesz, myślałam, że podobnie może być z Panem Ciemności. Może po prostu jest człowiekiem, który zdobył wielką wiedzę i przekonał nas, że jest diabłem, tak jak Maggie wmówiła mężowi, że miotła to ona. Albo rzeczywiście jest diabłem, a czasem wmawia nam, że jest człowiekiem. A może wcale go nie ma, a my sądzimy, że jest. Ale, kochanie, rozmyślenia do niczego dobrego nie prowadzą. Życie jest piękne, a my żyjemy jak królowie. Dopóki on nam pomaga, robimy, co chcemy i nikt w okolicy o tym nie wie. Trzymajmy więc języki za zębami, żeby nas nie spalili kiedyś na stosie, i radujmy się póki czas. — Ale robicie niezwykle rzeczy, jak mówisz. Jak to robicie? — zawołała Isabel z żywym zainteresowaniem. — Czy i ja mogłabym robić to, co wy? — Szybko się wszystkiego nauczysz, nie ma obawy. Ty, dziewczyno, jesteś jego faworytą. Nigdy nie słyszałam, żeby Mistrzowi ktoś tak szybko przypadł do serca. On cię nauczy. Są różne zaklęcia, słowa, które trzeba wypowiedzieć. Ale wątpię, by słowa miały jakieś znaczenie, jeśli on nie przyda, im mocy. To znaczy — ktoś wypowie takie słowa, ale nic się nie zdarzy. Muszą być zawsze rymowane. W rymach jest coś dziwnego. Już tego próbowałam: te same słowa tracą moc, jeśli się opuści rym.

— Wiesz, od wczoraj coś się we mnie zmieniło. Wydaje mi się, że rozumiem rzeczy, których kiedyś nie rozumiałam i że mogę zrobić, cokolwiek zechcę.

Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, na ile może zaufać Margaret, a potem opowiedziała jej o chorych krowach i o tym, jak je uzdrowiła.
— To dziwne — powiedziała Margaret. — Ktoś rzucił na nie urok. Ale kto? Tak sobie myślę, że mogła to być jedna ze sztuczek mojej matki. Robi czasem takie rzeczy. Teraz zupełnie straciła rozum. Hej, matko, słuchaj no! — zawołała głośno i dobitnie. Belzebub cię woła... Wyłaż, stara diablico!

— Jak ty się zwracasz do matki? - powiedziała Isabel. — Nie boisz się jej? Przecież jest także czarownicą.

— Czy się jej boję? Na pewno nie. Siedzi nastroszona w tej swojej jaskini i tylko myśli, jak by komu zaszkodzić. Nie czuje już nic oprócz nienawiści. Tak, te cygańskie wiedźmy potrafią napędzić człowiekowi strachu, ale nie mają wielkiej mocy. Tylko parę sztuczek, dziedziczonych z pokolenia na pokolenie. Ona nie ma z nami nic wspólnego. Zdaje się, że kochała dziedzica, mojego ojca, zanim ją porzucił dla młodsiutkiej żony. Wtedy go znienawidziła. Wiem, że kiedyś próbowała go otruć. Znenawidziła jego żonę i do tej pory jej nienawidzi. Jak wiesz, tamta kobieta wyszła za szeryfa Dunbara po śmierci mojego ojca. Więc ona teraz nienawidzi szeryfa wraz z całą rodziną. Mnie też nienawidzi, gdyż dziedzic był moim ojcem. Ale nie może zrobić mi nic złego, gdyż Pan Ciemności jest o wiele potężniejszy od niej. Nie ma ludzi, których by nie nienawidziła. Nienawiść jest po prostu jej życiem. Jak wiesz, mieszkamy na gruntach Moraya. Gdyby ziemia należała do Brodie, na pewno dawno by nas przepędzili. Hej, matko, słyszysz mnie czy nie, ty stary rupieciu?! Z alkowy dobiegł dźwięk kroków i skrzyp krzesła. Powoli uchyliły się drzwi i do pokoju wleciał kruk. Krążył przez chwilę nad ich głowami, nim usiadł w kąciaku koło paleniska. Zza drzwi wyjrzała odrażająca twarz starej kobiety: jej bystre oczy, płonące jak węgle, błyszczały zapiekłą złością. — Kto woła? — wymamrotała przez bezzębne dziąsła. — Czego ode mnie chcesz, łotrzyco? Czemu mnie niepokoisz?

— Słuchaj, stara wiedźmo, czy to ty rzuciłaś urok na krowy Johna Gilberta?

— Patrzajcie go, John Gilbert! A dlaczego nazwał mnie starą czarownicą i poszczuł psami? Jeszcze mnie popamięta.

Następnym razem to nie będą krowy. Oduczę go obrażać lepszych od siebie. Przecież poślubiłam dziedzica Brodie według prawdziwego cygańskiego prawa. Przekleństwo na niewiernego Georgio! Przeciemy razem skakali przez ślubną miotłę *. Niech szeszna wszyscy!

— Zamilcz, stara diablico! Teraz posłuchaj, co ci powiem. Nie tkniesz Johna Gilberta ani jego rodziny, ani żadnej jego rzeczy. Zabraniam ci, słyszysz? Dobrze mnie znasz i wiesz, że nie mówię na wiatr.

— Bądź przeklęta, córko złej rasy! Tak się sprzeciwiać starej matce. Zrobisz, jak zechcesz. Chodź, Nickum!

Kruk zerwał się, okrążył pokój ciężkim lotem i siadł na ramieniu staruchy, a ta wycofała się do swojej jaskini, rzucając dokoła spojrzenia pełne nienawiści.

Dziwna rzecz, ale Isabel zupełnie się nie bała przerażającej staruchy. Czowała tylko odrazę i na wpół uświadomioną tęsknotę za nieznanym, którego Margaret nazwała Panem Ciemności. Wystarczyłoby, by ją objął, a nie cofnęłaby się przed niczym.

Jakby wtórując jej myślom, Margaret powiedziała:

— Tak, zaufaj mu, dziewczyno. On nie pozwoli, by stała ci się jakaś krzywda. Gdyby był człowiekiem, powiedziałabym, że się w tobie zakochał. Ręczę ci, że zgodziłby się na krzywdę każdego z nas, bylebyś ty nie ucierpiała. Kimkolwiek jest, możesz być pewna, że jest silny. Jeśli ktoś cię skrzywdzi, możesz mu odpłacić tą samą monetą. Biada temu, kto skrzywdzi kogoś z naszej Gromady, zwłaszcza gdyby skrzywdził ciebie. Isabel pomyślała natychmiast o dziedzicu Park, ale milczała.

— Powiedz mi jedno — zwróciła się do Margaret. — Czy można pomóc komuś, kogo się kocha? — myślała o Jean Gordon.

— Tego nie wiem. Możemy złamać zły czar, rzucony przez jakąś czarownicę niższej rangi; na przykład, kiedy moja matka rzuciła urok na wasze krowy — albo kiedy taka czarownica sprowadzi na kogoś chorobę. Możemy uczynić bardzo wiele dla siebie samych. Ale nie wiem nic ponadto. Widzisz, sama nie mam nikogo, kogo bym kochała. Nikt nie
*** W dawnych czasach wystarczyło, by dwoje kochających się ludzi przeskoczyło przez miotłę z mietlicy stojącą w progu domu, by stali się małżeństwem (przyp. redakcyjny).**

był dla mnie szczególnie dobry, zanim spotkałam Pana Ciemności. O nie, on nigdy nie próbował się spotkać ze mną. Ale wszyscy w naszej Gromadzie są dla mnie dobrzy. Posłuchaj mnie, dziewczyno. Twój mąż wróci dziś wieczorem i przekonasz się, że się zmienił. Nie bój się go. Na te słowa Isabel ogarnęło przerażenie. Gilbert wraca dziś wieczorem. W niedzielę ona ma się spotkać z nieznanym w twierdzy Inshoch, a przecież John każe jej iść do kościoła. Nie mogła powiedzieć o tym Margaret, to była tajemnica jej i nieznanego. Jakże pragnęła tam pójść. Nie, nie przepuści takiej okazji, cokolwiek by się miało zdarzyć. Margaret mówiła: „Zakochał się w tobie”, a więc wiedziała o Panu Ciemności. To było więcej, niż mogła sobie wymarzyć. Kim była, by dostąpić takiego zaszczytu? Nie, nie ulęknie się Johna.

Miała wewnętrzną pewność, że teraz da sobie radę ze wszystkim. Jeśli Pan Ciemności chciał się z nią zobaczyć w twierdzy Inshoch, to już ona tak wszystko urządzi, że się tam spotkają.

Gdy szła do domu, była szczęśliwsza i spokojniejsza, chociaż trapiły ją wątpliwości, a Margaret Brodie chyba niewiele więcej od niej wiedziała. „Może jest tylko zwykłym człowiekiem” — mówiła, a Isabel nie potrafiła ukryć przed sobą samą, jak bardzo pragnęła, by był zwykłym człowiekiem, mężczyzną jak inni.

„Gdyby był człowiekiem, powiedziałabym, że się w tobie zakochał”. Serce jej biło jak oszalałe, ziemia zdawała się śpiewać. Coś miało jej się zdarzyć, coś, czego nigdy nie zaznała, o czym nigdy nie marzyła.

Zachwył i rozkosz, których nie potrafiła sobie wyobrazić.

Czar tego marzenia trwał cały dzień; wieczorem przyjechał Gilbert. W pewnej mierze był to odmieniony Gilbert, jak zapowiadała Margaret Brodie. Ponury i zawzięty, jak zawsze. Zanedbany, zarośnięty i brudny, jak zawsze. Ale nie próbował jej zastraszyć, nie był grubiański. Patrzył na nią z nowym szacunkiem, niemalże z lękiem. Tak wieśniak mógłby patrzeć na jaśnie panią, która przyszła w odwiedzinach lub w poszukiwaniu schronienia. Wydawało się, że zachowuje się tak dziwnie wbrew swojej woli. Przeprosił ją, że tak długo nie było go w domu i nie uprzedził jej, kiedy wróci i prawie onieśmielony wymknął się do obory.

Isabel ogarnęło zupełnie nowe uczucie — poczucie pew-

ności siebie, tak długo jej obce. Nie była już częścią dobytku starego zawziętego wieśniaka, nie była biedną myszką w pułapce. Rysowała się przed nią inna przyszłość niż tylko czekanie na starość, aż wreszcie — z samego znużenia — osunie się w mogiłę na cmentarzu w Aulderne. Była panią siebie, czekało ją życie i radość, możność czynienia i odczyniania: mogła pomagać tym, którzy byli dla niej dobrzy, a mścić zniewagi i krzywdy. Wszystko to stało się możliwe od czasu spotkania z nieznanym i niesamowitego doznania w kościele w Aulderne. Tylko dwie doby! Ten człowiek musi posiadać niezwykłą moc. Czy był człowiekiem? Tak bardzo pragnęła, by był „po prostu człowiekiem”, że nie chciała myśleć o niczym innym.

Człowiek, mężczyzna i kochanek. W tej postaci mogłaby mu sprostać; nie wątpiła w swoje siły w tym względzie. Potrafił dokonywać niezwykłych czynów — i powinien to robić dla niej.

Wyobraziła sobie, jak go drażni, prowokuje, podnieca, złości, przymila się uśmiechem i słodkim słowem — aż stanie się jej niewolnikiem i będzie robił, czego ona zapragnie.

Tej nocy kładła się spać zmęczona, ale pełna uniesienia. Miała już poczucie władzy tak utęsknionej; widziała siebie u boku Pana Ciemności. Będą parą władców sekretnie królujących nad okolicą, kierujących losami ludzi według własnego widzimisie. Wreszcie spełniają się jej marzenia. Nadchodzi życie pełne miłości, uciechy, władzy — życie, które warto będzie przeżyć, po tylu latach nużącego oczekiwania.

Uczyni go królem świata, ale ona będzie królową; on powinien być jej posłusznym wasalem. Tak snuła się nić jej marzeń.

Gilbert leżał na skrzyni obok kuchennego paleniska. Wydawało się, że nie śmie się do niej zbliżyć, a ona nie próbowała go ośmielić. Marzyła o zamku Inshoch. Następnego dnia zawitała Janet Broadhead, jak zwykle przynosząc mnóstwo nowin i plotek.

— Czy słyszałaś, Isabel, co ten podles, Hay z Park, mówił o tobie?

— Nie, ale jestem pewna, że nic dobrego. Cóż więc mówił?

— Wszędzie rozpowiada, że bezwstydnie się do niego zalecasz, że chciałaś, żeby przyszedł na folwark, kiedy wyjechał twój mąż, że chciałaś go odwiedzić we dworze Park i że kazał ci przestać, bo to wstyd, a ty go spoliczkowałaś.

A kiedy myślał o naprawie twojego domu, rzuciłaś się na niego jak zdziczała kocica i mówiłaś, że jego chcesz, a nie jego pieniędzy. Ale cię odmalował!

— Zwierzę! — syknęła Isabel. — Ale to nic, już ja się z nim policzę. Pomyślała z sercem przepelnionym dumą, jak opowie Panu Ciemności o nikczemności Haya z Park, a on weźmie ją w obronę i wyrzuci na tamtym zemstę.

— Pomogę ci — powiedziała Janet — ja także mam z nim na pieńku. Kiedyś przyszedł do mnie do Belmageith w tym samym celu. Uważasz, ja też mogę zrobić to i owo. Mój mąż, John Taylor z Belmageith — znasz go — on mnie nauczył. Ale wiem, że ty teraz potrafisz zrobić więcej, bo jesteś ulubienicą Pana Ciemności. Ze mną liczy się tylko dlatego, że mąż mnie do niego zaprowadził i tyle.

Isabel drgnęła; nie spodziewała się usłyszeć, że Janet także należała do Gromady Pana Ciemności. Janet mówiła dalej:

— Najpewniej ty będziesz teraz naszą królową. Pomogę ci z radością, tak jak i mój mąż. Wiemy, co to znaczy mieć dobrego pana.

Coś — nie była pewna co — wstrzymało Isabel przed wypytywaniem Janet o nieznanego. Najwyraźniej Janet nie uważała go za człowieka, a Isabel tak pragnęła, by był mężczyzną, kochankiem, że wolała nie słyszeć czegoś przeciwnego. Poza tym rozmowa na jego temat, nawet z kimś z jego grona, wydawała się jej teraz oznaką braku lojalności. To tak, jakby omawiała z kimś charakter króla. Była królową i nie chciała mówić o nim z ludźmi niższego stanu.

Czas mijał, a jej namiętne pragnienie, by był „po prostu mężczyzną”, zaczęło przechodzić w równie silne zwątpienie.

Powiedzmy, że rzeczywiście był tą wielką istotą zwaną diabłem, jak jej mówił w kościele w Aulderne. Nie mógłby zatem być jej kochankiem jak mężczyzna, a ona nie mogłaby nad nim zapanować ani korzystać z jego władzy. Przeciwnie, to on będzie jej panem, wykorzysta ją do swych celów, zrobi z nią, co zechce. Isabel nie będzie już panią siebie.

Oto nowe pytanie: Jeśli pójdzie do zamku Inshoch tylko po to, by stracić niezależność, popaść w niewolę? Zamienić jedną niewolę na drugą? Johna Gilberta na Pana Ciemności? W jednej szalonej chwili powiedziała sobie — ***Tak, po stokroć tak! Być słomianką pod jego stopami,***

niech mnie depcze i poniewiera, niech mnie zabije, jeśli taka jego wola. Nie pragnę niczego innego tylko zatracić się w nim.

Gdy już się upskoiloła i opamiętała, pomyślała: — *Nie, nie pójdę. Jeśli jest tak potężny, jak twierdzi i jak mówią inni, to sam przyjdzie i odnajdzie mnie. Nie pójdę! Zobaczymy, czy przyjdzie.*

Ledwie tak postanowiła, a już tego pożałowała. A jeśli zmarnowałyaby jedyną szansę swojego życia?

Sir Gordon mówił, że strach to wada. Zachęcał ją do odwagi, do skorzystania z szansy, gdy się nadarzy. Poza tym obiecała, że przyjdzie. Cóż jej groziło? Wkrótce się przekona, czy jest człowiekiem. Jeśli tak, to na pewno sobie z nim poradzi — tego była pewna.

A jeśli nie jest człowiekiem, cóż, wtedy się zastanowi, co dalej. Jeśli wyrzekła się chrztu kościelnego, równie dobrze może się wyrzec tamtego obrządku o północy. Nie mógł temu zapobiec. Tak czy owak, pójście tam było rzeczą rozsądną. Nikt nie umiałby powiedzieć, w jakim stopniu szalona, na wpół uświadomiona chęć ujżenia nieznanego, gwałtowna tęsknota za nim — wpłynęła na jej rozważania. Sama nie zdawała sobie z tego sprawy, odczuwała jedynie głębokie zadowolenie, gdy podjęła ostateczną decyzję. Niedzielny ranek był jasny i pogodny. W jesiennym słońcu wody zatoki mieniły się srebrem i błękitem; zachodni kraniec starej mierzei wydawał się dziwnie nagi bez wielkich gór piasku, które zasypały farmę Culben. Isabel marudziła przy ubieraniu. Zanim wstała, zjadła praśnego chleba i popiła kubkiem mleka; starała się jakoś zabić czas. Wciąż myślała, co powie Johnowi Gilbertowi, kiedy zawoła ją do kościoła. Słyszała, jak chodzi po kuchni, potem człapie do drzwi i zamyka je za sobą. Usłyszała jego ciężkie kroki na drodze i ukradkiem wyjrzała przez żaluzję. Tak, było jasne, że poszedł do kościoła sam. Miał na sobie czarny, mocno zrudziały płaszcz, niósł wielką Biblię, na której umieścił jak zwykle czystą chusteczkę i gałązkę bylicy, w zgodzie z ustanowionym przez siebie rytuałem. Isabel szybko oddychała, pełna niecierpliwości i obawy. Czy niepotrzebnie przygotowała swoją wymyślną historyjkę, czy wszystkie wybiegi były zbędne? Na to się zanosilo. Była tak wzburzona, że ledwie mogła zasznurować stanik sukni. Suknia była zielona, z odciętym stanem, przetykana złotem, do tego czarny kaptur obszyty koronką. Znalazła ją w sta-

rym kufrze. Nawet nie wiedziała, że ją ma. Wydawała się szczególnie stosowna na tę okazję; Isabel musi się jak najlepiej zaprezentować Panu Ciemności.

Gdy wychodziła z domu, nie było wokół żywej duszy — parobcy i dziewczki poszli na nabożeństwo. Pomyślała ze strachem, jak ukryje ten pyszny strój, wracając na folwark — wszyscy będą w domu albo w drodze do domu. Czy wymyśli jakąś wymówkę, by wrócić dopiero po zapadnięciu ciemności, gdy wszyscy zasną? Czy może powinna wrócić chyłkiem już teraz, wziąć starą samodziałową suknię, ukryć ją gdzieś w lesie i przebrać się w nią po powrocie od Pana Ciemności? Nie, musi zdać się na los. Nie zmarnuje nawet pięciu minut, które mogłaby z nim spędzić.

Spieszyła na południe w stronę Inshoch, aż stanęła przed ruinami starego zamku. Znała te stare ruiny prawie jak własne obejście. Często tu siadywała, marząc o dawnych czasach, o rycerzach i damach, którzy być może tu mieszkali. Żadnemu z nich nie trafiła się taka romantyczna przygoda. Ale dziś wszystko wydało jej się dziwnie obce — wydawało się niemal, że zamek jest zamieszkały, mimo że ruiny były takie same jak przedtem. U bramy stał nieznajomy z obnażoną głową — zgiął się z szacunkiem w powitalnym ukłonie.

— Przyszła pani — powiedział. — Dziękuję. Była pani tak łaskawa, że zaufała ubogiemu uczoneму, nie znanemu sobie. Doprawdy żałuję, że nie mam tu lepszego domu, w którym mógłbym panią powitać.

— Spotkałabym się z panem wszędzie. Był pan dla mnie tak niezwykle dobry — odpowiedziała bez zastanowienia i jakby wbrew woli.

— Jeszcze raz dziękuję. Udowodnię moją wdzięczność. Słyszałem — nieważne od kogo — że pewien człowiek odważył się mówić o pani bez szacunku, a sam nie jest godzien wiązać sznurowadła u twych trzewików, pani. Jak już mówiłem, dzięki studiom zdobyłem moc czynienia pewnych rzeczy. Oddam tego człowieka w twoje ręce, a ty, pani, uczynisz z nim, co zechcesz.

— Ale proszę mi powiedzieć... Mówi pan takie rzeczy... Czy jest pan rzeczywiście człowiekiem, na jakiego wygląda, czy może czymś innym?

— Ależ tak, moja słodka. Jestem prawdziwym człowiekiem, mężczyzną

— i będę cię kochał, bo doprawdy nie

znalazłem niewiasty bardziej godnej miłości. Nie wierzysz mi?

Objął ją w pól i łagodnie pociągnął w stronę dziedzińca.

— Wierzę panu. Jesteś tak silny, tak potężny. Prawie zbyt wielki jak na człowieka.

— Nie za duży, by być twoim pokornym sługą. Cała wielkość, jaką najwięksi spośród nas, mężczyzn, zdołają osiągnąć, jest niczym w porównaniu z czarem pięknej kobiety. A ty jesteś piękna, moje kochanie. Jeśli jestem silny, to po to, by zapewnić odpowiednią oprawę takiemu pysznemu klejnotowi.

Pociągnął ją na miękkie łożo złocistych paproci w kącie dziedzińca.

— Wciąż jesteś onieśmielona, moja miła! Jeszcze bardziej cię za to kocham. Spójrz, jestem tylko mężczyzną i chylę przed tobą czoła. Jesteś moją królową! Pozwól się wielbić!

Lewą ręką zsunął kaptur z jej głowy i gładził bujne włosy, gdy uwolnione ze wstążki, którą znów zawiązała, spłynęły pyszną falą na jej zieloną suknię. Łagodnie uniósł jej twarz i patrzył w wielkie, ciemne oczy.

Spojrzała w jego oczy, jasne i przenikliwe, i wydało się jej, że opuszcza ją cała wola, a z nią pamięć i świadomość wszystkiego, co nie było nim albo nią. Przeszłość i przyszłość nie istniały; nawet zamek zniknął.

Byli w jakiejś ogromnej komnacie pełnej trofeów wojennych i wspaniałych ozdób; w kącie wznosił się stos przepięknych poduszek, przykrytych wschodnimi tkaninami i jedwabnymi narzutami — pomarańczowymi, szkarłatnymi i bursztynowymi.

Te niezwykle oczy wciąż patrzyły w jej oczy, aż cała jego istota zaczynała jakby brać w posiadanie jej istotę; w końcu nic już nie wiedziała i niczego więcej nie pragnęła na całym świecie. Złożyła głowę na jego ramieniu, a twarz zwróciła ku jego twarzy, gdy składał na jej wargach cudownie długi, drżący rozkoszą pocałunek. Zamknęła oczy w ekstazie szczęścia. Pociągnął ją w dół na stos poduszek, które tworzyły jakby otomanę. Czowała, jak cała rzeczywistość roztapia się i znika. Unosiła się w złocistej mgiele, bez jednej myśli w głowie, bez woli. Potem wszelka świadomość zbladła i Isabel straciła przytomność.

Chłodny powiew musnął jej czoło i ocknęła się. Za plecami czuła jakąś twardą, szorstką powierzchnię. Przed sobą

miała znajomy widok na Sutors of Cromarty. Stała oparta o mur niedaleko bramy, przy drodze biegnącej z Aulderne do Lochloy. A więc spała. Zupełnie nie wiedziała, jak tu dotarła, nie pamiętała, jak wyszła z domu. Bolała ją głowa i nie poszła do kościoła. Zapewne wyszła z domu wciąż jeszcze śpiąc i dopiero tutaj się obudziła. Usłyszała jakieś głosy. Ludzie wracali z kościoła. Stała przy bramie, a ludzie mijali ją w grupkach po dwie, trzy osoby. Nadchodził Gilbert — sam. Pod wpływem jakiegoś impulsu wyszła na drogę i dołączyła do niego. Miała mu powiedzieć, że ból głowy już jej mijał; wstała więc, by zaczerpnąć świeżego powietrza i wyjść mu naprzeciw. Gilbert obrócił się do niej i powiedział: — Prawda, że wielebny Forbes pięknie dziś mówił? Bardzo się cieszę, że przyszłaś.

Rozdział V

Syn dziedzica Park zapada na zdrowiu

Przeglądając papiery mojego praprapradziadka i inne zapiski z tamtych czasów, znajduję wiele wzmianek na temat dziwnej choroby, na którą zapadało wiele osób bez żadnej wiadomej przyczyny — coś w rodzaju epidemii, jak byśmy to dziś nazwali. Ojciec pana Patricka, szanowny Robert Innes, wybitny chirurg z Aberdeen, dał jej uczoną nazwę, złożoną w równych częściach z greki i łaciny, ale musiał przyznać, że nie potrafi jej leczyć. Prości ludzie zwali ją „wyniszczającą niemocą”. Zgodnie z tradycją swego stanu kapłańskiego pan Patrick przypisywał ją wprost złości Szatana, któremu upadek wiary oraz nieposzanowanie czystości obyczaju i doktryny kościoła protestanckiego przez lud Szkocji pozwalał dręczyć wybranych. Z kolei, jak się wydaje, katolicki ksiądz z Dufftown, przez dziwne niedopatrzenie zupełnie zapomniany przez pobożnych reformatorów, który w dalszym ciągu

przez nikogo nie nagabywany odprawiał swoje msze — mimo iż zgadzał się z panem Patrickiem co do wpływu Szatana — przypisywał nieczystemu moc czynienia zła właśnie doktrynie, głoszonej przez kościół protestancki.

A tymczasem, jak mówił sir Robert Gordon, diabeł być może śmiał się w kułak z jednego i drugiego.

Jakakolwiek była przyczyna owej choroby, nie ulega wątpliwości, że prosty lud bardzo się jej lękał, tak zresztą jak i szlachta, gdyż choroba nie szczędziła żadnego stanu i prawie zawsze kończyła się śmiercią.

Isabel Goudie, oglądając się na stary zamek, który stał się dla niej niemal świętym przybytkiem, gdzie weszło dla niej nowe życie, pełne radości i potęgi, miłości i szczęścia, gdzie spotykała się z kochankiem, jakiego z pewnością nie знаła przed nią żadna śmiertelna kobieta — zobaczyła jakichś chłopców, biegnących w stronę zamku; na czele pędził pierworodny syn dziedzica Park. Słyszała ich okrzyki i rozmowy.

Zawrzała w niej gwałtowna nienawiść do całego tego rodu.

— Jutro wdrapię się na ten stary mur! — wołał młody Hay.

— Nie odważysz się — odparł jeden z jego towarzyszy.

— Ale, na pewno się odważę. Nawrzucam do środka kamieni, postraszę nietoperze i sowy, zobaczycie.

Isabel uczuła głębokie oburzenie, zupełnie jak papista wobec świętokradczej propozycji zbezczeszczenia ołtarza. To było miejsce uświęcone jej cudownym spotkaniem z Panem Ciemności. Nie mogła dopuścić, by rozhukani chłopcy zniszczyli jej piękne wspomnienia i zdeptali jej przygodę miłosną. Zwłaszcza ten chłopak.

„Obyś nigdy nie miał męskiego potomka!” — przypomniała sobie to życzenie, tylekroć wypowiedane. Drżała z oburzenia. Jak kochała, tak i nienawidziła, z siłą i zapamiętaniem, które niosło ją jak rwący potok.

— Oby spadła na niego wyniszczająca niemoc — mruknęła i natychmiast się uspokoiła; paroksyzm gniewu minął.

Jt Kroczący obok niej Gilbert nic o tym wszystkim nie wiedział; mówił rozwlekłe i niezajmująco o kazaniu, o ludziach obecnych na mszy oraz — z żalem — o niewielkiej sumie zebranej na tacę.

Isabel prawie nie słuchała, wspominając wszystkie szczegóły swojej schadzki z Panem Ciemności w ruinach zamku.

A jednak nie były to ruiny — to była wspaniała komnata: sam hrabia Moray nie miał takiej w swym pięknym zamku Darnaway. Wspominała, jak spoczywała w ramionach Pana Ciemności na rozkosznym łożu Lewantu. To był jej właściwy los, jej przeznaczenie. Żałowała tylko, że straciła świadomość; odpłynęła w rozkoszny sen, ale przez to utraciła pewne chwile, może godziny tego cudownego spotkania, a każda taka chwila była dla niej cenna.

Chwalił jej zieloną suknię, podziwiał włosy na tle tej sukni, głaskał je, a dotyk jego dłoni przejmował ją dreszczem.

Zaraz, a co z tą suknią? Jakże to możliwe, że Gilbert o nią nie pytał? Jak pozwolił, by wyszła z domu w tak strojnej odzieży, którą tylekroć potępiał i nigdy nie pozwalał jej nosić?

Popatrzyła po sobie z lękiem, a potem ze zdumieniem i niedowierzaniem: miała na sobie starą suknię z samodziału, a gdy położyła rękę na piersi, wyczuła złoty krzyżyk, zaszyty w fałdach materiału.

Czy spotkanie w zamku Inshoch było tylko snem? Nie, po tysiackroć nie. Jeśli to był sen, niech przepadnie wszystko, co ziemskie. Na całym świecie nie istniało nic, dla czego warto by żyć. Prędzej wyrzekłaby się siebie i zbawienia duszy niż tego przeżycia. Ono było jedyną dotykającą rzeczywistością. Tak! Niech wszystko inne będzie kłamstwem, byle nie to jedno.

Tego popołudnia John Gilbert wyciągnął się na ławie przy kuchennym ogniu i spał głośno chrapiąc, w zgodzie z niedzielnym zwyczajem większości pobożnych członków szkockiego prezbiterium.

Isabel spacerowała brzegiem jeziora, patrząc poprzez nieruchome wody na zatokę i dalekie brzegi Cromarty i Sutherland — delikatne odcienie szarości i perłowego błękitu, bardzo dobrze widoczne w gasnącym słońcu. Jezioro już nie wydawało jej się posępne — przeciwnie, było rozświetlone magicznym światłem. Wreszcie miała swoją przygodę, swoją miłość — spełniły się jej sny.

Pomyślała przelotnie o przysiędze małżeńskiej i zaraz odpędziła tę myśl od siebie. Kościół, w którego wierze się wychowała, nie uznawał tej przysięgi. W oczach księdza z Dufftown jej małżeństwo nie było małżeństwem. Jakie miało znaczenie, co o tym sądził kościół protestancki? Wy-

rzekła się jego chrztu, już nie należała do kościoła protestanckiego. A co do chrztu katolickiego — Pan Ciemności sam jej powiedział, że nic mu do niego.

Czy zatem John Gilbert był w ogóle jej mężem? Była jedynie sprzętem, częścią jego dobytku — kupioną i sprzedaną. Nie, nie będzie niczym sprzętem. Nie pozwoli, by ją kupowano. Należała do siebie. Nie można w ten sposób handlować ludźmi w wolnej Szkocji. Należała do siebie i z radością, bez przymusu, oddała siebie kochankowi, który był jej godzien. Trzeba przyznać, że całe to rozumowanie, mimo iż nie dało się utrzymać, miało wszelkie pozory słuszności. Ale w to rozumowanie Isabel włożyła całe swoje serce; ono było najlepszym adwokatem i pragnęła, by wygrało. Wciąż otaczały ją tajemnice. Co było prawdą, a co snem? Nie potrafiła odróżnić jednego od drugiego. Wydawało się, że bezwzględnie przebywała w kościele w Aulderne i że na pewno przeszła rzeczywistą burzę, a jednak wróciła do domu nie tknięta kroplą deszczu czy błota. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że tego samego ranka była w zamku Inshoch, gdzie spotkała się z Panem Ciemności; była wtedy ubrana w zieloną suknię z czarnym kapturem (nawiasem mówiąc sama nie wiedziała, że ją ma). A jednak wróciła do domu w starej samodziałowej sukni, chociaż nie miała najmniejszej okazji, by się przebrać. Jeśli jedne rzeczy były snem, drugie były jawą — ale które?

Jednak ta niepewność przydawała uroku jej położeniu. Jeśli była to zagadka, to czarująca. Ona i jej kochanek wspólnie ją rozwikłają. Jej kochanek! Jej kochanek! Czowała dumę i zadowolenie za każdym razem, gdy wymawiała te słowa.

Spacerowała tak nad brzegiem jeziora, a potem wróciła do domu. Tej nocy miała dziwne sny.

Była przy kościele w Aulderne, tuż za cmentarnym murem. Na cmentarzu stały jakieś kobiety. W każdym razie, widząc ich suknie, sądziła, że to kobiety, ale słabo je było widać i nie potrafiła określić, kim były.

Niejasne, rozmazane postaci.

W kącie cmentarza, na świeżej mogiłce wznosił się kopczyk brunatnej ziemi; wokół tego grobu zgromadziły się te widmowe postaci. Zdawało się Isabel, że sobie przypomina,

iż tam właśnie pochowano nie ochrzczone dziecko. Kobiety zaczęły rozkopywać świeżo usypaną ziemię. Isabel przyglądała się im, przerażona, ale i zafascynowana. Wiedziała w swoim śnie, że wykopią ciało dziecka. Coś o tym czytała.

Wkrótce jedna ze zjaw skoczyła do dołu i wyciągnęła na powierzchnię małą trumienkę. Pozostałe zjawy chyba podważały wieko trumienki. Jak to bywa we śnie, opuściło ją poczucie dobra i zła, trwogi i wstrętu. Nie wiadomo dlaczego, najohydniejsze, najbardziej nieludzkie rzeczy wydawały jej się zupełnie naturalne i normalne.

Próbowała zobaczyć, co się teraz dzieje, ale stłoczone wiedźmy nie dopuszczały jej między siebie. Dziwny instynkt senny powiedział jej, co robią. Wycięły serce z małego ciała, a potem zamknęły ciało na powrót w trumience, opuściły w grób i przysypały ziemią. Umieściły serce w glinianym naczyniu i te złe zjawy rozeszły się w różnych kierunkach; jedne zbierały, zdaje się, zioła i trawy, a inne znosiły ziemię z różnych miejsc cmentarza. Mogła teraz widzieć wyraźniej, jak dwie odrażające, złe kobiety pochylały się nad naczyniem z sercem dziecka. Jedna z nich obcięła kilka kosmyków swych siwych i skołtunionych włosów i pocięła je na małe kawałeczki, a druga obcinała sobie paznokcie; i włosy i obrzynki paznokci wrzuciły do naczynia.

Zaczęły wracać pozostałe zjawy i wrzucać do naczynia to, co zebrały. Dwie z nich zaczęły ubijać zawartość naczynia grubymi kijami, a całe zgromadzenie śpiewało coś na kształt pieśni pogrzebowej. Przypominało to bardziej wycie psów niż ludzkie głosy.

Nagle wszystko ogarnęła ciemność niby dusząca chmura. Isabel traciła oddech. Po chwili nocna zmora minęła, a Isabel spała dalej.

Była teraz niedaleko zamku Inshoch. Widziała bramę, otwierającą się na ruiny zamku. Na bramie siedział kruk. Nadchodziła kulejąc stara kobieta o odrażającej powierzchowności, brudna i rozczochrana, o oczach płonących jak węgle. Niosła gliniane naczynie, które Isabel już widziała. Dwa, trzy razy próbowała przejść przez bramę, ale wydawało się, że jakaś siła pcha ją w tył.

Mrucząc przekleństwa, starucha sięgnęła do naczynia i odrobiną zawartości posmarowała bramę.

— Biada temu, kto pierwszy dotknie tej bramy — powiedziała. Potem zanuciła:

Kładziemy na bramę Krew, ból i łzę. Nie zaśniesz więcej Ani nocą, ani dniem.

Znów zabrzmiał pogrzebowy śpiew, jak wycie psa zbłąkanego na bagnach.

Isabel obudziła się, wciąż słysząc to wycie. Przypomniała sobie, co Margaret Brodie mówiła o rymowanych czarach. Potem pomyślała o zamku Inshoch. Co ta zła starucha miała wspólnego z miejscem, które budziło w Isabel cudowne wspomnienia? Przypomniała sobie, że stara nie mogła wejść do środka, a więc miejsce to było strzeżone. Jej ukochany — podobnie jak uczyniłaby to ona — pilnował, by miejsce pozostało nie skalane. Ale brama niosła śmierć. Kto wejdzie pierwszy, myślała sennie. Przypomniała sobie: młody Hay z Park. To on miał zginąć. Życzyła sobie tego, ale nie chciała mieć nic do czynienia z tamtymi odrażającymi wiedźmami. Co one miały wspólnego z nią albo z Panem Ciemności? Pomyślała o scenie na cmentarzu, strasznej, odrażającej ponad wszelką miarę. Jednak dręczyła ją ciekawość. To był tylko sen, ale żałowała, że nic więcej nie widziała. To nie były rzeczywiste wydarzenia, więc cóż w tym złego, jeśli pragnęła zobaczyć więcej? To było jak lektura jakiegoś przerażającego romansu; czytelnika przeszywa raczej miły dreszczyk i jest niezadowolony, gdy makabra się kończy. Zasnęła i nie miała tej nocy więcej snów. Opowieść przenosi się teraz do dworu Park, przyjemnego, słonecznego domu wzniesionego w starym szkockim stylu. Miał białe mury kryte paździerzem, kręte schody i okrągłą wieżę w rogu. Drzwi wejściowe były jakby wtłoczone w kąt utworzony przez wieżę i mury. Wokół domu rosły wyniosłe, stare drzewa. Z jasnego pokoju na pierwszym piętrze przez małe szybki dwu okien widać było błękitne wody zatoki i odleglejsze wzgórza.

Kobieta o łagodnej twarzy napiętnowanej zmęczeniem i smutkiem to wyglądała przez okno, to niespokojnie przemierzała pokój i znów czegoś wyglądała.

— Kiedy przyjdzie medyk? — zapytała.

Dziedzic Loch i Park poruszył się niespokojnie w głębokim fotelu. Miał zaczerwienioną twarz, rozpięty surdut i kamizelkę, krótkie spodnie nie dopięte u kolan. Żabot jego koszuli był poplamiony winem i tabaką.

— Po co to całe zamieszanie? — mruknął niecierpliwie i trochę grubiańsko.

— Powiadam ci, Dawidzie, że mały jest chory, ciężko chory. Na Boga, niechże się medyk śpieszy, bo nie wiem, co będzie z dzieckiem.

— No, no! Babskie gadanie! To jakaś dziecięca dolegliwość. Chłopak był zdrow jeszcze rano, gdy wychodził na dwór.

— Tak, sama ,to wiem. Poszedł się bawić pod zamek Inshoch z kolegami ze szkoły. Ale tylko dotknął bramy (biegł pierwszy, jak zwykle), a upadł omdlały. Tamci go nieśli, aż nadjechał jakiś wóz i przywieźli go tym wozem. Teraz jest rozpalony, aż płonie od gorączki, ale cały jest zlany zimnym potem. Wciąż jęczy i krzyczy o jakichś okropieństwach, które mu się zwidują.

Och, Dawidzie! Mówię ci, że źle zrobiłeś, radząc hrabiemu Moray, by je wypędził z tamtej chaty. Powiadają, że stara jest Cyganką i czarownicą. Boję się, że rzuciła czary na nasze dziecko.

— Jeśli jest czarownicą, to już ja dopilnuję, żeby poszła na stos. Ale to przecież bzdury, głupie przesady. Sama wiesz, że one ciągle zatruwają życie milordowi. Stara utrzymuje, że była kochanką jego ojca, chwali się tym i powiada, że ją porzucił. Milord nie chce ich wyrzucić, chociaż rzeczywiście mu to doradzałem dla jego własnego spokoju. Ale on nie dba o to. A jeśli stara jest wiedźmą, to spłonie na stosie. Ale ja tam nie wierzę w takie bzdury!

— Rozsądniej będzie zostawić je w spokoju, Dawidzie. Niech kościół i sąd czynią swoją powinność. Jeśli one rzeczywiście potrafią rzucać czary, jak o nich mówią, to nie sprowadzajmy na siebie ich klątwy. Bóg świadkiem, że dość mamy własnych zmartwień. Jeśli są rzeczywiście niewinne, a tylko coś im się roi, albo ludzie się na nie zawzięli, to byłoby okrucieństwem palić je albo torturować. Na pewno sprowadziłyby Boży gniew na tych, co przelewają niewinną krew.

— Ach, to kobiece rozumowanie. Powiadam ci, żono, nie masz pojęcia o tych sprawach. Zostaw je mężczyznom. Idź i zajmij się gospodarstwem. Tam jest twoje miejsce. Patrz, idzie ten twój medyk. On cię uspokoi. Chłopak po prostu rozstroił sobie żołądek. Zjadł za dużo zielonych jabłek. Zajmij się swoimi sprawami, a ja się zajmę swoimi.

Wstał ciężko i trochę niepewnie, strząsnął tabakę z żabotu, dopiął kamizelkę i spodnie u kolan i wyszedł z pokoju, wołając na sługę, by mu sprowadził gniadosza.

Dziedziczka Lochloy i Park pośpieszyła na spotkanie lekarza i zaprowadziła go do pokoju chorego. Niedługo potem wyszli, poważni, ale nieco spokojniejsi.

— Na razie niewiele mogę pani powiedzieć. Cieszę się, że to nie jest „wyniszczająca niemoc”, o ile mogę sądzić. Wygląda mi to bardziej na zatrucie krwi z nieznannej przyczyny. Upuściłem mu sporo krwi, a teraz przyślę pani preparat z lilii i wężowego korzenia oraz innych ingrediencji. Ufam, że szybko wróci do zdrowia. Pani, niech mi będzie wolno pożegnać się. W połowie alei prowadzącej do dworu spotkał pana Harry'ego Forbesa. — Słyszałem, że panicz ciężko zachorował — odezwał się ten ostatni. Spróbuję pokonać modlitwą sztuczki i złość Szatana. Doprawdy, ostatnio czyni on wiele złego pośród nas.

— Może się pan modlić, pastarze, jeśli taka pańska wola — powiedział medyk, który był po trosze niedowiarkiem — a panicz wyzdrowieje, ale dzięki upuszczeniu krwi, którą mu zaordynowałem. Dzięki puszczeniu krwi i preparatowi z lilii, którego skład ja jeden znam. Szczęściem, pani na Parku wezwała mnie na czas. Jeszcze dwie godziny i byłoby za późno.

— Owszem, wykorzystuj swoje umiejętności, panie medyku. Pismo święte pozwala wzywać lekarza do chorego, ale bacz, byś nie bluźnił. Powiadam ci, że te choroby pochodzą od Szatana. Może on dręczyć pobożny lud poprzez swoje sługi, które uprawiają te ohydne, zbrodnicze praktyki czarnoksięskie, wbrew prawom ustanowionym przez wszechmocnego Boga. Te praktyki — prawem Boskim jak i mocą rozlicznych ustaw parlamentu naszego królestwa — zasługują na karę śmierci. Jak panu dobrze wiadomo, na terenie lasów Darnaway mieszka zaprzysięgła wiedźma, która kiedyś dopuściła się grzechu z ojcem lorda Brodie, pobożnym

człowiekiem. Ale nigdy nie żałowała grzechu ani nie odpokutowała go w kościele. A ponieważ dziedzic Park namawiał lorda, by ją usunął, czego zresztą ów nie uczynił, groziła, że rzuci na niego zły czar. I oto masz, panie, przyczynę choroby. Jednak wierzę, że potęga świętego kościoła reformowanego zdoła pokonać złość Szatana.

Podczas tej podniosłej mowy medyk bardzo się niecierpliwił.

— Dobrze, może i tak jest. Ale niech się pastor dowie, że to są tylko pewne humory we krwi, wytwarzane przez kontakt między zimną a gorącą naturą w nowiu księżyca, gdy Mars i Merkury znajdują się naprzeciw siebie. Niewiele ma to wspólnego z zabobonami i próżnymi sztuczkami, o których pastor mówi. I dobrze pastor wie, że do czarów trzeba użyć liter, znaków, krzyży, zatrutej wody, popiołu, oleju, figurek, obrazków, ziół, korzeni oraz innych rzeczy, a w tym przypadku nic o tym nie świadczy. Zatem jest pastor bardzo przesądny. Ale siły natury i wiedzy uleczą chorobę. A więc, kłaniam się i żegnam.

Pan Patrick Innes, pobożny kaznodzieja głoszący Słowo Boże, a przy tym, jak się rzekło, syn wybitnego chirurga, notował dysputy, które często prowadzili ci dwaj zacni mężowie i odnosił się z pewną sympatią do jednego i drugiego. Ale dobrze wiedział, że pan Harry Forbes miał rację, przypisując te kłopoty działaniom Szatana, gdyż rzeczywiście znalazły się na to dowody w późniejszym czasie, jak to niżej opisano bardziej szczegółowo.

Wieść o chorobie syna dziedzica szybko rozeszła się po okolicy. Dotarła także przed południem na folwark Lochloy; przyniosła ją pani Isabel Goudie jedna z dziewczyn folwarcznych.

Isabel przypomniała sobie wyraźnie sen z minionej nocy. Czy to możliwe, że jej życzenie spełniło się tak szybko? Ale ona nic w tym kierunku nie zrobiła. Również Pan Ciemności nie miał z tym nic wspólnego, myślała. Musi odszukać Margaret Brodie i dowiedzieć się czegoś pewnego.

Bardzo żałowała, że nie potrafiła komunikować się z Panem Ciemności. Jeśli rzeczywiście, jak chciała wierzyć był jej kochankiem, jeśli miał obdarzyć ją mocą, jak to obiecywał, nie pozwoliliby, aby zemsta, której Isabel tak pragnęła, dokonała się jakimś innym sposobem, ani nie zle-

ciłby jej tej złośliwej wiedźmie, którą widziała przy bramie. Ta wiedźma nawet nie mogła wejść do miejsca pełnego tak słodkich wspomnień, znanych tylko im dwojgu.

* * *

— Nie, dziewczyno — powiedziała Margaret, gdy siedziały obie przy kominku w chatce Margaret. — To tylko jedna ze sztuczek mojej matki. Oby szczęła, stara diablica! Zniszczyłaby nas wszystkich, gdyby nie pomoc Mistrza. Tyle razy ją ostrzegałam, żeby zaniechała tych przeklętych cygańskich uroków. W swoim czasie i ty się nauczysz, jak zesłać na kogoś „niemoc”, nasza Gromada ci pomoże. Musisz zerwać księżyc z nieba; sporządzisz wtedy ciasto, które da ci moc robienia, czego zapragniesz. Da ci władzę nad wszystkimi, którzy są we władzy Pana Ciemności. Moja matka, chociaż zna tyle cygańskich czarów, ma niewielką moc. Jej czary nikogo nie zabijają. Chłopak tym razem wróci do zdrowia. Ale jeśli ty pragniesz pozbyć się męskiego potomstwa dziedzica Park, to jesteś w swoim prawie i łatwo ci to przyjdzie. Więc na razie nic nie mów. Mieszkamy tu sobie na ziemi Moraya, a lord nas nie wyrzuci, bo dobrze wie dlaczego. Już za niewiele dni skosztujemy wina z piwnic Darnaway, a także doskonałego pasztetu z dziczyzny.

— Ale powiedz mi, Margaret, jak mogę się z nim spotkać? Jeśli jestem jego ulubienicą, jak twierdzisz, to nie zostawi mnie, nie wyjawiając sposobu wezwania go, gdy będę w potrzebie.

— Nie bój się, kochanie! Ja się na tym nie znam, ale on sam nauczy cię odpowiednich słów. Jest dla nas dobry, a dobrze wiem, że ty jesteś teraz królową Gromady.

Wstała z ławy, podeszła do Isabel i położyła dłoń na jej głowie. Drugą ujęła obie ręce Isabel. Na Isabel spłynęła rozkoszna ocieżalność.

— Posłuchaj — powiedziała Margaret. Z daleka, z leśnych głębin dobiegł odgłos miarowych kroków.

— Pan Ciemności idzie przez bór — powiedziała Margaret. — Rozmawia z drzewami i strumieniami. Przysłuchaj się!

W powietrzu rozległ się szum, liście i gałęzie drżały i trzepotały.

— To są duszki, które mu podlegają. Te duszki są na usługi naszej Gromady. Och, dziewczyno, mamy tyle ucie-

chy. Ty jeszcze nie wiesz, co to znaczy naprawdę żyć. Ale się dowiesz, nie ma obawy! Hej ho! Zaczęło się polowanie. Posłuchaj. Brzmiało to jak stukot koni, galopujących gdzieś w górze, dzikie okrzyki zlewały się w jedno z tętentem koni. Isabel wytrzymała słuch. Wciąż powtarzały się okrzyki:

— Koń i bicz! Koń i bicz!

Krew dziko zatętniała w jej żyłach. Och, być tam razem z nim, pędzić w szalonej pogoni, odczuwać nieokiełznaną radość. To jest prawdziwe życie.

— Koń i bicz! Koń i bicz!

Wyobraziła sobie, że dosiada konia. Wspominała dni, kiedy jako młoda dziewczyna była dzielną amazonką. Tym razem wyobraziła sobie, że pędzi w powietrzu na wielkim karym rumaku obok Pana Ciemności. Przed nimi pomykały jelenie. Wielki byk pędził tuż przed cwałującymi końmi. Isabel szybko dyszała, oczy jej świeciły dzikim blaskiem. Udzielił jej się duch pościgu, pragnęła krwi. Jeleń padł pod oszczepem Pana Ciemności, ale to Isabel trzymała w ręku nóż do patroszenia.

Margaret puściła jej dłonie i nagle wszystko przepadło.

— Widzisz, kochanie? Jest niedaleko. Isabel z westchnieniem otworzyła oczy. — Och, Margaret! Jaka niesamowita przygoda! Obok toczy się prawdziwe życie, a ja myślałam, że wszystko jest takie szare i beznadziejne.

— Tak, dziewczyno, wszystko wygląda inaczej, kiedy się jego spotyka. Ale nie myśl już o tamtym śnie. To była tylko jedna ze sztuczek mojej matki. Poza tym on nie namawia, żeby robić coś, czego się nie chce. Co do mnie, to nie miałabym nic przeciwko paru trupom tu i tam. Chciałabym dowiedzieć się o nich czegoś więcej, chciałabym zobaczyć, jak to naprawdę z nimi jest. Oni też mają niesamowitą moc. Ale wiem, że niektórzy ich nie lubią, a inni po prostu się ich boją. Ale on nie namawia do czegoś, na co się nie ma ochoty. W głowie Isabel kłębiły się nowe myśli, kiedy wracała do domu. Miłosne wspomnienia ze starego zamku Inshoch trwały w niej jak bezcenna tajemna świętość. Teraz doszły marzenia o szalonym galopie, polowaniu na jelenie, dzikim uniesieniu. Czy będzie to kiedyś możliwe? Otwierały się przed nią cudowne widoki na przyszłość.

Nawet sceny z jej snu o cmentarzu Aulderne prawie straciły całą swoją okropność i niemal żałowała, że nie widziała nic więcej. Była jak uczeń, słuchający opowieści o strasznych wydarzeniach, który gniewa się, gdy opowiadający pominie jakiś szczegół.

Tej nocy spała spokojnie i bez snów, ale z miłym przeczuciem, że cudowne życie dopiero się przed nią otwiera.

Rozdział VI

Ucieczka Cosmo Hamiltona

Jeszcze raz zmienia się scena wydarzeń — jest to miasto Elgin. Sir Robert Gordon pisał:

„To nieszczęsne opuszczone miasto tyle wycierpiało, że już niewiele brakowało, by całkiem wyzionęło ducha". W czasach zamieszek przechodziło z rąk obrońców szkockiego prezbiterium w ręce rojalistów, przy czym obie strony plądrowały je i paliły z równą bezstronnością. Minęło jakieś dziesięć lat od czasu, gdy markiz Montrose stoczył wielką bitwę pod Aulderne, w której pokonał prezbiterian. Pług Johna Gilberta nieraz wywlekał ich kości podczas orki ziemi folwarcznej. Montrose spożył w Elgin niedzielną wieczerzę, a nim wyjechał następnej środy, spalił i złupił połowę miasta. Nim minęły dwa lata, następne dwa najazdy — pod wodzą lorda Aboyne'a i lorda Lewisa Gordona — spaliły na panewce dzięki osobistym (a może i jakimś innym) wpływom sir Roberta Gordona.

Po bitwie pod Dunbar i chwilowym pogromie rojalistycznych nadziei w Worcester, Szkocja znalazła się pod silnymi rządami generała Mońka i jego wojsk. Generał, mimo iż był pod rozkazami Cromwella, marzył skrycie o restauracji Stuartów; jego marzenia miały się później ziścić, ale w owym czasie nikt o tym nawet nie śnił.

Jednak w Elgin panował stan dziwnego niepokoju. Wiele starych rodów pozostało rojalistami, a niektóre z nich se-

kretnie, ale wiernie trwały przy wierze katolickiej, jednakże ogół obywateli był silnie związany z prezbiterium. Stacjonowały tam również oddziały angielskie — wszyscy z nich byli zawziętymi prezbiterianami, ale że byli Anglikami, nienawidzili — z wzajemnością — zacnych elginczyków

Miejscowe kroniki wprost kipią od wzmianek o ulicznych bojkach, nocnych napadach na domostwa spokojnych obywateli, łupiestwach i podpaleniach.

Pewnego jesiennego dnia, wkrótce po opisanych ostatnio wydarzeniach, ze skarpy leżącej na południowy wschód od wielkiej katedry, dobiegł dziki tętent koni i skrzyp kół; ciężka rodzinna karetą zaprzężona w cztery piękne kare konie zjeżdżała ze wzgórza pełnym galopem. Zatoczyła łuk i zajechała przed „Latarnię Północy”, jak czule zwano ten piękny kościół, zdobny w wieże i iglice. Wciąż jest piękny, ale niestety popada w ruinę. Był to bez wątpienia zaprzęg sir Roberta Gordona. Często widywano na tych ulicach jego czwórkę smoliście czarnych koni, zwykle pędzących w pełnym galopie. W powozie siedział sir Robert wraz z lady Mary Gordon, a naprzeciw nich urodziwa Jean Gordon, teraz promieniejąca szczęściem, gdyż u jej boku był młody Cosmo Hamilton, jej narzeczony, wbrew wszystkim kowenantystom, rządowi i intrygom politycznym.

Patrzyli ze smutkiem na zrujnowaną katedrę. Prezbiterium nie miało dachu od dwudziestu lat, kiedy to wielka burza zwała krokwie, a fanatyczny tłum pod przewodem pastora i lorda Brodie zburzył piękne drewniane przepierzenie; żywe barwy przepierzenia zachowały dawną świeżość i urodę, choć stały tyle lat pod gołym niebem.

Grupa kowenanckich żołnierzy zabawiała się strącaniem delikatnych maswerków zdobiących wielkie wschodnie okno — jedni przy pomocy muszkietów i arkebuzów, inni rzucając kamieniami; każdy odpadający fragment wspaniałych rzeźb witały salwy śmiechu i oklaski. Wielu mieszkańców, mimo przynależności do kościoła reformowanego, było wciąż dumnych z tej ongiś wspaniałej budowli. Stali teraz z boku i cicho, ale szczerze przeklinali Anglików. Wielu obawiało się sir Roberta, mocno podejrzewane go o konszachty z diabłem, a jeszcze więcej nie lubiło go z powodu jego nie ukrywanych rojalistycznych sympatii. Ale już nieraz miasto musiało mu dziękować za obronę przed

plądrowaniem i spalaniem, i dobrze wiedziało, że pewnie znów będzie go prosić o pomoc. Był zbyt potężny, by go obrażać. Poza tym jego ojciec, wielki hrabia Sutherland dołączył do prawowiernego kościoła protestanckiego Szkocji. Wszystko razem wzięwszy, przyszło im schować swoje opinie do kieszeni i okazywać uprzejmość lordowi — czarownikowi, jak zwano go za plecami.

Czterokonny powóz zagrzmiał na głównej ulicy i zatrzymał się przed domem stojącym po północnej stronie. Dom miał okrągłą wieżę i podcienia z trzema łagodnymi łukami, wspartymi na przysadzistych kolumnach. Pod jednym z nich stał marynarz w uniformie Marynarki Angielskiej; zasalutował i podszedł, by otworzyć drzwiczki powozu. Gapie nie okazywali większego entuzjazmu. Sir Robert był znany ze swego zainteresowania marynarką, więc teraz mieli prawo oczekiwać jakiegoś nowego posunięcia z jego strony. Jednak marynarz poprowadził do budynku panie i młodego Hamiltona, a baronet został na dole.

Widziano go następnie, jak po drugiej stronie ulicy rozmawia żywo z jakimś mężczyzną w szarej odzieży i ciemnoniebieskim szkockim berecie. Pozostałe trzy osoby wraz z marynarzem wstępowały wąskimi kręconymi schodami na najwyższe piętro okrągłej wieży. Tam, na maleńkim podeście, marynarz przeprosił towarzystwo, zniknął na chwilę i prawie natychmiast wrócił przebrany w katolicką sutannę i biret.

Wszyscy troje uklękli, przed nim z uszanowaniem.

— Ojcie Blackhall, pobłogosław nas — poprosiła lady Mary. — Ci młodzi ludzie, w nadziei na szybkie połączenie węzłem małżeńskim, przybyli tu prosić o Boskie błogosławieństwo podczas mszy świętej. Już od pół roku nie mieli możliwości w niej uczestniczyć. Słyszając, że przebywasz na zamku Gordonów, uprosili księdza, byś tu przybył.

Dziękujemy, że ksiądz wysłuchał naszej prośby.

— Błogosławię was wszystkich — rzekł ksiądz kreśląc znak krzyża nad ich pochylonymi głowami. — Dobrzeście uczynili. Oby w tych czasach trwogi Bóg umacniał w świętej wierze więcej takich wyznawców jak wy. Pan okazał mi szczególną łaskę, gdyż nikt jeszcze nie wykrył mojego przebrania i nie domyśla się, że angielski marynarz Will Marley to nikt inny tylko biedny ojciec Blackhall, którego od dawna usiłują strącić do piekła papistów, jak to mówią. Wejdziesz-

cie do środka. Cosmo, mój synu, będziesz służył do mszy!

Stojąc na podeście odryglował jakieś drzwi i wprowadził ich do pomieszczenia, w którym stało pozornie tylko kilka starych kufrów i skrzyń. Kilkoma zręcznymi ruchami ksiądz nagle przemienił je w przenośny ołtarz i ozdobny parawan zaoltarny. Szaty księdza pochodziły z innego kufra, a reszta koniecznego wyposażenia z jeszcze innego. Panie klęczały, gdy ojciec Blackhall recytował święte słowa nabożeństwa, a młody Hamilton, pełen czci, służył do mszy.

Przebrzmiały ostatnie słowa mszy i błogosławieństwo; równie szybko, jak się poprzednio odmienił, pokój wrócił do swego pierwotnego wyglądu — rupieciarni. Ojciec Blackhall wszedł do niedużego staromodnego łóżka-szafy, które chwilowo służyło jako zakrystia, a następnie ukazał się jako Will Marley, angielski marynarz. Cała czwórka zeszła do wygodnego salonu na pierwszym piętrze, by czekać na sir Roberta, który obiecał, że ich wezwie. Jean i Cosmo, para zakochanych, stali przy kominku pogrążeni w cichej rozmowie, zaś lady Mary i ojciec Blackhall jako ludzie taktowni, okazywali duże zainteresowanie karcie sir Roberta, stojącej na ulicy; przy tej okazji lady Mary wysłuchiwała kilku przygód ojca Blackhalla. Jeszcze dziś ciekawi mogą przeczytać o tych przygodach, przez niego samego opowiedzianych z dużym poczuciem humoru, w dziełku zatytułowanym: „Krótka opowieść o usługach oddanych trzem szlachciankom przez Gilberta Blackhalla”.

Lady Mary z takim zajęciem słuchała opowieści dobrego księdza, że nie zauważyła upływu czasu, a zakochani mogli rozmawiać bez przeszkód. Wtem lady Mary ujrzała, jak sir Robert pospiesznie przemierzył ulicę, a tuż za nim jego sługa, który powoził jednym z karych koni. Sir Robert, z nim wszedł do domu, obejrzał się niespokojnie na wszystkie strony.

Gdy wszedł do pokoju, wyglądał na zaniepokojonego.

— Zdradzono nas — powiedział. — Jakiś pies ze sfory Cromwella doniósł na naszych młodych przyjaciół. Wiedzą już, gdzie jesteśmy, zaraz tu będą oficerowie szeryfa, wspomagani przez oddział tych angielskich żołdaków. Oderwali ich od świątobliwego zajęcia, to znaczy niszczenia pięknych rzeczy, które tworzone na chwałę Bogu. Już otoczyli dom. Ani myśz się nie prześliznie.

Młody żołnierz położył "dłoń na mieczu i wystąpił naprzód.

— W każdym razie nie wezmą mnie żywcem. Sir Robert wstrzymał go ruchem ręki:

— No, no, chłopcze, po co ta gorączka. Jest ich cały oddział, zabiliby cię chyba jeszcze, nim byś wyciągnął miecz. Na co naszej kochanej Jean martwy bohater? Musisz iść z nimi, a my już pomyślimy, jak cię uwolnić.

— Och, pomóż nam, wuju — zawołała Jean. — Nie pozwól, by go ujęli. Przeklęci kowenantyści! Jak raz kogoś pochwyca, już go nigdy nie wypuszczą. Wywieź go stąd w jakiś sposób, bo inaczej odstawią go do Tower Hill, a potem szybko z nim skończą.

— Kaplica... — mruzczał ojciec Blackhall. — Nie, oni przeszukują każdy kąt. Wszyscy będziemy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nikt nie zostanie, by ratować chłopca.

— Ty możesz coś zrobić, kuzynie! — zawołała lady Mary. — Wiem, że zwą cię lordem czarownikiem. Jeśli masz jakąś nadzwyczajną siłę, to przyszedł czas, byś jej użył.

— Tak, to prawda! — zawołała Jean. — Przecież posiadasz niezwykłą moc, wuju. Chętnie wezwałabym diabła, gdyby tylko mógł nam pomóc. Tylko nie pozwól, by zabrali Cosmo.

— Po co cały ten rwetes? — powiedział Cosmo zdecydowanym tonem.

— Cóż to? Czy żołnierz nie może stawić czoła niebezpieczeństwu? Już byłem więziony, nawet skazany na śmierć, a przecież jeszcze tu jestem. To tylko jedna z naszych przygód. Rozchmurz się, ukochana! Jeszcze kiedyś będziemy się z tego śmiać.

— Mylicie się co do mnie — powiedział sir Robert. — Całe życie zgłębiałem tajniki przyrody, siły natury. Ale ta sytuacja nie ma żadnego związku z przyrodą. Jednakże posiadam pewne wpływy polityczne i będę mógł jakoś temu zaradzić. Ale opór jest tu daremny, narazi tylko nas wszystkich na niebezpieczeństwo i nic nie można będzie zrobić.

— Sir Robert ma rację — powiedział ksiądz. — Nie możemy stawiać oporu. Musimy to przyjąć spokojnie, a następnie uczynić wszystko, co w naszej mocy. Usłyszeli gwałtowne łomotanie w drzwi i nakazujący głos:

— Otwierać w imię Wspólnoty!

Sir Robert skinął na sługę, a ten otworzył drzwi na oścież i posłuszny gestowi swego pana, stanął przy kominku obok młodego Cosmo.

— Panowie — powiedział baronet. — Co znaczy to nie-

grzeczne najście? -Siedzimy tu spokojnie w gronie rodzinnym i odpoczywamy przed powrotem do mojej skromnej siedziby w Gordonstown.

Trzech czy czterech oficerów szeryfa stało nieco zawstydzonych przy drzwiach.

— Daruj, waszmość — odezwał się ten, który pewnie był ich dowódcą.

— Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym obrazić milorda. Ale mam wyraźne rozkazy. Kazano mi aresztować tego młodzieńca. Dobrze pan wie, milordzie, że Lordowie Komisarze nie uznają żadnych wymówek. Zapłacę głowę, jeśli nie wypełnię swojego obowiązku.

— Jak brzmi oskarżenie?

— Papistowska odmowa uczestniczenia w protestanckich nabożeństwach, bałwochwalstwo i knowanie przeciw prawdziwej wierze.

— Kto wie, co jest prawdziwe, a co nie jest — rzekł sir Robert. — To tylko fałszywy zarzut maskujący jakąś intrygę. Ale wiem, że nic o tym nie wiesz, panie oficerze, i musisz wykonać rozkaz. Z czyjego polecenia aresztujecie mojego przyjaciela?

— Do diaska, sam nie wiem, kto tu teraz rządzi. Rozkaz aresztu otrzymałem tym razem od Lordów Komisarzy Wspólnoty.

— Ach, uważam, że angielska komisja nie ma zbyt wielkiej władzy w tym królestwie. Jednak czyń swą powinność, nie ma innej rady. Bierz więźnia!

Żołnierze otoczyli młodego Hamiltona. Sir Robert wziął sługę za ramię.

— Słuchaj, nie zwlekaj ani chwili. Idź do powozu. Nie siadaj na konia, tylko jedź w karecie. Każ woźnicy jechać z największą szybkością do zamku Gordonów, niech nie szczędzi koni! Weź ten papier, otwórz dopiero, gdy oddalisz się od Elgin; przeczytaj, co masz powiedzieć księciu! Potem, jeśli tak ci nakáže, siadaj na statek i płyn do portu, który ci wskaże, do Londynu czy do Francji, czy gdziekolwiek. Daj mi znać, co z tobą. Ruszaj! Sługa pośpiesznie wyszedł. Sir Robert obrócił się, słysząc cichy okrzyk. Jean padła zemdlona na podłogę.

Kiedy żołnierze wyprowadzali więźnia, sir Robert i lady Mary zastosowali zwykłe w takich wypadkach środki i wkrótce Jean przyszła do siebie na tyle, że mogła usiąść.

— A więc — mówił sir Robert — na razie nic nie możemy

zrobić w tej nieszczęsnej sprawie. Nasz młody przyjaciel idzie do więzienia. Pójdziemy go odwiedzić i pocieszyć. Będziemy czekać na pomyślny wynik mojego listu do księcia. Jestem dobrej myśli.

Oczy błyszczały mu humorem jak komuś, kto wie więcej, niż mówi.

Więzienie miasta Elgi stało wtedy pośrodku głównej ulicy, w miejscu gdzie jest teraz fontanna, prawie naprzeciw domu, w którym przebywali.

— Will Marley pójdzie z nami — powiedział sir Robert. — Bardzo sobie cenię marynarkę; jeszcze kiedyś wyrośnie na potężną siłę. Może przyniesiemy biednemu więźniowi nieco duchowej pociechy.

Kiedy przechodzili przez ulicę, podszedł do nich człowiek w szarej odzieży, z którym sir Robert uprzednio rozmawiał i powiedział mu coś po cichu. Bystre ucho Jean wychwyciło imię Isabel Goudie i Jean zdziwiła się nieco, że w chwili tak wielkiego nieszczęścia rozmawiają o postronnej osobie. Sir Robert skinął głową jakby na znak zgody i towarzystwo weszło na teren więzienia. Baronet zapytał o komendanta żandarmerii. Siedział w swoim prywatnym pokoju na prawo od wejścia; wstał, gdy weszli.

— Witam pana, milordzie — rzekł. — Tak się składa, że właśnie układałem list do pana. Obawiam się, że lord Lewis Gordon ma kłopoty. Wręczył sir Robertowi arkusz jeszcze mokry od inkaustu; w piśmie proszono, by czcigodny pan zechciał przybyć nazajutrz możliwie najwcześniej, aby można było poznać opinię czcigodnego pana.

— Otrzymałem już podobne pisma od pana i to nieraz — powiedział sir Robert. — Ale nie w tej sprawie tu przychodzę. Musi pan wiedzieć, że ludzie szeryfa — nie wiem, czy szeryfa z Dunbar czy Simona z Lovât, czy jeszcze innego — aresztowali jednego z moich przyjaciół, mimo iż nie popełnił żadnego przestępstwa, o ile mi wiadomo. Osadzili go w tym więzieniu. Chętnie bym z nim porozmawiał, jak również i te damy, moje krewne, oraz pan Will Marley z Marynarki Angielskiej, mój dobry przyjaciel.

— To jest wbrew przepisom, sir Robert, zdecydowanie wbrew przepisom i nie mam prawa... Jednak przez wzgląd na czcigodnego pana i jego zasługi wobec naszego miasta zrobię ustępstwo i sam zaprowadzę pana do więźnia. Proszę

tędy. Uważam, że powinienem być obecny przy tej rozmowie.

— Oczywiście, panie komendancie, będzie pan tam mile widziany. —
Oczy znów mu błysnęły i lady Mary, która dobrze знаła baroneta,
zastanowiło, co to ma wszystko znaczyć.

Komendant zaprowadził ich do części więziennej i kazał otworzyć
dozorcy wskazane drzwi. Jean przecisnęła się do przodu, aż nagle,
przerażona, rzuciła się w tył.

Sir Robert zajął jej przez ramię — i wybuchnął głośnym śmiechem.

— A niech mnie! — wykrzyknął. — Ależ to przechodzi głupotę
wszystkich kowenackich łajdaków razem wziętych! Proszę spojrzeć,
panie komendancie, co zrobili. Aresztowali mojego biednego sługę. Bóg
jeden wie, co zrobili z młodym Hamiltonem.

Rzeczywiście stał tam sługa sir Roberta; na jego pocziwej twarzy
widniał szeroki uśmiech. Komendant, który dobrze go znał z widzenia,
zastygł na chwilę w niemym zdumieniu.

— Cóż to ma znaczyć? Muszę wezwać żołnierzy. Założę się, że jeszcze tu
są i popijają sobie. Popamiętaj ten dzień.

— Nie, panie komendancie, jeśli pan pozwoli... Ta sprawa zaszkodzi nie
tylko im. Poza tym to zwykła pomyłka. Ale mogłaby narazić na szwank
opinię całego miasta Elgin, naszej straży i sądownictwa. Staniemy się
pośmiewiskiem bandy łotrów z Londynu, którzy chcą koniecznie mieszać
się w nasze szkockie sprawy. Dlatego radzę panu dla jego własnego
dobra, byś nie rozgłaszał tego wypadku. Teraz wiemy o tym tylko my i
ludzie szeryfa, a oni zmilczą we własnym interesie. Powinien pan tylko
powiedzieć dozorcóm (oni o niczym nie wiedzą), że zbadał pan zarzuty
postawione więźniowi i uznał je za niedostateczne. A żołnierze zameldują
swoim mocodawcom — kimkolwiek oni są — że nie mogli wykonać
rozkazu aresztu, ponieważ nie znaleźli oskarżonego. Ja poproszę pana o
zwrot sługi.

Burmistrz zastanawiał się przez chwilę, drapiąc się po głowie.

— Dobrze pan radzi, milordzie. A teraz niech mi pan pomoże w sprawie
lorda Lewisa.

— Ależ oczywiście! Jest moim krewnym, a poza tym ma wobec mnie
zobowiązania, więc pewnie mnie wysłucha. A teraz, mój panie — zwrócił
się do sługi — ruszaj stąd

z największym pośpiechem i wynajmij dla mnie jakiś powóz, żebym miał czym wrócić do Gordonstown.

Sługa odszedł. Sir Robert i komendant posłali po ludzi szeryfa, którzy stali przed nimi w oszołomieniu. Przecież pojмали młodego Cosmo. Czy sir Robert tego nie widział. A marynarz?

Nie obydważy byli w tym momencie zajęci damą, która zemdląła. Myśleli, że żołnierze wiedzą, co do nich należy. W każdym razie sprawę należy zatuszować. Co do tego wszyscy się zgodzili. Natychmiast sporządzono raport. Wnl Marley, który miał, jak się zdaje, dar wysławiania się, zre-dagował meldunek w ten sposób, że winnymi okazali się żołnierze angielscy, których niedostateczna czujność umożliwiła więźniowi ucieczkę, jeśli takowy rzeczywiście przebywał wtedy we wskazanym domu. Raport był niezwykle przekonywający. Także komendant złożył na nim swój podpis. Sir Robert miał powody, by nie przykładać do tego ręki. Zaraz po załatwieniu tej sprawy pod bramę więzienia podjechał wynajęty powóz i towarzystwo wyruszyło do Gordonstown. Sir Robert żartobliwie gniewał się na niewygodę tego pojazdu, porównując go z własną komfortową karocą. Lady Mary, jak zwykle majestatyczna i pełna rezygnacji, była niezmiernie zadowolona, że mogli wreszcie odjechać. Jean, po wszystkich emocjach i zmartwieniach, była niebezpiecznie bliska załamania. Od Willa Marleya, czy raczej ojca Blackhalla, był spokój, siła i pewność siebie.

Gdy tylko zjechali z kocich łbów, którymi były wybrukowane ulice Elgin, i mogli się nawzajem słyszeć, lady Mary zarzuciła sir Roberta pytaniami na temat dziwnych wydarzeń, których byli świadkami.

— Jestem pewna, że dobrze wiesz, o co w tym wszystkim chodzi — powiedziała. — Twoja udana niewinność w tej sprawie mogła zwieść komendanta, ale już my cię dobrze znamy. Jak na Boga, Sandy dostał się w ręce żołnierzy szeryfa? A przede wszystkim, co się stało z naszym kochanym Cosmo?

Sir Robert zaśmiał się z cicha.

— To zwykła sztuczka iluzji. Nauczyłem się jej w Hiszpanii. Mój sługa i Cosmo zamienili się na chwilę powierzchownością. Ludzie szeryfa, patrząc na Sandy'ego, przysięgliby, że to Cosmo. Wy byście także tak myśleli, ale byliście

zajęci cuceniem Jean. Żołnierze oczywiście zabrali biedaka do więzienia, a on nie wiedział dlaczego. Cosmo natomiast odjechał sobie wygodnie swoją kareta, kropka w kropkę podobny do ziemskiej powłoki Sandy'ego, wioząc tamten dokument i pozornie wziął kierunek na zamek Gordonów. Jednak nie pojedzie do zamku, gdyż jest on we władaniu lorda Lome skutkiem długów biednego Huntly, ja zaś nie lubię rodu Campbellów i nie ufam im. Cosmo pojedzie na wybrzeże i najmie szybką łódź, by przepłynąć się do Francji, gdzie będzie bezpieczny przez jakiś czas.

— Och, wuju, jakiś ty dobry, jaki szlachetny — szlochała Jean, którą przeciwstawne emocje doprowadziły prawie do hysterii. — Pomyślałeś o wszystkim.

— Proszę mi wybaczyć — odezwał się ojciec Blackhall. — Ale jak mu pan zapewni szybką łódź? Sam na dniach wróciłem z Francji, w drodze ze Szkockiego Kolegium w Rzymie, by odwiedzić wiernych w tej nieszczęsnej krainie i z najwyższym trudem zdobyłem lada jaką łódź; o szybkiej mowy nie było.

— Wiele można dokonać, jeśli się wie jak — odparł sir Robert. — Teraz posłuchajcie, bo wiem, żeście pewni, a mówię do was sub sigillo *. Jest pewna łódź, nieustępująca szybkością żadnej innej na tych wodach. Niedawno przywiozła mi spory ładunek aqua vitae z Francji na moje nabrzeże w Covesea. Obecnie cumuje w porcie Buckie, niby jako łódź rybacka. Cosmo wiezie mój pisemny rozkaz do kapitana. Ręczę, że dopłynie do portu francuskiego w najkrótszym czasie i zupełnie bezpiecznie. Jeśli sobie ojciec życzy, zapewnię mu taką samą przeprawę do Francji, kiedy ojciec zakończy tu swoje sprawy i zechce wracać.

— Dziękuję, sir Robercie — powiedział ksiądz. — Bóg wynagrodzi twoją dobroć wobec ubogiego kapłana obcej wiary. Nie omieszkać z niej skorzystać, jeśli będzie taka możliwość lub konieczność.

— Nareszcie jesteśmy w Gordonstown — powiedział sir Robert. — Zapraszam księdza w nasze ubogie progi. Pragnę, byś przyjął moją gościnę, ojcze, jak długo sobie zyczysz, o ile nie lękasz się mieszkać pod jednym dachem z kimś, kogo pomawiają o bliską znajomość z Szatanem.

* **sub sigillo: łac. pod pieczęcią (tajemnicy).**

— Nie lękam się niczego — odparł ksiądz. — Stoczyłem już wiele walk z Szatanem i myślę, że dobrze się nawzajem poznaliśmy. Chciałbym panu także zadać wiele pytań na ten temat.

Siedziba Gordonstowrn budziła w ojcu Blackhall ogromną ciekawość. Wiele o niej słyszał, ale teraz nie zdążył obejrzeć budynku nawet z zewnątrz, gdyż sir Robert naglił, by szybko wychodzili z najętego powozu i wchodzili do środka.

Mówił:

— Pytaj, o co chcesz, ojcie Blackhal, ale w swoim czasie, bo teraz czas na spoczynek. Mary, zajmij się naszą kochaną Jean i dopilnuj, by się położyła. Ten dzień był dla niej zbyt wyczerpujący, ale ufam, że odrobina kordiału i długi sen przywróci jej wszystkie siły. Ojca poproszę ze mną. Spróbuje ojciec takiego koniaku, dwudziestoletniego albo i starszego, jakiego rzadko ojciec kosztował, ręczę.

Siedli w wielkim hallu Gordonstowrn, przy buzującym ogniu na kominku, z pucharkami najznakomitszego francuskiego brandy i żywo rozprawiali.

— Wiem, ojcie, że chciałbyś dowiedzieć się o mnie różnych rzeczy — odezwał się sir Robert. — Chętnie ci wyjawię to, czego inni daremnie próbują się dowiedzieć, gdyż wiem, że tobie nic nie grozi.

Całe życie zgłębiałem wiedzę. Inni gonią za bogactwem, zaszczytami, władzą i czym tam jeszcze — ja zawsze pragnąłem tylko wiedzy. Od młodości pociągały mnie zagadki przyrody. W Hiszpanii dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy o duchach czterech żywiołów. Obecna moda wymaga, by zaprzeczać ich istnieniu. Ale jeśli one nie istnieją, to w żaden sposób nie da się wytłumaczyć pewnych zjawisk. Tam się dowiedziałem, jak człowiek zdecydowany i odważny może się porozumiewać z tymi duchami, a nawet w¹ pewien sposób mieć je na swoje usługi. Można się w ten sposób dowiedzieć wielu rzeczy, ukrytych przed pospólstwem.

— Ale ludzie powiadają, żeś spiskował z diabłem, sir Robercie. Chętnie bym usłyszał coś na ten temat. Wiele wiem o dziełach Szatana, często poddawał mnie próbie. Przejawy szatańskich wpływów są jasno widoczne, a są to: nienawiść, kłótność, fałszywe świadectwo, żądza, grabież i morderstwo. Nic z tego nie znajduję w tobie, natomiast cechy te przejawiają się często i wyraziście właśnie u poboż-

nych kowenantystów, którzy są gotowi wydać i skazać na stos tych przeciwników, którzy wpadną w ich ręce.

— Tak rzeczywiście jest! Chętnie spaliliby i mnie, gdyby się tylko ważyli — odparł baronet śmiejąc się na swój dziwny sposób. — Ale się mnie boją. Mam spore wpływy polityczne, jak ksiądz wie, mam bliskich krewnych w obydwu stronnictwach i przypisują mi także nadprzyrodzoną moc, ponieważ poznałem trochę sekretów przyrody. Podsycam to przekonanie dla własnego bezpieczeństwa, ponieważ pospólstwo boi się takich rzeczy.

Mówiłem ojcu, że nie pragnę bogactwa ani sławy, ale w pewnym sensie jednak ich pragnę. Chciałbym uczynić tę posiadłość godną mego imienia i rodu, a ten stary dom pragnąłbym zmienić w wielkopańską siedzibę, jakiej nie powstydziliby się Gordon z Sutherland. Na to, jak ojciec wie, trzeba pieniędzy. Dlatego sprowadzam z Francji aqua vitae i inne rzeczy na własną rękę. Nie waham się tego czynić, ponieważ w ten sposób pozbawiam pieniędzy tych przeklętych angielskich lordów-konwenantystów, którzy chcieliby opodatkować naszą wolną szkocką krainę.

Abym jednak mógł to robić, muszę wpierw napędzić ludziom takiego strachu, by się zbytnio nie mieszały w moje sprawy. Zapewne słyszał ojciec, jak przejechałem kareta przez zamarznięte jezioro Spynie, a mróz chwycił ledwie uprzedniej nocy. To nie jest trudna sztuka, jeśli ma się do pomocy duchy wodnego żywiołu. Nawet ojca święty Piotr... Ale nie będę się mieszać do teologii. Teraz ojciec rozumie, że muszę wiele wydawać na ten dom. Kiedy dostaliśmy go od Innes z Drainie, był nędzną rudera, nadawał się bardziej dla szczurów niż dla ludzi. Tylko piwnice nie przepuszczały wody. Był tu także jeszcze starszy dwór, część obecnego, który dawniej należał do biskupa Moray. — Ale o diable niewiele się z tego dowiedziałem — odezwał się ojciec Blackhall. — I niewiele się ojciec dowie. Duchy żywiołów, czyli siły natury, podlegają wielkiemu panu — Władcy Ziemi. Temu, którego ludzie ciemni ogromnie się lękają. Jednak, jak sądzę, nie mają racji. Siły natury zniszczą niewtajemniczonych, jeśli bezmyślnie je rozbudzą, ale będą wiernie służyć filozofowi, który dogłębnie je bada i rozumie.

— Bardzo dziękuję za cierpliwość i uprzejmość, sir Ro-

bercie. Wiele się dowiedziałem. Ale szczerze panu radzę: niech się pan ma na baczności. Bo może pan zbudzić siły, nad którymi nie zdoła zapanować.

* * *

Później tej nocy inny gość siedział naprzeciw sir Roberta. Był to ten sam mężczyzna w szarym ubraniu, z którym rozmawiał w Elgin.

— A zatem moja wiedza na nic się nie przyda — mówił sir Robert — by zaradzić kłopotom mojej siostrzenicy Jean?

— Rzeczywiście nie zda się na nic, bo jest tylko wiedzą. Tylko jeden człowiek może wam pomóc — to Isabel Goudie. Ale jeśli wam pomoże, straci wszystko.

— Kobiety już nieraz tak postępowały — powiedział sir Robert — i jeszcze nieraz tak postąpią.

Rozdział VII

„Koń i bicz!”

Sir Robert natychmiast wszczął dociekliwe śledztwo w celu wykrycia osoby, która wydała młodego Cosmo Hamiltona. Jego pozycja i stosunki dawały mu wgląd w rzeczy, o których ogół nie wiedział lub nie powinien wiedzieć. Wkrótce wykrył, że to Hay z Lochloy i Park maczał w tym palce. Motywu także nie musiał szukać zbyt długo, gdyż David Hay bywał rozmowny w gronie kompanów od butelki, gdy dobrze już miał w czubie; niewiele było w jego życiu sekretów, które by wcześniej czy później nie wyszły na jaw. Zobaczył urodziwą Jean Gordon nazajutrz po pamiętnej burzy w Culben; począł ją podziwiać na swój niegodziwy sposób i zapragnął ją zdobyć. Jego podziw dla kobiet przejawiał się tylko w tej formie. Wkrótce dowiedział się o jej zaręczynach z Cosmo Hamiltonem, widział czterokonną karecę na folwarku Gilberta i dowiedział się o jej serdecznej przyjaźni z Isabel Goudie. Pozbywając się Cosmo,

mógł usunąć główną przeszkodę w swoich planach zdobycia Jean, a poprzez Jean mógł dopieć Isabel. Uznał, że to znakomita intryga. Była szyta grubymi nićmi, ale Hay chichotał radośnie, jakby wymyślił coś bardzo sprytnego. Tego wieczoru odszukał Lorda Brodie i powiedział mu, że ten młody podżegacz, zagrażający Wspólnocie i wierze reformowanej, szczególnie groźny papista, knuje w celu przywrócenia na tron przeklętego rodu Stuartów, obalenia Wspólnoty, zniszczenia parlamentu i prawowiernego kościoła protestanckiego; pragnie powrotu papistowskich błędów, które spowodowały tyle cierpień i rozlewu krwi; obalenia pomazańców Bożych, takich jak jaśnie wielmożny lord Brodie oraz innych, których Bóg wyznaczył jako pasterzy nad swą trzodą. Lord Brodie słuchał z powagą, ważąc słowa przyjaciela, czasem wtrącając mądre maksymy i współczesne przykłady oraz fragmenty kazań; ostatecznie uznał radę za dobrą i zgodził się napisać jeszcze tego wieczora do Lprdów Komisarzy. W parlamencie miał duże wpływy i poważanie jako człowiek, który słusznie uważał, że musi się dobrze orientować w miejscowych stosunkach w Szkocji, skoro sam tam mieszka, oraz że wszelkie niebezpieczeństwa grożące Wspólnocie grożą także jemu. Wziął się zatem do rzeczy. Śledząc Jean Gordon, szybko wykryli miejsce pobytu człowieka, którego szukali. Wypadki potoczyły się, jak to wyżej opisano. Najstarszy syn Haya wciąż ciężko chorował w Park. Ale dziedzic nie wydawał się tym zbyt przejmować. Stwierdził, że chłopakowi nic takiego nie było, przejadł się tylko czy coś w tym rodzaju — i takie było jego zdanie. Pędził dawne życie. Byłoby niedorzecznością, gdyby babskie biadolenie nad jakąś lekką dolegliwością przeszkodziły mu w poważnych zajęciach jak opilstwo, uganianie się za spódniczkami oraz inne rozrywki przynależne mężczyźnie jego stanu. Ogarnęło go silne rozdrażnienie, gdy stwierdził, że obecnie nie ma żadnej kobiety, za którą mógłby się uganiać, żadnej niewiasty, z którą byłby na tyle blisko, by wpaść do niej na kielicha podczas porannej przejażdżki, nie wspominając o sprawach, o których się nie mówi. Isabel odrzuciła jego umizgi i spoliczkowała go; czuł do niej urazę pełną nienawiści. Jean Gordon była na razie poza jego zasięgiem. Ta przygoda dopiero się zaczynała. Kiedy Cosmo Hamilton nie będzie już mu przeszkodą, miał nadzieję, że tak się stanie.

— Do diabła! Jeśli taki istnieje, chciałbym, by mi zesłał jaką kochankę — mamrotał, jadąc konno przez lasy Brodie, bardzo niezadowolony z życia.

— Życie jest takie nudne.

— Tak się stanie.

Czy powiedział to głos w drzewach nad jego głową, czy było to echo jego własnych myśli, czy rozmawiał sam z sobą? Nie wiedział. Jechał do Młynów Brodie, gdzie mógł liczyć na butelkę ognistego hiszpańskiego wina. Wiedział, że młynarz ukrywa za workami zboża wiele beczek wina, które dostał z portu Findhorn. Ludzie mówili, że więcej zarabiał na tych beczkach niż na zawartości worków.

Do Isabel na folwark dochodziły wieści o przedłużającej się chorobie chłopca. Oczywiście plotkowały na ten temat dziewczęta od krów; wyglądało na to, że dziewczica lubili tylko pijacy. Zawzięta nienawiść Isabel do Davida Haya dziwiła ją, ale usilnie starała się usprawiedliwić tę niechęć, przypominając sobie jego podłe postęпки. Jednak w głębi serca wiedziała, że ta odraza była równie instynktowna jak fascynacja, którą czuła wobec Pana Ciemności. W dawnych czasach, kiedy była katoliczką, wiedziałaby, że obydwa te uczucia były grzeszne. Próbowalaby usilnie je pokonać, wynaleźć w dziedzicu jakąkolwiek dobrą cechę; szukałaby usprawiedliwienia dla jego złych skłonności; uczyłaby się przymykać oczy na jego grubiaństwo, brutalność i podobne cechy — tak odrażające dla jej bardziej wybrednej i delikatniejszej natury.

Już nieraz rzuciła na dziedzica to przekleństwo: „Obyś nie zostawił po sobie żadnego męskiego potomka”. Gorąco tego pragnęła, ale chciała, by stało się to za jej przyczyną. Chciała wziąć zemstę we własne ręce, nie życzyła sobie pośrednika, a już w żadnym wypadku tej wstrętnej starej wiedzmy, matki Margaret Brodie.

Jakaś niejasna tęsknota kazała jej ponownie odwiedzić zamek Inshoch, który stał się dla niej niemal świątynią od czasu tamtej schadzki w niedzielny poranek.

Był cichy jesienny ranek; panował lekki mróz. Isabel siadła w bramie zamku, wspominając i przeżywając na nowo każdą chwilę tamtego cudownego spotkania, kiedy to przyszła do niej miłość, a ona oddała się jej cała. Nieomal widziała Pana Ciemności i doświadczała tego samego radosnego wzruszenia, co za pierwszym razem.

Nagle wstrząsnęła się z odrazy na widok starej jędzy, która kulejąc podchodziła do bramy. Uderzyła w nią kosturem i w pół zawodząc, w pół mamrocząc, powiedziała:

***Zły czar tej bramy wkrótce się ziści,
Gdy doznasz bólu i nienawiści.***

Isabel przemknęła za mur ogrodzenia i stamtąd, dobrze ukryta, patrzyła ciekawie, co będzie dalej.

Ze skraju lasu dobiegł przenikliwy okrzyk; z wielkim pośpiechem nadbiegała Margaret Brodie:

— Wynoś się stąd, stara łotrzyco! Ile razy mam ci powtarzać? Nie pozwolę na te przeklęte cygańskie gusła. Wszystkich nas pošlesz na stos, zanim się spostrzeżesz!

Starucha odeszła, kuśtykając i mrużąc przekleństwa. Margret podeszła do bramy; przesuwając wzdłuż niej dłonie, recytowała śpiewnie niskim, dźwięcznym głosem: ***Zły czar rękoma z bramy usuwam. Niech mu nienawiść życia nie zatruwa. Póki sam diabeł nie podpisze wyroku, Imię diabelskie chroni jego spokój.***

Znów przesunęła rękami po bramie i wzniosła je do góry niby w błagalnym geście. Potem pośpieszyła za staruchą.

Isabel coraz wyraźniej odczuwała obecność Pana Ciemności, swojego kochanka. Już nie obawiała się nazywać go tak przed sobą, choć zarzuciła wszelkie plany zniewolenia go. Przeciwnie; czuła, że uległość wobec niego napawa ją dumą i radością. Nie chciała tylko, by inni to widzieli. W obecności innych będą odgrywać swoje role: ona niby będzie go drażnić, a on będzie udawał obrażonego. Ale gdy będą sami, odda mu się ciałem i duszą, niech robi z nią, co zechce. Ona będzie czerpać rozkosz z najdalej posuniętej, ostatecznej uległości i pokory.

Zdawało jej się teraz, że go widzi jeszcze wspanialszym i potężniejszym niż przedtem, jako ogromnego mężczyznę, pełnego humoru i upajającej radości. Udzielił się jej jego nastrój. Przypominało to chwile w chatce Margaret, gdy słyszała dzikie okrzyki: ***Koń i bicz!*** Zaczynała rozumieć, że jej kochanek posiadał cechy, których jeszcze nie doświadczyła, miał w sobie nieograniczone pokłady radości i rozkoszy. Mogła się spodziewać niezwykłych przeżyć w przyszłości.

Teraz wydawało jej się, że przyszedł do niej. Niemal czuła

jego mocne ramiona i ciepły oddech na policzku, a na wargach żarliwe pocałunki.

— Dzisiaj będzie sabat. Przyjdę po ciebie, ukochana. Będiesz królową naszej Gromady.

Czy te słowa zabrzmiały tylko w jej wyobraźni? Dźwięczały jak prawdziwe. Ale kiedy odetchnęła głęboko i rozejrzała się dookoła, nie zobaczyła nikogo. Prastare mury zamku były jak zawsze szare, potężne i niewzruszone. Jeśli rzeczywiście były świadkiem tych wszystkich dziwnych wydarzeń, to na pewno dobrze strzegły sekretu.

Dziś wieczór przyjdzie zabrać ją na sabat. Słyszała o sabatach od Margaret Brodie i Janet Broadhead. Czym był sabat, mogła się tylko niejasno domyślać; nie chciała wypytywać o szczegóły. Jakoś zawsze czuła, że wszelkie informacje powinny pochodzić od niego. Isabel należała do niego, a cała reszta... Cóż, była tylko resztą. Nie potrafiła inaczej tego sformułować.

Ale co z Gilbertem? Jak wyjdzie z domu, jak wróci, nie budząc go i nie niepokojąc? Czasem miał lekki sen, czasem nie spał wcale. Czasem nawet przychodził do jej pokoju. Niech będzie, co ma być. Może Pan Ciemności zabierze ją stąd na dobre.

Ta myśl wydała jej się prawie niewiarygodnie piękna.

Byle tylko dołączyła do tego szalonego galopu, który słyszała nad lasem, byle poczuła, jak pędzi w przestworzach w dzikiej gonitwie u boku kochanka — nie dbała, co z nią później będzie.

— Koń i bicz! — wymamrotała bezwiednie. Jej wyobraźnia żywo pracowała: zdawało jej się, że stanął przed nią czarny rumak, wystarczy wskoczyć na jego grzbiet i jechać, gdzie jej się zamarzy.

Ogarnęło ją chwilowe zwątpienie: przecież nie było przy niej prawdziwego konia. Musi zachować zdrowe zmysły. Dziś wieczór dowie się wszystkiego. Pan Ciemności na pewno przekaże jej nieco swej wiedzy i umiejętności. Wtedy wyjaśni się, czy to wszystko było prawdą czy jakimś niesamowitym omamem. Przed nią rozciągały się w blasku słonecznym bagniste wrzosowiska między Inshoch i Lochloy — jak przez wszystkie te dni i lata, gdy mieszkała u Johna Gilberta. Wciąż te wrzosowiska, napełniające ją nudą i zmęczeniem. Czary, które zmieniły je w krainę wróżek, były tylko wytworem

jej wyobraźni. Słomką, unoszoną przez wiatr. Jak mogła tego nic widzieć! Nic nie szkodzi. Wyobraźnia jest źródłem najwyższych w życiu rozkoszy — tak mówią poeci. Jeśli stworzyła swoją własną krainę czarów, to zrobiła to dobrze.

Godziny dzielące ją od nadejścia nocy wydawały się nieskończenie długie. Noc była bezksiężycowa, ale gwiazdy jasno świeciły. Całe sklepienie niebieskie skrzyło się niby posypane diamentowym pyłem. Isabel położyła się wcześniej, ale nie mogła zasnąć. Chwilami drzemała; w niespokojnych snach widziała Pana Ciemności, a potem niegodziwą i przerażającą twarz matki Margaret Brodie. Słyszała tętent, jakby dzikie konie pędziły gdzieś niedaleko.

Znów się obudziła. Dokoła było tak cicho i spokojnie, iż była pewna, że wszystko to wytworzyła jej niespokojna wyobraźnia. Nie pozwoli sobie więcej na takie zwidy — musi spać. Z kuchni dochodziło regularne chrapanie Johna Gilberta.

Nagle coś zatrzepotało w oknie. Pewnie jakiś nocny ptak. Kiedyś bała się ich, ale już się do nich przyzwyczaiła. Pewnego razu do jej pokoju wpadła sowa i — sama przerażona — wystraszyła Isabel prawie na śmierć.

Spojrzała sennie w stronę niewyraźnie majaczącego okna, przez które świeciły gwiazdy. Zapomniała zamknąć je na zasuwkę. Coś pchnęło okno z zewnątrz; do pokoju wszedł wielki, poważny gawron, trzepocząc skrzydłami. Wskoczył na oparcie łóżka i głośno, ochryple zakrakał. Isabel usiadła i rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę kuchni. Przede wszystkim nie chciała, by John Gilbert się obudził. Uspokoila się stwierdzwszy, że chrapanie nie ustało.

Spojrzała ciekawie na gawrona. O tej porze był to trochę niesamowity gość. W przyćmionym świetle widziała jakiś niewyraźny kształt w nogach łóżka. Kształt stawał się wyraźniejszy, w miarę jak jej oczy przyzwyczajały się do ciemności. Usłyszała niski śmiech, powoli rozróżniła głowę i ramiona, aż zrozumiała, że to Pan Ciemności we własnej osobie. Pochylał się do przodu i wpatrywał w Isabel błyszczącymi oczyma.

Wokół niego unosiła się lekka poświata, ale nie umiałaby powiedzieć, czy emanowała z niego czy skądinąd. To był on, bez wątplenia, ale w nowym wcieleniu. Nie był to po-

ważny uczony ani namiętny kochanek z zamku Inshoch, choć nieco go przypominał. Miał w sobie królewski majestat, nieokiełznaną siłę i władzę. Tak mógłby wyglądać przywódca jakiegoś półdzikiego klanu — myślała Isabel. Czarne włosy jakby rozwiewał dziki wiatr, w oczach płonęła siła i wola, lecz także nieskończona czułość. Jego twarz była niezwykle piękna od dzikiej energii, która z niej biła. Za mężczyzną o takiej twarzy każda kobieta poszłaby na kraj świata, do samego piekła — myślała Isabel, ciesząc się, że może za nim iść, pragnąc jedynie mu służyć. Wyskoczyła z łóżka z cichym okrzykiem radości i wtuliła się w silne ramiona. Objął ją mocno i przytulił do piersi.

— Czy cię nie przestraszyłem, kochanie? Nie chciałem. Przyjechałem po ciebie, tej nocy będzie sabat. Czy boisz się jechać ze mną?

— To był miły przestach — szeptała, lgnąc do niego i oplatając jego potężne ciało białymi ramionami. — Zabierz mnie, dokąd chcesz, mój słodki panie!

Z kobiecą nieomal delikatnością zgarnął do tyłu jej wspaniałe włosy, by otoczyły ją jak welon. Chciwie wpatrzył się w jej oczy i przylgnął wargami do warg w długim pocałunku.

— Tej nocy, ukochana, siądziesz przy mnie jako królowa Gromady. Chodź!

Wskazała w kierunku kuchni, przypomniawszy sobie na moment o Gilbercie.

— Nie, mocno śpi. Nikt nie może nic widzieć, jeśli ja tego nie chcę.

— Ale gdyby tu wszedł... Czasami do mnie zagłada.

— Więc nie wierzysz mi. Słuchaj, weź tę miotłę i połóż na łóżku. Gdyby tu wszedł, nawet gdyby położył się do tego łóżka, będzie widział miotłę, a pomyśli, że to ty. Sądzę, że miotła pasuje w sam raz dla niego.

— Tak, to prawda — mruknęła śmiejąc się cicho i radośnie. — Musisz wiedzieć, że w złości nazywał mnie miotłą. Teraz ją ma. Ale jeśli mam z tobą jechać, mój słodki panie, to pozwól mi się przebrać.

— Nie, ukochana. Twojego pana stać na to, by zatroszczyć się o potrzeby swojej oblubienicy.

Uniósł ją lekko silnymi ramionami i ani się spostrzegła, jak znaleźli się na dworze, a ona była ubrana w przepiękną suknię zieloną — zawsze zieloną. Tym razem była to zieleń

Młodych, majowych jabłek; delikatny haft i podbicie były najczystszej barwy polnej róży czy też wnętrza konchy. I przepasana była złotą wstęgą. Zagwizdał cicho: na ten sygnał stanął przed nimi wielki czarny koń. Zgiął dumną szyję, by dotknąć dłoni swego pana. Mistrz puścił Isabel na chwilę, chwycił się łęku siodła i jednym susem znalazł się na koniu. Isabel postawiła drobną stopę na jego stopie i wskoczyła na siodło. Z niewypowiedzianą radością przytuliła się do jego piersi; objął ją ramieniem.

Koń i bicz! Koń i bicz!

Wielki rumak ruszył z kopyta. Mistrz nucił w radosnym uniesieniu:

Koń i bicz! Siadaj i jedź! Koń i bicz! Przed siebie leć!

Pędzili przez rozgwieżdżoną noc, przez ciszę, przestrzeń i mrok. Lekko powodząc koniem jedną ręką, pochylił się i pocałował Isabel.

— Dlaczego nie chciałaś jechać dziś rano? Wysłałem ci konia, kiedy go wezwałaś.

— Ja? Wzywałam...? Nie, nie, bałam się. Ale już nigdy więcej nie będę się bać.

Pędzili przez lasy Brodie i wyschłe wrzosowiska. Potem Isabel przestała poznawać okolicę. Wszystko było takie obce. Zatrzymali się przed drzwiami jakiegoś zamożnego wiejskiego domu. Zeskoczył z konia, ujął jej dłoń i pomógł zsiąść. Szepnął coś do ucha wiernemu koniowi, a ten nagle przepadł, tylko słomka krążyła w powietrzu tam, gdzie przed chwilą stał koń.

Isabel przypomniała sobie słomkę, którą widziała dziś rano; zastanowiło ją to. Tymczasem Mistrz otworzył drzwi, wziął ją za rękę i weszli do środka. Znaleźli się w podłużnej sali, pełnej ludzi. Były to przeważnie kobiety, ale tu i tam trafiał się mężczyzna.

Rozległ się powitalny okrzyk, ale Pan Ciemności uniósł rękę i nagle zapadła cisza. Zebrani uformowali dwa rzędy: kobiety uklękły, kładąc dłonie na podłodze, spuściły głowy, a rozpuszczone włosy zakrywały im twarze. Z tyłu stali mężczyźni w postawie pełnej czci. Mistrz powoli przemierzył całą długość sali, nie patrząc na prawo ani lewo; prowadził Isabel, trzymając ją za rękę.

— Wstańcie, moi wierni, wstańcie! Przedstawiam wam teraz królową naszej Gromady. W Aulderne nadałem jej imię Janet, lecz od tej pory jej imię będzie Hacallah, czyli oblubienica.

Stanął na podium dumnie jak król, w bogatym stroju myśliwskim owej epoki; złota brosza przytrzymała orle pióro na jego kapeluszu. U jego boku stała Isabel z wdziękiem i powagą królowej, w swej wiosenno-zielonej szacie, a bogactwo kasztanowatych włosów spływało na jej ramiona.

— Tej nocy będziemy ucztować gdzie indziej — rzekł. — Pojedziemy do Darnaway, by uczcić tę okazję. Teraz wychylmy po szklanicy na cześć młodej pani, załatwimy parę drobiazgów i na koń.

Isabel rozglądała się ciekawie. Wiele z obecnych osób знаła z widzenia, jeśli nie osobiście. Najbliżej, po jej lewej ręce, stała Margaret Brodie, a po prawej Janet Broadhead. Nieco dalej jej sąsiadka, Isabel Nichol, której mąż był również farmerem w Lochloy, ale Isabel nigdy nie była z nią zbyt zżyta. Jeszcze dalej Bessie Wilson z Aulderne i jej siostra Maggie Wilson — brzydka, ponura kobieta, tak odbijająca od wesołego towarzystwa. Były tam jeszcze dwie kobiety z Aulderne, które znała z widzenia, Elspet Chisholme oraz Isabel More. Mężczyźni, jak się zdaje, nie liczyli się tu zbyt. Ich zadaniem było usługiwanie kobietom.

Alexander Elder, farmer z Earlseat ruszył z miejsca, a pozostali mężczyźni poszli jego śladem: zaczęli roznosić puchary z jakimś mocnym, słodkim trunkiem. Mistrz, wznosząc wysoko swój puchar, zawołał:

— Zdrowie panny młodej, hurra! — Wychylił kielich do dna i podrzucił w górę, a puchar jakby zapłonął żywym ogniem. Pozostali uczynili to sami i w pokoju zagrzmiały ogłuszające okrzyki:

— Zdrowie panny młodej! Zdrowie królowej Gromady! Mistrz znów nakazał milczenie.

— Moi wierni — powiedział. — Chciałbym, byście wiedzieli, że pewien człowiek zasłużył sobie na naszą pogardę i nienawiść. Znaście go przynajmniej z imienia, niektórzy znają go bliżej. Jest to David Hay. Chór jęków zabrzmiał na dźwięk tego imienia.

— Tego właśnie oczekiwałem od was. Niektórych z was skrzywdził, innych obraził. Powołując się na nauki kościoła

szkockiego, chciałby pozbawić was wszelkiej radości, ale to obłudnik — sam zabawia się, gdzie może. Prawdziwie mówi, że wszelkie uciechy pochodzą od diabła, ale paliłby na stosie i torturował za to, że czerpicie te radości, których sam sekretnie poszukuje. Przede wszystkim obraził waszą królową.

— To skandal! — rozległy się głośne okrzyki.

— Tak, to rzeczywiście skandal. Ale dzisiaj sam mnie wezwał. Pewnie się dziwicie, ale tak było. Nigdy nie odmawiam swych usług tym, którzy mnie wzywają. Spełnię jego prośbę. Chciał, bym mu zdobył kochankę, bo teraz nie ma żadnej. Postanawiam zatem, by ta, którą zwie się Latającą Ropuchą, a której ziemskie imię brzmi Maggie Wilson, została jego kochanką.

— Nie, Mistrzu, nie zgadzam się. To podlec. Daj mi jakiegoś odpowiedniego mężczyznę albo przestanę ci służyć.

— Milczeć! — zawołał Mistrz stentorowym głosem. — Już mi się raz zuchwale sprzeciwiłaś, a ja ci wybaczyłem. To twoja ostatnia szansa. Jeśli się nie zgodzisz, wydam cię ludziom, by cię męczyli i spalili na ziemskim stosie, a potem oddali moim duchom, by cię paliły wiecznym ogniem. Cóż to znaczy? Przysięgłaś mi posłuszeństwo, a ja dostarczałem ci doczesnych uciech. Teraz chciałabyś się przeciwstawić mojej woli. Czy dobrze mówię, kamraci?

— Dobrze, dobrze! — krzyczano wokół.

— Zatem daję ci moc urzeczenia tego mężczyzny. Chociaż jesteś tak brzydka, dla niego będziesz piękna, będzie cię pragnął, aż wszyscy, którzy będą tego świadkami, zdumieją się i poczną z niego szydzić, aż stanie się pośmiewiskiem wszystkich ludzi. Czy zgadzasz się, czy też wystawisz się na moją zemstę? Całkiem już zastraszona Maggie Wilson skinęła głową i rzekła: — Panie wielki! Przebacz swej słudze. Uczynię, jak każesz. Isabel przysunęła się do Pana Ciemności:

— Dziękuję ci, ukochany.

— Dobrze — powiedział. — Zamykam zebranie. A teraz pędźmy do Darnaway, na dobre hiszpańskie wino pana hrabiego. Wezwijcie swoje usługujące duchy i na koń! Jedźcie za mną i za swoją królową!

Najukochańsza, daruję ci teraz duszka, by ci służył. Możesz go wezwać, kiedy tylko zechcesz.

Strzelił palcami i ukazał się tańczący duszek o wesołej twarzy, w obcisłym czarnym stroju — tylko na szyi miał szkarłatną obrozę ze sznurem i takiż szkarłatny sznur we włosach. Wydawało się, że nie potrafi się poruszać inaczej, jak tylko tańcząc.

— Nazywa się Czerwony Rozbójnik — powiedział Pan Ciemności. — Będzie ci wiernie służył. Wzywaj go, kiedy ci będzie czego trzeba. Jeśli będziesz mnie potrzebować — wyślij go, a ja przybędę, nim zdążysz westchnąć. A teraz sprowadź konia, mój panie! Tym razem moja pani i ja pojedziemy na jednym koniu, czy tak, kochanie?

— Tak, mój Mistrzu — odpowiedziała. — Tego właśnie pragnęłam. W jednej chwili znaleźli się na dworze, czarny koń już na nich czekał. Znów siedziała na wielkim karym rumaku w ramionach kochanka, a za nimi mknęła cała Gromada. Wiedziała tylko, że jest razem z nim — wszystko inne było nierzeczywiste jak nieprzyjemny, głupi sen. O, szalony dziki pędzie, cudowna radości, obłąkany łomocie serca! Konie gnały wciąż naprzód i naprzód, pędziły przez lasy, mknęły przez równiny. Przed nimi bieгло spłoszone stado jeleni.

— Nie! — zawołał. — Dziś w nocy nie będziemy polować. Mamy kolację w Darnaway. Pojedziemy na polowanie innej nocy. Hej! Wzniescie się w powietrze! Koń i bicz!

Szalona gromada prowadzona przez Pana Ciemności i Isabel na czarnym rumaku uniosła się w powietrze. Koń sunął zakolami, kołował nad wierzchołkami drzew jak orzeł, a w ślad za nim cała kompania, wrzeszcząca i pohukująca. Przemknęli przez lasy Brodie i gnali na zachód, aż dojechali do Park. Wtedy Mistrz wyjął nóż myśliwski, odciął niewielki kosmyk z płomiennych loków Isabel i rzucił włosy w powietrze mruczając jakieś zaklęcie. Widziała, jak włoski rozwiewały się niby płomyczki i spłynęły powoli, aż spadły na dom i przedostały się do środka przez kominy i otwarte okna.

— Każdy włos znajdzie swój cel — powiedział. — Każdy spadnie na dziedzica i będzie go dręczył. Tym zaklęciem oddałem go w twoje ręce. Rób z nim, co chcesz, nie miej litości.

Zatoczyli szeroki łuk nad lasem Darnaway, aż ujrzeli wieże zamku bielejące nad drzewami.

Stary ten zamek, którym w dawnych czasach władała hrabria Czarna Agnieszka, zbudowany i ozdobiony genialną ręką mistycznego architekta Cochrane'a, stary kasztel, w którego murach przebywała piękna i nieszczęśliwa Maria Stuart, gdy mieszkał tam regent, jej niedobry brat, i z którego odjechała na sławny turniej na błoniach świętego Jana — wciąż tam stał, równie piękny jak zawsze.

Okrzykli go trzy razy w kierunku odwrotnym do ruchu słońca, śpiewając:
Niech ich sen omami

Głębokimi snami,

Gdy diabła leniem

Ślemy sny na ziemię.

Nie wstanie z łóżka żaden z tych ludzi,

Aż mu powiemy, że czas się zbudzić.

Tej nocy w Sali Randolpha odbyła się wspaniała, szalona uczta. Pan Ciemności i Isabel siedzieli u szczytu stołu i wznosili toasty. Na stole pojawiała się niesłychana obfitość pasztetów z dziczyzny, łosoś z Findhorn, przeróżne mięsiwa i szlachetne wina hiszpańskie. Potem zsunięto stoły i grajkowie zagrali Gillatripes, stary ale jary taniec. Nawet kuternoga czy paralytyk nie oparłby się temu porywającemu rytmowi i melodii.

Mistrz wstał i poprowadził Isabel do tańca — tańczyli jako pierwsza para. Kiedy nastąpiła figura, w której pierwsza para wykonuje podskok, wykrzyknął:

— Hop przez groble!

Następne pary, szykując się do skoku, wykrzyknęły za nimi:

— Hop przez groble!

Od tej pory przez wiele lat tak właśnie nazywano ten taniec.

W końcu nawet Isabel poczuła zmęczenie i sen zaczął ją morzyć w objęciach partnera.

— Moje kochanie, będę cię musiał odnieść do łóżka — powiedział, a Isabel wtuliła się w jego ramiona i zapadła w rozkoszne odrętwienie.

Ocknęła się dopiero na dźwięk jego niskiego śmiechu. Otworzyła oczy — byli oboje w jej pokoju w Lochloy, a John Gilbert, chrapiący obok miotły drgnął i obudził się.

— Słońce już wzeszło! — zawołał. — Wstawaj, ty leniwa

miotło! — Wygramolił się z łóżka i przeklinając poszedł do obory.
— Spij dobrze, moje kochanie — powiedział Mistrz. — Dopilnuję, żeby tu więcej nie wchodził i nie budził cię. Ale w sumie to takie śmieszne. Słońce stało już wysoko, gdy się obudziła, ale wspomnienie tej nocy było w niej wciąż żywe i oto zapragnęła, by przyśniło jej się to jeszcze raz!

Rzdział VIII

Strzały śmierci

Kiedy przerzucam ówczesne kroniki, widzę, że pan Patrick Innes był przekonany — jak wynika z jego listów, kazań i rozpraw wygłaszanych w kościele oraz przed Konsysto-rzem — iż diabeł wyuczył czarownice pewnych zaklęć, którymi się posługiwały, by przybierać dowolne postaci: kota, zająca i różnych ptaków. Wystarczyło, by wypowiedziały rymowaną, której się nauczyły od niego i w jego imieniu, by natychmiast ukazać się w owej postaci, ale mogły również odzyskać swoją postać kobiecą, kiedy sobie tylko życzyły.

Umiały także odbierać mleko krowom, wybierać zboże z ziarna złożonego w spichlerzu, tak że farmer znajdował jedynie puste łuski, i odciągać z piwa moc, by było jak woda. W ten sposób wyrządzano wiele krzywdy i wielu niewinnych popadło w nędzę, jednak nikt nie znał ręki, która to uczyniła.

Każdy taki wypadek, gdy rozniósł się po okolicy, wywoływał ogromne wzburzenie i głośnie żądania zemsty. Zarówno ci, co ucierpieli jak i ci, którzy obawiali się tego samego, głośnie wołali, że sprawcy tych rozmyślnych i oburzających szkód winni być bezwzględnie ukarani.

Trudność wykrycia sprawców wzmagała jeszcze zawziętość tych ludzi. Prześcigali się w wymyślaniu okrutnych tortur i wy-

myślnych rodzajów śmierci, którym poddadzą tych, co wazyli się tknąć ich własność.

Jednak zdobycie dowodów było ogromnie trudne. Owszem, niejaki mistrz John Kincaid, znany z polowań na czarownice, utrzymywał, że ma specjalny dar wykrywania takowych. Potrafił, jak mówił, odnaleźć na czole czarownicy szatańskie znamię. Kiedy wbiło się w to miejsce szpilkę, czarownica nie czuła ukłucia ani nie sączyła się krew i to właśnie było niepodważalnym dowodem.

Wiele takich oświadczeń mistrza Kincaida zachowało się do dziś i ciekawi mogą je przeczytać; wiele czarownic spalono wyłącznie na podstawie jego świadectwa. Należy z tego wnosić, że jego interesy były w kwitującym stanie, gdyż ludzie tak bardzo pragnęli znaleźć kogoś, na kim mogliby się zemścić, że byli skłonni przyjąć jako prawdziwy jakikolwiek dowód, nawet niczym nie poparte oświadczenie kogoś polującego na czarownice. Więc mistrz Kincaid nabijał kabzę.

Jednak było w tym ziarno prawdy. Według własnych słów Isabel Goudie Pan Ciemności nauczył ją pewnych zaklęć, co w całej rozciągłości potwierdza świadectwo pana Patricka oraz innych świątobliwych kapłanów kościoła szkockiego.

Te wypadki zastanawiały i niepokoiły nawet najbardziej oświecone umysły. Jak się dowiadujemy, jego lordowska mość adwokat Mackenzie, człowiek wolny od wszelkich przesądów i najtęższy prawnik owych czasów, po starannym zbadaniu sprawy, do której podchodził bardzo sceptycznie, wywnioskował ostatecznie, że te oskarżenia nie są całkiem bezpodstawne.

Ale pan Harry Forbes z ogromną radością przyjął nawrócenie Isabel Goudie. Zaczęła regularnie uczęszczać do kościoła, mówił pan Forbes, zachowywała się bardzo roztropnie i z przykładną uwagą słuchała jego rozpraw. Kiedy stwierdził, że dziedzic Park jawnie się zadurzył w tej paskudnej flądrze Maggie Wilson z Aulderne i, zaniedbując żonę i rodzinę, spędzał w jej chałupie długie godziny na libacjach albo i czymś gorszym — popatrzył innym okiem IWI to, co dziedzic opowiadał mu o Isabel i pomyślał, że niechęć dziedzica wobec niej świadczyła raczej o jej cnocie niż Jej braku.

Radował się więc niezmiernie, że jej dusza została wy-

bawiona ze strasznych błędów papistowskiej wiary; Isabel i Pan Ciemności spędzili wiele beztróskich poranków na zamku Inshoch i w innych miejscach, śmiejąc się z jego nieco przesadnych powinszowań. Można sądzić, że w owym czasie odbyło się wiele takich spotkań, czasem we dwoje czy troje, a czasem całą gromadą. Ale w Inshoch Pan Ciemności z uczonego zmieniał się w płomiennego kochanka; w trakcie tych spotkań nie było osób trzecich. Mamy z nich jedynie relacje Isabel. Przeważnie odbywały się one w niedzielę, gdy ludzie byli na nabożeństwie. Zdaje się, że początkowo Isabel ogromnie się niepokoiła, jak wytłumaczy swą stałą nieobecność na mszy.

— Ale wcale nie musisz opuszczać nabożeństwa — mówił jej kochanek. — Możesz posłać tam tę część siebie, która nie jest tu potrzebna. Nie pragnę ukochanej, która chodzi do kościoła. Posłuchaj, jeśli tylko potrafisz sobie wyobrazić, że gdzieś przebywasz, to będziesz tam. A jeśli wyobrazisz to sobie dostatecznie mocno, to ludzie rzeczywiście tam ciebie zobaczą.

Zatem, moja słodka, kiedy tak leżysz w moich ramionach, wyobraźmy sobie oboje, że jesteś w kościele i ręczę, że wszyscy tam obecni będą ciebie widzieli. Ty będziesz tylko szczęśliwsza, że się pozbyłaś tamtej części siebie. Bo ta część ciebie, która chciałaby, żebyś poszła do kościoła, nie ma nic wspólnego z miłością i radością.

Tego dnia mistrz Harry Forbes przyjął zaproszenie Johna Gilberta, by spożył z nim obiad na folwarku Lochloy. Isabel, obdarzoną dużym poczuciem humoru, ogromnie bawiła ich rozmowa na temat porannego kazania. W trakcie tej rozmowy często zwracali się do niej o opinię na jego temat, a ona wypowiadała się z należyłą powagą i pobożnością. Jak się wydaje, wystarczyło raz jeden nateńczyć wyobraźnię skupionym aktem woli, a już widmo Isabel siedziało posłusznie w kościele, przysłuchując się z uwagą i pozornie czerpiąc nauki moralne z rozważań czcigodnego pastora, gdy ona sama — czy też powiedzmy raczej: jej fizyczna istota — przebywała w Inshoch, ucząc się diabelskich sztuczek i doświadczając niesłychanych rozkoszy u boku kochanka.

Ludzie uczeni toczyli na ten temat nie kończące się dyskursy. Kapłani i władze świętego kościoła protestanckiego nie wątpili, że był to przejaw władzy Szatana, z czym zga-

dzali się również księża katoliccy, chociaż bardzo różnili się w poglądach na przyczyny, dla których diabeł zdobył taką władzę. Otóż jedni uważali drugich za prawdziwe sługi Szatana; to właśnie oni, ci drudzy, sprowadzili Szatana i dali mu możność zwodzenia i dręczenia wiernych. Prawnicy i filozofowie nie byli skłonni wierzyć całej tej historii, składając ją na karb historycznych omamów lub bezczelnego łgarstwa. Jednak w późniejszym okresie władze, świadome dziwnych halucynacji wytwarzanych przez zjawisko zwane obecnie hipnotyzmem, sądziły, że Pan Ciemności, kimkolwiek jeszcze mógł być, był na pewno potężnym hipnotyzerem, zdolnym wmówić wszystkim członkom kongregacji, że naprawdę widzieli Isabel siedzącą w kościele obok Johna Gilberta. Jest to wygodna i dosyć prawdopodobna teoria, ma jednak wiele luk.

David Hay z Lochloy i Park zapewne żałował, że nie ma takiej mocy, widząc, jak szybko traci przyjaciół. Jego zadurzenie w Maggie Wilson nabierało coraz większego rozgłosu, wywołując szyderstwa przyjaciół i głębokie oburzenie bardziej statecznych sąsiadów i znajomych. Lord Brodie przestał go zapraszać do swego zamku, a wielu pomniejszych panów, idąc za przykładem lorda, dało Hayowi do zrozumienia, że nie życzą sobie z nim przestawać. Bardzo rzadko chodził teraz do kościoła, woląc spędzać niedzielne ranki w chacie Maggie, a żadne widmo go w tym nie wyręczało. Ale im więcej unikali go szacowni obywatele, tym buńczuczniej zachowywał się na rynku czy targu, tym był zuchwalszy, mimo iż nie trzymał się zbyt pewnie na nogach — co raziło ludzi bardziej niż jego życie zatwardziałego grzesznika.

Isabel wprost nie była w stanie o nim myśleć. Jak takie zwierzę, budzące w niej najgłębszą odrazę, ważyło się twierdzić, że się za nim uganiała! Ona, wybranka tego, który był najwspanialszy, najbardziej godny pożądania! Ta zniewaga jątrzyła bardziej niż próba pocałunku, za który go spoliczkowała. Najpierw zalecał się do niej, a teraz zniżył się do amatorów z tą Maggie Wilson. Myśląc o tym, była gotowa go zamordować. Nie pozwoli obrażać się bez powodu. Zobaczysz, co znaczy prowokować taką kobietę jak ona. Żaden mężczyzna nie będzie igrać z nią bezkarnie. Poza tym jej kochanek potępił go — wystarczający powód, by go niena-

00

widzieć, o ile w ogóle potrzebowała powodu. Miała go teraz w swoich rękach, mogła z nim robić, co zechce.

Gdy snuła te myśli, zobaczyła, jak Hay wytacza się z chaty Maggie. Twarz miał napuchniętą. Przechodząc obok Isabel, popatrzył na nią bezczelnie i pożądliwie. Gdyby miała przy sobie nóż, pchnęłaby go bez zastanowienia. Ale Hay odszedł, a Isabel mruknęła do siebie:

— Nie, to byłoby dla niego zbyt dobre. Musi najpierw pocierpieć. Moja w tym głowa. Oby nie zostawił po sobie męskiego dziedzica!

Przypomniała sobie, jak Margaret Brodie mówiła jej, że powinna się nauczyć słów życia i śmierci. Gdy będzie mogła zsyłać śmierć, będzie mogła odpowiednio ukarać tego człowieka, rozkoszując się nienawiścią tak głęboko, jak miłością.

Ta myśl nie odstępowała jej nawet podczas schadzek w Inshoch; podczas dzikich nocnych gonitw i hulank w gronie czarownic; gdy ścigali wielkiego jelenia przez opuszczone wrzosowiska Strathdearn; gdy brali udział we wspaniałych ucztach w zamku Darnaway lub innej wielkopańskiej siedzibie.

Już umiała ścisnąć stopami uschły badył i na okrzyk „Koń i bicz, w imię diabła!” znaleźć się na grzbiecie czarnego rumaka. Mogła jechać, dokąd zapragnęła, cwałując przez okolicę, sunąc przez lasy łagodnym stępem jak w pólśnie; mogła wznieść się w powietrze i pędzić w chmurach.

Odbywała dalekie wyprawy; krążyła kiedyś nad Gordons-town, ale nie odważyła się zejść na ziemię. Bardzo chciała jeszcze raz porozmawiać z lordem-czarodziejem, lecz czuła wokół jego domu niewidzialną, lecz nieprzekraczalną barierę.

Była wtedy na samotnej przejażdżce, ale przeważnie jeździła z całą Gromadą lub niektórymi jej członkami. Jednak najbardziej lubiła szalone jazdy na koniu Pana Ciemności, gdy siedziała przed nim w siodle, objęta jego mocnym ramieniem. Pędzili na czele pościgu, a ona dawała upust swym ukrytym zwierzęcym instynktom. Wspólnie z Mistrzem odczuwała chęć zabijania i zaspokajała ją; prawdę rzekłszy, instynkt ten jest przyrodzony każdemu człowiekowi i ledwie tłumiony pod zewnętrzną powłoką cywilizacji.

Po szalonych hulankach, gdy głębokie puchary mocnego, upajającego wina spłukały smak krwi, a dzikie noce miłosne

podniecały jej najniższe zwierzęce instynkty do szczytowych uniesień — następowały chwile łagodnych marzeń.

O, te noce i dni godne bogów, gdy czerpała radość życia aż do końca, do dna!

I była radość zabijania; im wspanialsza zdobycz, tym większa radość.

— Mój słodki panie — szepnęła któregoś dnia, niemal bojąc się własnej śmiałości. — Czy zabijasz czasem ludzi?

— Tak, moje kochanie. To najlepsza zwierzyna. Chodzi tu nie tyle o samo polowanie — najlepiej poluje się na jelenia, gdy już ruszyła nagonka, a my mkniemy na koniach przez góry i doliny; miło jest także polować na lwy i tygrysy w dzikich dżunglach. Ale jeśli chodzi o samą zdobycz, to nic nie dorówna człowiekowi jako zwierzynie. Powinnaś to wiedzieć. Wiem, że jesteś w tym podobna do mnie. Krew cię podnieca.

— Czy naprawdę pozwolisz mi zabijać, panie?

— Tak, moje kochanie. A potem doświadczymy rozkoszy, jakich nie doświadczali przed nami inni kochankowie i pewnie nigdy ich nie doświadczą. Teraz jest nasz czas. Kiedy świat utraci twoje pyszne włosy i słodki uśmiech, nie odrobnią tej straty żadne romanse, póki istnieje ta planeta. Ale teraz chodź ze mną — pokażę ci, jak się sporządza strzały śmierci. Będziesz je miała na swoje potrzeby.

— Panie mój! Na dziedzica Park?

— Owszem, to dobry cel, oddałem ci go. Ale słuchaj, moje kochanie, potrzeba ci praktyki. Z początku nie jest łatwo posługiwać się tymi strzałami. Ale nie martw się, wkrótce nabierzesz wprawy. Dziedzic ci nie umknie. Przecież ci go dałem. Nad lasami Brodie, kościołem w Dykę, nad Grangehill i jeszcze dalej — nad zasypaną farmą Culben i w kierunku morza — leciały dwa kruki. Na granicy piasków stała budowla zwana kuźnią. W istocie był to piec do wytopu żelaza; wytapiano tu żelazo z żelazistych piasków hrabstwa Moray prymitywnymi metodami alchemicznymi. Byli tacy, co uważali, że kowal był zbyt mędrkowaty jak na porządnego człowieka. Dwa kruki siadły na dachu kuźni, a po chwili zza węgła wyszło dwoje miłych oku ludzi. Przywitali się z kowalem, który pracował do tak późnej pory, wykańczając jakieś

przedziwnego kształtu przybory, dbając, by nie widziały ich niepowołane oczy.

— Przyszliśmy do rzemieślników wykańczających strzały — powiedział Pan Ciemności. — Chyba mnie znasz. Bob. Nie potrzebuję przepustki.

— Wejdz, mój panie — odparł kowal. — Możesz mi zaufać, że zawsze czuwam. Nikt nie wejdzie, jeśli mi nie okaże twojego znaku, panie.

— Przez kuźnię — powiedział Mistrz. — To jedyna droga. Weszli do środka; podmuch wiatru, który wpadł przez komin, rozrzucił dokoła snop iskier. Wyszli tylnymi drzwiami na wąską ścieżkę, biegnącą ku morzu wzdłuż granicy piasków.

— Żeby iść tym szlakiem — powiedział Mistrz — trzeba najpierw przejść przez kuźnię, a już Bob dopilnuje, by nie przeszedł nikt postronny. Tylko moi wierni mogą używać strzał śmierci.

— Co to za strzały? Powiedz mi, czy to twoja zbrojownia? — wypytywała Isabel. — Czy to tu wykuwasz ludzką śmierć?

— Tak, już od tysiący lat. Ludzie znajdują nasze strzały, ale nie wiedzą, czym one naprawdę są, bo już straciły swoją moc zadawania śmierci. Ale przyjdzie czas, że się dowiedzą, gdy Władcy śmierci znów zapanują nad światem. Popatrz przed siebie!

Piasek migotał i przesypywał się; gdy tylko jej oczy przyzwyczały się do tego migotliwego blasku, rozróżniła karłowate postacie ludzi w skórzanych ubiorach, tak zbliżonych barwą do piasku, że byli prawie niewidoczni. Jedni biegali tu i tam, inni przykucnąwszy, pilnie coś ciosali, stukali i bili młotami. Weszli pomiędzy robotników i wtedy zobaczyła, że obrabiają krzemienne ostrza strzał; jeszcze dziś ludzie ciągle je odnajdują, a wszystkie nasze muzea mają ich pod dostatkiem. Spacerował między nimi, krytycznie przyglądając się ich pracy. Czasem brał młotek, wykańczał ostrze, lepiej obrobione niż inne i wrzucał je do swojego kołczanu, zaś wielu karlików gromił za niewydarzony wyrób. Kiedy odchodzili, nauczył Isabel, jak należy używać strzał. Należało ująć strzałę zgiętym palcem wskazującym i wypuścić w powietrze, szybko uderzając w nią kciukiem.

Isabel wnet nabrała wprawy. Mistrz wyjął strzałę z kołczanu i chuchnął na nią, mruczając jakieś tajemne słowa.

— Jest teraz naładowana śmiercią. Zabije wszystko, w cokolwiek uderzy: człowieka, zwierzę czy ptaka. Spróbuj sama.

Właśnie spod ich nóg zaczął uciekać zając. Isabel puściła za nim strzałę, która ledwie otarła mu się o ucho, a padł martwy.

— Świetny strzał — pochwalił. — Moje kochanie, będziesz mogła zadawać śmierć, kiedy zechcesz.

Wyjął z kołczanu kilka strzał, dmuchnął na nie i podał Isabel.

— Wracamy do domu — powiedział — ale po drodze zatrzymamy się przy brodzie na Muckle Burn. Jest tam uroczy zakątek, wprost wymarzony dla zakochanych. A jutro będziemy polować z Gromadą.

Isabel wydała cichy okrzyk:

— Moja bransoleta! Zgubiłam moją bransoletę! O mój panie, szukajmy, zanim przysypie ją piasek. To stara bransoleta, podobno należała kiedyś do jakiegoś króla szkockiego. Dostałam ją w ślubnym prezencie.

— Szukanie nic nie da, kochanie. Władcy śmierci zawsze żądają haraczu za pierwszą śmierć od swej strzały. Od tej chwili, o ile nie weźmiesz bransolety z powrotem, będą cię bronili. Żadna strzała śmierci nie zrobi ci krzywdy, nawet jeśli jakaś trafi cię przypadkiem.

Isabel nie odzyskała więc swojej bransolety. Przeleżała w ziemi dwieście pięćdziesiąt lat. Odnaleziono ją całkiem niedawno i przechowuje się ją w dworze Altyre, ale nikt nie pamięta jej historii.

Kruki poleciały z powrotem przez nisko położone, płaskie ziemie.

Poszybowały w dół przy brodzie na Muckle Burn i przysiadły w małej kotlinie, w której cierniste drzewa uformowały naturalną altankę. Od ścieżki słyhać było czyjeś niepewne, potykające się kroki. Isabel zadrżała i przywarła do ramienia kochanka.

— Uspokój się, kochanie — powiedział. — Nie dojrzą nas żadne ludzkie oczy, nawet przy pomocy czarów. Zobacz mima.

Wyjrzała ciekawie. Potykając się, wracał do domu dziedzic Park z dobrze zakrapianej hulanki. Gdy chwiejąc się, próbował odzyskać równowagę stojąc na kamieniach, które tworzyły przejście przez strumyk, Isabel zalała fala obrzy-

dzenia. Że też musiał tu przyjść właśnie teraz. Tego już za wiele. Walczyły w niej uczucia miłości i nienawiści, a siła tych przeciwstawnych emocji doprowadziła ją niemal do szaleństwa. Prawie nie wiedząc, co robi, schwyciła strzałę i cisnęła ją w dziedzica. Strzała nie dosięgła celu. Dziedzic, potykając się, odszedł swoją drogą, nic nie wiedząc o grożącym mu niebezpieczeństwie. Mistrz śmiał się. — Powinnaś zdobyć więcej wiedzy tajemnej, moje kochanie. Czy nie wiesz, że bieżąca woda niweczy nasze czary? Nigdy nie trafiłabyś go w tamtym miejscu.

Gładził jej włosy swym zwykłym pieścizotliwym gestem, aż ucichł zamęt w jej głowie.

— Cieszę się, że tak się stało — szepnęła. — Nie chciałabym teraz go zabijać. Miałyby zbyt lekką śmierć. Gdybym go zabiła, nie mogłabym go więcej dręczyć. O mój drogi panie, jak ja nienawidzę tego człowieka! Tak bardzo, jak ciebie kocham. Kiedy widzę jego bezczelną twarz, kiedy wykrzywia się do mnie szyderczo, z nienawiścią, czuję, że byłoby rozkoszą patrzeć, jak powoli staje się niczym, jak czołga się poniżony — chciałabym go dręczyć, zadawać mu ból. Czy gardzisz mną, panie, że odczuwam jak człowiek? Muszę ci wszystko powiedzieć, muszę obnażyć przed tobą swoją duszę. Jestem szczęśliwa, że znasz każdą cząsteczkę mojej istoty. Panie, jak mogę zadać mu ból?

— Moje kochanie! Kocham cię za twoją nienawiść. Jesteś prawdziwie moim dzieckiem, bardziej do mnie podobnym niż większość ludzi. Zaslługujesz na ciasto księżycowe, dam ci je. Wtedy będziesz mogła nie tylko zabijać, ale i dręczyć. Będziesz cieszyć się zemstą, będziesz się nią napawać. Biada tym, którzy cię źle traktują. Dasz mi miłość jeszcze silniejszą i gorętszą, dzięki nienawiści, która się z nią splata.

Będziemy dręczyć, będziemy zabijać. Smak krwi zaostrzy nasze zmysły, nasze dzikie rozkosze miłosne, o których słabi ludzie ledwie śmiały pomyśleć. To, co mi dasz, będzie tylko dla mnie, dla żadnego innego kochanka, póki istnieje ten świat.

A teraz hej — do Lochloy! Zostawię cię tam na trochę. Jeszcze jeden pocałunek i ruszamy.

Dwa kruki kołowały nad nisko położonymi bagniskami niedaleko brzegu morza, nurkując nad falami bijącymi

o brzeg, pędziły na cypel starej mierzei, a potem ruszyły wprost na południe, przecinając lotem wschodni kraniec jeziora. Tam usiadły. Po chwili można było widzieć dwoje ludzi, idących nieśpiesznie od jeziora w kierunku folwarku.

Na błotnistej drodze od wschodu jakiś mężczyzna w stroju szambelana, siedzący na wspaniałym czarnym rumaku, jeździł powoli tu i tam, jakby na kogoś czekając. Gdy się zbliżali, przeszedł w stępa i zatrzymał konia tuż obok nich.

— Dla pani Isabel Goudie — skłonił się podając jej jakiś list. — Od sir Roberta z Gordonstown. Nakazano mi oddać go wyłącznie w pani ręce i nikomu o tym nie mówić.

Isabel wzięła list i złamała pieczęć. Pan Ciemności usunął się, ale Isabel skinęła, by podszedł i czytał razem z nią. Oto treść listu:

„Do rąk pięknej Pani, mojej szanownej przyjaciółki, jeśli pozwoli, by tak ją nazywać, Pani Isabel Goudie, potocznie zwanej Isabel Gilbertową z Lochloy”.

— „Potocznie zwanej” — szepnęła Isabel. — Podoba mi się to określenie. Sir Robert jest prawdziwym dżentelmenem.

„Proszę Panią na Jej dobroć” — czytali — „by zechciała przybyć do nas jak najszybciej, gdyż nasza ukochana młodziutka krewna, a Pani przyjaciółka, Jean Gordon, poważnie zaniemogła i koniecznie chce się widzieć z Panią. Jestem pewien, że na całym świecie Pani jedna może ją uleczyć. Przysłałbym po Panią karete, ale sądzę, że Ten, którego oboje znamy, potrafi zapewnić Pani wygodniejszy pojazd, a przy tym nikt by o niczym nie wiedział, co byłoby rzeczywiście wskazane w naszych czasach, gdy wokół tyle ludzi wścibskich i skorych do potępiania innych. Chciałbym zapewnić Panią, iż wiem z całą pewnością, że to David Hay zadenuncjował narzeczonego Pani przyjaciółki, Cosmo Hamiltona — mojego dobrego przyjaciela — przed przekłętymi angielskimi kowenantystami i w ten sposób wpędził ją w chorobę. Na szczęście, wspomagany przez kogoś, kogo znamy oboje, pokrzyżowałem jego podle zamysły i młody Hamilton jest obecnie bezpieczny we Francji, jak mi niedawno doniesiono. Ufam, że David Hay będzie jeszcze cierpiał tak, jak na to zasłużył i kreślę się z poważaniem
Pani uniżony sługa Robert Gordon z Gordonstown.”

— Mistrzu, czy mam jechać? Tak bym chciała jechać! Czy mogę pomóc mojej drogiej Jean — czy ty mógłbyś mi w tym pomóc?

— Tak, jedź, moje kochanie. To choroba zesłana przez ludzi, którzy jej źle życzą. Chętnie zostaliby moimi sługami, gdyby się odważyli i gdybym ja ich zechciał, ale nie chcę. Biedni głupcy chcieliby służyć diabłu, a przy tym zachować spokój tego, co zwa sumieniem. Chcieliby zachować szacunek bliźnich, ale wciąż go tracą. Chcieliby korzystać z obydwu światów, a nie korzystają z żadnego, bo to głupcy.

Będziesz w stanie zdjąć te marne uroki. Zupełnie inaczej byłoby, gdyby tak zrzadzili potężni Władcy Losów. Ale nie będziemy o tym mówić.

Kiedy zechcesz, weź uschły badył i jedź „Koniem i biczem”. Pomogę ci. Szczęśliwej drogi!

— Powiedz sir Robertowi, że zastosuję się do jego życzenia — zwróciła się do szambelana, a ten ścisnął konia ostrogami i ruszył galopem. Gilbert chrapał spokojnie już od jakiegoś czasu.

Rozdział IX

Magia — czarna i biała

Wiał dość ostry wiatr, ale dzień był pogodny. W lasach Brodie jesienne liście spadały z drzew jak deszcz, gęsto wirowały w powietrzu, a na ziemi układały się w żółto-brązowo-czerwony dywan.

Jak zwykle o tej porze na folwarku Lochloy nie było żywej duszy.

Johnowi Gilbertowi nigdy nie przyszło do głowy, że dzień w dzień Isabel zostawała na folwarku zupełnie sama, pozbawiona możliwości wykonywania nawet zwykłych prac domowych i w gospodarstwie — wyręczały ją w tym dziewczyny służebne; było dokładnie tak jak przedtem, nim Isabel przyszła na folwark.

Isabel stała w drzwiach, patrząc jak zwykle poprzez morze, na wzgórza Sutherland i Caithness. Myślała o zmianach,

które zaszły w jej życiu — o tym, jak była niczym nu tej samotnej farmie, jak jej przybycie nie miało żadnego znaczenia, jak była strasznie samotna — teraz ta cudowna odmiana, miłość.

Myślała o biednej Jean Gordon, o której pisał w liście sir Robert. Pan Ciemności kazał jej jechać, obiecywał pomoc. Kiedy powinna tam jechać? Sir Robert nie wyznaczył dnia ani pory. Kiedy się nad tym zastanawiała, jakby w odpowiedzi na jej myśli wiatr przywiał jakąś słówkę niemal wprost w jej dłoń.

Schwyciła ją, położyła na ziemi między stopami i zawołała: „Koń i bicz, w imię diabła!” i poczuła, że siedzi na czarnym koniu. Dosiadła go okrakiem, jak w dzieciństwie. Na skraju drogi stał Pan Ciemności. Zdjął kapelusz na jej widok.

— To odpowiednia pora — powiedział. — Śpiesz się!

— Ale przecież nie mogę jechać w tej odzieży.

Zdała sobie sprawę, że jest ubrana w starą samodziałową suknię ze złotym krzyżykiem i że siedzi na koniu po męsku; w owych czasach żadnej kobiecie z odrobiną szacunku dla siebie nie przyszłoby do głowy dosiąść konia w ten sposób.

— Jedź tak, jak jesteś — odpowiedział. — Tak właśnie powinnaś dziś jechać.

Stał daleko, a jego głos brzmiał zimno. Isabel garnęła się do niego całą swoją istotą, pragnęła go objąć. Wyciągnęła stęsknione ramiona, ale on nie ruszył się z miejsca.

Isabel poczuła ukłucie w sercu. Pragnęła, by ją objął, wciąż nie mogła się wprost nasycić uściskiem jego silnych ramion. Poza tym wolałaby się zjawić przed sir Robertem w piękniejszym stroju. Ale słowa Mistrza były dla niej prawem.

Koń i bicz! Siadaj i jedź! Koń i bicz! Przed siebie leć. ***W imię diabła!*** Wielki koń stanął dęba i skoczył w powietrze, ponad dachy folwarku.

— Hej, na Gordonstown! — zawołała, gdy skręcili na wschód, nad lasy Brodie, nad rzekę Findhorn. Pod nimi rozciągały się świętojańskie błonia, na których piękna królowa Maria przyglądała się sławnemu turniejowi. Lecieli nad Bniszczonym opactwem Kinloss, szybko niszczejącym

od czasu, gdy Cromwell wywiózł połowę kamieni, z którego było zbudowane, by budować fort w Inverness. Minęli Windylass, gdzie mieszkał inny Brodie. Jechali tak, aż ujrzała wody jeziora Spyrie, a od strony morza — lasy otaczające siedzibę Gordonstown.

Dziwna to była budowla. Pośrodku wznosiły się fragmenty szarego, starego zamczyska oraz pozostałości domu Innes Drainie, podobno nawiedzanego przez duchy wiele lat temu, a wokół rosły nowe budynki, jeszcze nie dokończone, które wznosił sam sir Robert. Cały ten niejednolity twór przypominał nieco duński *chateau* (zamek).

Teraz kary rumak Isabel, który wyglądał jak zwyczajny wierzchowiec, szedł poważnym klusem wzdłuż alei prowadzącej na zamek, a z tyłu spostrzegła jadącego za sobą szambelana. Gdy zsiadała przed wejściem, szambelan przytrzymał jej konia. Na schodach czekał sir Robert, by ją powitać. — Witaj, pani, w moich skromnych progach — powiedział. — Cieszę się, że przybyłaś tak szybko.

— Wybacz, panie, moje nędzne ubranie. Kazano mi jechać natychmiast, nie zmieniając odzieży.

— Jakiegokolwiek nosisz ubranie, pani, dobrze się prezentujesz. A co ważniejsze, czuję, że bije od ciebie uzdrawiająca siła. Jean jest ciężko chora, bliska śmierci i domaga się widzieć ciebie. Jeśli można, zaprowadzę panią do niej, nie zwlekając. Tylko pani może nam teraz pomóc. Isabel obejrzała się — koni już nie było, a szambelanem był sam Pan Ciemności.

— Proszę mnie do niej zaprowadzić — powiedziała. — Biedna, kochana Jean! Wszystko bym oddała, byle jej tylko pomóc!

— Moc uzdrowienia jest w twoich rękach — odezwał się obok Isabel jakiś głos. — Czyń i mów, co uznasz za słuszne, a będzie uleczone. Wokół nikogo nie było. Głos przyszedł znikąd, a może brzmiał tylko w jej umyśle.

Wielkimi paradnymi schodami zeszła do holu lady Mary i przywitała się z Isabel. Była spokojna i majestatyczna jak zwykle, ale w twarzy miała niepokój.

— Jean prosi, by powiedzieć, jak ogromnie uradował ją pani przyjazd. Jest pewna, że pani potrafi ją uleczyć. Dałby Bóg, by tak się stało. Ogromnie się o nią niepokoiimy.

— Zaprowadź ją do małej — powiedział sir Robert. — Chciałbym zamienić kilka słów z moim przyjacielem.

Idąc szerokimi schodami za lady Mary, Isabel obejrzała się i zobaczyła, jak sir Robert żywo rozprawia z Panem Ciemności, przebranym za szambelana. Jakaś nieznana siła kazała jej wyjąć mały nożyk, z którym się nigdy nie rozstawała. Rozcięła szwy, którymi złoty krzyżyk był przymocowany do sukni na jej piersi i wzięła krzyżyk do ręki. W tym momencie zauważyła, że jej stara samodziałowa suknia już nie była stara i zniszczona. Była to ta sama suknia, ale jakby odmieniona, nowa i świeża — czuła się w niej wspaniale.

— Nasza Jean jest bardzo chora — mówiła lady Mary. — Znajdzie ją pani bardzo zmienioną. Zupełnie nie wiemy, co jest tego przyczyną. To nie jest „wyniszczająca niemoc”, jak nas zapewnia medyk, a i Robert, który zna się nieco na medycynie — doprawdy, sędzę, że zna się na leczeniu lepiej niż medyk — jest pewien, że to nie ta choroba. Ale ani Robert, ani medyk nie potrafią znaleźć na nią lekarstwa. Kiedy Jean domagała się, by pani do niej przyjechała, Robert powiedział, że tylko pani mogłaby ją wyleczyć, nikt inny. Nie wiem, dlaczego tak mówił. Ale uparł się i posłał do pani list przez szambelana.

— Bardzo się cieszę, że mnie o to proszono — odpowiedziała Isabel. — Bylebym tylko mogła się na coś przydać.

Biedna Jean wyglądała bardzo mizernie i blado, gdy leżąc na poduszkach zwróciła ku Isabel umęczone oczy, pełno miłości, ciesząc się jej widokiem.

Isabel uklękła przy jej łóżku. Położyła smukłą chłodną dłoń na rozpalonym czole Jean, gładziła jej miękkie brązowe włosy i czekała, aż przyjdą odpowiednie słowa, aż będzie wiedziała, co ma robić.

Przypomniały jej się słowa słyszane dawniej temu w małej katolickiej kapliczce: „W on czas. będzie wam powiedziane, co macie mówić”. Więc czekała. Gdy klęczała, z jedną dłonią na czole Jean, a drugą, w której miała złoty krzyżyk, trzymając Jean za rękę, przyszły jej na myśl te słowa — skąd, nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć. Zaczęła nucić półgłosem te jakby ludowe rymowanki:

Jechał jasny i wolny Pan Do Galilei bram.

Odzyskał krew kropla po kropelce,

Kości i ciało, nogi i ręce. Święta Panienka — to Ona Odczarowała Syna własnymi rękoma. Bądź zdrow, mówiła do Syna Kochanego, W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Gdy nuciła, gorączka zdawała się gasnąć w oczach Jean, szybki oddech powolniał i stawał się bardziej miarowy. Głowa opadła jej na poduszki. — O, jaki cudowny spokój — mówiła ledwie dosłyszalnie. — Kochana Isabel, wiedziałam, że mnie uleczysz. Już nic mnie nie boli. Niech ci to Bóg wynagrodzi.

Zasnęła.

Lady Mary i Isabel wyszły cichutko z pokoju. Isabel oparła się o barierę schodów, bliska omdlenia, jakby opuściły ją wszystkie siły. Lady Mary objęła ją i sprowadziła na dół do holu, gdzie usadowiła ją w wielkim fotelu wyłożonym poduszkami. Sir Robert był sam.

— Posłuchaj, Robercie — powiedziała lady Mary. — Miałeś zupełną słuszość. Ta kochana dziewczyna dokonała cudu. Jean ma się już lepiej, a wkrótce zupełnie wyzdrowieje. Ale Isabel zupełnie opadła z sił.

Poświęciła się dla przyjaciółki.

— Zaraz zaradzimy jej słabości — odpowiedział. — Ale sama się na to zdecydowała, o ile się nie mylę.

Sięgnął do pobliskiej półki po butelkę mocnego, słodkiego kordiału i napełnił nim kielich.

— Proszę to wypić, pani Isabel. To wróci pani siły. Spojrzała na niego smutnymi, zmęczonymi oczyma i wzięła kielich jak automat. Napój smakował jak ogniste wina, które piła na sabatach w Darnaway. Sir Robert bacznie się jej przyglądał, a Isabel czuła, że odżywa. Krew poczęła żywiej krążyć w jej żyłach; znikło zmęczenie.

— Mary — powiedział — chciałbym porozmawiać z panią Isabel, podziękować jej za pomoc, którą nam przyniosła w samą porę. Zostaw nas samych na parę chwil.

— Pójdę posiedzieć przy Jean. Chyba teraz śpi.

— I obudzi się zdrowa. Idź do niej, Mary.

Sir Robert i Isabel zostali sami. Isabel czekała na tę chwilę tak długo, z takim utęsknieniem, a gdy nadeszła, nie mogła wyrzec słowa.

Sir Robert powiedział dobrotliwie:

— Wiem, że od czasu naszej rozmowy w Lochley pragnie mnie pani o coś zapytać. Uważa pani, że jestem obdarzony niezwykłą mocą i pewnie dziwi się, że sam nie leczyłem siostrzenicy, że to pani ją uzdrowiła.

— Rzeczywiście, sir Robercie, myślałam o tym.

— Zawsze pragnąłem zdobyć wiedzę. Od chłopięcych lat paliła mnie ciekawość. Zdobyłem znaczną wiedzę, może w sposób, który mógłby być uznany za bezprawny. To mnie nie obchodziło, o ile tylko mogłem się uczyć. Wiedza pozwala mi robić pewne rzeczy, których nie potrafią inni. Ale nie o to mi chodziło. Nigdy nie goniłem za przyjemnościami ani władzą.

Jak mi wiadomo, złączyła pani swój los z jednym z moich przyjaciół, którego nie muszę bliżej określać. Dzięki niemu może pani zdobyć moc magiczną, miłość i wszelkie przyjemności. Ma pani klucze do śmierci, ale nie do życia. Jego potęga daje pani moc szkodzenia, ale nie leczenia. Może pani pomagać tylko tym, którzy tak jak pani, przystąpili do niego — ale tylko do pewnego stopnia. Oto, co może on pani ofiarować.

Ale pani może zrobić coś więcej; ochrzczono panią w kościele katolickim, co daje pani naturalną władzę nad pewnymi siłami przywracającymi zdrowie i życie. Tak, mogłaby pani nawet odwrócić wyrok Władców Losu! Ale drogo musiałyby pani za to zapłacić. Jeśli chodzi o Jean, to sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Jean zaszkoziła tylko niechęć bardzo złego człowieka, który związał się z pospolitą czarownicą. Jedyłą siłą tego człowieka są jego podłe myśli i pragnienia. Takie uroki może pani zdjąć własną mocą, ale dokonałaś tego mocą swego chrztu katolickiego, co było słuszne w tym wypadku. Przez to twój przyjaciel musi się od ciebie trzymać z daleka przez czas jakiś.

— Więc to dlatego był tak dziwnie oziębły! — zawołała. — Bardzo mnie to martwiło. — Co trzyma pani w dłoni?

Otworzyła dłoń, pokazując mały złoty krzyżyk.

— Otóż to. Dopóki trzymasz go w rękę, on nie może się do ciebie zbliżyć. Takie są jego prawa.

Na krótką chwilę opanowała ją szalona chęć, by wyrzucić krzyżyk przez okno. Sir Robert wstrzymał ją ruchem ręki.

— Nie! Proszę tego nie robić. On nie może się do pani zbliżyć, dopóki trzyma pani ten krzyżyk w rękę czy w ogóle

blisko ciała. Ale jeśli go pani odłoży, wszystko będzie po staremu.

— Ale po co mi ten krzyżyk, jeżeli, jak pan twierdzi, mogę leczyć bez jego pomocy? Nie chcę, by Mistrz odsuwał się ode mnie.

Zamilkła lekko zmieszana. Nie chciała tyle zdradzić sir Robertowi.

Uśmiechnął się łagodnie i wyrozumiale.

— Ależ nie, proszę mi wierzyć. Tak dzieje się tylko w przypadku, gdy krzyżyk znajduje się w bezpośredniej bliskości pani. Proszę pomyśleć: dziś uzdrawiała pani właśnie dzięki niemu i znów będzie pani mogła to robić.

Ale może się zdarzyć, że w jakiejś nagłej, strasznej potrzebie będzie pani chciała odwołać zrządzenie Władców Losu. Będzie to mogła pani zrobić właśnie dzięki krzyżykowi. W tym względzie może pani dokonać więcej niż ja, przy całym moim wykształceniu i wiedzy. Ale tylko jeden raz.

Potem straci pani całą swoją moc i nigdy już jej nie odzyska. Niech więc pani uważa — posiada pani najpotężniejszy talizman na ziemi.

— Sir Robercie, to, co pan mówi i co ostatnio przeżywałam, jest tak niezwykle, że mogę to wszystko traktować tylko jak jakiś niesamowity, szalony sen. Proszę mi powiedzieć, jeśli pan może: czy to wszystko prawda?

— Czy to prawda? Pani Isabel, czy ktokolwiek może stwierdzić z całym przekonaniem, że coś jest prawdą? Wieki temu najtęższe umysły, najwięksi filozofowie roztrząsali tę właśnie kwestię. Pytanie do dziś pozostało bez odpowiedzi, i tak będzie do końca dziejów.

Podobno sny nie są prawdziwe, a jednak wielu z nas widziało we śnie rzeczywiste zdarzenia. Po przebudzeniu te osoby powiedziałyby, że te sny były prawdziwe. Może pani latać w powietrzu, chociaż większość ludzi powiedziałyby, że nie można latać naprawdę, jednak w Italii mistrz Leonardo prawie tego dokonał, a w przyszłości każdy będzie mógł latać — jeśli zechce. Dzięki nauce ja sam mogę dokonywać rzeczy, które nie mogą się naprawdę zdarzyć, jak niektórzy twierdzą, ale przyjdzie czas, że staną się pospolitym zjawiskiem.

Są i tacy, którzy twierdzą, że nic naprawdę nie istnieje, że nic nie jest prawdziwe. Pani! Jeśli coś jest prawdziwe, rzeczywiste — to wszystko jest prawdziwe. Ja po prostu

znam kilka sekretów przyrody, których inni nie znają. Pani również może dokonywać rzeczy, których inni nie potrafią.

Nie będę dłużej pani zatrzymywać. Może mi pani zaufać. Znam zaklęcia, których pani używa. Znam tego, z kim tu pani przyjechała. Dał mi wiedzę, a pani moc magiczną i radość. Pozwoli pani, że odprowadzę ją do drzwi, nim wezwie pani swojego wierzchowca. Jeszcze raz dziękuję, że zechciała pani przybyć do nas, gdy byliśmy w potrzebie.

Gdy stanęła przed drzwiami wejściowymi, zatrzepotało w powietrzu jakieś uschłe źdźbło i sfrunęło do jej ręki. Schwyciła je i położyła na ziemi między stopami. Sir Robert podał jej rękę; Isabel zawołała: ***Koń i bicz! W imię diabła!*** i oto siedziała na czarnym rumaku. Zanuciła zaklęcie: ***Koń i bicz, siadaj i jedź, Z radości krzycz, przed siebie leć, W imię diabła!***

Dziwiło ją trochę, że złoty krzyżyk w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał jej w locie. Wciąż trzymała go w ręce i już unosząc się w powietrzu ukryła go na piersi. Ale Pana Ciemności nigdzie nie było. Kiedy zsiadała w Lochloy z konia i suchy badył uleciał z wiatrem, na wpół zobaczyła, na wpół wyobraziła sobie, że Pan Ciemności stoi obok przydrożnego rowu. Ogarnął ją lęk. Co stało między nimi? Czy zabrano jej całą radość życia i miłości tak nagle, jak ją darowano? Serce w niej zamarło; poczuła tępy ból w całym ciele aż po koniuszki palców, a oczy wezbrały łzami. — Czerwony Rozbójniku! Czerwony Rozbójniku! -- wezwiała usługującego jej duszka, ale nie zjawił się na wezwanie. Coś tylko jakby zatrzepotało, zatańczyło w pewnej odległości od niej — czy też był to tylko cień? Więc i duszka jej odebrano? Nie mogła znieść tej pustki i rozpacz. Przypomniała sobie, co sir Robert mówił jej o krzyżyku. Byłaby wyrzuciła go bez zastanowienia, gdyby jej nie wstrzymał, gdyby nie zapewniał, że wszystko będzie jak dawniej, jeśli nie będzie mieć krzyżyka przy sobie.

Rzuciła się do domu: krzyżyk był przy sukni z samodziału. Kiedy nie miała tej sukni na sobie, nic nie dzieliło jej i kochanka, ale kiedy ją włożyła, nie mógł się do niej zbliżyć. Szybko, z gorączkowym pośpiechem zaszła krzyżyk w stanik sukni. Potem gwałtownie zdarła suknię z siebie,

w samej koszuli rzuciła się do kufra i schowała w nim suknię. Ledwie ułożyła suknię w kufrze i wyprostowała się, a Pan Ciemności już stał przy niej i brał ją w ramiona.

— Mój ukochany — szeptała, kiedy scałowywał gorące łyzy z jej policzków. — Myślałam, że Cię utraciłam. Cały świat pociemniał, słońce zgasło.

— Nie, kochanie, nie myśl tak. Czekają nas wspaniałe czasy. Mogę ci dać o wiele, o wiele większą moc, niż mogłabyś sobie wymarzyć. Przecież mój przyjaciel sir Gordon powiedział ci, że nie mogę zbliżyć się do miejsc, gdzie jest ten symbol. To nie ja odchodzę od ciebie, to ty nie dopuszczasz mnie do siebie. Ale przecież dobrze wiem, że robisz to, co musisz. Popatrz, jak młody księżyc idzie za słońcem. Kiedy będzie w pełni, przygotujesz księżycowe ciasto. Sam cię nauczę tej sztuki w starym zamku, który tyle razy był dla nas altaną miłości.

— Powiedz, mój słodki panie, czym właściwie jest to księżycowe ciasto. Tyle o nim słyszałam.

— Chodź do mnie na kolana, o tak. Ale najpierw zasłoń okno chustą. Teraz mogę mówić. Nie, nie bój się, na razie nikt nie wróci z folwarku. Dopóki z tobą rozmawiam, nie pozwolę im opuścić pola. A zatem Hekate, która ukazuje się ludziom jako księżyc, posiada dziwną moc; można posłużyć się tą mocą, jeśli się wie jak. Kiedy z sierpu przemieni się w srebrzystą tarczę, ściągniesz ją z nieba, by wykonała twoją wolę: poświęci ciasto, które ty przygotujesz. Jeśli ulepisz z niego figurkę na czyjeś podobieństwo, to stanie się ona tą osobą, gdy tylko zakończysz lepienie. Słyszałaś o „wyniszczającej niemocy” — pobożny ludek przypisuje tę chorobę diabłu i ma rację. Choroba rozwija się, gdy moi wierni sporządzają taką figurkę i przypiekają ją na ogniu. Tak, a kiedy nakłuwają ją szpilkami, ta osoba odczuwa przejmujący ból we wszystkich członkach.

— O mój drogi panie... dziedzie Park... — zamruczała Isabel.

— Tak, on także, jeśli chcesz, czy ktokolwiek inny. Przy pomocy strzał śmierci możesz zadać nagłą śmierć, ale przy użyciu tego ciasta możesz zadawać tortury, a możesz robić także inne rzeczy, na przykład łączyć rozdzielonych kochanków.

— Moją kochaną Jean i jej narzeczonego? — Tak, jeśli zechcesz.

— I to nie odsunie ciebie ode mnie jak wtedy, gdy ją uzdrawiałam?

— Nie, Hekate jest moją sługą. To czarownica stara jak świat, starsza niż świat, ale wciąż piękna i młoda.

— Jestem o nią trochę zazdrosna — szepnęła, tuląc się do niego i kryjąc twarz na jego piersi.

— Nie, nie bądź zazdrosna. Hekate nie posiada cudownego uroku twojej płci. Jest stara jak świat i cudownie piękna, ale zimna — sama widzisz, jak zimny jest księżyc. Żaden kochanek nie rozbudził w niej marzeń o szczęściu. Jest moją sługą, a będzie i twoją. Posłuchaj, możesz dokonać jeszcze innych rzeczy — rozdzielać najwierniejszych przyjaciół czy kochanków. Na kogo wskażesz, pójdzie ślepo za tobą i zrobi, co mu każesz.

— Słodki panie, daj mi tę moc. Zawsze o niej marzyłam, całe swoje życie. Daj mi ją zaraz.

— Nie, moje kochanie. Nauczę cię w zamku, jak to ciasto należy sporządzić, ale ty musisz je wyrobić własnymi rękami. Widziałaś we śnie odrażające wiedźmy, które nauczyły się trochę lichych czarów od starej Cyganichy, jak gotowały ten odrażający wywar na cmentarzu w Aulderne. Ten wywar miał trochę mocy, która ma źródło w złości i nienawiści, ale doprawdy - niewiele. Jedno twoje słowo, słowo królowej czarownic, może ją pokonać, jeśli je wypowiesz. Ale nikt nie może się przeciwstawić mocy księżycowego ciasta — oprócz mnie. Chyba, że użyjesz tego talizmanu... wiesz, o czy mówię. Ale wtedy stracisz wszystko. Isabel wstrząsnął dreszcz.

— Kiedy będziesz mnie uczył, mój słodki panie?

— Nim ten księżyc będzie w pełni. Bo właśnie, gdy idzie przez niebo, okrągły jak srebrna tarcza, jest najlepsza pora. A teraz, najmiłsza, jeszcze jeden pocałunek i odchodzę. Gdy ludzie wracali z pola, z pustego folwarku odlatywał tym razem tylko jeden kruk. Isabel włożyła swoją zrudziała suknię, drżąc z radości i podniecenia.

Czekały ją nowe rozkosze, nowe możliwości. Już wiedziała, że może leczyć tych, których kochała. Teraz nauczy się, jak zadawać cierpienie i śmierć tym, których nienawidziła. Nauczy się, jak połączyć Jean z jej ukochanym, nie tracąc przy tym swojego kochanka. Zaś ów mały krzyżyk

obdarzał ją z kolei inną przedziwną mocą za cenę jakiejś strasznej ofiary — jakiej, nie wiedziała. No cóż, nie miała zamiaru odwracać wyroków Władców Losu — los dobrze się z nią obchodził — więc ta sprawa nie miała znaczenia. Zaczęła przygotowywać wieczerzę, a krew wprost śpiewała w jej żyłach.

Przeżycia minionego dnia wróciły do niej w snach, gdy zasnęła tej nocy. Zdawało jej się, że jest w zamku Gordonstown, ale nie w holu, gdzie rozmawiała z sir Robertem ani nie w komnatce Jean. Sir Robert zaprowadził ją do zachodniego skrzydła zamku, do pomieszczenia przypominającego loch — wysoko sklepionego, o ścianach, podłodze i suficie z litego kamienia. W wielkim kołpakowym piecu huczał ogień; wokół stały tygle, alembiki oraz inne przybory chemiczne. Na ogniu stało jakieś naczynie, połączone rurką z pustą w środku kulą, ustawioną na stole; kulę oświetlała silna lampa. Zdawała się pełna obłoków pary, wijących się i czołgających niby kłębowisko jasnych węży. Wydawało się Isabel, że w głębi pieca, w najgorętszym żarze, dostrzega niejasny kształt nieco przypominający jaszczurkę, który porusza stojącym na ogniu naczyniem.

Byli tam sir Robert i Pan Ciemności. Skinęli na nią, by podeszła i zajrzała w głąb kuli.

— Nic nie widzę — powiedział drugi z nich. — Przeszkadza mi księży wpływ. Ale ona widzi i powie nam.

Śniła, że zagląda do kuli stojącej między tymi dwoma mężczyznami; każdy z nich trzymał ją za rękę. Obłoki zawirowały i znikły. W kuli zaczął powstawać jakiś obraz. Długa prosta droga wysadzana topolami; po jednej ze stron drogi biegł kanał; na końcu drogi stał zamek w stylu francuskim z narożnymi wieżami i mostem zwodzonym. Isabel opisała ten obraz, a sir Robert powiedział:

— To Montfaucon. Ona rzeczywiście widzi to, czego my nie moglibyśmy zobaczyć.

— Księżowskie wpływy nie są szkodliwe dla ludzi, którym udzielono chrztu katolickiego — powiedział jego towarzysz.

Następnie ukazał się w kuli mężczyzna w mundurze oficera Gwardii Szkockiej. Isabel opisała go z najmniejszymi szczegółami.

— Ależ to Cosmo! — zawołał sir Robert zachwycony.

Teraz proszę się dobrze przyjrzeć, moja droga pani. Wiem, że grozi mi niebezpieczeństwo, ale nie wiem, skąd nadejdzie.

W skupieniu wpatrywała się w wirujące obłoki, które znikwały i znów się pojawiały. Widziała jakby złą, napuchniętą twarz dziedzica Park i naradę świętoszkowatych Okrągło-głowych w Londynie. Pojawił się obraz portu, statki przyływały i odpływały; na statkach i na moło było wielu marynarzy. Ci, których rozpoznawała, byli w przebraniu.

— To port londyński — powiedziała. — Czekają tu na niego. Ludzie w przebraniu chcą go schwytać lub zasztyletować. Otrzymali wiadomość o jego powrocie.

— Zatem wszystko w porządku — powiedział sir Robert. — Kazałem mu zostać w Montfaucon, aż go wezwę. Dziękuję pani. Teraz, kiedy wiem, że może pani wiedzieć rzeczy niewidzialne, jestem spokojny. Znów poproszę panią o pomoc w razie jakichś trudności.

Ciemność zapadła na tę scenę. Isabel leżała w swoim pokoju w Lochloy, rozwidniało się. To był tylko sen, ale tak wyrazisty, że omal uwierzyła, że była tam naprawdę.

Rozdział X

Woda z siedmiu źródeł

Istnieje niezliczone mnóstwo wzmianek na temat polityk; owej epoki, zarówno w formie dokumentów państwowych, jak i prywatnych listów i pamiętników, pisanych przez wybitne osobistości oraz ludzi nikomu nie znanych, rojalistów i zwolenników Kowenantu, ale stoją wobec siebie w tak głębokiej sprzeczności, że nie sposób ustalić, które z opisanych faktów zdarzyły się naprawdę.

Zawiazywano spiski w celu przywrócenia rządów króla IOirola oraz kontrspiski w zamiarze zniszczenia spiskowców. Podejrzanych mordowano bez większych skrupułów, a rzucanie podejrzeń było tak łatwe i powszechne, że nikt

nie był naprawdę bezpieczny. Chociaż rojaliści, którzy mieli we Francji przyjaciół lub też byli spokrewnieni z którymś z wielkich rodów, byli tam bezpieczni pod opieką Anny Austriaczki i kardynała Mazarina, jednak wojny Frondy spowodowały stan ogromnej niepewności, a względy dworu narażały ich na ataki ze strony Frondystów i ich zwolenników. Dlatego też, mimo że potężny ród Hamiltonów miał we Francji niemal więcej związków rodzinnych niż w Szkocji i krewni młodego Cosmo, licznie tam zamieszkujący, z radością powitali go w swoim gronie, młodzieniec znajdował się w niebezpieczeństwie i niepokój sir Roberta był w pełni uzasadniony. Co prawda w samym zamku Montfaucon był on obecnie bezpieczny, ale nikt nie mógłby przewidzieć, jak długo. Z trudnością udawało się powstrzymać młodego porywczego żołnierza od natychmiastowego powrotu do Jean, chociaż sir Robert i lady Mary umyślnie bagatelizowali powagę jej choroby. Wielki kardynał mianował go oficerem Gwardii Szkockiej króla Ludwika — wówczas prawie jeszcze dziecka — i sir Robert zaklinał go, by pozostał we Francji. Także Jean, w pełni ufając mądrości sir Roberta, błagała go, by nie przyjeżdżał, mimo wielkiej za nim tęsknoty.

Zatem na razie zakochani musieli pozostać rozdzieleni. Jean, mimo, że jej powrót do zdrowia po odwiedzinach Isabel Goudie był tak szybki, iż nikt — z wyjątkiem sir Roberta — nie mógłby nigdy oczekiwać czegoś podobnego, bardzo się gryzła oddaleniem od ukochanego i całą tą sprawą, która wydawała się beznadziejna i tylko absolutne zaufanie do sir Roberta podtrzymywało w niej wolę życia.

W swym usilnym dążeniu do wiedzy sir Robert doszedł obecnie do dwóch nowych faktów. Isabel Goudie posiadała zadziwiającą moc uzdrawiania; była także jasnowidzem, mimo opiekuńczych kręgów wyznaczonych przez księży. Te dwa fakty dowodziły, że Isabel była zupełnie wyjątkową istotą i zasługiwała na dogłębne badania. Ona jednak potrafiła pomóc Jean. Połączenie jej chrztu chrześcijańskiego, którego się nie wyrzekła, i paktu z Panem Ciemności dawało niezwykle interesujące wyniki.

Należy oczekiwać, że niektórzy wielce uczeni teologowie kościoła katolickiego przeczyli z całą mocą, jakoby w tych okolicznościach Isabel mogła przejawiać jakikolwiek cu-

downą moc; można się w niej doszukiwać wyłącznie szatańskich wpływów. Prezbiterianie i duchowni reformowanego kościoła Szkocji nie dopuszczali myśli, by jakiegokolwiek cuda mogły mieć miejsce za pośrednictwem papieskiego kościoła i jego bluźnierczych oszustw; chociaż było rzeczą powszechnie wiadomą, że gorące modły bogobojnych pastorów kościoła Szkocji mogą być czasami bardzo skuteczne. Sceptyczni filozofowie zarówno we Francji, jak i Szkocji, jednogłośnie odmawiali im mocy cudotwórczej, chociaż było rzeczą znaną i uznaną, że pewne zioła zebrane w odpowiedniej kwadrze księżyca i przy korzystnym układzie gwiazd miały rzeczywiście wielką siłę uzdrawiającą — była to jednak siła wiedzy, a nie zabobonu.

Jednakże sir Robert, chociaż przysłuchiwał się wszystkim tym opiniom, bystrze zauważył, że fakty mają większą wagę niż teorie; a ponieważ Isabel mogła widzieć rzeczy niewidzialne dla innych i potrafiła przywracać ludziom zdrowie, lekceważył sobie uczone wywody wszystkich profesorów uniwersyteckich, twierdzących, że żadna z tych rzeczy nie jest możliwa.

Równie mało cenił stwierdzenie, że można było ich dokonywać dzięki siłom diabła, jeśli on sam, dobry znajomy Szatana, właśnie tego nie mógł dokonać. Sama pani Isabel Goudie utrzymuje, że uzdrowiła kilkoro chorych. Ale chociaż podaje słowa zaklęć i twierdzi, że używała imienia diabła przy rzucaniu uroków, nie wydaje się, by jasno zdawała sobie sprawę z motywów, które nią kierowały.

Także ojciec Blackhall był tą sprawą niezwykle zainteresowany, Jako ksiądz, zawzięcie zwalczał na tym świecie wszystko, co uważał za dzieło Szatana, a za takie uważał, w ślad za apostołami: — zawiść, nienawiść, złość, bluźnierstwo, złorzeczenie, pychę, głupotę i podobne — wszystko, co dzieli bliźnich oraz walkę z duchem świętej miłości. Dlatego niezmiernie mu zależało na poznaniu wszelkich znanych faktów dotyczących złego ducha. Zdaje się, że pytano go o wypadki nagłej śmierci, kiedy to mężczyźni i kobiety padali martwi bez żadnej widomej przyczyny, zachował się bowiem jego list, pisany w odpowiedzi na podobne zapytanie. Pisze w liście, że to samo pytanie można by postawić w kwestii zwierzyny, którą ludzie chwytają i zabijają w imię tego, co zwą sportem. Widywał polowania wielkich panów we Francji i Italii, gdzie

zadawano mu podobne pytania: czym można je usprawiedliwić, a także: jak można dopuścić, by ludzie umierali z mocy diabła i przez jego złość, choć byli niewinni.

Odpowiadał, że te dwie kwestie są do siebie zupełnie podobne, gdyż, jak wiemy, żaden wróbel nie spadnie martwy na ziemię, jeśli nie jest to woła bożą. Musimy stąd wnioskować, że każdemu zwierzęciu, ubitemu na polowaniu, było przeznaczone zginąć właśnie wtedy i w ten sposób — nie mogło umrzeć w żaden inny sposób. Choć nie usprawiedliwia przy tym myśliwych, dla których nie wydaje się mieć wiele zrozumienia.

Podobnie, ciągnie ojciec Blackhall, jeśli człowiek umiera od czarów więdzmy lub przez złość Szatana, dzieje się tak tylko dlatego, że nadszedł czas śmierci tego człowieka; taki był mu przeznaczony rodzaj śmierci, a czarownica jest tylko narzędziem dopełniającym to, co stać się musiało. Dlatego litowanie się nad ofiarami jest pozbawione sensu.

Stawia czarownicę na równi z myśliwym; jego opinie zdają się stać w ostrej sprzeczności z opiniami innych ludzi owej epoki. Konkluduje bowiem, że chociaż zabijanie dla pożywienia jest usprawiedliwione, a nawet zalecane, to dla przyjemności zabijania nie może być usprawiedliwienia. Jest to bowiem prymitywny instynkt przyrodzony każdemu człowiekowi, a sprawą Ducha Świętego jest zwalczanie go i wykorzenienie.

Proszę zauważyć, że wielebny ojciec rozpoznał w Isabel te właśnie instynkty, które były w niej tak silne; należy przy tym dostrzec zasadniczą różnicę w ich traktowaniu ze strony ojca Blackhalla oraz Pana Ciemności. Przyczyną śmierci tych mężczyzn i kobiet były — jak obecnie wiemy — strzały śmierci. Ale w owym czasie tamte przypadki śmierci były dziwne i tajemnicze i — jak powiedziano wyżej — napełniały okolicę wielką trwogą. Zdarzało się, że będąc sama, Isabel brała te strzały do ręki i rozkoszowała się płynącym z nich poczuciem własnej potęgi, jednak do tej pory nie zrobiła z nich użytku, jeśli nie liczyć tego razu, gdy ubiła zającą oraz gdy nie udało jej się trafić dziedzica Park. Radowało ją poczucie, że może zabić, kiedy jej się spodoba, ale obecnie pragnęła przede wszystkim zdobyć księżycowe ciasto — mocy, które miało jej ofiarować, pragnęła całe swoje życie.

Tymczasem syn dziedzica zupełnie wyzdrowiał. Sierp księ-

zyca wypełnił się do połowy; zbliżał się czas, gdy będzie można użyć czaru.

Podczas spotkań we dwoje w zamku Inshoch Pan Ciemności wyjawiał Isabel sekrety wielu zaklęć. Nauczył ją, jak narzucić komuś silne złudzenie, by wyobrażał sobie, że widzi właśnie to, o co jej chodziło; jak sprowadzić wiatr, bijąc w mokre płótno, rozłożone na kamieniu przy wtórze pewnej rymowanki, a także jak go uciszyć. Mówił jej o tzw. dłoni chwały, czyli dłoni odciętej powieszonemu mordercy, dzierżącej w sinych palcach świecę, sporządzoną z tłuszczu nie chrzczonego dziecka. Gdy się nią zastukało w jakiegokolwiek drzwi, rzekłszy:

Otwórzcie się same, Ktokolwiek za drzwiami,

natychmiast opadały wszystkie kraty, otwierały się wszystkie rygle i niosący ową dłoń mógł wejść bez przeszkód do środka.

Jednak Isabel nigdy nie użyłaby tego sposobu, będąc — jako się rzekło — przeczuloną na punkcie zmarłych i czuła wrodzony wstręt do wszelkiej nekromancji. Wiedząc o tym, kochanek wspominał jej o tym jedynie jako o ciekawostce czarnoksiężskiej, pozbawionej przy tym większej mocy, podobnie jak owe odrażające wywary piekielne, sporządzane przez poślednie czarownice.

— Sama wiesz, kochanie — mówił — jak wielkie odrzwia zamku Darnaway same otwierają się przed nami. Nie potrzebujemy żadnej dłoni chwały. Ale tylko tym sposobem mogą wejść plugawe, niedouczone wiźmy cygańskie, jak tamta, którą znasz.

W tym też czasie Isabel dowiedziała się, że dziedzic Park cierpiał na owrzodzenie zwane ogniem świętego Antoniego — dziś nazywamy to różą — i cierpiał przy tym srodze. Isabel przypomniała sobie kosmyk własnych ognistych włosów, zrzucony na Park podczas swej pierwszej szalonej jazdy do Darnaway w towarzystwie innych czarownic. Przypomniała sobie, jak Pan Ciemności mówił, że każdy włoszek znajdzie swój cel i będzie dręczyć dziedzica — i cieszyła się.

Na folwarku żyło jej się lepiej. Gilbert podporządkowywał się jej woli, chociaż zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Sięgnął do ukrytej sakiewki i naprawił dom, gdyż, jak twierdził, nie należało teraz oczekiwać od dziedzica

jakiegokolwiek pomocy. Bydło dobrze się chowało, a zbiory zboża tego roku były wyjątkowo dorodne i obfite. Nikt nie wiedział, że pani Isabel odciągała treść kłosów zboża jednego z sąsiadów. Ale mistrz Harry Forbes mówił, że ta pomyślność była wyraźnym dowodem skuteczności wiary w reformowany kościół Szkocji, bo przedtem, gdy pani Isabel zaniedbywała kościół i — jak sądził — wciąż tęskniła do papistowskich doktryn, nie mogli się opędzić od kłopotów, a teraz, gdy stała się prawdziwie pobożną prezbite-rianką, wszystko obróciło się na dobre. Radował się więc, a ją bardzo bawiła jego radość. Ale, jak zobaczymy, zmienił później swoją opinię.

W trakcie któregoś ze spotkań Isabel nie omieszkała wypytać Pana Ciemności o chorobę Jean Gordon.

— To bardzo proste — odpowiedział. — Zapewne pamiętasz, jak nakazałem Maggie Wilson, zwanej Latającą Ropuchą — to imię jest doprawdy świetnie dobrane by została kochanką dziedzica Park, co też się stało, jak wiesz. Ona nie ma innego kochanka i zapewne nigdy nie będzie miała, ale dziedzic wciąż pragnie zdobyć twoją przyjaciółkę, Jean Gordon. Latająca Ropucha dowiedziała się o tym, a także o tym, że za jego przyczyną narzeczony Jean został wysłany z Królestwa — dla własnego bezpieczeństwa. Stała się bardzo zazdrosna o Jean Gordon i rzuciła na nią kilka przekleństw magicznych. Należy do Gromady Czarownic i ma trochę mocy, ale niezbyt wiele. Dlatego ty możesz złamać ich czary jakimkolwiek zaklęciem, gdyż jesteś królową Gromady i żadne z ich zaklęć nie może się równać z twoim.

— A co mówiłeś, panie, o zaklęciu, które może wszystkiego mnie pozbawić? — Tak stanie się tylko w wypadku, jeśli unieważnisz zrządzenie Władców Losu. Nie mówmy o tym. Są to wielkie i straszne moce, przed którymi nawet ja muszę się pokłonić. Jeśli to zrobisz, stracisz mnie na zawsze. Skończy się cała nasza miłość i radość.

Isabel zadrżała.

— Ale przecież wiele mogę zrobić dzięki księżycowemu ciastu, nie tracąc przy tym ciebie, czy nie tak, ukochany? To twoje własne czary. Czy nie mogę im pomóc w ten właśnie sposób?

— Ależ tak! Jak ci mówiłem, możesz tym sposobem połączyć rozdzielonych kochanków. Także większość chorób,

które spadają na Judzi, jest skutkiem złości jakiejś czarownicy, jak to było w wypadku syna dziedzica Park; wtedy twoja przyjaciółka Margaret zdjęła czar. Tak też było w wypadku pani Jean, kiedy ty go zdjęłaś. Księżycowe ciasto pozwoli ci na wiele.

— Powiedz mi jeszcze raz, kochany, żebym o niczym nie zapomniała: Czy będziesz przy mnie, kiedy będę je przyrządzać?

— Nie, to niemożliwe. Aby miało właściwą moc, musisz je zrobić własnymi rękoma i musisz być sama. Ale będę w pobliżu. Kiedy Hekate zejdzie na ziemię i cały proces się zakończy, wtedy do ciebie przyjdę, bo wiem, że będziesz wówczas piękniejsza od wszystkich śmiertelnych kobiet.

— Ta odrobina urody, którą mam, jest dla ciebie — szepnęła cichutko.

— Pamiętaj o siedmiu źródłach — sama musisz je odnaleźć.

— Już je odnalazłam, panie!

— A trzy kościoły?

— Je także.

— A wszystkie zioła? Zwróć na nie szczególną uwagę. Mnie tam nie będzie, więc ci o nich nie przypomnę. I żebyś nie zapomniała ani jednego słowa zaklęcia. To potężne zaklęcie, stosowane od tysięcy lat. Już w Tesalii moi wierni sprowadzali księżyc na ziemię, by wzmóc siłę swojej magii. Od tego czasu zaklęcie nie zmieniło się, z wyjątkiem języka. Idea i forma pozostały takie same.

— Mój panie, czy nie powiesz mi, kim jesteś? Czy rzeczywiście byłeś na ziemi przed tysiącami lat?

— Nie, moje kochanie, nie powinnaś o to pytać. Musi ci wystarczyć, że dla ciebie jestem mężczyzną i kochankiem, badaczem, który nauczył cię kilku rzeczy, oraz tym, kogo ludzie zważyli diabeł. Ale sami nie wiedzą, co to słowo znaczy.

Jego słowo było dla Isabel prawem. Nie próbowała dowiedzieć się o nim niczego więcej, bo tak jej nakazał. W gruncie rzeczy cieszyła się, że ma sobie dać z tym spokój. Ale wciąż ją ta sprawa trochę intrygowała.

Był mężczyzną, kiedy w jego objęciach znajdowała niewypowiedzianą słodycz i radość. Był rozhukanym wielmożą i przywódcą, kiedy polował, ucztował i tańczył na czele Gromady. A czasami był niby bóg. Nie chciałyby ziemi,

życia bez niego; nie mogłaby sobie wyobrazić, że się kiedykolwiek zestarzeje albo zmieni w jakiś sposób.

Miała teraz cudowne zaklęcie, którego ją nauczył i którym już wkrótce będzie mogła się posłużyć. Zdobędzie władzę większą niż ma królowa, prawie taką jak moc sekretnego Władcy Losów całej okolicy.

W pokoju Isabel leżała ciemnozielona chusta w szkocką kratę, przykrywająca coś, co wyglądało jak podłużne pudło. Dawniej Gilbert wypytywałby ją o to ciekawie oraz porządnie wyłajał za rozrzutność i za to, że kupiła coś bez jego zezwolenia. Ale teraz rzadko zaglądał do jej pokoju, a wchodząc przeproszał za najście i nie odważyłby się czynić uwag czy krytykować, cokolwiek by tu zobaczył. Rzeczywiście bardzo się zmienił, dokładnie tak, jak zapowiadała Margaret Brodie.

Gilbert mówił sobie, że teraz jego żona nareszcie żałuje za przeszłe grzechy; wyrzekła się błędów papizmu, a ponieważ pobożny mistrz Hary Forbes osobiście chwalił jej rozsądek, a nawet prosił ją o opinię na temat swoich kazań, nie uchodziło, by on, starszy kościoła, widział w niej jakieś niedostatki.

Ale gdyby John Gilbert był ze sobą szczery, przyznałby, że nie widzi w Isabel wad, ponieważ się nie waży. W obecności żony tracił całą swoją zawziętość, nie potrafił już nad nią w żaden sposób panować ani jej zastraszyć. Czuł w niej jakąś siłę, której nie rozumiał; mistrz Forbes mówił o sile pobożności, więc zadowolił się tym wyjaśnieniem.

W noc poprzedzającą pełnię księżyca było pogodnie i odrobinę mroźnie. Od wielu już dni Isabel przygotowywała się do swego wielkiego dzieła. Nie wychodziła z domu z innymi czarownicami, a nawet zarzuciła przejażdżki z ukochanym. Nie wypowiadała zaklęcia „Koń i bicz”, a jej widmowy służka, Czerwony Rozbójnik, zapewne mocno się nudził z braku zajęcia.

W miarę jak zbliżał się wyznaczony czas, stawała się coraz bardziej niespokojna i nerwowa; prawie chciała dać temu wszystkiemu spokój. Ale potem jakieś zdarzenie na nowo budziło jej nienawiść do dziedzica Park i gorączkowo łaknęła władzy magicznej.

Z nadejściem nocy poszła do swojego pokoju, ale nie kładła się spać. Odsunęła ciemnozieloną chustę i uważnie przyjrzała się dzieży do ciasta, którą niedawno kupiła. Na

powrót zakryła dziezę, wzięła miotłę, tak wiernie jej dotąd służącą, i położyła na łóżku nucąc:

***Kładę tę miotłę w imię diabelskie,
Niech się nie ruszy, aż wrócę w to miejsce.***

Niemal widziała, jak brązowe witki leżące na poduszce nabierają jakiegoś niesamowitego podobieństwa do jej własnych ognistych loków.

Zdjęła z półki dzban i wyszła na dwór; była noc. Już się zdecydowała, nie mogła zawrócić. Czekala ją długa samotna droga, pełna niewiadomych przygód.

Poszła wprost na wschodzący księżyc, wzdłuż południowego brzegu jeziora i zagłębiła się w mrok lasów Brodie. Światło księżycy nadawało drzewom widmowy wygląd. Ogarnął ją nerwowy lęk. W tych niesamowitych cieniach mogły się kryć rzeczy niesamowite i upiorne. Już wiedziała, że niektóre straszne stwory istniały naprawdę w jakiś upiorny sposób.

Sama widziała, czego mogą dokonać wiedźmy, a nie było obok niej Pana Ciemności, by ją chronił. Nie warto było przybierać postaci zająca czy kruka. Miała przed sobą zadanie i wykona je, tak jak stoi. Powtarzała powiedzonko sir Roberta: ***Strach to wielka wada.*** Musi walczyć. Od czasu, gdy spotkała Pana Ciemności, zapomniała, co to strach, zdała się na jego siłę. Teraz jednak czuła, że jest sama i wszystko musi zrobić sama, własnymi rękami — jak jej zapowiedział — bez niczyjej pomocy. Lasy Brodie zaroily się od tajemniczych strachów i potworów. Na ścieżce przed sobą widziała, jak światło księżycy leży w srebrzystych kałużach, przeplatanych drżącą siatką cieni, które rzucały z góry krzyżujące się gałęzie. Tworzyły one fantastyczne kształty, w które wyobraźnia mogła łatwo przyodziać jakieś niesamowite, pierwotne stwory.

Ale niebezpieczeństwo czało się głębiej, tam gdzie cienie były mroczniejsze. Umiem złamać czary podrzędnych czarownic, mówiła sobie bez ustanku. Ale teraz to nie brzmiało przekonująco. Albo opuścily ją siły magiczne, albo nigdy ich nie było; wszystko było jedną wielką ułudą, tylko niebezpieczeństwa istniały naprawdę. Nie było to niebezpieczeństwo ze strony czarownic, ale coś nieludzkiego, potwornego, nieznanego. W porównaniu z tym nieznanym wiedźmy wydawały się czymś swojskim i nieszkodliwym.

Teraz mówiła sobie, że doświadczyła wszystkiego, co się zwie czarami i że nic w nich nie było. Wszystkie jej przeżycia zbladły i skurczyły się do jakiegoś udawania — po prostu wyśniła sobie na jawie wyjątki z przeczytanych romansów. Ale tu, w leśnej głuszy, czaiły się realne okropności. Prastare, ohydne, gnijące zło skryte w cieniach, które istniało jeszcze przed narodzinami człowieka na ziemi, a teraz czaiło się, by skoczyć na nią, omotać ją prastarą magią, od której nie będzie uciezki ani w czasie, ani w wieczności.

Miała odwiedzić siedem źródeł; przy każdym stawić czoła demonowi-stróżowi, czuwającemu, by nikt nie mógł się zbliżyć do uzdrawiającej wody; tylko ludzie pełni wiary i odwagi dostaną tu to, czego pragną. Wiara i odwaga opuszczały ją kropla po kropli. Strach ją ogarniał, mimo iż starała się go nie dopuścić do siebie.

Księżyc, niemal już w pełni, świecił nad wierzchołkami drzew, pogłębiając cienie, które stawały się tym straszniejsze. To była Hekate, władczyni czarów i zaklęć, królowa zmarłych i to ona miała zejść z nieba na wezwanie Isabel. Coś zaszeleściło między drzewami, Isabel drgnęła i skamieniała w miejscu, bała się patrzeć i w tył, i przed siebie. Czyżby Hekate zeszła przed czasem? Było coś widać, albo tak jej się zdawało, w gałęziach ogromnego ciemnego drzewa, które zwisały nad ścieżką. Rozbłysły dwie jasne tarcze, duże i żółte jak księżyce. Usłyszała ciche warczenie i już wiedziała: wpatrywał się w nią żbik. Teraz strachy fizyczne splotły się z nadprzyrodzonymi, jeszcze wzmagając jej przerażenie.. Uczono ją, że oko żbika jest symbolem Hekate, rośnie i maleje wraz z księżycem i jest rzeczywistym przejawem nekromancji, a ona nienawidziła nekromancji i bała się jej. Poza tym żbik był dziką bestią, gotową rzucić się na nią, a nawet zabić, jeśli się go rozdrażniło.

Wyobraźnia Isabel nadała mu wymiar przedwiecznego zła, zamieszkującego ostępy leśne. To była Hekate w całej swej potędze — prastara, dzika i okrutna. Żółte tarcze zdawały się upodabniać do księżyców — już widziała, jak dzikie zwierzę zbiera się do skoku, by rozedrzeć jej gardło. Nagle bestia parsknęła i pierzchła w górę drzewa, zapewne w pogoni za innym żbikiem. Słyszała, jak przedzierają się z trzaskiem przez gałęzie, wydając niesamowite, nieartykułowane dźwięki, zanim przepadły w głębi lasu, gdzie śpią upiory.

Isabel poszła dalej, cała drżąca. Wędrowała do dwóch studni, leżących między Grangehill i kaplicą w Culben.

Miała zaczerpnąć wody z tych dwóch źródeł i poświęcić ją przy drzwiach kaplicy, stając twarzą w twarz z demonami-stróżami.

I po co to wszystko — zadawała sobie pytanie. Czary i miłość, które poznała, zdawały się blednąć jak niespokojny sen, w którym widziała rzeczy nigdy naprawdę nie istniejące. Obudziła się w niej niejasna nadzieja, że być może dzięki księżycowemu ciastu odzyska utraconą radość i rozkosz, że przekona się, iż owe doznania są rzeczywistością. Jakie miało znaczenie, że zaprzedała duszę diabłu — byle tylko cudowne życie stało się na powrót rzeczywistością.

Skończyły się lasy Brodie; przed Isabel rozpościerał się Grangehill i w świetle księżycy bieleł się Culben, zasypany piaskiem. Nad źródłem rosło cierniste drzewo głogu. Wokół było cicho i spokojnie, ale Isabel bała się. Chciała rzucić dzban, uciec na folwark Lochloy i na zawsze zapomnieć o tych szalonych fantazjach. Ale strach przed powrotem w te nawiedzone lasy niemal przewyższał trwogę przed tym niewiadomym, co było przed nią.

Cóż by zyskała, nawet gdyby wróciła szczęśliwie do domu? Nieznośnie puste i ponure życie, od którego uciekła. Ta myśl przywróciła jej całą determinację. Znajome zaklęcia straciły wszelkie znaczenie. Przestała w nie wierzyć i nie chciała ich więcej stosować. Była po prostu zwyczajną kobietą i za pomocą środków, których jej nauczono, ale którym nie dowierzała, usiłowała dojść do jakiejś ziemi obiecanej, gdzie zaspokoi pragnienie.

Przy studni, między Isabel a omszałą cembrowiną, zaczął się tworzyć obłok. Dlaczego miałyby się bać jakiegoś obłoku? Nie wiedziała, ale gdy szła po gnijącej drewnianej kładce, z której spuszczano wiadra, czuła, jak ogarnia ją niemiły chłód. To było jak mroźna mgła, niesiona przez wschodni wiatr, ale przecież noc była bezwietrzna; to było jak nienazwany lęk. Czuła, jak lodowate dłonie odpychają ją od studni. Nie, nie pozwoli się odepchnąć. Odezwała się w niej duma. Zdecydowała się na ten czyn i doprowadzi go clo końca. Zebrała wszystkie siły, rzuciła się w kierunku studni, zaczerpnęła trochę wody i wlała jej nieco do dzbana. W tym

momencie obłok zniknął, a jakiś głos — gdzieś w powietrzu albo w jej myślach — oznajmił:

— Brawo! Pierwszą próbę masz za sobą.

Nareszcie zrobiła coś konkretnego. To, co jej mówiono, nie było tylko snem. Może jeszcze uda jej się odzyskać to życie, pełne zachwyty i uniesień.

Stąd było już niedaleko do studni stojącej przy kaplicy w Culben.

Źródło to było w niszy wyłożonej grubo ciosanym kamieniem. Woda gromadziła się w zniszczonej kamiennej misie. Z łatwością zanurzy dzban w misie, dolewając do wody w dzbanie wody z tego źródła.

Pochyliła się nad kamiennym zwieńczeniem i nagle rzuciła się w tył: dwoje świecących, zielonych oczu wpatrywało się w nią tak intensywnie i z taką złością i nienawiścią, że omal nie upuściła dzbana i nie uciekła od tego przerażającego spojrzenia. Nie uciekła. Przypomniała sobie, że podczas pierwszej próby działała szybko. Gwałtownie zanurzyła dzban w wodę; rozległo się dzikie warczenie i oczy znikły. Isabel miała wodę z dwóch źródeł.

Przed Isabel wznosiła się kaplica w Culben, prawie już całkiem zrujnowana, ponieważ okoliczni ziemianie przeszli na wiarę reformowaną. Zimowe burze zdarły miejscami dachówki, obnażając krokwie. Do wnętrza przedostawała się woda, ściany gniły; psotni chłopcy wytlukli witraże, którymi dawne pobożne pokolenia ozdobiły okna kaplicy. Isabel była strasznie zmęczona, nie była w stanie myśleć. Ale nie, nie załamie się, musi wejść do środka.

Gdy zbliżała się do kaplicy, nie widziała żadnego demona ani obłoku. W jasnym świetle księżycy kościół stał smutny i opuszczony. Ale podchodząc do drzwi, usłyszała jakieś głosy. Nie wiedziała, czy brzmiały w powietrzu, czy w jej własnym mózgu; strach ustąpił teraz miejsca wielkiemu przygnębieniu. Głosy mówiły:

— Wracaj! To wszystko jest złudzeniem, przyśniło ci się. Twój kochanek jest zwyczajnym, pozbawionym skrupułów człowiekiem i udaje, że posiada jakąś niezwykłą moc. Wracaj do realnego życia, tylko ono jest prawdziwe. Zapomnij o tym śnie.

Przypomniała sobie całą beznadzieję swego realnego życia.

— Za nic w świecie! — krzyknęła zbierając wszystkie

siły. — Precz! Niech wszystko będzie kłamstwem, jeśli tak ma być. Niech się dzieje, co chce, ja nie odstąpię.

Nad drzwiami kościoła znajdowało się niewielkie okienko w kształcie rozety; ocalało w nim kilka szybek. Przez okno Isabel zobaczyła księżyc. Dobrze znane linie i cienie na powierzchni księżyca w połączeniu z kolorami ocalałych szybek utworzyły jakby wizerunek pięknej kobiety. Isabel uniosła dzban w górę.

— O, Hekate! Jeśli to naprawdę ty, jeśli jutro w nocy zejdziesz z nieba w odpowiedzi na moje wezwanie, udziel swej mocy tej wodzie i innej, którą dopiero zdobędę, abym mogła przyrządzić ciasto, w którym są twoje własne czary i spraw, żeby odeszła ta straszna chmura przygnębienia. Pod wpływem jakiegoś impulsu przechyliła dzban w ten sposób, by widziała w nim odbicie okna i księżyca. Zanurzyła w nim rękę i zwilżyła bolące, rozpalone czoło.

Natychmiast poczuła, że wracają jej siły. Wyprostowała się i poszła dalej na zachód, drogą prowadzącą do kościoła w Dyke.

W owym czasie na skraju cmentarza były trzy źródła pośród mchów, tworząc trójkąt. Z każdego wypływał mały strumyczek. Płynęły przez mchy i paprocie, by złączyć się w jeden strumyczek, który wpadał do strumienia zwanego Fionnmoniadh, obecnie Muckle, a na tym odcinku nazywał się Brodie.

Potrzebna jej woda z tych trzech źródeł. Widok Hekate dodał jej sił. Z natury miała niespożyte siły i energię, typowe dla jej epoki i środowiska, ale podkopały je głębokie zniechęcenie i przeżyty strach. Znów ogarnęło ją ogromne znużenie.

Nad kościołem w Dyke igrała jakby fosforyzująca poświata. Isabel wydało się, że patrzy w głąb posepnych podziemi, gdzie na półkach i wspornikach stoją trumny ze zmarłymi Brodie. Kościół zdawał się przezroczysty, gdy patrzyła. Rozsypane się truchło we wszystkich stadiach rozkładu wylęgało poza butwiejące trumny; był to widok straszny i posepny. Poczła zapach kostnicy i przypomniał jej się ten straszny sen, w którym widziała wiedźmy odkopujące ciało dziecka. Powróciły tamte głosy.

To tylko czary. Im się zaprzedałaś. Wracaj, póki czas!

Prawie uległa strasznej trwodze — ale nie do końca. U jej

stóp było jedno ze źródełek. Stała w mchu, w wodzie po kostki. Spojrzała w dół i zobaczyła odbity tam księżyc.

— Hekate, pomóż mi! — zawołała znów. Głosy natychmiast umilkły. W świetle księżyca kościół przybrał upiorny wygląd, ale znikł niesamowity widok trupów i już nie czuła złych mocy. Zaczerpnęła po kolei wodę z trzech źródeł. Jak przedtem, uniosła przy drzwiach kościoła dzban w stronę księżyca, powtarzając rytualne obmywanie czoła w zmieszanych wodach.

Pozostało jej tylko źródło przy ostrokrzewie i Studnia Życzeń w Inshoch oraz końcowa inwokacja w kościele w Aulderne.

Gdy szła długą drogą z Dyke do Aulderne, sunął przed nią wysoki srebrzysty kształt, złożony jakby z lodowatej mgły. Był zimny i obojętny, ale zdawał się ją ochraniać. Zniknęły jej odrętwienie i depresja.

Wydawało jej się, że porusza się i działa zupełnie mechanicznie, nie czując takiej potrzeby ani też niechęci, jakby poruszała nią jakaś wyższa siła. Szła, bo musiała iść. Hekate zawładnęła nią, a teraz prowadziła do dwóch ostatnich źródeł, a od nich do kościoła w Aulderne.

Miała już w dzbanie wodę z siedmiu źródeł; wzniosła w inwokacji ramiona ku księżycowi, który płynął tak spokojnie przez ciemne niebo. Natychmiast zbliżyła się do niej srebrzysta postać, objęła silnymi zimnymi ramionami i przytuliła do lodowatej piersi. Poczuła ogromne zimno, niby chłód śmierci i straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, była w swoim pokoju na folwarku. Po głowie plątała jej się myśl, że musi wyruszyć w daleką drogę do siedmiu źródeł, aż dostrzegła dzban, stojący przy dzieży, okrytej chustą.

Na poduszce leżały witki miotły; roześmiała się, gdy John Gilbert zajrzał ostrożnie do pokoju i zobaczył miotłę, nie ją.

— Leniwa flądra — zamruczał. — Spi jak zabita. Ale boję się ją obudzić. Pastor by się gniewał. Zaraza! Łazi nie wiadomo gdzie, a ja muszę wszystko robić i za wszystko odpowiadać.

Rozdział XI

Przygotowanie księżycowego ciasta

W wieczór pełni księżyca słońce zachodziło na jaskrawo-pomarańczowym niebie, na którym płynęło kilka szarych chmur. Gdy słońce ginęło za horyzontem, chmury zabarwiały się na purpurowo, aż zapłonęły jak wyspy ognia na złocistym morzu. Czerwona poświata za wzgórzami Inverness pogłębiała się i rosła. Morze było dziwnie ciche i połyskliwe jak metal; ciepłe światło padało na białe kępki bagiennej bawełny, nadając im wygląd kwiatów- płomieni o delikatnej (różowej) barwie.

Panowała głęboka cisza. Powietrze było ciężkie i jakby pełne wyczekiwania, z czego można by wróżyć nadchodzącą burzę, gdyby niebo było mniej pogodne.

Niewielki przymrozek minął bez śladu i było prawie upalnie, jak to się czasem zdarza na świętego Łukasza.

Tego dnia Isabel wstała bardzo późno; sen miała ciężki, bez marzeń.

Kiedy się w końcu obudziła, na folwarku nie było już nikogo.

Wykonała pracę, którą sobie wyznaczyła; pracowała zawzięcie i oto wszystko było gotowe. Zebrała wszystkie przepisane zioła i utłukła je w móżdzierzu. Przyniosła trochę gliny z wyznaczonego miejsca, wyrobiła ją i upiekła na kuchennym ogniu, aż stwardniała jak cegła. Wtedy potłukła ją młotkiem, rozdrobniła w móżdzierzu, przesypała przez sito i znów miażdżyła w móżdzierzu, aż stała się sypka jak mąka. Wtedy wymieszała ją z ziołami i znów ubijała w móżdzierzu. Teraz gotowa mieszanka stała w żelaznym saganku, a dzban z wodą z siedmiu źródeł obok dzieży, okrytej zieloną chustą.

Przysiadła na łóżku i zamyśliła się. Co to za dziecinada; co ma zamiar robić? Jakiś rozpustnik o bujnej wyobraźni, może wędrowny góralski śpiewak albo poeta, omamił ją wymyśloną historyjką, której żadna rozsądna kobieta nie dułaby wiary. Miło było bawić się w to udawanie. To niewątpliwie fascynujący mężczyzna. Lubiała jego towarzystwo, miło jej były jego niezwykle opowieści, jego miłość. Przy-

jemna odmiana po Johnie Gilbercie, ponuraku i brudacie. Jego opowiastki, choć tak szalone, stanowiły pożądany kontrast w stosunku do beznadziejnie jednostajnego życia na folwarku.

Owszem, było kilka dziwnych rzeczy, jak zniszczenie farmy Culben, dokładnie wtedy, kiedy zapowiedział i w sposób, jaki przewidział. Ale ostatecznie mógł to być zwykły zbieg okoliczności; a może miał szczególny dar przewidywania pogody. Przewidział burzę i jej ewentualne skutki i potrafił to wykorzystać do własnych celów. Wolała nie myśleć o innych rzeczach, które mogłyby być bardziej przekonujące. Pomyślała nagle, że postawi wszystko na jedną kartę i wypróbuje jedno z poznanych zaklęć. Ale po chwili zdecydowała, że nie zrobi tego głupstwa. Związała się z nieznanym mężczyzną; wystarczy poczekać jeszcze trochę, a wtedy wyjdą na jaw wszystkie jego sztuczki. Wtedy będzie w jej władzy.

Mógł oszukiwać te wszystkie głupie kobiety, jak Margaret Brodie czy Janet Broadhead, ale nie ją. To ona będzie panią sytuacji, zupełnie nim zawładnie: wystarczy, gdy go postraszy, że opowie innym o jego sprawkach. Będzie więc miała zniewolonego poetę, a gdy wszystko jej spowszednieje, namówi go, by ją stąd zabrał. Ale żeby próbować jego zaklęcia — nie, to zbyt głupie. Gdzieś w głębi duszy czaiła się cicha obawa, że może jednak zaklęcie nie podziałałoby. Wolała nie przyznawać się przed sobą samą, że tak właśnie myśli.

Księżycowe ciasto, też coś! Nie chcę się bawić w te głupstwa — powiedziała sobie. Lepiej rzucić to wszystko i powiedzieć temu mężczyźnie, że już go przejrzała. Ale przecież jak już coś zaczęła, to powinna to skończyć. Ale to już ostatni raz. Nigdy więcej! Oczywiście księżyc nie zejdzie na ziemię — kto słyszał o podobnych bzdurach. Tylko ten ostatni raz, ponieważ już zaczęła, bo dała sobie słowo, że doprowadzi sprawę do końca.

Tej nocy Johna Gilberta nie było w domu. Wyjechał do miasta Inverness, by sprowadzić krowy, które tam kupił. Wprost wymarzona sposobność, by przeżyć przygodę.

A gdyby ją ktoś zobaczył? Zadrzała na tę myśl. Ten mężczyzna, jej kochanek, mówił, że to niemożliwe. Ale przecież to zwykły łgarz, marzyciel o bujnej wyobraźni. A więc ry-

zyko! Jej awanturnicza krew poczęła żywiej krążyć w żyłach — ryzyko ją fascynowało. Zaklęcia i cały ten rytuał nie miały oczywiście żadnego znaczenia, ale minimalne ryzyko, że zostanie na tym przyłapana, fascynowało. To było coś, co warte jest strachu!

Słońce już zaszło. Bursztyny i róże bladły na zachodnim niebie, a od wschodu, w miękkim zmierzchu poczęły migotać gwiazdy.

Zabrała się do przygotowań. Bardzo dokładnie umyła swoje piękne białe ciało, a następnie nabrała we wgłębienie dłoni trochę wody z siedmiu źródeł i natarła się nią cała. Zwilżyła tą wodą głowę, wzywając Hekate.

Włożyła nową koszulę z najcieńszego płótna i stanęła przy oknie — wysoka, biała, wysmukła postać — właśnie gdy na wschodzie ukazało się pierwsze światło księżyca. Wtedy wyrecytowała potrójną inwokację do sił księżyca. Do Diany, czystej i zimnej władczyni wszelkiego ascetyzmu, poświęcenia i wyrzeczeń. I do Hekate, mistrzyni zaklęć, królowej zmarłych, łączącej się znów z Luciną, gdyż śmierć jest bramą żywota. Kiedy księżyc piął się w górę nad lasami Brodie, świecąc wprost na jej czoło i pyszne włosy, spadające jak welon na śnieżną koszulę, wydało się Isabel, że wszystko zrozumiała. W nagłym przebłysku światła ujrzała wieczne koło: narodziny, życie i śmierć, i życie odradzające się po śmierci. Znaczenie i potęgę zaklęć. Nie musiała więcej pytać, co jest rzeczywistością, jak kiedyś pytała sir Roberta Gordona. Posiadła pewność, wiedzę, której nikt nie zakwestionuje. Poza tą przelotną egzystencją materialną istniała inna, wielka rzeczywistość, a tu żyjemy wśród złudzeń, ponieważ widzimy rzeczywistość tylko w części, i nieprawdziwie.

Był to chwilowy przebłysk wiecznych prawd i zgasł, gdy odeszła od okna, pozostawiając jedynie wspomnienie o prawdzie, którą kiedyś знаła i przekonanie, że tę wiedzę i pewność będzie można kiedyś odzyskać.

Zastanawiała się, jaką włożyć suknię. Gdy otworzyła kufer, zobaczyła na samym wierzchu jakąś suknię, której zupełnie nie pamiętała. Chyba miała ona jakiś związek z jej ukochanym. Może podarował ją kiedyś Isabel, a ona zupełnie o tym zapomniała? Coś jej się niejasno przypominało.

Wiedziała, że dawał jej jakieś rzeczy, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to było. Może dał jej tę suknię, może była

przeznaczona na tę właśnie noc. Zdaje się, że tak właśnie było. W każdym razie suknia była bardzo stosowna na tę okazję. Była w miękkim odcieniu głębokiej purpury — długa szata luźno spływająca od ramion, w talii ściągnięta srebrnym pasem z klamrą w kształcie półksiężyca. Suknia była przetykana złotą nicią — nie był to właściwie haft. Była obszyta jakimś białym futrem — srebrnym lisem, ale Isabel nie znała się na tym.

Obok sukni leżała para sandałków, wykonanych z lisiej skóry. Była to niewątpliwie część tego samego podarku, ale w tym względzie pamięć zupełnie ją zawodziła. Wysiłała pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć dokładnie żadnego podarku, chociaż wiedziała, że było ich wiele. W każdym razie suknia świetnie pasowała do nocnej przygody. Narzuciła ją na siebie, przy czym zwróciła uwagę na znamię poniżej ramienia, które jej pozostało od czasu inicjacji w kościele w Aulderne. Zapięła pas na klamrę, a wspaniałe włosy związała srebrną wstążką. Na koniec wsunęła bosc stopy w sandały i znów wyjrzała przez okno.

Księżyc osiągnął już połowę sklepienia niebieskiego i toczył się jak srebrna kula nad uspiętymi lasami. Cały folwark spał — czas w drogę. Musiała dwukrotnie przemierzyć drogę na cmentarz w Aulderne: trzeba było zanieść tam nową dzieżę, a także glinę w żelaznym saganie i dzban z wodą z siedmiu źródeł.

Zawiązała dzieżę w ciemnozieloną chustę i zarzuciła ją sobie na plecy. Noc roiła się od dziwnych istot, sunących i przemykających obok, ale gdy przystawała, by się lepiej przyjrzeć którejś z nich — nic tam nie było, tylko nieco dalej, na prawo i lewo poruszały się jakieś przejrzyste srebrne postaci. Nagrobki białały przerażająco w świetle księżyca. Podobnie jak tamte upiorne postaci, zdawały się kołysać w dziwnym jakimś tańcu, prawie jakby wychodziły jej naprzeciw, by nie dać jej iść naprzód.

Czuła, że to wszystko jest dziwnie nierealne. To była dobrze znana droga z Lochloy do Aulderne, a kościół równie znajomy jak jej farma, ale miała wrażenie, że to wszystko roi jej się w jej własnym pokoju na folwarku. Zimna, upiorna bryła kościoła i widmowe nagrobki — to wszystko jakby widziała w oknie swojego pokoju.

Jednak szła zdecydowanie przed siebie, nie dbając, czy to sen czy jawa; opanował ją duch przygody. Zostawiła dzieżę

na środku cmentarza i zawróciła na folwark. Szelest liści przeszedł w szepty, słyszała je za sobą, a czasem tuż obok siebie. Panowała martwa cisza, a jednak wśród ciepłej cichej nocy zimny powiew poruszał jej włosami, a niewidzialne palce zadawały się ciągnąć ją z tyłu za suknię. Odwróciła się, oburzona, ale z tyłu nie było nikogo. Przyspieszała wciąż kroku; dotarła na farmę prawie biegnąc. Drzwi były zamknięte na klamkę, tak jak je zostawiła. Wzięła dzban i saganek; gdy spojrzała w okno, księżyc przebijał przez jego krzywe szybki jak zbiorowisko złych twarzy, uśmiechających się do niej złośliwie. Ogarnęła ją zimna trwoga; wszystkie te stwory będą się jej przyglądać z ohydną ciekawością, gdy będzie dopełniać rytuału. Nie, nie zniesie tego. Odstawiła dzban i garnek, gdy nagle przypomniała sobie o dzieży pozostawionej na cmentarzu. Niech będzie, co ma być, musi tam iść. Rankiem ludzie znajdą dzieżę i będą wiedzieli, że należy do niej. Jak się będzie wtedy tłumaczyć? Musi tam wrócić, a skoro już tam idzie, to równie dobrze może wziąć wodę i glinę, nawet gdyby miała to wszystko odnieść potem do domu. Ruszyła w drogę; znów musiała przepychać się przez tłumy jakichś stworzeń, które w gruncie rzeczy nie ośmielały się jej dotknąć czy zatrzymać, ale wprawiały ją w ogromne rozdrażnienie. Odrażające twarze szczyrzyły do niej twarze w uśmiechu i znikwały; białe postaci jakby z księżycowej mgły, a jednak przypominające ludzi, biegły tuż przed koniem, a potem znikwały, nim zdążyła im się przypatrzeć i znów szeptały gdzieś z tyłu. Ale przez cały ten czas nie wydawały się rzeczywiste. W miarę jak zbliżała się do cmentarza, zaczęły nabierać wyraźniejszych kształtów — błyszczące oczy patrzyły na nią wrogo z białych nagich czaszek, ich ciała były błękitnawe, a bliżej ziemi rozpływały się w nicość — sunęły, nie dotykając ziemi. Gdy obracała się do nich twarzą, wszystkie znikwały, by pojawić się znów, kiedy szła dalej. Dotarła wreszcie do bramy cmentarnej; na środku cmentarza stała jej dzieża, przykryta zieloną chustą. Gdy minęła bramę, tłum tych dziwnych istot zniknął z szyderczym śmiechem. Była sama, ale wciąż miała nieprzyjemne uczucie, że ktoś ją śledzi. Była zdecydowana działać dalej, czy raczej nie czuła chęci, by to wszystko rzucić. Pamiętała z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co

ma robić. Podeszła do dzieży i wsypała do niej sproszkowaną glinę wraz z ziołami i innymi dodatkami, które tak pilnie zbierała. Tej nocy księżyc dojdzie do połowy nieba dokładnie o północy, a teraz stał, oślepiająco jasny, prawie » w połowie swego łuku. Isabel odrzuciła saganek; to był zwykły żelazny garnek, niczym nie różniący się od innych — wiele ich wyrzucano. Potoczył się w pokrzywy i znikł. Wlała zawartość dzbana do dzieży i własnymi rękoma zaczęła wyrabiać rzadkie ciasto. W dzbanie zostało trochę wody — splukała nią resztki gliny z rąk, a dzbanek rozbiła o jakiś nagrobek; rozpadł się w drobny mak. Księżyc stał dokładnie w połowie swej drogi.

Isabel udała się w północno-wschodni róg cmentarza; nadeszła wielka chwila. Czy odważy się doprowadzić sprawę do końca? Bojaźliwie obejrzała się na wszystkie strony. Panowała głęboka cisza. Ucichły nawet zwykłe odgłosy nocy; cała natura przystanęła na chwilę, by ją śledzić — myślała Isabel z zamartwionym sercem. Nawet gwiazdy, niby tysiąc oczu, przypatrywały jej się z bezwstydną ciekawością.

Obudziła się w niej odwaga, radość odwagi. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się, a potem rozpięła szatę przy szyi i opuściła ręce, a ciemna szata i biała koszula z cichym szelestem zsunęły się z jej ramion. Przez chwilę trzymała ramiona uniesione w górę, a potem rozwiązała srebrną wstążkę i poruszyła głową, by uwolnić swoje pyszne włosy. Uwolniła się ze splecionych szat leżących u jej stóp; jej piękna naga postać stała wyprostowana w ostrym świetle księżyca.

Wzniosła białe ramiona w błagalnym geście i nie odwracając oczu od księżyca, szła mechanicznie, jak we śnie, w stronę dzieży. Nuciała półgłosem: Witaj, *Ludno, witaj bogini!*

Namiętna miłość bladą cię czyni.

Od dzikiej żądzy nie ma ratunku,

Usta wciąż pragną słodkich pocałunków.

Sól i piana z falą leci,

Jakie piękne dajesz dzieci.

Naucz mnie każdej miłosnej radości,

Wszak nie sprawi ci to żadnej trudności.

Zejdź z wysokości,

O, zejdź!

Nucąc podeszła do dzieży; zauważyła, że glina już trochę opadła na dno, a gładkie lustro wody odbijało twarz księżycy. Obeszła dzieżę w kierunku odwrotnym do ruchu słońca i poszła dalej, kończąc inwokację właśnie, gdy doszła do muru. Odwróciła się i poszła w kierunku południowo-wschodnim. Gdy stała teraz przed dzieżą, miała księżyc za plecami. Ale nie ważyła się stracić go zupełnie z oczu. Wyprostowała się i dla równowagi dotykając grzbietami dłoni do ramion, odrzuciła głowę do tyłu, jak mogła najdalej. Odszukała wzrokiem księżyc na niebie i silnie wyteżając oczy i wszystkie mięśnie, posuwała się chwiejnie do przodu. Po drodze nie zatrzymała jej żadna przeszkoda, ale wysokie trawy i paprocie drapały jej nogi, ostre kamienie kaleczyły stopy, od nienaturalnej, wyteżonej pozycji męciło jej się w głowie. Jednak postępowała naprzód, aż uderzyła stopą w dzieżę; jeszcze raz obeszła ją w kierunku odwrotnym do ruchu słońca, a gdy obróciła się na południe i zobaczyła księżyc odbity w dzieży, z niewypowiedzianą ulgą wróciła do naturalnej pozycji.

Tę część potrójnego wezwania nuciła prawie bezwiednie:

***Witaj, Diano, blada łowczyni, Która noc wokół nas czynisz.
Przyptywu i odpływu pani, Bogini ze srebrnymi strzałami! Zimna
pani —obce ci ziemskie podniety. Chcę wraz z tobą zabijać, chcę
polować. Już godzina wybiła — bądź gotowa. Zejdź ze świątyni
wśród wzgórz — Mnie służ!***

Odchyliła się nieco do tyłu, patrząc na księżyc zawieszony nad jej głową, a jej włosy sływały do ziemi, nie dotykając białego ciała. Potem odwróciła się, ale ledwo mogła utrzymać się na nogach, całe ciało bolało ją od naprężenia i kręciło się jej w głowie. Drzewa i dachy Aulderne tańczyły jej przed oczyma. Ale wciąż brnęła po omacku między krzyżami, aż doszła do dzieży od północnej strony. Tutaj znów wzniosła ramiona w kierunku księżycy, patrząc nań między dwoma wskazującymi palcami wyciągniętych rąk. Prawie już nie wiedziała, co robi. Umysł zupełnie jej odrętwiał, jakby już nigdy nie miała myśleć. Marzyła o śnie, nawet

o śnie śmierci, jeśli inaczej nie mogłaby zasnąć. Cały jej kręgosłup był jednym strumieniem bólu.

Ale dokończy to, co zaczęła, nawet gdyby miała położyć się później na darni i umrzeć. Ostatnią pieśń ledwie wyszeptała, tak była słaba i zmęczona:

Hekate! Hekate! Hekate!

Zmarłych królowo, zejdź na me słowo

Z wysokiego tronu, z północnego nieba,

Z gwiazdzistą koroną, zejdź już, bo tak trzeba!

Hekate! Hekate! Hekate!

Szła wprost na księżyc, potykając się, przez przestrzeń, dzielącą ją od dzieży. Stała niedaleko, by mogła widzieć w niej odbicie księżyca i wzniosła oczy ku księżycowi w górze. Ale nie mogła uspokoić bolących oczu. Była pewna, że księżyc się zakotłosał, potem jasny meteor przemierzył niebo, a gdy spojrzała znowu, wydało jej się, że księżyc oddzielił się i sunął w dół, biały jak duch, jakby chciał się połączyć ze swoim odbiciem w dzieży. Tutaj zapłonął silniejszym blaskiem, gdy zmusiła się, by patrzeć, natomiast księżyc na niebie zbladł, jakby pozostał na nim tylko jego duch. Schodził wciąż niżej, a jego odbicie w dzieży jakby unosiło się na jego spotkanie. Z wielkim trudem powstrzymywała się od zamknięcia oczu i wciąż patrzyła na dwa księżyce. Ludzie pijący ogniste wina hiszpańskie miewają podobne złudzenia. Nareszcie złączyły się — znad świetlistej kuli w dzieży unosiła się mgła; ta kula już nie była zwykłym odbiciem w wodzie. Zupełnie, jakby gotowała się woda, a na powierzchni utworzyła się biała piana, jak zwarzony śnieg. Rosła i rozlewała się, jak morska piana, gdy fala bije o skały podczas sztormu. Przypomniała sobie, co ma robić — podeszła bliżej, starając się zapanować nad sobą, na ile mogła. Wzięła ciemnozieloną chustę i zbierała na nią kipiącą pianę. Piana była lodowato zimna i lekko stężała, jak bita śmietana. Zbierała ją garść po garści, aż zebrała wszystko. Wtedy zobaczyła, że po drugiej stronie dzieży stoi jakaś niewiasta niezwyklej piękności, srebrzyście blada, o oczach łagodnych i pełnych miłości. Była miła, silna i ogromna — dwukrotnie większa od przeciętnego człowieka. Położyła chłodne dłonie na rozpalonym czole Isabel, na jej bolących

oczach, a potem objęła ją mocnymi ramionami i kołysała jak dziecko. Myśli Isabel uspokoiły się, znikło zmęczenie. Wstąpiło w nią nowe życie, wróciła wola i radość życia. Zamknęła oczy, rozluźniła się i ogarnął ją cudowny spokój i błogość. Przed jej oczami pojawił się zamek Inshoch, a z nim cała radość i chwała miłości, jaką знаła. Nie miała już wątpliwości — wszystko było prawdziwe, wszystko wspaniałe.

Czuła, jak krąży w niej ożywcza krew, a ciało się rozgrzewa. Otworzyła oczy, wiedząc, że zobaczy Pana Ciemności, gdyż wyczuwała jego obecność, zanim go widziała. Rzeczywiście, Mistrz stał przed nią i uśmiechał się.

— Dobrze się spisałaś, moja ukochana — powiedział. — Wiedziałem, że zasługujesz na to, by być moją towarzyszką i królową Gromady. Inne zdobywały księżycowe ciasto z trudem i trzeba im było pomagać. Żadna nie podołała takim trudom, którym ty stawiałaś czoła. Żadna nie miała do czynienia z tak potężnymi czarami.

Otworzył ramiona, owinął ją w poły swojej peleryny i zaniósł w kąt cmentarza — czy też niosła ją wspaniała karetka wschodniego wielmoży?

— Odpocznij trochę, moja miłości, a potem wrócimy do domu. Sam cię odwiozę. Dobrze zasłużyłaś na usługi moje i całej naszej Gromady, i na nasze hołdy. Odpoczywali przez chwilę, a on chwalił jej odwagę i zdecydowanie, dzięki którym zdobyła księżycowe ciasto mimo ogromnych przeszkód. Chwalił jej piękność, jaśniejącą teraz większym blaskiem niż kiedykolwiek. Mówił, że była jasna jak kwiat białej lilii. Wydawało się, że jego nigdy nie zmęczą strzeliste zachwyty, a jej — słuchanie. W końcu powiedział:

— Ruszajmy, moja miłości! Godzina wybiła. Pozwól, że będę twoją pokojówką.

Przyniósł szatę, porzuconą na murawie cmentarnej, pomógł jej przy ubieraniu i zapiął jej pas.

— Dałem ci ją właśnie na tę okazję, jest poświęcona He-kate. Zaraz pojedziemy na tym źdźble, ale wpierw zbierz swoje księżycowe ciasto w chustę i przewiąż ją przez plecy. Tak! A teraz: „Koń i bicz!” Hej na Lochloy!

Stał przed nimi czarny rumak, a Isabel już spoczywała w ramionach kochanka, przytrzymując zawiniątko z cennym

ciastem księżycowym. Wystarczyło, by kopnął dziezę, a natychmiast zniknęła; zrobiła, co do niej należało.

Krążyli nad lasem Brodie i nad miastem Forres; kilku obywateli Forres, którzy wstali wcześniej tego dnia, widziało dziwny meteor, mknący przez niebo z szybkością błyskawicy. Opowiedzieli swoim towarzyszom, że słyszeli przy tym tętent koni i dzikie okrzyki. O mało nie zaciągnięto ich za to przed oblicze sędziego, oskarżając o opilstwo, ale ostatecznie puszczono ich wolno, stwierdzając, że wszystko wyszła z palca — tak krytycznie jest świat nastawiony do ludzi, którzy po prostu opowiadają to, co widzieli i słyszeli.

Potem zawrócili na Lochloy. Jej chwilowo stłumione pragnienia odezwały się ze zdwojoną siłą:

— Panie, zabierz mnie na polowanie na ludzi, proszę cię, przecież mi obiecałeś.

— Dobrze, kochanie — odpowiedział. — To najszlachetniejszy ze sportów. Ale pamiętaj: polujemy na terenach Brodie, Grangehill i Culben, gdyż są to tereny Gromady i prawnie nam przynależą. Polujemy także na Gordonstown, ponieważ sir Robert nam pozwolił. Ale nie polujemy na ziemi Morayów ani na Tannachy, gdyż ucztujemy na zamku Darnaway. Tulloch jest dobrym przyjacielem Morayów. Obecnie nie polujemy już na ziemi Cummingsów, gdyż przyjaźnię się z tym dzikim rodem od wielu już lat. Zatem nasze następne polowanie odbędzie się nad brzegiem morza.

— Gdzie sobie życzysz, panie, ale weź mnie ze sobą.

— Dobrze, ukochana. A oto Lochloy, już wstaje świt. Bądź zdrowa! Nie wiedziała jak, znalazła się w swoim pokoju. Wszystko, co zaszło, mogło być snem, tyle że jej zmęczenie i przygnębienie znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a w chuście, związanej w tobołek, była jakaś dziwna, miękka substancja — jakby najbielsza glina.

Rozdział XII

Polowanie na ludzi w Gordonstown

Od północnej strony zamku Gordonstown, między drzewami i polami, biegł prosty szlak aż do wydm, a stąd — na odcinku mniej więcej pół mili — prowadził przez wrzosa i kolcolist do skraju wielkich skał z czerwonego piaskowca, w których kryły się liczne grotty.

Księżyc, który obecnie był półksiężycem, świecił pośrodku nieba. Cień skał padał na przybrzeżne wody, tam gdzie fale biły o niskie, zdradliwe skałki, które całkiem, albo prawie całkiem ginęły z oczu pod falami przyływu. Płynęły tu przeciwne prądy, zupełnie zaskakując żeglarzy, a czasami potężna powrotna fala, tak że tylko bardzo zręczny żeglarz, znający to wybrzeże jak swoje pięć palców, mógłby wyruszyć stąd w morze.

Sir Robert stał na skraju stromej skały, rozmawiając z człowiekiem ubranym w szare sukno, w błękitnym szkockim berecie, w którego towarzystwie często go widywano.

— A więc jutro w nocy — powiedział baronet.

— Nie, nie w nocy, musimy mieć dość światła. Będziemy tędy przejeżdżać godzinę przed zachodem słońca. Wypatruj nas z dachu Gordonstown — a będzie na co patrzeć.

— Dobrze. Teraz spójrz w dół. W cieniu nic nie widać, a jednak cumuje tam *Mała Syrenka*, najmniejszy z moich statków, a jednak jeden z najlepszych na morzu. Nie ma w Morayland nikogo kto mógłby na nim żeglować, oprócz starego Danny'ego. Dziesięć dni temu ten stateczek przywiózł trochę beczek dobrej francuskiej aqua vitae. Od tej pory stoi w Buckie, wyszykowany na łódź rybacką. Stary Danny potrafi go tak zmienić, że nie rozpoznałby go cieśla, który go zbudował. Teraz czeka na podróż powrotną. Korzysta z cienia, rzucanego przez księżyc w tym miejscu, dlatego tutaj rzucił kotwicę. Ręczę, że stary Danny wyprowadzi go stąd jeszcze przed zachodem słońca.

— To szczwany lis, dobrze go znam — powiedział ten drugi. — Ale gdyby ktoś z mojej Gromady rzucił na niego urok i zbudził wiatr, to nie sądzę, żeby nawet Danny zdołał

stąd bezpiecznie wypłynąć, a i *Mala Syrenka* nigdy by już nie wyszła w morze. Nawet pani Isabel, która dopiero co poznała to zaklęcie, łatwo by sobie z nim poradziła.

— Tak, wiem o tym — odrzekł sir Robert. — Ale właśnie dlatego wysyłam go pewną ręką, mimo pierścieni na księżycu i wszelkich oznak nadciągającego sztormu. One wstrzymają psy gończe Lordów Komisarzy. Nie odważą się ruszyć w morze, gdy wszystko wskazuje na bliski sztorm. Ale my dwaj, stary druhu, dobrze wiemy, skąd się biorą sztormy i wiemy, że dziś w nocy nie nadejdą.

— Możesz być tego pewien. Masz moje przyrzeczenie. Ale może się zdarzyć, że sam będziesz chciał burzy, a wtedy pani Isabel może ci być pomocna.

— Ona mi się podoba — powiedział sir Robert. — Jest rozumna, wykształcona i piękna. Po prawdzie to nie przepadam za większością twoich towarzyszek, jak dobrze wiesz. Są takie nieokrzesane, większość z nich to zwykłe wiedźmy.

— Służą mi dobrze — odrzekł krótko drugi. — Ona też mi się podoba — dorzucił lekko zmienionym tonem, który nie uszedł uwagi sir Roberta.

— Ech ty, Czarny Jocku! Zawsze uganiałeś się za spódniczkami. Czy to nie ty uwiodłeś w raj żonę staruszka Adama? No cóż, to nie dla mnie zabawa. Pod tym względem kobiety mnie nie interesują. Chcę wiedzy, a ty możesz mi ją dać. Proszę tylko, by pozwolono mi zobaczyć, jak to wszystko działa i badać siły, które wprawiają świat w ruch. Isabel, ta słodka istota, jest młoda. Chce zmieniać świat.

— Tym lepiej dla ciebie, Rob. Będziesz czasem potrzebował jej pomocy, żeby zmienić to i owo. To twoje przyglądanie się może doprowadzić do twojej śmierci przed wyznaczonym czasem.

Sir Robert chciał ripostować, odwrócił się, ale tamtego już nie było.

Sir Robert poszedł w zamyśleniu na skraj urwiska i zaczął schodzić w dół ścieżką tak wąską, że prawie niewidoczną.

— Przed wyznaczonym czasem — mruczał. — Tak, Czarny Jocku, być może już mnie masz, ale przecież ludzie już nieraz oszukiwali diabła. Jest jeszcze cmentarz w Birnie. Tak, tak, chyba mam jeszcze dość czasu.

U końca ścieżki czekał na niego jakiś marynarz, jeden z tych smagłych mężczyzn z Broch o wyglądzie cudzoziem-

ca. Miał kędzierzawe włosy, kolczyki w uszach. Był ubrany w solidne rybackie buty sięgające uda, ciemnoniebieski sweter i także czapkę w kształcie pończochy.

— Dobry wieczór, Danny — powiedział sir Robert. — Tej nocy odpłyniesz. Co przywieziesz z powrotem?

— Soloną rybę i inne towary z Findhorn, wielmożny panie. Popłynąłem tam onegdaj z Buckie. Pan pewnie myśli, że kiepski ze mnie kupiec, że moja łajba jest zbyt powolna dla takiego handlu. Ale ja nie żądam za przewóz wielkich pieniędzy, więc nie będą za bardzo narzekać. Dobrze mnie znają w Findhorn. A ta grota jest dość bezpieczna. Jest tam ze dwadzieścia beczek, a jak wrócę, będzie jeszcze dwadzieścia.

— A jakie wieści z Francji? Słyszałeś co o paniczu Hamiltonie?

— Owszem, ale nic dobrego. Tamtejsi marynarze dużo o tym gadają. Angielscy panowie wprost wychodzą ze skóry, by go schwytać, a francuscy rebelianci im pomogą. Wiem, że mają w sakiewkach dobre angielskie złoto, a obiecali im jeszcze więcej. Oni patrzą krzywym okiem także na wielmożnego pana. Już pana ostrzegałem.

— Owszem, i mówiłeś, że niektórzy z moich ludzi spiskują z Anglikami, by mnie uwięzić. Do diaska, przecież jak się pcha rękę do nory, żeby wyciągnąć lisa, to trzeba się liczyć z ryzykiem, że lis może ugryźć. Ale kto to jest? Obiecałeś, że mi podasz ich nazwiska.

— Tak, wasza wielmożność, mam je.

Wyciągnął z kieszeni jakiś zmięty świstek i zaczął czytać:

— To jest John Rhind i William Rhind, James Anderson

1 Peter Adam. To już czterech, a jest jeszcze niewiasta, Kirsty Johnston. Ona chyba żyje z Peterem Adamem na kocią łapę.

— No tak. Wszyscy są z Lowland i popierają Kowenant. Jesteś pewien, że to już wszyscy i że nikt inny nie wie o tym spisku?

— Wszyscy, wielmożny panie, oprócz mnie, ma się rozumieć. To ja ułożyłem cały plan, niby jak schwytać wielmożnego pana. Mam pożyczyć im łodzi, żeby przewieźć wielmożnego pana do Francji. Dostanę dwie miarki angielskiego złota. Pan wie, że moja łajba jest ciężka, powolna i oporna w żegludze — dobrze, że potrafi udawać inną, sprytna

bestia! — oni o tym wiedzą, ale to im nic nie szkodzi, bo jak będziemy już mieli wielmożnego pana na pokładzie, to na morzu już nikt im nie przeszkodzi, będzie nas pilnować angielska fregata. Ale może wielmożny pan być pewien, że ci ludzie nikomu nie powiedzą. Nie chcą się z nikim dzielić angielskim złotem.

— Cóż, Danny, w życiu wszystko się może zdarzyć. Gdyby ta piątka zginęła, to ten sekret pewnie zginie razem z nimi.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana, ja bym jeszcze chciał pożyć.

— Mówiłem o pięciorgu, nie o sześciorgu, Danny. Jesteś silny i przywykły do morza. Na pewno przeżyjesz tamtych.

Danny ponuro zachichotał.

— Jak wielmożny pan uważa. Chyba jeszcze się na coś przydam. — powiedział. — No, zaczyna się odpływ i wiatr jest pomyślny. Pójdę do łodzi i odpłynę, póki księżyc pomaga. Niedobrze by było płynąć przez skałki po ciemku.

Zasalutował i znikł w cieniu urwiska.

Sir Robert wrócił stromą ścieżką na szczyt urwiska i szybko szedł przez diuny i pola w stronę Gordonstown. W domu siadł za biurkiem i wydobyl małą czarną książeczkę podpisaną: „Dzienne sprawozdanie z prac na polach Gordonstown”. Czytał ją z bacznością, kreśląc uwagi na marginesach.

— Tak będzie dobrze — powiedział do siebie. Następnie napisał zlecenia dla zarządcy i zostawił kartkę na biurku, by ten znalazł ją rano:

„Dwóch Rhindów, Anderson, Adam i niewiasta Johnston mają pracować na polach Drainie do zachodu słońca. Muszą je uporządkować i zaorać.

Wszyscy pozostali parobcy będą pracować przy moich nowych stajniach. Po obrzędzie kobiety zajmą się pracą w domu.”

— Co jest dla mnie bezpieczniejsze — pozostać w domu i iść na dach, czy jutro wyjechać? — zastanawiał się. — Poradzę się Arela.

Poszedł do zachodniego skrzydła zamku do sklepionego pokoju z ciosanego kamienia, gdzie piec kołpakowy płonął jasnym, równym ogniem. W sam środek paleniska rzucił garść jakiegoś proszku; ogień strzelił w górę, przybierając dziwny niebieski kolor. W jego oświetleniu twarz sir Roberta wyglądała jak martwa. Gdy płomień opadł, żar nabrał

barwy szmaragdowozielonej, środek żaru stał się posepnie czerwony. Szedł z niego dym, wijąc się niebieskimi serpentynami jak wąż. Sir Robert siadł na ławie, patrząc pilnie w środek paleniska, aż wszystko inne zdawało się znikać. Żar i wijący się dym przybierały fantastyczne kształty, a żółty płomyk pełgający po żarze zmienił się niby w tańczącą postać, reagującą na jego gesty. Jeszcze bardziej wyteżył wzrok: jakaś część jego mózgu zdawała się odpowiadać na jego nie wypowiedziane myśli.

— Więc powiadasz, że na dachu. Chyba masz rację. A powiedz mi, co z Cosmo? W niebezpieczeństwie? Tak też myślałem. Ale mówisz, że tym razem im się wymknie. A w przyszłości? Nie możesz powiedzieć. Władcy Losu! Wciąż stają mi na drodze. Mają moc większą, niż ja do tej pory zdobyłem. Nawet Czarny Jock musi im ulegać. Powiedz mi, czy mogę sprzeciwić się ich wyrokom? Czy kiedykolwiek zdołam się im przeciwstawić? Co mówisz? Tylko jeden raz. A wtedy... No tak. Już odchodzisz?

Tańczący płomyk rozbłysł i zgasł; sklepiony pokój pociemniał. Sir Robert zapalił od ognia w piecu mały kaganek i poszedł do swojej sypialni. Data wypłynięcia łodzi Danny'ego z portu Findhorn została pieczołowicie odnotowana w księgach Calderów, szanowanych kupców tego miasta. Jak się dowiadujemy, mistrz Harry Forbes notuje w tym samym czasie, że powróciła okrutna choroba, która już uprzednio nękała okolicznych mieszkańców. Właśnie następnego dnia po odpłynięciu do Francji tej powolnej, ale pewnej łodzi rybackiej, na której, ze względu na niską opłatę, Calderowie umieścili niezbyt istotny fracht — wędzoną rybę i temu podobne — pastor z Aulderne pisze, że doniesiono mu, iż pięć osób, to znaczy czterech mężczyzn i jedna niewiasta, pracujący na polach Gordonstown, zmarli nagle bez żadnej wiadomej przyczyny.

„Słyszałem” — pisze dalej — „że zacny dziedzic Gordonstown okazał niezwykłą dobroć, hojnie wspomagając rodziny nieszczęśników z własnej kiesy, a zmarłych grzebiąc na własny koszt. Powiadają także, iż nastąpił nawrót wyniszczającej niemocy, ale na razie nic mi o tym nie wiadomo. Bardzo się obawiam, że Bóg położył karzącą dłoń na tej nieszczęśliwej ziemi.”

Wydaje się jednak, że jego przyjaciel medyk potraktował

te opinie z całkowitą pogardą. Jednakże jego własne wyjaśnienia, dotyczące śmierci tych nieboraków, mimo iż sformułowane w nader uczony sposób i ozdobione przeróżnymi łacińskimi wtrętami i cytatami, bynajmniej nie były tak jasne, jak by sobie życzył. Jego opinia na ten temat sprowadzała się — jak można by sądzić — do stwierdzenia, że pewne bagniste tereny nad jeziorem Spynie były suche przez całe lato, a obecnie, mokre od stojącej wody, poczęły wydzielać trujące miazmaty, które z racji zaburzeń elektrycznych, związanych ze szczególną konfiguracją planet, zostały przeniesione na rzeczono pola; lub też mogły się były wydostać z gleby owych pól, gdyż orano je po raz pierwszy, i uwolnione opary spowodowały nagłą śmierć tych, którzy je wdychali. Co zresztą zostało — już wyłożone przez uczonego Averroesa, jak również Hipokratesa i Eskulapa. Należy przy tym zauważyć — na poparcie tej opinii — że jedno z owych pięciorga odeszło na znaczną odległość w kierunku Roseisle.

Jakkolwiek rzecz się miała, jest pewne, że ci ludzie zmarli, a robotnicy pracujący przy nowych stajniach sir Roberta powiedzieli swoim towarzyszom, że na godzinę przed zachodem słońca słyszeli jakby tętent dzikich koni w powietrzu, krzyki i nawoływania, ale nie mogli rozróżnić słów. Inni znów mówili, że mniej więcej w tym czasie zerwała się burza z piorunami i silnym gradobiciem i trwała jakieś pół godziny; wydawało im się, że słyszą stukot kopyt końskich — doprawdy każdy obdarzony dość żywą wyobraźnią mógł usłyszeć coś podobnego.

Jednak niektórzy, bacząc, by ich nie podsłuchano, pytali bojaźliwym szeptem tych ludzi oraz służbę domową, czy nie uważali, że lord-czarownik maczał w tym palce. Ale jego dobroć i hojność wobec rodzin zmarłych wkrótce zadała kłam tym niepoczciwym aluzjom. Poza tym byli to jego ludzie, a nikt nie pozbywa się własności ot tak, bez żadnego powodu. Major Whitehead, który w tym czasie dowodził w Elgin angielskimi żołnierzami z ramienia Kowenantu, pisał do swojego przełożonego w Londynie w związku z tym wydarzeniem:

„Pokornie donoszę, że mając wszelkie podstawy, jak Panu wiadomo, podejrzewać sir Roberta Gordona o niechęć wobec polityki Parlamentu i Wspólnoty, nie byłem w stanie podjąć

przeciwko niemu żadnych jawnych działań ze względu na jego wielkie wpływy i potężnych przyjaciół, jak również dla innych ważnych powodów. Ułożyłem się zatem — zgodnie z rozkazem — z jego parobkami, ludźmi poczciwymi i zaufanymi, by ujeli go po cichu i wprowadzili na niewielką łódź, dowodzoną przez człowieka, na którym całkowicie polegam, a który przewozi uczciwy fracht między tym portem a Francją. To zarządziłem z myślą, by można z nim postąpić zgodnie z wolą Lordów Komisarzy, gdyż byłby z dala od przyjaciół, a nikt nie wiedziałby, co się z nim dzieje i gdzie przebywa. Jednak, jak się zdaje, diabeł dobrze dba o swoich, ponieważ tych pięcioro, którym to zlecono, zmarło nagle podczas swoich zajęć. Niczym innym — prócz złości Szatana i jego nienawiści wobec prawdziwych zasad Kowenantu i wiary protestanckiej oraz Wspólnoty — nie jestem w stanie tego wytłumaczyć, gdyż jestem zupełnie pewien, że wspomniany sir Robert nie mógł się w żaden sposób dowiedzieć o tym planie. Nie jestem w stanie dopatrzeć się jego udziału w tej smutnej sprawie i obawiam się również, że trudno będzie znaleźć innych, którzy by podnieśli na niego rękę."

Tak wiele było różnych opinii na temat owego nieszczęścia, które niepomąłu przeraziło całą okolicę. Bo chociaż już przedtem miały miejsce wypadki nagłej i nie wyjaśnionej śmierci, nigdy tak wiele osób nie padło nagle martwych w jednym miejscu. Doniesiono także, że pewien człowiek w Kinloss zmarł w podobny sposób tego samego dnia, gdy brał kamienie z ruin starego opactwa. Były dwie osoby, które mogłyby rzetelnie zdać sprawę z tych wydarzeń — Isabel Goudie i sir Robert Gordon z Gbrdonstown, ale każde miało własne powody, by milczeć. Był dzień wielkiego polowania, które Pan Ciemności przyobiecał Isabel i którego ona tak niecierpliwie wyglądała.

Pytana w trakcie przesłuchania w późniejszym czasie, czy nie odczuwała wyrzutów sumienia lub wahań, wyruszając na polowanie w celu pozbawienia życia ludzi, którzy nie uczynili jej nic złego, odpowiedziała szczerze, że wtedy zupełnie o tym nie myślała. Uwielbiała polowanie. Jeleń był szlachetniejszą zwierzyną niż zając, więc człowiek był zwierzyną najszlachetniejszą i najbardziej pożądaną. Mogła zabijać z

nienawiści — to była inna sprawa. Nienawidziła wilków za szkody, które wyrządzały, więc zabijała je z nienawiścią, ale jeleni nie miała powodu nienawidzić, ani nie zabijała ich dla zysku. Można wypuścić jastrzębia na przepiórkę, a następnie zjeść ją, ale polowanie na czapłę jest szlachetniejszym sportem. Próbowwała wyjaśnić w ten sposób swój punkt widzenia, ale wnioskujemy, że przesłuchujący ją niczego nie zrozumiał. Całe przedpołudnie owego dnia nie mogła sobie wprost znaleźć miejsca, tak była podniecona. Poprzedniej nocy był u niej Pan Ciemności. Już rozpoznawała i kochała tego poważnego czarnego gawrona, który wpadał do pokoju przez otwarte okiennice. Teraz nigdy ich nie ryglowała. John Gilbert już prawie nie przychodził do jej pokoju, a kiedy już przyszedł, był nieśmiały i stokrotnie ją przeproszał za najście. Kiedy czarny gawron wkraczał do pokoju, podskakując z powagą, chrapanie dobiegające z kuchni świadczyło o głębokim śnie Gilberta; nigdy się nie budził, jakkolwiek głośno śmiali się oboje.

Wyłożył jej tej nocy swój plan. Nie pojedą na jednym koniu, gdyż muszą mieć obie ręce wolne, by strzelać, gdy wypatrzą zwierzynę. Pojadą bok w bok, a za nimi reszta Gromady. Polecą nad Brodie, Culben, Muirtown, Windyhills i Roseisle do Gordonstown. Potem wrócą. O zachodzie słońca miną zaczarowane Wzgórze Elfów i wrócą do domu.

Później, kiedy mościła się u jego piersi, w uścisku jego ramion, Mistrz powiedział: — Kiedy odejdę, kochanie, zajrzyj do swego starego kufra. Znajdziesz tam strój na polowanie. Przyjmij ten podarek ode mnie. W godzinę po południu, włóż ten strój na siebie. Weź słomkę, zawołaj: „Koń i bicz!” i ruszaj, na wschód: zbierzemy się na skraju lasów Brodie. Tam będę na ciebie czekał. Nie zapomnij wsunąć do kołczanu strzał, które ci podarowałem. Czuję, że będziemy mieć świetną zabawę. A teraz zaśnij, nabierz sił przed jutrzejszą wyprawą!

Położył dłoń na jej głowie, a Isabel lekko westchnęła, jak dziecko zmęczone zabawą i już spała. Gdy John Gilbert wychodził z domu, spała głębokim snem. John Gilbert był w owym czasie zadowolony, gdyż jeszcze nigdy gospodarstwo nie szło tak dobrze. Cóż, nie chciał być zbyt dociekliwy. Harry Forbes mówił, że działo się tak, ponieważ jego żona była obecnie pobożną wyznawczynią reformowanej wiary; wyrzekła się papistowskich

błędów, do których miała pewne skłonności, i świeciła przykładem na całą okolicę. Życzyłyby sobie; by wszystkie pobożne niewiasty Aulderne ściślej ją naśladowały. Sam John zaczął w pewnym stopniu bardziej dbać o własny wygląd.

Był piękny dzień wczesnej zimy. Powietrze ostre i świeże. Słońce jasno oświetlało nagie gałęzie drzew, złocąc wysokie cmentarne pinie.

Isabel wstała zupełnie wypoczęta, lekka i radosna. Prędko podeszła do kufra: znalazła w nim strój myśliwski, jaki mogła sobie wymarzyć. Była to ciemnozielona suknia w odcieniu zbliżonym do świerku, obszyta srebrnym galonem. Obok leżał zgrabny myśliwski kapelusik i kołczan — natychmiast napełniła go strzałami, które zachowała specjalnie na tę okazję. Był także róg myśliwski na skórzanym pasku, okuty srebrem. Rozłożyła suknię, ale jej nie wkładała — poczeka na godzinę pierwszą po południu, którą wyznaczył jej ukochany, a na razie gładziła ją i pieściła. Suknia była nie tylko piękna, była także darem od niego.

Podeszła do drzwi i wyjrzała na słoneczny świat. Przez drogę przebiegł gronostaj z wróblem w pyszczku.

— Dzielny mały myśliwy! — powiedziała. — Wcześniej dziś upolowałeś zwierzynę. Wiedz, że ja także idę dziś na polowanie. To dobry dzień dla nas obojga. Jesteśmy zdaje się do siebie podobni, ty i ja. Hej ho! Ale będzie zabawa.

Przed południem przyszła do niej Margaret Brodie.

— Czy wiesz, moja złota, że dziś polowanie? Hej! Ale będzie uciecha! Jeszcze z nami nie polowałeś. Nie liczę tamtych polowań w Darnaway. Czy to twój strój na polowanie? Cudny, ani słowa! Będziesz naprawdę wyglądać, jak królowa Gromady. Nie, nie obawiaj się, nawet go nie dotknę. I jeszcze róg! Hej, dziewczyno, cieszę się — jestem dumna, że tą ja trzymałam cię do chrztu. Szczerze mówię, żadna z nas nie może się z tobą równać. Teraz powiem ci nowinę. Ta flądra, Latająca Ropucha, powiedziała o tobie swojemu kochankowi, Hayowi z Park.

Isabel zadrżała.

— Margaret! Co teraz będzie? Kiedy ludzie dowiedzą się o nas — co się z nami stanie? Wiesz, że ten człowiek mnie nienawidzi, bo chciał mnie na kochankę, a ja nie mogłam wprost na niego patrzeć.

— No, no, dziecinko, nic się nie bój. Pan Ciemności cię

wybrał; myślisz, że on nie ma dość siły, by cię obronić? Oddał Haya w twoje ręce. Zresztą Hay nie piśnie słówka, bo wtedy wydałoby się, że jego kochanica jest wiedźmą. Mówię ci, on się teraz trzęsie ze strachu przed nią. To nieszczęsny człek. Za żadne skarby Morayland nie chciałabym być na miejscu Ropuchy. Rozgniewała Mistrza o jeden raz za dużo. Jeśli ją teraz ukarze, to ciężką ręką. Żegnaj teraz, muszę się przygotować na polowanie! Ale będzie uciecha!

Kiedy Isabel została sama, nie myślała więcej o Hayu z Lochloy i Park. Dzień był zbyt piękny, a perspektywa rozrywki zbyt wspaniała, by zaprzętać sobie głowę tak niemiłymi myślami. Całkowicie ufała kochankowi. Cokolwiek będzie, on ją obroni, a Hay i jego kochanica zapłacą za wszystko. Być może czeka ją dodatkowa przyjemność ukarania ich — a w każdym razie jego. Ta myśl była rozkoszna. Z apetytem zjadła południowy posiłek i patrzyła, jak słońce zniża się z najwyższego punktu nieba. Wreszcie, drżąc z podniecenia i radości, zaczęła wkładać swój strój myśliwski. Kochała każdą fałdkę tej sukni. Obejrzała się w małym krzywym lusterku — widziała, że wygląda wspaniale. Mały zadzierzasty kapelusik, wyszywany srebrem i ozdobiony kędzierzawym białym piórkiem, świetnie pasował do jej kasztanowatych loków, a suknia opinała jej długą, wysmukłą postać, jak rękawiczka. Przypięła kołczan do pasa i poczuła ciężar strzał. Przerzuciła przez ramię skórzany pasek rogu; korciło ją, by zadać w róg i posłuchać, jaki ma ton. Gdy już była gotowa, wyszła na próg i schwyciła wirującą słomkę. Położyła ją na ziemi, zawołała „Koń i bicz, w imię diabła” i stanął przed nią wielki czarny rumak.

Koń i bicz! Siadaj i jedź! Koń i ostrogi! Przed siebie leć!

Popędziła na wschód. Widziała, że zewsząd zjeżdżali inni. Obok niej Margaret Brodie ściągnęła wodze swojego kasztanka.

— Hej, dziecinko! Cieszę się, że jesteś. Mamy wymarzoną pogodę na polowanie. Będziemy mieć zabawę, że hej.

— Jak myślisz, Margaret, ile sztuk dziś upolujemy?

— Nie wiem, szczerze ci mówię. Ostatnim razem były trzy czy cztery. To był dobry dzień. Czasem są tylko dwie, a czasem wcale. Dużo zależy od przypadku, czasem wszystkie sztuki, które wypatrzymy, są oznaczone „pod ochroną” i wtedy nie możemy do nich strzelać, rozumiesz. Ale dziś jedziemy na dobre łowiska. Pst! Zaczyna się.

Wyglądało to jak zwyczajna zbiórka myśliwych, tyle że konie były piękniejsze niż te, które można było oglądać na wielkich zjazdach u milorda Moraya w Darnaway i całe towarzystwo miało wspaniałe stroje myśliwskie, ale nikt nie był tak wspaniale przyodziany jak Isabel.

Pan Ciemności, na wspaniałym karym ogierze, ubrany w kosztowny strój myśliwski owej epoki, stał na skraju polany, twarzą do zebranych.

Przyglądał się wszystkim przybyłym, w miarę jak nadjeżdżali.

— Gdzie Latająca Ropucha? — zapytał surowym tonem. — Specjalnie kazałem jej przyjechać.

— Panie — odezwała się jakaś kobieta z Aulderne. — Słyszałam, jak mówiła, że jest zmęczona i nie może dziś jechać na polowanie.

— Kiepska wymówka — rzekł Mistrz. — Dobrze wie, że mocno nadwreżyła moją cierpliwość, okazując mi tylekroć nieposłuszeństwo i nielojalność. Co gorsza, złamała swoją przysięgę wobec mnie, powtarzając obcym sekrety Gromady. I dlaczego? Ponieważ przez podłą zazdrość chciała zaszkodzić naszej królowej. Gdybym jej to puścił płazem, żadne z was nie byłoby bezpieczne. Ma tu zaraz przyjść, czy chce czy nie. Cicho skandował jakieś dziwne słowa — żadne z obecnych nie mogło dosłyszeć jakie — i wznosił prawą rękę w rozkazującym geście, kierując ją na Aulderne.

— Przybądź, Latająca Ropucho! — zawołał gromko ostrym głosem. — Przybywaj, Mistrz cię wzywa.

Natychmiast na drodze prowadzącej z Aulderne ukazała się ta nieszczęsna kobieta. Jechała na nędznej szkapie, była brudna, rozczochrana, brzydka.

— Mistrzu, wybacz! — zawołała.

— Czas się skończył — rzekł. — Ruszaj z Gromadą. Mam ci coś do powiedzenia.

— Moja kochana — zwrócił się do Isabel. — Nie myśl więcej o tej złośliwej wiedźmie. Chciała cię skrzywdzić, ale mam ją. Ufasz mi?

— Tak, słodki panie. W życiu i w śmierci jestem twoja, czy nie wiesz?

— Jedź obok mnie. Czeka nas świetna zabawa. Pamiętaj tylko o dwóch rzeczach. Kiedy zobaczysz poświęcenie wokół mężczyzny lub kobiety, jakby białą mgiełkę — nie strzelaj.

Są pod ochroną. Musimy szanować ten znak. Nie strzelaj także przez wodę, bo tylko zmarnujesz nasze strzały. Trzy! maj się blisko mnie, kiedy wypatrzymy zwierzynę, będziesz miała najlepszą sztukę do odstrzału.

Mknęli przez lasy Brodie — w pojedynczym szyku po ścieżkach, ławą przez otwarte pola. Długi czas nikogo nie widzieli. Potem przejechał sam lord Brodie, ale widzieli wokół niego białą mgiełkę. Niektórzy klęli — Pan Ciemności śmiał się.

— Za młody — mówił. — Nie latami, ale dojrzałością.

Jeszcze nie dojrzał, jeszcze nie przyszedł jego czas. Na polu pracowało kilkoro mężczyzn i kobiet, ale wszyscy mieli znak „pod ochroną”. Na innym polu jakiś mężczyzna i kobieta kopali ziemię; nie mieli znaku. Margaret Brodie i Janet Broadhead natychmiast wypuściły strzały, ale chybiły. Inna czarownica trafiła chłopca. Duch żyje krótko. Należy się z prawa temu, kto zabił. Wokół leżącego zebrał się tymczasem tłum. Nadbiegł medyk. — To udar — powiedział. — Nie żyje. Gdybym przyszedł w porę i puścił mu krew, wyżyłby.

— W drogę — zawołał Pan Ciemności — nie mamy czasu do stracenia. Hej, koń i bicz! Następny będzie twój, najmilsza.

Gdy mknęli na wschód, zobaczyli dwóch mężczyzn siedzących na niskim murze przed Kinloss; rozmawiali. Isabel oddzieliła się od pozostałych myśliwych, zatoczyła koło i przeciągle, czysto zagrała na rogu, by ich spłoszyć. Jeden z nich uciekł w ruiny opactwa: był w sanktuarium. Drugi pobiegł w stronę potoku. Chwila, a przekroczy potok i będzie poza jej zasięgiem, ale Isabel zajechała mu drogę. Schwyciła strzałę — wystrzeliła. Zwaliała go tuż przy strumieniu, nim dotknął wody stopą. Pamiętała o łupie Bessie Hay w Ferres; podjechała bliżej, a kiedy duch uniósł się nad ciałem, Czerwony Rozbójnik, jej służebny duszek, doskoczył, pochwycił

go i mocno przywiązał do siodła Isabel. — Koń i bicz! — Gromada popędziła przez ziemie Win-

dyhills, gdzie wypatrzoneo dwie sztuki, a ubito jedną, a później na pola Gordonstown. Dzień był jasny i pogodny, powietrze rześkie i upajające jak długi łyk dobrego wina; towarzystwo świetnie się bawiło. Przy kulbakach były już cztery sztuki, a minęła dopiero połowa dnia. Nigdy dotąd nie mieli tak pomyślnych łowów. Przypisywali to obecności Isabel. Isabel, rozradowana, wygrywała na rogu. Ona jedna, prócz Pana Ciemności, mogła dzierżyć ten symbol władzy.

Latająca Ropucha włokła się ponuro z tyłu, jedyna niezadowolona osoba w wesołej kompanii, niosąc w sercu zazdrość i nienawiść wobec Isabel. Kiedy mijali stare głogi na Roseisle, wypatrzyła sposobność, by sięgnąć ukradkiem do kołczanu po strzałę i cisnąć nią w Isabel, galopującą obok Mistrza. Ten roześmiał się lekko, wyciągnął rękę i schwycił strzałę w locie. — No, moja pani — powiedział. — Policzymy się po polowaniu. Chyba dobrze się stało dla Latającej Ropuchy, że nikt nie widział jej podłej próby, bo pewnie rozerwaliby ją w strzępy na miejscu, tak bardzo byli dumni ze swojej królowej.

— Koń i bicz! — pokrzykując i wiwatując, pośród wesołych nawoływań rogu, popędzili do Gordonstown, gdzie owych pięcioro pracowało na polach Pleughlands. Niezła gratka. Gdyby tak ubić wszystkie pięć sztuk! Ale tu wynikła niespodziewana komplikacja — Anderson miał zdolność jasnowidzenia. Spojrzał, w górę i ujrzał całą drużynę, jak pochylona pędziła przez chmury, właśnie, gdy ciężkie burzowe chmury poczęły się kłębić od południa nad wzgórzem Monaughty, gasząc światło słoneczne. Zerwał się wiatr i całe niebo zaciągnęło się chmurami. Gromada rozjechała się w różnych kierunkach tworząc wielki krąg, by żadne im nie umknęło. Piątka rozbiegła się, ale wszystkim odcięto odwrót. Czwooro zginęło; sam Mistrz trafil jedną sztukę z bardzo znacznej odległości. Ale James Anderson, wspomagany przez swoje „widzenie”, wiedział dokładnie, gdzie byli jego prześladowcy. Udało mu się przerwać linię i uciec na Roseisle. Tryumfował — był teraz jedynym pozostałym przy życiu spiskowcem. Teraz może nająć do pomocy jakichś biedaków za marne grosze i zażądać od kowenantystów całej nagrody za uprowadzenie sir Roberta. Oszłołomił go nagły grad, potknął się o jakiś rów; w świetle

błyskawicy ujrzał Isabel na czarnym koniu stojącą na wprost niego. Widziała, jak przerwał linię nagonki i umknął; natychmiast puściła się za nim w pościg. Pomknęła śmiertelna strzała i trafiła. Czerwony Rozbójnik natychmiast przytroczył ducha zdrajcy do siodła łowczyni. Isabel wracała w tryumfie.

Patrząc z dachu Gordonstown, sir Robert widział, jak padał ostatni zdrajca, właśnie gdy chmura burzowa odpływała nad morze, a słońce znów zaświeciło.

— Jedźcie w prawo — zawołał Mistrz. — Pojedziemy na czarodziejskie Wzgórze Elfów, do Siedziby Sprawiedliwości. Mam tam pewną sprawę. Latająca Ropucha kuliła się i drżała ze strachu. Oblewał ją zimny pot, każda cząsteczka jej ciała dygotała od trwogi — ale musiała jechać za nimi. Kompania sunęła nad żyznymi nizinami, z Panem Ciemności i Isabel na czele.

Ukazało się Wzgórze Elfów, wówczas bezdrzewne, porośnięte jedynie wrzosem i gęstym kolcolistem. Zajechali od południowej strony, przez pradawny las bukowy, w którego głębi kryło się niewielkie jezioro; jego czyste, spokojne wody odbijały pnie drzew i płonące niebo zachodu. Kilkaset jardów dalej stał krąg pradawnych kamieni, otoczony przez potężne buki, zupełnie nagie o tej porze roku.

Mistrz zasiadł na środkowym kamieniu, pokrytym mchem, który wyglądał jak tron olbrzyma, wyłożony zielonymi aksamitnymi poduszkami. Isabel stanęła obok. Wtem dostrzegła zgrabną postać niewieścią w długich powiewnych szatach z białego jedwabiu i w zielonym płaszczu, haftowanym złotem. Jej złote włosy spływały po płaszczu niemal do kolan. Na głowie miała złoty diadem wysadzany perłami i pajęczko cienki welon. Jej twarz była niezwyklej piękności. Obok stał młody mężczyzna, wysmukły i giętki, lecz o ruchach pełnych królewskiej powagi. Ubrany był w krótką jedwabną, zieloną szatę sięgającą uda. Na głowie miał zieloną czapkę ujętą w złoty diadem, zawadiacko przekrzywioną na kasztanowatych lokach.

— Jesteśmy na ich ziemi — szepnął Mistrz do Isabel. — Odbywamy tu sądy za ich zgodą.

Reszta Gromady stała poza kręgiem. Mistrz skinął ręką i dwie najpotężniejsze kobiety z Gromady przyciągnęły nie-

szczęsną Ropuchę do dwóch kamieni, które tworzyły bramę kręgu.

— Latająca Ropucho — rzekł. — Godzina wybiła. Moja cierpliwość się wyczerpała. Długo cię znosiłem, bo mi przysięgałaś, byłaś jedną z mojej Gromady. Byłaś krnąbrna i nieposłuszna. Ostrzegałem cię, ale nie słuchałaś. Ponadto obraziłaś panią Hacallah, naszą królową. Dałem ci jeszcze jedną szansę: przeznaczyłem cię jako kochankę dla człowieka Haya z Lochloy, żebyś mogła odzyskać swój honor i swoje miejsce pośród nas. Lecz ty zawiodłaś moje zaufanie — mówiłaś temu człowiekowi o królowej. Powiedziałaś to, co przyrzekałaś nigdy nie mówić, a on powtórzył twoje słowa pastorowi z Aulderne. W ten sposób zrobiłaś wszystko, by narazić na niebezpieczeństwo całą Gromadę, a teraz ja będę musiał mu zapobiec.

Na koniec, jeszcze dziś, w podłej złości i zazdrości, o której nie powinniśmy nawet mówić w tym gronie, odważyłaś się podnieść rękę na panią Hacallah: usiłowałaś zabić ją moją własną strzałą. Wątpiłaś więc w moją moc! A więc dam ci jeszcze jeden dowód, ostatni na tym świecie. Odbieram ci teraz wszystko, co ci dałem, całą moją moc i opiekę. Zaufałaś ludziom. Bardzo dobrze, ludzie zajmą się tobą.

A teraz w górę, Koń i bicz!

Gromada uniosła się w powietrze, krążąc chwilę nad polaną. Para, którą Isabel widziała już przedtem, stała wewnątrz kręgu, obok omszałego kamienia. Latająca Ropucha była sama; przypadłszy do ziemi, kuliła się żałościwie. Złapała jakiś fruujący badył i zawołała:

— Koń i bicz! W imię diabła! — Słomka ani drgnęła. Lasem właśnie szli jacyś ludzie — dostrzegli Ropuchę. — To jedna z nich — powiedział idący przodem. — Słyszałaś, jak przyzywała diabła? Ale on chyba jej nie chce. Ależ to paskudna maskara. Łapać ją! No, chodźże, podła więdźmo, mistrz Kincaid już się tobą zajmie. Ręczę, że usiądziesz na stosie.

Będziesz miała szczęście, jeśli cię od razu nie spalą. Sam słyszałem, jak przyzywałaś diabła. Zobaczymy, czy ci pomoże. Nuże, zmień się w kota czy zająca. Jeśli potrafisz. Jesteśmy ludźmi szeryfa. Pójdiesz z nami. Jesteśmy bogooojnymi wyznawcami kościoła reformowanego, sądy kościelne wytepią te wasze przeklęte praktyki.

Powlekli ją gwałtem za sobą, chociaż się opierała, krzyczała, że jest uczciwą niewiastą, nie czarownicą.

Isabel chętnie wstawiłaby się za nieszczęsną u kochanka, ale był zawzięty i surowy, jakim go nigdy przedtem nie widziała.

— Zjedź na dół, kochanie — powiedział wreszcie. — Przekaż moje pozdrowienia szlachetnej parze oraz podziękowania za łaskę, którą mi wyświadczyli. Tobie też mogą wyświadczyć przysługę w ciężki czas, jeśli taki kiedy nadejdzie.

Isabel zjechała, kołując, w środek kamiennego kręgu. Zeskoczyła z konia i skłoniwszy się nisko przed parą królewską, powtórzyła im słowa Mistrza, jak jej przykazał.

Pani z wdziękiem oddała ukłon, położyła dłoń na głowie Isabel. W tej samej chwili szorstkie kamienie wydały się Isabel pięknie rzeźbionymi kolumnami, oplecionymi cudnymi różami; niewidzialne harfy zagrały jakieś piękne pieśni, powietrze wypełnił aromat tysiąca kwiatów, zatańczyły gromady uroczych postaci.

— Pani — rzekła Królowa Elfów i Wrózek. — Obserwuję cię od dawna. Jesteś miłym gościem w naszej krainie. Zgodnie z umową, musimy świadczyć usługi temu, który tu przed chwilą zasiadał. Ale niewiele nas łączy. Nakazuję ci, byś tu przychodziła, kiedy tylko czegoś ci trzeba. Spędzisz z nami noc i dzień i opuszczą cię wszelkie troski i zmartwienia. Isabel chciała jej podziękować i szukała dwornych słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy, tylko kojący wpływ tej sceny, muzyka i słodki zapach kwiatów wniknęły w głąb jej duszy. Nie pamiętała już o Latającej Ropusze, jakby ta sprawa nigdy się nie zdarzyła. Kiedy się znów rozejrzała dookoła, „dwór elfów zniknął.

Leżała samotnie w kamiennym kręgu — nie było nawet czarnego konia. Musi wracać do domu, dogonić resztę Gromady. Słomka szybko ją zawiezie; właśnie jakieś źdźbło przelatywało obok — sięgnęła po nie, ale ręka jej opadła. Była strasznie znużona, nie mogła otworzyć ciężkich powiek. Podniosła źdźbło paproci, ale nie miała siły wymówić zaklęcia.

Głowa opadła jej na omszały kamień i zasnęła.

Obudziło ją światło półksiężyca, stojącego w oknie jej własnego pokoju. Po kilku dniach dowiedziała się, że Maggie Wilson nie mieszka już w swojej chatce w Aulderne, a pięć osób, które spiskowały, by uprowadzić sir Roberta, zmarło nagle od

jakiejś tajemniczej choroby na polach Drainie niedaleko Gordonstown. A więc nie był to kolorowy sen, jak początkowo sądziła.

Rozdział XIII

Czarownice rzucają urok na wielebnego Harry'ego

Forbesa

Pan Patrick Innes pisze, że jego przyjaciel Harry Forbes mówił mu o jakiejś bardzo ciężkiej chorobie, która właśnie wtedy go dopadła; przeleżał w łóżku wiele tygodni, a przez kilka miesięcy nie był w stanie podjąć na nowo swoich obowiązków duszpasterskich. Był to rok, pisał, bardzo poważnych chorób w okolicy. Nie tylko bowiem padali martwi ludzie, którzy byli uprzednio zupełnie zdrowi, ale znów zaatakowała nieszczęsna „wyniszczająca niemoc”, która kiedyś dręczyła najstarszego syna dziedzica Park i Lochloy, a także szerzyły się inne choroby.

W tym samym czasie, mówi, pojmano zatwardziałą czarownicę, niejaką Maggie Wilson — jego własną parafiankę z Aulderne — w chwili, gdy przyzywała diabła przy Wzgórzu Elfów, w pobliżu pogańskiej świątyni; takie zeznanie złożyli pod przysięgą dwaj uczciwi ludzie, oficerowie szeryfa, który słyszeli, jak wzywała diabła, ten jednak — mówili — nie przyszedł jej z pomocą.

Zabrano ją następnie do Elgin i poddano próbie wody; przy pomocy piekielnych czarów zdołała utrzymać się na Wodzie. Wówczas zwrócono się do Johna Kincaida — zwanego poszukiwaczem czarownic, a pospolicie — nakłuwaczem, który przebywał w mieście Elgin, a miał doświadczenie i zręczność w wyszukiwaniu szatańskiego piętna u osób podejrzanych o czarnoksiężskie praktyki — o przebadanie Maggie Wilson, jak to czynił z innymi. W trakcie badania znalazł szatańskie piętno nieco poniżej jej lewego ramienia; przy nakłuwaniu długą szpilką badana nie odczuła bólu, ani też przekłute miejsce nie krwawiło po wyciągnięciu szpilki.

Postawiona przed komisją uczonych i szacownych obywateli, kategorycznie zaprzeczała, jakoby dopuściła się wiadomych praktyk; jednak w trakcie przesłuchiwania wyznała wszystko i oświadczyła, że to ona sprowadziła choroby na okolicę.

Pytana o współniczki, niewiele potrafiła powiedzieć. Mówiła, że rzeczywiście miała współników, ale nie była w stanie przypomnieć sobie ich nazwisk, a poddana ostremu przesłuchaniu wymieniła nazwiska różnych pastorów z hrabstwa Moray. Sąd przysięgłych skazał ją na karę pręgi, a następnie spalenie na stosie, co też wykonano we Wschodniej Bramie miasta Elgin. Wielu uważało, że ze względu na jej zatwardziałość w grzechu powinna była spłonąć na stosie bez zwłoki i że sędziowie byli nazbyt litościwi, przetrzymując ją uprzednio pod pręgierzem.

Co do mistrza Harry'ego Forbesa, to w trakcie choroby zupełnie stracił pamięć, co mocno go martwiło, gdyż cały ten czas wiedział, że ktoś przekazał mu jakąś wiadomość, którą on winien z kolei przekazać władzom, a wcale nie pamiętał, co to było; jak też nie mógł sobie przypomnieć, co mu się przydarzyło przed chorobą.

Medyk, który go doglądał w chorobie, mówi, że pastor wciąż głośno krzyczał, że jego pokój jest pełen czarownic, że naprzeciw łóżka stoi diabeł, a przed nim klęczą jakieś kobiety z włosami zarzuconymi na twarze i oczy, i że machają na niego jakimś workiem. Medyk twierdził, że choroba wpędziła pastora w malignę, bo jako żywo w pokoju nie było żadnych czarownic — przecież sam tam był, a nie widział ani jednej; że przecież czarownice nie istnieją, co jest faktem stwierdzonym naukowo, ale pora roku była niezdrowa i zacy pastor nabawił się choroby, która była rozpowszechniona w okolicy. Jeśli jednak chodzi o syna dziedzica Park, to na nic zdała się cała jego sztuka medyczna i uczone wywody, którymi przyozdabiał swoje diagnozy; chłopak czuł się coraz gorzej i wprost nikał w oczach, dręczony silną gorączką i bólami, które były niby bezustanne ukłucia szpilkami.

Nieoczekiwane światło na sprawę Davida Haya z Park rzucił list pisany przez niejakiego Johna Innesa z Banff, notariusza publicznego, adresowany do pana Patricka Innesa z Banff, z którym był prawdopodobnie w jakiś sposób spokrewniony. Píše on, iż Hay zwrócił się do niego o poradę.

W świetle późniejszych faktów szczegóły tego listu tworzą pewną całość. Zdaje się, że Hay był bardzo przejęty pojmaniem Maggie Wilson, jak również pewnymi wyznaniem, które mu uprzednio poczyniła na temat niektórych niewiast okolicznych, zwłaszcza pani Isabel Goudie; należy je bezzwłocznie oddać w ręce odpowiednich władz, gdyż uprawiały zbrodnicze praktyki czarnoksięskie i miały sprawę z diabłem. Na co pan John Innes mądrze mu odpowiedział, by zachował to dla siebie i słówkiem o tym nikomu nie pisał.

— Panie Hay — mówił. — Pan sam dowodzi, że jest osobą podejrzaną. Rzeczona Maggie Wilson została aresztowana i doprowadzona przed oblicze sędziego w Elgin na podstawie oskarżenia, które jasno wykazuje uprawianie czarnoksięstwa. Wiem to na pewno, gdyż zeznania zostały podpisane w mojej obecności ledwie wczoraj. Mogę panu powiedzieć, że wymieniono pana imię, jako utrzymującego znajomość z tą niewiastą. Zapewne dobrze pan wie — a jeśli nie, to niech się pan dowie — że przestawanie z czarownicami lub utrzymywanie z nimi związków cielesnych jest zbrodnią równie ciężką jak samo czarnoksięstwo. Pewien świadek zeznał, że słyszał, jak pan wzywał diabła, by dał panu kochankę. Ale ja kategorycznie twierdziłem, że jest to, o ile wiem, wierutne łgarstwo, jeśli się weźmie pod uwagę pana pozycję i stan; powołałem się przy tym na pobożnego pastora z Aulderne, który mógłby zaświadczyć o pana uczciwym i przyzwoitym prowadzeniu się. Mówiłem też, że jeśli ta niewiasta jest czarownicą — a jest nią — to pan najpewniej nic o tym nie wiedział i że interesował się pan nią jedynie jako człowiek dobrego serca, z miłości bliźniego, o czym wszyscy wiedzą.

Zimny dreszcz wstrząsnął Hayem; czerwona twarz zszarzała mu jak popiół. — Dobry Boże! Człowieku! Już rozmawiałem z pastorem w tej sprawie. Co mam teraz robić?

— Więc może pan podziękować Bogu za szczęśliwy przypadek, bo słyszałem, że mistrz Forbes zapadł na ciężką chorobę, która grasuje w okolicy i na pewien czas stracił zupełnie pamięć. Chce coś powiedzieć, ale nie pamięta co. Ponadto medyk mówi, że cierpi on na tak silne ułudy, że w żaden sposób nie można by przyjąć jego zeznań za wiarygodne. Co do pani Isabel Goudie, to niech się pan także strzeże, gdyż uchodzi w całej okolicy za niezwykle pobożną

niewiastę, świecącą przykładem, i jeśli wystąpi pan przeciw I niej z oskarżeniem, to oskarżenie obróci się przeciwko panu. — Jak ją znam, to lepsze z niej ladaco.

— Być może, mój panie, być może. Ja nic nie mówię. Ale trzeba pamiętać o tym, co mówią ludzie tutejsi, bo sąd przysięgłych im da wiarę, a nie panu. Słyszałem, jak otwarcie mówiono, że zalecał się pan do niej, a następnie prześladował ją, gdy odrzuciła pańskie zaloty; wszyscy są za nią, a przeciw panu. Zatem jeśli pan mówił o tej sprawie tylko z pastorem i będzie pan trzymał język za zębami, to chyba wszystko dobrze się skończy. Ale musi pan zdać się na mnie. Jako notariusz publiczny, przed którym składa się wszelkie zeznania, ja jeden mogę panu pomóc wykaraskać się z tej opresji. Hay myślał ponuro o wysokości opłat, jakich zacny notariusz żądał za swoje usługi, ale nie widział innego wyjścia.

— Zrobię, jak pan radzi, i bardzo dziękuję za pomoc. Ale proszę przypomnieć sobie o moim synu; to rozwydrzone, psotne chłopaczysko, chociaż jego matka nie da złego słowa o nim powiedzieć. Otóż inne łobuziaki namówiły go, by podpalił stogi siana na farmie Johna Gilberta. Spuściłbym mu za to tęgie lanie, bo to były zwyczajne psoty. Ale pani Goudie to widziała i ostrzegła, by tego nie robił. Wtedy ten nicpoń cisnął w nią kamieniem i nazwał obrazliwym słowem. Nie przeczę, słyszał to słowo u mnie. Od tamtej pory wciąż niedomaga, a medyk jest bezradny.

— Tak, tak. Powtarzam panu — jeśli by wystąpić przeciw pani Goudie z podobnym oskarżeniem, to cała okolica wystąpi przeciw panu; mają już pana na językach, więc sprawa mogłaby się źle skończyć. Więc, jak mówiłem, niech pan trzyma język za zębami. Także i tą chorobą obciążymy Maggie Wilson. Spalą ją tak czy owak, jedna rzecz mniej czy więcej nie ma znaczenia. Jest teraz w takim stanie, że przyzna się do wszystkiego. Można by sądzić, że sama sprowadziła na Szkocję wszelkie zło przez ostatnie dziesięć lat, gdyż o współnikach w złym dziele albo nie może, albo nie chce mówić. Nigdy nie wymieniła pańskiego imienia ani żadnego innego. Nie można jej do tego nakłonić nawet najostrożniejszymi metodami.

Hay machnął na wszystko ręką. Z natury samolubny, odczuł nieszczęście swojej kochanki jako jedno ze swych niepowodzeń, których miał wiele i odczuwał ulgę na myśl,

że z jakiegoś powodu nie mogła czy nie chciała mówić o swoim z nim związku i był zupełnie zadowolony, że obciążono ją winą, którą kogoś trzeba było obciążyć. Poza tym notariusz obiecał mu bezkarność. Ale na razie musi bardzo uważać, by nie wymieniać imienia Isabel Goudie. Wszystkie te fakty, zebrane z różnych starych dokumentów, opisujących tamte wydarzenia jako zupełnie naturalne, acz nieszczęśliwe wypadki, udowadniają stare powiedzonko, że diabeł nie da skrzywdzić swego. Było jasne, że po tym, jak Latająca Ropucha, powodowana nienawiścią i zazdrością, wypaplała o Isabel Hayowi z Lochloy, cała Gromada znalazła się w opałach i wielu ludziom trzeba było zamknąć usta, nie tylko tym dwojgu. Otóż Hay nieopatrznie wygadał się przed synem, który — jak to chłopiec — wszystko naturalnie powtórzył swoim kolegom; przedstawił też sprawę ze szczegółami mistrzowi Harry'emu Forbesowi. Pastor nie uwierzył ani jednemu słowu wymierzonemu w panią Isabel Goudie — przecież świadectwo jego własnych oczu było niewątpliwym dowodem, że była to niezwykle bogobojna niewiasta, owieczka wydarta w porę papistowskiemu zaślepieniu, a obecnie najwierniejsza wyznawczyni kościoła reformowanego Szkocji. Było niemożliwe, by kobieta uczęszczająca tak regularnie na cotygodniowe nabożeństwo, która z tak jawną korzyścią wysłuchiwała jego kazań — mogła mieć jakieś sprawy z diabłem — to nedorzeczność.

Czarownice, oczywiście, istniały. Nikt nie był takim głupcem i bluźniercą, by wątpić w to, wyłączając może jakichś nieudolnych nieboraków, jak na przykład medyk; rozpiera ich pycha. W jego własnej parafii także mogły być jakieś czarownice, które miały konszachty z diabłem i jego, pastora, obowiązkiem było informowanie władz o tym, co słyszał.

Ale to tylko tak wyglądało z zewnątrz. Isabel zeznała to, co się zdarzyło naprawdę i z jej słów jasno wynika, że to, co zacny pastor widział w gorączce, miało rzeczywiście miejsce, mimo iż medyk przypisywał jego słowa chorobie.

Jestem pewien, że jest to częste zdarzenie, gdyż mózg i zmysły chorego, silnie pobudzone wzburzoną krwią, pozwalają mu widzieć rzeczy, których nie byłby świadom w pełni zdrowia. Tak przynajmniej twierdził ojciec pana Patricka Innesa, wybitny chirurg.

W domu Janet Broadhead zebrała się część Gromady; Janet i jej mąż mieli osobiste pretensje do mistrza Harry'ego Forbesa, gdyż publicznie zganił ich za nieobecność w kościele w Dzień Pański. Janet Broadhead cisnęła w niego za to strzałą śmierci, ale nie trafiła; Pan Ciemności powiedział, że Janet nie może pozbawić go życia, ale może sprowadzić na niego chorobę. Podczas tego zebrania Isabel i Pan Ciemności jak zwykle zajmowali honorowe miejsca — w tym wypadku była to ława przy kominku, a reszta siedziała wokół wielkiego kuchennego stołu z tarcicy sosnowej. John Taylor, mąż Janet, siedział po drugiej stronie stołu na wprost Mistrza. Nieco dalej, z prawej strony, siedział Alexander Elder z Earlseat, otyły ślamazara, powszechny obiekt żartów. Byli to jedyni mężczyźni w całym zgromadzeniu.

— Moi wierni — powiedział Mistrz. — Jak wiecie, był między nami zdrajca. Musicie zrobić wszystko, by być bezpiecznymi, . Sam załatwiłem sprawę Latającej Ropuchy, gdyż była moją sługą i składała mi przysięgę. Ale z innymi musicie radzić sobie sami — wasza moc wystarczy. Pamiętajcie o jednym — nie możecie zabić mistrza Forbesa. Jego choroba musi wam wystarczyć. Dlatego nie użyjecie strzał śmierci ani nie użyjecie do tego celu glinianej figurki.

— Gdybym tylko miała mieszek wiedźmy — odezwała się Janet Broadhead. — Mój mąż dał mi taki mieszek, jeszcze zanim wstąpiłam do Gromady. Mogłabym sprowadzić na niego taką chorobę, że leżałby i o niczym nie pamiętał. Ale spaliłam go, bo bałam się, że go ktoś znajdzie.

— Mógłbym zrobić taki mieszek — powiedział John Taylor — ale musiałbym przez długi czas zbierać rzeczy potrzebne do jego wykonania.

— Chcę coś powiedzieć — odezwała się Margaret Brodie z ożywieniem.

— Ukradnę mieszek mojej matce. Starucha ma tę straszną rzecz.

Przyniosę ci go i wszyscy pójdziemy popatrzeć, co będziesz z nim robić.

— Niech tak będzie — powiedział Mistrz. — Sam też przyjdę popatrzeć, jak sobie radzisz. Teraz sprawa dziedzica Park.

— Drogi panie — szepnęła Isabel z przejęciem. — Obiecałeś go mnie.

— Tak było, ukochana. Latająca Ropucha dobrze mu dopiekła, ale ty powinnaś dopełnić swej klątwy. Pamiętasz, co w niej było?

— Tak, pamiętam dobrze. Żeby nie miał męskiego dziedzica. A ten chłopak, panie, obrzucił mnie kamieniami i nazwał wstrętnym imieniem... i chciał podpalić nasze stogi...

— Zrobisz to przy pomocy księżycowego ciasta, które sama sporządziłaś. Niektórzy z tu obecnych nauczą cię, co robić. Jesteś królową Gromady, ale nie masz jeszcze doświadczenia w naszych czarach. Ja nauczyłem cię, jak je zdobyć, ale wolałbym, żeby moi wierni nauczyli cię, jak się nim posługiwać, żeby wszyscy zdobywali praktykę.

Nie trzeba czarów, by zamknąć usta dziedzicowi — zrobi to za nas strach. Strach może być równie potężny jak czary. Dość rozmów. Dziś w nocy będziemy polować na jelenia na ziemiach lorda Moraya, a ucztować będziemy w Darnaway. Połączymy się tam z inną Gromadą, która wraca ze Strath-dear. Będzie świetna zabawa. A teraz w drogę. Na koniec!

Kompania ruszyła radośnie w drogę, kierując się na niezamieszkałe wrzosowiska na ziemiach Moraya. Pędzili przez gęste mgły w ciszy gwiazdnej nocy. Przed nimi biegły wielkie jelenie, lecz ich konie biegły szybciej. Kilka z nich padło od strzał śmierci. Kiedy wypatrzyli wspaniałego przywódcę stada, Isabel i Mistrz popędzili za nim we dwoje; dopadli go w samotnej dolinie, otoczonej wysokimi skałami ginącymi we mgle. Isabel wychyliła się z siodła i wbiła mu nóż myśliwski pod łopatkę. Wielkie zwierzę rzuciło łbem, zmyliło krok, zachwiało się, potknęło i padło. Isabel zeskoczyła z konia z cichym okrzykiem tryumfu, zanurzyła palce w jego krwi i pomazała nią swoje czoło i pierś. Mistrz zawołał:

— Doprawdy, ukochana, jesteś z mojego rodu. Krew budzi w tobie rozkosz. Tak, krew to wino Szatana.

Zeskoczył z konia i schwycił ją w ramiona.

— A ja dumna jestem, że spodobałam się Szatanowi.

Szybko wrócili do reszty myśliwych. Tej nocy w Darnaway odbyła się królewska uczta, ze śpiewem i tańcami. Z dziczyzny upolowanej tej nocy więcej zostawili w zamkowej spizarni, niż sami zjedli; Mistrz patrzył życzliwym okiem na ród Morayów.

Następnej nocy Isabel obudził znajomy trzepot gawronich skrzydeł; Mistrz kazał jej wstawać i jechać do mistrza Harry'ego Forbesa.

— Widzisz, kochanie, musisz tam ze mną jechać, by po-

móc swoim towarzyszkom. Nie chcę, byście zrobiły mu jakąś krzywdę, bo jest nam rzeczywiście bardzo przydatny. Zawsze ci wystawia takie dobre świadectwo. Dlatego mówiłem, że musimy go oszczędzać. Ale musi sobie trochę pochorować, a ty zobaczysz, jak działa mieszek więdźmy.

Para kruków poleciała nad polami na południe, w stronę plebanii w Aulderne. Kiedy cicho wchodzili do ogrodu, byli tam już inni członkowie Gromady. Podeszła Margaret Brodie z jakąś torbą.

— Popatrzcie, ukradłam mieszek tej starej flądrze, kiedy spała. W środku są okropne rzeczy — z tego powieszzonego i dziecka, które wykopała, są kawałki ropuchy, włosy, paznokcie i licho wie, co jeszcze. Rzuciłam na niego urok, leży chory. Jest u niego medyk, widziałam, jak wchodził. Jeśli nic nie zrobimy, pastor będzie rano zdrowy. Bierz mieszek — zwróciła się do Janet — i rób, co chcesz, my ci pomożemy.

Otworzyli drzwi i weszli całą grupą po schodach do sypialni pastora; stara gospodyni pastora niczego nie widziała i mówiła do siebie:

— Na Boga, jaki zimny przeciąg! A biedny pastor aż płonie od gorączki. Kto zostawił drzwi otwarte? Przecież je dobrze zamknęłam, kiedy przyszedł medyk, a on jeszcze nie wychodził. No tak, czuję jakiś dziwny odór. Może jednak nie zamknęłam drzwi. Dziecinnieję na stare lata. No, teraz już dobrze zamknięte.

W pokoju na górze leżał pastor, a obok łóżka siedział medyk.

— Teraz poczekam chwilę, mistrzu Forbes, aż zacznie działać wywar, a jutro przyjdę puścić ci krew. Wkrótce wrócisz do zdrowia, pastorze. To był lekki atak.

— Panie medyku — powiedział chory — czy będę mógł wyjechać jutro w podróż?

— Jutro? Czy ten człowiek oszalał? Jutro, też coś! Nie, nie można ruszać się z domu przez trzy dni. Czego pastorowi trzeba?

— Muszę jechać jutro do Nairn. Mam pewną ważną sprawę... — zawahał się. Sprawa była takiej natury, że wołał nie ujawniać jej przed medykiem.

— To sprawy parafii. Muszę się widzieć z przewodniczącym rady kościelnej.

— Jeśli tak, to go tu sprowadzę. Ale ma się pastor stąd nie ruszać, aż nie zezwolę.

Mistrz Forbes nie chciał się widzieć z przewodniczącym, ale nie wiedział, jak to powiedzieć; morzył go sen, coś mu się zaczynało śnić. Pokój się rozmazywał; postać medyka, siedzącego u jego wezglowia, dziwnie łączyła się w jedno z jego cieniem, który kaganek rzucał na ścianę i sufit. Ale któż to stał za nim? Jakaś potężna ciemna postać z płonącymi oczyma, spowita migotliwym blaskiem.

— Mistrzu medyku, niech pan zobaczy, kto tam stoi. Z tyłu, za pana krzesłem.

— No, no, coś ci się przyśniło, człowieku. Nikogo tam nie ma. Niech się pastor ocknie.

Przecież mówię, że jest. To nie sen. Wypędźcie go stąd! Brońcie mnie, na Boga! Mistrzu medyku, to diabeł! Przy nim stoi jakaś niewiasta. Nie zostawiaj mnie samego!

— Oczywiście, jak jest niewiasta, to i diabeł niedaleko. No, no, pastorze. Pańska sypialnia to nie miejsce dla kobiet. Porozmawiam o tym z przewodniczącym.

Żartował, by odwrócić uwagę chorego od gorączkowych zwidów, by mu wróciła przytomność umysłu. Ale na próżno. Mimo zastosowania środka przeciw gorączce nastąpił jej atak. Medyk żałował, że odłożył puszczenie krwi na inny dzień i nie miał przy sobie odpowiednich przyborów. Chory znów krzychał: Teraz jest ich więcej! Cały pokój. Kobiety, straszne wiedźmy! Włosy spadają im na twarze. Klęczą podparte na , rękach. Klęczą przed diabłem! Jakaś wiedźma macha na .mnie torbą. To czarownice. Rzucają na mnie uroki. Coś nucą. "Nie słyszę słów. Isabel i Mistrz uśmiechali się do siebie, ale medyk był poważnie zaniepokojony; gorączka i delirium wystąpiły nagle i gwałtownie, właśnie kiedy myślał, że udało mu się temu zapobiec. Nie było sensu dyskutować z pastorem, dygotał w strachu i gorączce. — Dureń ze mnie — mruczał lekarz. — Jak mogłem tu przyjść bez lancetu. Lekkie puszczenie krwi lub bańki przyniosłyby mu ulgę. To nic, dam mu silną mieszankę nasenną. Wiem, że obecnie skrzyżowały się orbity Marsa i słońca. To właśnie wywołało ten atak. No, wypij to, człowieku. Janet Broadhead kołysała mieszkciem w stronę chorego, nuąc:

Leży w łóżku, leży, chory, bolejący. Poleży tak jeszcze trzy dni, dwa miesiące.

— Wystarczy — powiedział Mistrz. — Jedziemy. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Medyk wstał i otworzył okno.

— Trzeba mu powietrza — powiedział.

Coś przeleciało obok niego i znikło w mroku nocy.

— Ki licho? Nietoperz! Jak się tu dostały? Było ich tu z tuzin, albo i więcej. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby latały o tej porze roku.

Dawno powinny spać.

Odwrócił się od okna i patrzył na chorego. Gorączka ustąpiła tak nagle, jak przyszła.

Pastor lekko oddychał, był senny; wywar zaczynał wyraźnie działać.

Medyk gratulował sobie umiejętności.

— Odeszli. Dziękuję ci, panie medyku. Teraz mogę spokojnie zasnąć.

— Co pastor chciał powiedzieć przewodniczącemu? Mogę go tu jutro przywieźć. — E nie, wcale nie chciałem się z nim widzieć. Nie mam mu nic do powiedzenia. Co to ja mówiłem? Zapomniałem. Miałem coś komuś powiedzieć, ale wszystko wyleciało mi z głowy. Z kim rozmawiałem dziś rano, kiedyśmy się spotkali?

— Właśnie wyjeżdżał pan od Haya z Lochloy.

— Hay? Jaki Hay? Nie znam nikogo o tym imieniu.

— Boże, zmiłuj się — mruczał do siebie medyk. — Zupełnie stracił pamięć... No cóż, tej nocy będzie mocno spał, a rano zobaczymy.

Jednak nie odchodził od łóżka chorego, gdyż ten przypadek mocno go zaintrygował, a poza tym pastor był jego przyjacielem, chociaż wciąż się spierali i jeden uważał drugiego za durnia.

Tymczasem Gromada pędziła nad polami na farmę Lochloy; jacyś chłopci wracający z nocnej hulanki przecierali ^{oczy} — podobnie jak medyk — na widok stada nietoperzy lecących nad polami wczesną zimą. Ostatecznie zdecydowali, że gorzałka była mocniejsza niż zwykle.

Do pokoju Isabel wpadły przez okno trzy nietoperze; inne zawisły pod strzechą, czekając na tamte. Isabel obróciła się sennie na drugi bok i na wpół uniosła z łóżka. Z kuchni dochodziło stentorowe chrapanie Johna Gilberta. Przy jej łóżku stał Mistrz wraz z Johnem Taylorem z Belmakeith.

— Wstań, pani. Wstań, Hacallah. Potrzebujemy twojej

pomocy. Jeden już zamilkł. Pastor nie powtórzy, co słyszał, przez dwa miesiące i trzy dni. Pozostaje jeszcze dziedzic Park, a raczej jego syn. Dziedzic nic nie powie.

— Mój drogi panie! — zawołała. — To moja sprawa.

— To prawda. Dlatego przyprowadziłem do ciebie tego człowieka. Zabierze księżycowe ciasto na swoją farmę w Belmakeith i tam cię nauczy, co masz robić. Ciasto jest w tamtym naczyniu, weź, ile ci trzeba i chodź z nami.

— Panie, jaki ja miałam sen! Śniło mi się, że byliśmy u pastora na plebanii.

— Tak, ale to nie był sen. Pastor sam się o tym przekona najlepiej. Biada nieborakom, którzy wiedzą więcej, niż powinni, bo zawsze źle się to dla nich kończy.

John Taylor nabrał nieco ciasta księżycowego na swój kraciasty pled, zwinął całość w węzełek i wyszedł. Isabel i Pan Ciemności zaryglowali za nim drzwi, a z okna wyfrunęły dwa nietoperze i obudziły inne nietoperze, wiszące pod okapem.

Tej nocy w kuchni na starej farmie Belmakeith działy się dziwne rzeczy. John Taylor wyrabiał księżycowe ciasto, miękkie i podatne jak glina i gotowe wyłożył na duży talerz. Następnie Isabel — w czasach dziewczęcych uczono ją trochę modelowania, gdyż uważano tę umiejętność za niezbędną dla młodej damy — powiedziała, że teraz ulepi figurkę najstarszego syna i dziedzica Davida Haya z Park. Miała bardzo zręczne palce — figurka była wykonana ze smakiem artysty i zadziwiająco podobna do chłopca. Wszyscy głośno ją chwalili. Kiedy pracowała, Margaret Brodie wciąż dolewała do ciasta wody z dzbana. Pan Ciemności podszedł i trzymając obie ręce nad jej rękami, zanucił:

Ciasto wodą wciąż polewaj.

Niech rana się jątrzy, a wrzód dojrzewa.

Figurka była gotowa; położył na niej swoją lewą dłoń i powiedział:

— Chrzcę tę figurkę w imię moje i nadaję mu imię Davida Haya, syna z Park. Co jej się przydarzy, niech przydarzy się jemu.

Powtórzył te słowa trzy razy. Potem czarownice padły przed nim na kolana i na ręce, zarzuciły włosy na twarze

i powtórzyły jego zaklęcie. Teraz trzymały tacę z figurką nad żywo płonącym ogniem i wszyscy nucili za Mistrzem:

***Kładziemy figurkę blisko paleniska, By ją paliły płomienie i iskry.
Pieczemy ją i przypalamy. Zatańczy, jak jej zagramy.***

Figurka poczerwieniała lekko od żaru i zmarszczyła się nieco. Mistrz wbił jej w bok szpilkę i przeniesiono ją ostrożnie do specjalnej szkatułki.

— Patrzcie wszyscy i dobrze zapamiętajcie — to jest wielka siła. Dopóki zachowasz tę figurkę, będziesz mogła sprowadzać choroby i śmierć na każdego z męskich potomków dziedzica Park. Nim się rozpadnie na kawałki, jest w niej życie; mogą ją zniszczyć tylko ręce człowieka. Rzuć ją o ścianę kościoła, a nie pęknie. Ale można ją zniszczyć siekierą lub podobnym narzędziem, jeśli użyje ich człowiek. Cokolwiek zrobisz figurce, zrobisz i dziecku, aż umrze.

Od początku świata moi uczniowie rzucali tę klątwę na głowy swoich krzywdzieli; wywoływali choroby i będą tak czynić nadal, aż słońce ostygnie, a ludzie nigdy się nie dowiedzą, skąd się te choroby biorą, zaś medycy nie potrafią ich wyleczyć. Ludzie nigdy w to nie uwierzą, choć wy przyznajecie się do tego i dajecie im dowody, gdyż ich oczy są ślepe. To są nasze najpotężniejsze czary. Teraz rozejdźcie się do domów. Sabat się skończył.

Gromada rozpiezchła się na wszystkie strony; widziano nietoperze lecące wczesnym rankiem nad lasami Brodie. Kilka spostrzegawczych osób odnotowało w swoich pamiętnikach to nie widziane przedtem zjawisko — nietoperze latające wśród lasów o tej porze roku.

Isabel leżała w łóżku na farmie Lochloy; radość i uczucie tryumfu nie dały jej zasnąć. Przebierała w myślach wszystkie obrazy i krzywdy, których doświadczyła od dziedzica i syciła nimi swoją nienawiść.

Przypominała sobie, jak obrażał ją tamten chłopak. Czuła się kimś bardzo ważnym i pełnym godności, a tamci ośmielili się tak ją potraktować. To było nie do zniesienia. Mogła myśleć tylko o sobie, o własnej ważności. To nie była pycha czy próż-

ność — po prostu inni nie istnieli. Była ona, Isabel. Znieważano ją, igrano z nią, ale teraz wyrówna rachunki. Jej nienawiść była równie przesadna i namiętna jak jej miłość. Myśl o tym, co teraz zrobi, wprawiała ją w zachwyty i rozkosz.

O szarym brzasku, kiedy medyk wychodził z plebanii — pastor wydawał się w trochę lepszym stanie i chwilami drzemał — nadbiegł posłaniec z dworu Park, nakazując mu, by natychmiast śpieszył do dworu, gdyż syn dziedzica jest bliski śmierci. Rzuca się w gorączce i boleściach — tak się wyraził umyślny — i mówi od rzeczy.

W tym samym czasie na folwark Lochloy przyjechał szambelan sir Roberta Gordona na czarnym koniu z liścikiem do pani Isabel Goudie następującej treści:

„Do mojej najdroższej Isabel. Błagam cię w imię naszej siostrzanej miłości — pomóż mi. Gdy byłam chora — przysłałaś i wróciłaś mi zdrowie. Teraz Cię proszę, byś pomogła mojemu ukochanemu Cosmo, jeśli możesz. Jest we Francji w ciężkich opałach. Rebelianci nastają na jego życie. Nie jest bezpieczny na morzu, gdyż angielski admirał pojmie go, jeśli zdoła. Nie jest bezpieczny i tutaj, w Szkocji. Wydaje się, że na całej ziemi nie ma dla niego bezpiecznego miejsca. Świat jest okrutny jeśli tak ciężko doświadcza dwoje ludzi, którzy pragną jedynie żyć spokojnie razem, nie niepokojąc innych, zapomniani przez cały świat. Zdaje się, że mogłabyś nam pomóc — nawet mój wuj tak mówi — a jeśli możesz, to wiem, że nie zostawisz mnie bez pomocy.

Twoja kochająca i bardzo nieszczęśliwa Jean Gordon"

Uczucia Isabel przerzuciły się z jednej ostateczności w drugą; nienawiść ustąpiła miejsca miłości. Dla Jean Gordon robi wszystko. Ale co? Pytała Margaret Brodie, ale nie usłyszała nic pocieszającego. Sprawy miłości nie były w jej mocy. Zapyta kochanka, a jeśli ten nie potrafi lub nie zechce jej pomóc, pozostawały jeszcze te piękne elfy z zaczarowanego Wzgórza Elfów. Obiecywały jej pomoc i zapraszały do siebie. Bawiąc się tą miłą myślą, zapadła w spokojny sen i śniła o wróżkach tańczących w lasach i o pięknej sztuce mistrza Williama Szekspira „Sen nocy letniej".

Rozdział XIV

Wydarzenia w Gordonstown

Wzruszający list biednej Jean Gordon nie dawał Isabel spokoju przez cały następny dzień. Coś — jakoś — trzeba będzie przedsięwziąć, by ratować biednego Cosmo. Jean jej ufała. Jeszcze nie wiedziała, co zrobi, ale nie zawiedzie przyjaciółki, która nie opuściła jej, gdy zdawało się, że nie ma już przyjaciół. Wezwała Czerwonego Rozbójnika i posłała go z listem do Mistrza, błagając o spotkanie w zamku Inshoch.

Poszła tam o zachodzie słońca. Po raz pierwszy będzie go prosić o przysługę, nie związaną z nią samą ani kimś innym z Gromady; czuła jakiś wewnętrzny opór i onieśmienie. Wprowadzając do ich związku postronne życzenia i sprawy, nadawała mu jakby nowy ton. Budziło to w niej niejasne obawy, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

Stał w bramie zamku, czekając na nią. Wyglądał zupełnie jak przy pierwszym spotkaniu: uczony, pełen powagi, który stał się jej namiętym kochankiem. Jak wtedy, czuła do niego to samo zaufanie i miłość równie silną, jak na początku.

— Chcesz mnie o coś prosić, ukochana — powiedział. — Proś, o co zechcesz. Wiesz, że posiadam wielką moc i mogę ci dać wszystko, co w mojej mocy.

Pełna wahań i wątpliwości opowiedziała mu historię Jean Gordon i Cosmo Hamiltona i błagała o pomoc dla nich.

— Wiem, wiem — powiedział. — Mój stary przyjaciel sir Robert Gordon opowiadał mi o ich kłopotach; sam chętnie by im pomógł. Ale chciał ode mnie czegoś, co zależy od innych sił. Chociaż może wiele, tego nie potrafi. Słusznie powiedział, że ty możesz być pomocna, gdzie inni są bezradni. Jest to jedna z zalet księżycowego ciasta, które ty masz. Więc zrobisz tak. Weź od Jean Gordon

medalion z jej podobizną; ugnieć odrobiną księżycowego ciasta i wyrabiając je, mów, co następuje:

Kto będzie nosić ten medalionik, Ujdzie psom gończym, ujdzie pogoni. I nie dosięgną go wraz ręce Przez jeden dzień i dwanaście miesięcy.

Włóż do medalionu trochę ciasta i powiedz Jean, by mu go przesłała. Dopóki będzie go nosił, będzie bezpieczny przez rok i jeden dzień. Potem amulet straci moc. Robię to z miłości dla ciebie; rzadko pomagam ludziom, którzy mi nie składali przysięgi.

Porwał ją w ramiona. Znów był jej kochankiem.

— Doprawdy, ukochana, prosiłaś mnie o rzecz trudną i niezwykłą. Ludzie nieczęsto proszą diabła o coś, co jest związane z miłością i życzliwością. Tak, jesteś z mojej rasy; dla ciebie postąpiłem wbrew własnej naturze.

— Ale kochasz mnie, panie?

— Tak, jesteś moją miłością. Teraz chodź, zbyt długo już rozmawiamy. Pojedziemy razem, ty i ja — nikt więcej. Chodźmy po ciasto do twojego pokoju, a potem wyruszmy do Gordonstown. Zobaczymy, czy pani Jean jest w domu i przekażemy jej te wieści. Jak wiesz, robię to dla ciebie, a jednak niezupełnie. Wiem, że dziedzic Park wciąż knuje, by ją zdobyć i jego intrygi rozpętały całą tę nagonkę przeciw jej narzeczonemu.

— Panie! Pokrzyżować jego plany byłoby mi równie miłe jak pomoc dla Jean. Jesteś tak mądry, mój panie, mój ukochany — potrafisz czytać w niewieścim sercu i wiesz, że nienawiść bywa równie głęboka jak miłość, a ja go nienawidzę. Nienawidzę! Nie pytaj, dlaczego. Wiem tyle samo, co gdybyś mnie spytał, dlaczego cię kocham.

— Jesteś moim ukochanym dzieciątkiem i moją królową. Chodź! Hej, koń i bicz! Pojedziemy jednym koniem, będę cię trzymał w ramionach, jak tyle już razy.

Ta jazda o jasnym zachodzie była najmiłsza, najwspanialsza. Sama z ukochanym, objęta jego ramieniem, wtulona weń, podczas gdy wielki rumak kołysał się pod nimi, gnąc dumną szyję, ciesząc się ich ciężarem. Przy tym Isabel zaspokoili jednocześnie dwa pragnienia: miłości i nienawiści. Pokrzyżuje plany Haya z Park, a Jean Gordon ofiaruje to, czego jej przyjaciółka pragnęła najbardziej.

W swym małym pokoiku uszczknęła nieco księżycowego ciasta i dobrze wyrobiła, cicho nucąc zaklęcie, którego ją nauczył. Włożyła ciasto do maleńkiej szkatułki i schowała na piersi. Jej wzrok padł na starą suknię z samodziału z zaszytym złotym krzyżykiem. Przypomniała jej o Jean, ale jeszcze bardziej o tamtym strasznym wieczorze, kiedy — po wizycie w Gordonstown wydało jej się, że utraciła ukochanego. Od tej pory nigdy jej nie wkładała, ale jakoś nie mogła jej wyrzucić. To wspomnienie wróciło do niej na chwilę i zaraz odeszło.

Ale przypomniała sobie nagle, że wkrótce wrócą John Gilbert i parobcy. Nie może się zorientować, że nie ma jej w domu. Jeszcze raz położyła miotłę do łóżka. Pomyśli, że coś jej dolegało i wcześniej się położyła. Uśmiechała się nucąc zaklęcie nad brzozowymi witkami, aż wydało jej się, że widzi siebie, albo swoje niewyraźne odbicie leżące w łóżku. Wybiegła z domu na drogę; Mistrz podał jej dłoń, a ona stanęła na jego bucie i skoczyła prosto w jego ramiona, tuląc się doń z niewysłowioną radością.

— Koń i bicz! Siadaj i jedź!

Kiedy z tętentem mknęli przez lasy jak błyskawica, zachodzące słońce jarzyło się za wzgórzami Inverness. Wieśniacy wracający z pól mieli niejasne uczucie, że coś się dzieje, ale nie wiedzieli co. Niczego nie widzieli ani nie słyszeli, ale jakieś głębsze zmysły mówiły im, że dzieje się coś, czego się boją.

Minęli lasy Darnaway od wschodniej strony, a potem wznieśli się w górę, by przedostać się na drugą stronę strumienia Findhorn i popędzili główną ulicą miasta Forres, a dzielny rumak krzeszał kopytami iskry o bruk.

Kilku chłopców, bawiących się pod małym kościółkiem, usłyszało stukot kopyt; kilku z nich uniosło głowę i usłyszeli te słowa: „Hej ho! Koń i bicz!” — Koń i bicz! — wołali chłopcy, wracając do swej zabawy. Podnieśli do góry jednego z kolegów i rzucili go na ziemię.

— To dzieci z mojego rodu — powiedział Mistrz. — Kiedyś będą czarnoksiężnikami.

Przegalopowali obok rozpadających się ruin opactwa Kinloss. W starych murach pełgały słabe niebieskawe światełka. Powiadano, że straszyły tam jakieś okropne strzygi; dzikie wino kruszyło zniszczone mury i żaden ptak nie za-

łożył tam gniazda, tylko w dzień pohukiwały puszczyki. To miejsce omraczał cień i ludzie obawiali się podejść bliżej.

Minęli miejsce, które kiedyś było domem kantora w Windyhills. Przebyli żyzne niziny, mijając liczne tam zrujnowane zamki: Hempriggs nad brzegiem morza, Burgie i Aslisk na południu oraz Duffus i Spyrie leżące wprost przed nimi. Znów wznieśli się w górę i kołowali jak jastrzębie nad lasami Gordonstown. Cała zachodnia strona nieba wciąż płonęła purpurą i złotem. Granatowe kontury Wyvis odcinały się ostrą sylwetą na tle nieba z czystego bursztynu, po którym płynęły różowe od środka obłoki.

Mknęli tak szybko, że słońce, które miało się ku zachodowi, kiedy Pan Ciemności po raz pierwszy zawołał „Koń i bicz!” w zamku Inshoch, nie skryło się jeszcze całe za horyzontem.

Nisko w dole, na jednej z prostych alei wytyczonych przez sir Roberta wokół Gordonstown, ujrzeni jakąś wolno sunącą wysmukłą postać w białej powłóczystej sukni ścielącej się po ziemi. Isabel wydała cichy okrzyk radości. To była Jean. Potem zamknęła oczy; nagle zakreśliło jej się w głowie i już nie pamiętała, gdzie się znajduje. Potem nagle szła aleją, a naprzeciw niej śpieszyła Jean, by ją powitać.

Isabel była sama — Pan Ciemności i koń gdzieś przepadli. Isabel szła jak we śnie; tylko niejasno pamiętała, gdzie jest i jak się tu znalazła. Ale czuła najwyraźniej twardą ziemię pod stopami, w twarz dał jej chłodny zimowy wiatr. Była naprawdę w lasach Gordonstown, jakkolwiek się tu dostała, a przed nią stała jej kochana Jean. Rzuciły się sobie w objęcia.

— Och, Isabel, jakże jestem szczęśliwa, że cię widzę. Ale jak się tu dostałaś?

— Sprowadził mnie tu twój list, Jean, a przywiózł mnie koń jednego z przyjaciół. Nie mogłam zwlekać, kiedy się dowiedziałam o twoim strapieniu. Powiedz mi, co u ciebie słychać: Czy wydarzyło się coś nowego od czasu naszego ostatniego spotkania?

— Jest tak, jak było, tylko o wiele gorzej. Wiesz, jak Lordowie Komisarze prześladują mojego biednego Cosmo. Bóg jeden wie dlaczego. Wciąż jest w Montfaucon, ale pętla wokół niego zaciska się coraz bardziej. Dobrze wiem, że to pan David Hay z Park, twój dziedzic, informuje ich o jego poczynaniach. My tu wciąż się modlimy o powrót króla Karola; oby się skończyła ta okropna tyrania; nim łotry, któ-

re rządzą krajem, doprowadzą naszą ojczyznę do ostatecznej ruiny i hańby.

Cosmo od samego początku cieszył się zaufaniem partii rojalistów. Wierzą mu, a on wie więcej niż inni członkowie partii i ma poza tym znaczne wpływy. Ale nikt o tym nie wiedział; dopiero pan David Hay — za pośrednictwem lorda Brodie — przekazał tę informację Lordom Komisarzom w Londynie. Ale co David Hay ma z tym wszystkim wspólnego, dlaczego postępuje tak okrutnie, dlaczego prześladowuje mojego biednego Cosmo — to więcej, niż moja biedna głowa może zrozumieć.

Jak widzisz, Montfaucon już nie jest dla niego bezpieczne, a nie wiemy, gdzie mógłby się jeszcze schronić. Jeśli wyjedzie z Francji, Komisarze go pochwycą, albo na morzu albo w Królestwie Szkocji, a wiesz, że nie będą mieli dla niego litości.

Słyszałam, że sprzedawali wolnych Szkotów na amerykańskie plantacje, jako niewolników. Jediną zbrodnią, jakiej się dopuścili, była wierność wobec własnego króla i opór wobec tego przeklętego rządu.

Isabel zastanawiała się przez chwilę.

— On nie może teraz wyjechać z Francji — powiedziała. Jean, czy masz jakiś swój portrecik?

— Jakie to dziwne, że pytasz o to! Spójrz, właśnie kazałam go zrobić. Jest dla Cosmo. Danny, który pracuje u wuja Roberta, ma go zabrać, kiedy wypłynie następnym razem i prześle go sekretnie do Montfaucon.

Wyjęła mały złoty wisiołek, ukryty na piersi pod suknią. Dotknęła ukrytej sprężyny; wieczko odskoczyło i ukazał się jej doskonały mały portret w miniaturze. Isabel wzięła go do ręki i przyjrzała mu się bardzo uważnie. Z tyłu był maleńki schowek, którego nikt by się nie domyślił, jeśliby mu nie powiedziano o tajemnym zatrzasku. Isabel odeszła nieco dalej, na otwartą przestrzeń, mówiąc, że chciałaby go obejrzeć przy lepszym świetle. Nikt nie widział, kiedy szybko i zręcznie uformowała z księżycowego ciasta maleńką kulkę i umieściła ją w schowku.

— Czy pozwolisz, bym przesłała Cosmo także i to, razem z moimi najlepszymi życzeniami, jeśli nie masz nic przeciwko temu?

— Ależ oczywiście, najdroższa Isabel. Ale co to jest? Niech popatrzę. Kawałeczek kości, prawda? Jakaś relikwia?

— Tak, to relikwia, Jean. Jest to wielka świętość. Dostałam ją od drogiego mi przyjaciela. Nie wiem, jaki to święty, ani jaka historia wiąże się z tą relikwią. Wiem tylko, że dopóki ktoś ją nosi, kimkolwiek jest, nie wpadnie w ręce wroga. Przekaż mu, co ci powiem. Każ mu zawsze nosić ten medalion na sercu — przez miłość dla ciebie. Ale nie wspominaj mu o relikwi ani o jej mocy. Niech to pozostanie naszą tajemnicą. Ale czy jesteś pewna, że nie chciałabym, żeby się dostał w niepowołane ręce.

— Mogę ci to przyrzec! Ojciec Blackhall wraca do Francji łodzią Danny'ego. Weźmie medalion i bezpiecznie przekaze w ręce Cosmo. On ma swoje sposoby. Przebywał w przebraniu pośród swoich najgorszych wrogów i nikt o tym nie wiedział. Nie wiem, co by się stało w tych ciężkich czasach z nami, katolikami, gdyby nie on. Przemierzył Szkocję wzdłuż i wszerz, odprawiał mszę nawet w chatkach, na bezludnych wzgórzach i wszędzie, gdzie zebrał garstkę ludzi. Był już żołnierzem, marynarzem, dostawcą w armii samych kowenantystów, pracował w polu jako wyrobnik. Czymże on nie był! Szukają go wszystkie siły Kowenantu i nie mogą znaleźć.

— To odpowiedni człowiek — powiedziała Isabel. — I mówisz, że zrobi to dla ciebie?

— Tak, Isabel, jest dla mnie przedziwnie dobry. Teraz ulżyło mi na sercu, bo wierzę w ciebie od dnia, kiedy mnie wyleczyłaś z tak ciężkiej choroby. Naprawdę, Isabel, ty chyba sama jesteś świętą. Ale chodźmy do domu, przywitasz się z wujem. Ma o tobie bardzo wysokie mniemanie i byłby orgomnie rozczarowany, gdyby się dowiedział, że tu byłaś i nie zobaczyłaś się z nim. Potem możesz sprowadzić swojego konia i odjedziesz, kiedy będziesz chciała.

— Robi się późno, jednak pójdę przywitać się z sir Robertem.

Trochę się niepokoiła, że Mistrz i koń jakby się zapadli pod ziemię, zaś w obecności Jean rrfę ośmieliłaby się nawet szeptem wymówić zaklęcia „Koń i bicz”. Nie bardzo wiedziała, jak wróci do Lochloy.

Słońce zupełnie już zaszło, tylko na zachodzie różowy blask znaczył miejsce, gdzie skryło się za wzgórzami.

Stały przed dziwnymi okrągłymi stajniami, wybudowanymi według wskazówek sir Roberta; specjalnie po to, mówił,

by zgromadzić bydło w bezpiecznym miejscu w razie napadu górskich rozbójników.

— Spójrz, jaka dziwna mgła wisi nad stajniami — zawołała Jean. — Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Rzeczywiście, nad stajnię zawisł jakby lekki, niebieskawy obłok. Isabel potarła oczy, by lepiej widzieć, zapominając, że palce ma wciąż uwalane księżycowym ciastem. Obłok natychmiast zmienił się w wirujące zbiorowisko upiornych szarych postaci: krążyły tam i z powrotem w jakimś dziwnym tańcu. Na szczycie budynku stał Mistrz; wydawało się, że to on wprawia je w ruch i nadaje kierunek ich poruszeniom. Przypomniała sobie, że księżycowe ciasto pozwala jej widzieć rzeczy niewidzialne; bardzo ją zaintrygowało, co też jej ukochany robi pośród tych zjaw. Był to nowy, nieznaną rys jego charakteru. Czy działał w interesie sir Roberta, chroniąc go przed czymś niedobrym, czy też może działał przeciwko niemu? Kim były te szare postaci? Czuła, że boi się ich, choć nie wiedziała dlaczego.

W progu zamku stał baronet we własnej osobie, szczerze uradowany jej widokiem.

— Proszę do środka! — wołał. — Bardzo proszę! Te skromne progi serdecznie panią witają! Słyszałem o pani przyjeździe. Wiedziałem, że nie odjedzie pani, nie zobaczywszy się ze mną. Pani Isabel, tak wiele pani zawdzięczamy. Musi pani koniecznie wychylić z nami kieliszek bordeau. Pani przyjacieli dołączy do nas. Jean, kochanie, ustąp mi miejsca przy gościu. Dość już się nacieszyłaś panią Isabel.

Jean dygnęła wdzięcznie i wyszła z holu i oto — nie wiadomo skąd i jak — za wielkim dębowym stołem siedział Pan Ciemności. Przed nimi stały puchary pełne najlepszego francuskiego wina.

— Próbką ostatniej dostawy Danny'ego — powiedział sir Robert. — Najlepszy produkt pięknej Francji. Pani Isabel, niech mi będzie wolno napełnić pani kielich, wypijmy za pomyślność młodego Cosmo. Oho, Czarny Jocku, zdaje się, że ogniste hiszpańskie wina bardziej ci idą w smak! Ale wychył ten puchar i jeśli wino nie wyparuje ci już w gardle, to przekonasz się, że jest delikatne jak najmniejszy genueński aksamit — jego też mam niezły zapas w piwniczce. Jak pani myśli, Isabel, czy dorównuje małmazji hrabiego

Moraya? Wiem o waszych wesołych ucztach. Młodzi lubią się bawić, a nasz Jock za kołnierza nie wylewa.

Przysłużyłem ci się dziś wieczór — powiedział Mistrz. — Wiesz wiele, ale nie zawsze potrafisz wykorzystać swoją wiedzę. Ustawieś swoje stajnie w doskonałym kręgu magicznym, przyłożyłeś pośrodku moją pieczęć i wezwałeś duchy powietrza, ale nie ująłeś ich w ryzyko. Sam nakazałem im posłuch. Teraz, kiedy będziesz chciał mglistej nocy, możesz ją mieć. Ale pamiętaj: by wywołać burzę, uspokoić wicher i temu podobne, musisz się zwrócić do pani Isabel — Królowej Gromady.

— Widziałam je! — zawołała Isabel. — I widziałam też ciebie, panie, jak im narzucasz swoją wolę. Powiedz mi, kim one są? Nigdy ich przedtem nie widziałam.

— Każdy żywioł ma swoje duchy — odpowiedział Mistrz. — To były duchy powietrza. Musisz wiedzieć, że wszystkie żywioły to moja domena. Dlatego mogę dać ludziom wszystko, czego zapragną, jeśli wierzą we mnie i są mi posłuszni. To znaczy — w tym życiu. Potem... no cóż, zobaczymy.

Sir Robert wstrząsnął się lekko i wychylił następny puchar.

— W każdym razie dałeś mi radość, o jakiej nigdy nie marzyłam. — powiedziała Isabel. — Będzie, co ma być. Niczego nie żałuję — to było tego warte. — Dobrze, odważnie powiedziane! Jesteś moim prawdziwym dziećciem, Królową Gromady. Czas już na nas. Jeszcze jedna kolejka. Nalewaj, Rob! I do dna! Pijcie za królestwo Szatana na tej ziemi, oby przetrwało tak długo jak sama ziemia i dopóki człowiek wie, czym jest rozkosz i radość!

Chwilę stali w drzwiach holu.

— Może byś pojechał z nami, Rob? Znasz zakłęcie.

— Owszem, znam je, i wiem także, jakie znaczenie mają mężczyźni w twoich Gromadach, jak je nazywasz. Nie, Czarny Jocku! Zachowaj swoje wiedźmy dla siebie, nic mi po nich. Pani Isabel jest jedyną zdobyczą wartą twojego zachodu. Znam zakłęcia i to mi wystarczy; nie używam ich.

— No, no, może jeszcze kiedyś urządzimy konne wyścigi, Rob.

Strzelił palcami.

Koń i bicz! Siadaj i jedź! Koń i ostrogi! Przed siebie leć!

Wielki rumak uniósł lekko w powietrze swój podwójny ciężar i zniknął za dachami zamku Gordonstown.

W tej samej chwili z drzwi zamku wyłonił się ojciec Blackhall i stanął obok sir Roberta.

— Czy to ten, którego nazywają diabłem? — zapytał. — Chętnie bym z nim porozmawiał przez kilka minut. Jeśli to naprawdę on, to jesteśmy starymi znajomymi — starymi wrogami, mówiąc ściślej. Ale nie znam go w takiej postaci. Niech się pan nie obawia — nie będę nieuprzejmy dla pańskiego przyjaciela. Wie pan, że nawet archanioł Michał oskarżając go, nie szydził z niego. Wiedział, że ma do czynienia z dżentelmenem i tak go traktował. Ciskanie kałamarzami pozostawiam mistrzowi Lutrowi. To świetnie pasuje do protestanckiego temperamentu. Znamy się i szanujemy nawzajem — jeśli to rzeczywiście on.

Z domu wyszła Jean.

— Szukałam księdza — powiedziała. — Ale w domu nie ma żywej duszy. Nigdzie nie widzę lokajów ani pokojówek.

— Nie byłoby rozsądne, by przebywali w domu, kiedy gości u mnie pewien mój przyjaciel — powiedział sir Robert po prostu. Jean, która już wiedziała, że wiele spraw sir Roberta wymaga zachowania tajemnicy, skinęła ze zrozumieniem głową.

— Chciałabym cię prosić, ojcze, byś był moim posłańcem, jeśli mi wolno obarczyć cię takim zleceniem — byś zawiózł to do Montfaucon i doręczył Cosmo do jego własnych rąk.

— Uczynię to z przyjemnością. To nie będzie trudne, bo mam jechać prosto do Montfaucon po przybyciu do Francji. Jadę tam jako duszpasterz z Genewy. Coś mi się wydaje, że pan na Montfaucon będzie chciał się mnie pozbyć, ale me ośmieli się ze względu na frondystów, którzy z kolei będą nalegać, bym pozostał na zamku. Kiedy znów przyjadę do Szkocji, opowiem wam pewnie pocieszne historie.

* * *

Przytulona do piersi kochanka, skulona w jego ramionach, Isabel przypomniała sobie duchy żywiołów, które widziała nad stajniami, i zapragnęła dowiedzieć się więcej. Otwierał

się przed nią jakby nowy świat, zaludniony istotami, o których istnieniu nie wiedziała. Czy były to wróżki i elfy, o których pisał mistrz Szekspir; rusalki i trytony z jej dziewczęcych romantycznych snów i legend szkockich górali? Czy możliwe by były prawdziwymi, rzeczywistymi istotami, a nie zwykłym wymysłem?

Przejeżdżali właśnie nad Wzgórzem Elfów, nawiedzanym przez wróżki i elfy. Przypomniła sobie te dziwne, urocze postaci, które tu widziała; tak mile zapraszały ją do siebie. Czy były z tego samego rodu?

— Tak — odrzekł. — Należymy do jednej rasy, ale oni i ja niewiele mamy ze sobą wspólnego. Są zbyt delikatni, zbyt subtelni. My uczujemy, tańczymy, kochamy. Oni spędzają noce i dni na marzeniach, jakby marząc o rozkoszach, których my doświadczamy. Ale te duchy, które widziałas nad stajniami, są moimi poddanymi, a będą także twoimi. Nauczysz się zakleć, którymi się je przywołuje.

— Ale czy wiesz, mój drogi Mistrzu, ci ze Wzgórza prosili, bym ich odwiedziła.

— Więc ich odwiedź, kochanie, jeśli masz chęć. Gdyby kiedyś zagrażało ci niebezpieczeństwo, tam byłabyś bezpieczna. Oto i jesteśmy w twoim domu. Możesz odstawić do kąta tę starą miotłę. Oj, coś mi się przypomniało. Nigdy nie zapomnę, jak pocziwina John Gilbert nazwał ją próżniaczym pomiotłem, nie: leniwą miotłą, po prostu. Cieszę się, że to widziałem — nie oddałbym tej sceny za pół mojego królestwa.

Wybuchnęli radosnym śmiechem. Wstawał już szary świt, jakiś kruk wyfrunął z okna domu i poleciał nad lasy Darnaway.

* * *

W archiwach zamku Montfaucon przechowywano od wielu lat pamiętnik starego zarządcy z czasów Frondy, w którym ów notował, jak to pewien luterański kaznodzieja z Genewy przybył kiedyś na zamek późną nocą. Czasy były bardzo niebezpieczne; Mazarini uciekł, Kondeusz otwarcie wypowiedział posłuszeństwo; panna de Montpensier panowała w Orleanie, czekając na przyjazd swojego ojca Gastona de Montpensier — od niego to ów luterański kaznodzieja przywiózł list, z którego wynikało, że jeśli nie zostanie przy-

jęty z należytą gościnnością, wojska Frondy zetrą Montfoucon z powierzchni ziemi.

Następna karta pamiętnika zaczyna się od słów: ***Okazało się następnie, że luterański kaznodzieja był w rzeczywistości...*** Resztę karty niedbale oddarto, jakby piszący powiedział więcej, niż zamierzał. Ale na następnej karcie zanotowano, że po raz pierwszy od wielu miesięcy odprawiono na zamku mszę; stary kapelan zmarł, a księża obawiali się jechać do Montfoucon z powodu zamieszek w kraju.

Dalej czytamy, że gdy ów luterański kaznodzieja przybył na zamek, wszyscy widzieli, że hrabia wpadł we wściekłość i nakazał, by go wyrzucono, ale nikt ze służby nie ruszył, by spełnić to polecenie, a hrabia nie nalegał więcej. Było to tak niepodobne do niego — naturę miał porywczą — że stary zarządca doszedł do wniosku, iż hrabia nie mówił tego poważnie. I dodaje naiwnie: ***Nie powinienem mieszać się do tych spraw.***

Dalej pisze o młodym Hamiltonie; wydaje się, że był tam bardzo mile widzianym gościem. Frondyści, pisze — nie dawali za wygraną i wciąż na niego czatowali. Gdy któregoś dnia oddalił się zbyt daleko od zamku bez obstawy, rzeczywiście go pojмали, lub tak im się wydawało, bo gdy doprowadzili go przed oblicze adiutanta Kondeusza, okazało się, że pochwycili swojego własnego szpiega, który jakimś sposobem znalazł się w okolicach zamku. Skwitowano to zajście wielkim wybuchem wesołości, pisze stary kronikarz, gdyż już po raz drugi zamiast Cosmo aresztowano inną osobę; za pierwszym razem, jak wiemy, zdarzyło się to w Elgin. Gdy Ludwik XIV osiągnął pełnoletniość i kardynał Mazarini Wrócił do Paryża, życie na zamku Montfaucon stało się lżejsze, co nie znaczy, że Lordom Komisarzom przestało zależeć na schwyceniu Cosmo. Tymczasem Danny wrócił do Covesea i zawiadomił o bezpiecznym dowiezieniu ojca Blackhall do portu France. Kiedy wrócił z następnego rejsu, przywiózł listy od księdza. Pisał on, jak przedostał się bezpiecznie do Montfaucon w przebraniu luterańskiego kaznodziei, przywożąc rzekome listy od Gastona de Montpensier; jak hrabia de Montfaucon udał wielki gniew, ale jego służący, których uprzedzono, nie przejęli się tym zbyt i jak później, gdy cała rodzina była sama, uroczyście spalono fałszywe listy wśród wybuchów śmiechu.

Pisał także, jak wyjeżdżał z zamku do okolicznych wsi, które w większości sympatyzowały z Frondą i wygłaszał tam polityczne homilie, rozwodząc się nad niegodziwością Regenta i Kardynała oraz nad niewygodami, których doświadczał na Zamku, gdzie jednak zdecydowany był pozostać, by poznać zamiary rojalistów. To wszystko sprawiało mu równie wiele przyjemności, jak i słuchaczom, i było źródłem niewyczerpanej uciechy dla rodziny w Gordonstown. Pannę Jean szczególnie radowała skuteczność relikwi Isabel.

Podczas narad z Panem Ciemności sir Robert dowiedział się o prawdziwej naturze księżycowego ciasta, umieszczonego w medalionie, jeszcze bardziej wzbogacając skarbnicę swojej wiedzy. Jednak, szczerze mówiąc, pewne niejasne aluzje, poczynione przez jego towarzysza, zaczęły go poważnie niepokoić. Kupił wiedzę i będzie musiał za nią zapłacić w niezbyt odległej być może przyszłości. Ale — jak to rozsądnie sobie powtarzał — ludzie już nieraz przechytrzyli diabła i znów może im się to udać.

Rozdział XV

Droga do Krainy Elfów

Pozostało bardzo niewiele informacji o wydarzeniach, które nastąpiły po aresztowaniu Maggie Wilson. Należy sądzić, że pan Harry Forbes opowiedział mojemu praprapra-dziadkowi o swojej obłożnej chorobie, odnotowanej także przez konsystorz, i najpewniej inni pastory zastąpili go w duszpasterstwie parafii Aulderne, ale on sam niewiele zapamiętał z tego okresu.

U syna dziedzica Park, złożonego obłożną chorobą, „wyniszczającą niemocą”, zdarzały się chwile niejakiej poprawy przed kolejnym nawrotem choroby i gorączki, ale po każdym ataku słabł coraz bardziej. Jak świadczą listy z owej epoki, sam dziedzic wydawał się również dziwnie odmieniony. Zarzucił hulanki z wesołymi kompanami i pogawędki przy

kielichu. Stał się milczący i rzadko wychodził z domu. Niektóre starsze panie pisały do, swoich przyjaciółek, że gryzł się bardzo chorobą syna, co go prawdopodobnie nawróciło na drogę cnoty. Ale pani Hay pisała w tym samym czasie, że wcale nie okazywał ojcowskiego przywiązania, a nawet rzadko zadawał sobie trud, by zapytać o stan chłopca, natomiast wciąż odbywał poufne narady z mistrzem Johnem Innesem, notariuszem publicznym, którego szczerze nie znosiła. Wynika to z listu adresowanego do Elizabeth, siostry lorda Brodie, zamężnej z Colinem Campbellem z Ardersier, która przed zamążpójściem była jej najdroższą przyjaciółką i powiernicą. Szczątki rachunków wystawionych przez Johna Innesa znalezione w jego papierach, wskazują na częste konsultacje, ale szczegóły albo oddarto, albo dokładnie zamazano. Niektórzy powiadają także, że wyglądał jak człowiek prześladowany przez jakąś trwogę, która go nigdy nie opuszczała.

W całej w ogóle okolicy zaszło wiele niewytłumaczalnych wypadków; wiele osób chorowało, co pastorki przypisywali mocom diabelskim, którym zezwolono — jako się rzekło — trapić lud Boży przez czas jakiś. Pobożni kowenantyści — na których świat sobie nie zasłużył, jak mawiał pan Patrick Innes — usilnie próbowali zburzyć królestwo Szatana, ale na próżno. Na bydło padł straszny pomór, krowy traciły mleko, przy młócce w stodołach z całego prawie zboża zostawały jedynie puste łuski, piwo nie miało mocy. Ludzie zapadali na zdrowiu albo marli nagłą śmiercią bez jasnej przyczyny. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Na okolicę padł wielki strach.

Wszyscy wiedzieli, że wokół było wiele sług Szatana, aktywnie wypełniających jego wolę, ale trudno było ich wykryć, mimo wszelkich wysiłków pobożnych ludzi. Rzeczywiście schwytano kilka osób, które twierdziły, że potrafią leczyć," i dowiedziono im to. Innych znów przyłapano na odmawianiu zdrowasiek, co jak wszystkim wiadomo, jest specjalnym papistowskim zaklęciem, którego uczy diabeł; oczywiście aresztowano ich i doprowadzono do mistrza Kinsaida, któremu udało się odnaleźć na ich ciele szatańskie piętna. Wygląda na to, że zawsze mu się to udawało — o czym ciekawi mogą przeczytać w publikacjach z tego okresu. Świadczy ten fakt o znacznym rozpowszechnieniu tej najohydniejszej ze zbrodni, tłumacząc przy okazji wielką

zamożność mistrza Kinsaida. Bo, jak wiemy, bardzo się wzbogacił, co słuszenie należy się człowiekowi, który wykrywa zbrodnię tak tajemną i trudno uchwytną. Bowiem wielu spośród tych, których nakłubał, uchodziło za ludzi dobrych i życzliwych innym, pragnących jedynie pomagać chorym i strapionym — oto jak przebiegły diabeł potrafi sypać ludziom piaskiem w oczy.

A jednak, chociaż te osoby aresztowano, skazywano na karę pręgi, a często palono żywcem po uprzednich przesłuchaniach połączonych z torturami, choć jak najślusniej dręczono je w tym życiu, by zapewnić nieśmiertelność ich duszom w życiu przyszłym — jak twierdzi wielu duchownych kościoła reformowanego Szkocji, a także inni roztropni i pobożni mężowie — zło wciąż podnosiło głowę i w całym kraju zawiązywano spiski w celu przywrócenia rządów zepsutej dynastii Stuartów i nawrotu papistowskich zabobonów, choć nasi przodkowie cierpieli i przelewali własną krew, by na zawsze wyplenić gusła z naszego kraju. . Nic więc dziwnego, że wszyscy bardzo byli niespokojni i pełni obaw, gotowi obmyślać najokropniejsze kary dla osób podejrzanych o te nieczne praktyki. Bo jak mądrze powiedziano — nim wszystkich sług Szatana nie usunie się z ziemi szkockiej, niczyje mienie nie będzie bezpieczne ani niczyje życie.

Tymczasem niektóre poczynania diabelskiej Gromady zostały w pewien sposób odnotowane za sprawą pani Isabel Goudie i innych, rzucając obecnie trochę światła na sprawy, które wtedy były ciemne i niejasne. Odbyło się wiele zlotów i polowań nad lasami Darnaway, wiele uczt i hulanek w paradnej sali tego zamku. Pan Ciemności uczył ich nowych czarów; mieli wielką uciechę, widząc trwogę w całej okolicy i słuchając objaśnień nieszczęśliwych wypadków, kłopotów i chorób, a także przyczyn tak wielkiej potęgi i swobody Szatana.

Uczyli się, jak odjąć krowom mleko; splatali sznur w odwrotnym kierunku w imię diabła, przeciągali go między tylnymi i przednimi kopytami krowy i dojąc następnie ten sznur, mogli całkiem pozbawić krowę mleka. Na Matki Bo-Hkiej Gromniczej zaprzęgali w Kinloss kozły do pługa w uprzęży uplecionej z perzu; lemiesz był z baraniego rogu. Ciagnąc przez pole pług tam i z powrotem, wołali do diabła, by dał im plon z tego pola i żeby rosły na nim osty i dzikie

róże. Rzeczywiście ziemia ródziła później tylko słomę z pustymi kłosami oraz mnóstwo ostów i chwastów, a stodoły czarownic zapełniały się w swoim czasie dobrym ziarnem. Słyszałem, że podobne wypadki zdarzają się i dziś, ale tłumaczy się to zjawisko w zupełnie inny sposób.

Były zaklęcia na gojenie ran, spędzanie gorączki, a zwłaszcza leczenie ischiasu; wszyscy wiedzą, że na całym świecie leczy się go przy użyciu magii. Stosowano w tym celu delikatne głaskanie lub masowanie obolałej kończyny przy użyciu gałązek leszczyny — takich, jakich używają różdżkarze poszukujący wody — lub kory tego drzewa, macerowanej i gotowanej; dlatego nazywa się ją także orzechem czarownic. Takie praktyki stosuje się dziś powszechnie i bez przeszkód, ale w czasach, o których mowa, jeśli ktokolwiek leczył w ten sposób innych, uznawano to za niezbity dowód zakazanych kontaktów z diabłem i wiele osób poszło na stos wyłącznie z tego powodu, gdyż duchowni prawowiernego i kościoła reformowanego Szkocji, znając diabła i jego moc dokładniej niż ktokolwiek z naszych współczesnych, dobrze rozumieli, iż można było tego dokonać wyłącznie przy pomocy odwiecznego wroga ludzkości.

Uczyli się zaklęć, które pozwalały im zmieniać się w koty, zające, kruki i temu podobne; jeśli zdarzyło się, że w tej postaci złapały ich psy lub zranili ludzie, to nie umierali, natomiast znajdowano taką czarownicę w łóżku, zranioną i obolałą. W ten sposób złapano ich wiele i po zaświadczeniu mistrza Kinsaida uznawano je za winne i palono.

Dlatego ostrzegano Gromadę, by bardzo się pilnowała przed pojmaniem w odmienionej postaci. Janet Broadhead ledwie wykaraskała się z podobnych oparów. Kiedy właśnie przybrała postać zająca, zaczęła ją gonić jakiś pies, nim zdążyła wypowiedzieć zaklęcie, które wróciłoby jej postać niewieścią. Wpadła do domu sąsiada i skryła się za wielkim kufrem, gdzie pośpiesznie wyrecytowała formułkę rozwiązującą czar, podczas gdy pies węszył dokoła. Wyszła z za skrzyni we własnej postaci, gdy gospodarz wchodził do izby. Ostro go zbesztła i wskazała na rozbite kubki i talerze, które powywracał rozpędzony pies. Gospodarz przeprosił i odwołał psa, ale coś mu się w tym wszystkim nie podobało i w ten sposób Gromada znów się dostała na ludzkie języki.

Były także czary na odebranie rybakom w porcie zło-

wionych ryb, kiedy wracali z pełnymi kutrami. Należało ukraść którąś z tych ryb, albo zdobyć ją za darmo w inny sposób, a wtedy cały połów przechodził w ręce czarownic. Chociaż łódź była uprzednio ciężka od połowu, kiedy rybacy przystępowali do podziału ryb, okazywało się, że mieli w łodzi tylko pianę i wodorosty. Uczono się także, jak budzić i uspokajać wiatr, by rozpętać sztorm. Isabel wprost przepadała za tym. Ale wciąż wspominała z zachwytem wróżki ze Wzgórza Elfów. Miały w sobie coś tak wdzięcznego i delikatnego, że hulanki Gromady wydawały się przez kontrast ordynarne i nieprzyjemne. Ponadto, kiedy nie spoczywała w objęciach kochanka ani nie jeździła z nim na szalone polowania, zaczynała mocno tęsknić za jakąś nową przygodą. Mistrz mówił, że znalazłaby tam schronienie w razie niebezpieczeństwa, a właśnie teraz nie było zbyt bezpiecznie, gdyż ludzie znów zaczęli mówić o czarownicach. W każdym razie byłoby dobrze dowiedzieć się, jak nawiązać z nimi kontakt. Doprawdy, jak? Pan Ciemności albo nie mógł, albo nie chciał jej w tym pomóc. Tak mało go z nimi łączyło.

Gdy wahała się, co robić, wpadła jej w ręce niezwykła stara księga — romans sir Thomasa z Erceldoune, inaczej Thomasa Rhymera (Poety) i królowej Elfów. Ciekawi mogą go przeczytać w manuskrypcie przechowywanym w Bibliotece Adwokackiej w Edynburgu. Siedziała przy oknie, gdy ludzie wyszli w pole i folwark opustoszał i pochłaniała opowieść o tym, jak Thomas leżał przy wielkim omszałym kamieniu u stóp Wzgórz Eildon niedaleko Melrose i ujrzał Królową Elfów przejeżdżającą konno przez las; jak go porwano i został u niej — jak sądził — jedną noc, a naprawdę minęło siedem lat.

Gdy siedziała zamyślona nad dziwnie ilustrowaną kartą tej księgi, wydawało jej się, że cofnęła się o pięćset lat i widzi Dolinę Rhymera — jak się ją teraz nazywa — i samego poetę, czekającego obok kamienia na skraju lasu, u Stóp Wzgórz Eildon, które zaledwie przed stuleciem rozdzielił na trzy czarownik Michael Scott. Ludzie powiadali, że pomógł mu w tym sam diabeł. Może był to właśnie Pan Ciemności, myślała Isabel. Jak się wydawało, w owym czasie, ludzie również odwiedzali Dwór Elfów. Niewiele się od tej pory zmieniło; wydarzenia, które wydawały się jej tak niezwykle, miały miejsce już przedtem, tyle że wtedy doko-

nywano bardziej niezwykłych rzeczy, ale nikt nie szedł za to na stos ani nie był poddawany torturom.

Gdy czytała, wyobrażając sobie sceny przedstawione w cudnym romansie, zobaczyła Królową Elfów jadącą wraz z orszakem przez cieniste lasy, wiosną. Krzewy głogu, obsypane białymi kwiatami, wydawały ciężką, upajającą woń; pośród mokrych gałęzi słodko śpiewały leśne ptaki. Potem nadeszły piękne, niezwykle elfy, a wtedy śpiew ptaka, wilgotne kwiaty i aromat zaczęły się rozplýwać i niknąć. Widziała, jak królowa zeskoczyła ze swojego mlecznobiałego dzianeta, podeszła do Thomasa i objęła go; jej włosy spłynęły na niego kaskadą czystego złota. Isabel знаła skądś zaklęcie, które go tu sprowadziło, widziała na jego piersi mały złoty krążek i wiedziała, że był to znak ochronny: szkicowy rysunek tego znaku znajdował się na marginesie księgi.

Och, Tomaszu, wierny Tomaszu, gdybyś żył teraz, powiedziałbyś mi, jak można się tam dostać — myślała.

Długo siedziała w oknie przy gasnącym świetle dnia, słońce zachodu płonęło w jej włosach. Właśnie przechodziła tamtędy Margaret Brodie i zobaczyła Isabel, a obok niej, w różowej poświacie, jakąś wdzięczną, smukłą postać męską. Bardzo się zdziwiła na ten widok — nigdy jeszcze nie widziała podobnej zjawy, ale opanowała się i poszła swoją drogą. Isabel przypomniwała sobie o małej złotej tarczy, którą w czasach panieńskich podarował jej na pamiątkę pewien wielbiciel. Była to odwrotna strona miniatury czy coś w tym rodzaju; zatrzymała ją przez pamięć dla ofiarodawcy, a później zapomniała o niej, aż do tej chwili. Zastanawiała się, czy uda się jej wydrapać na blaszce ten rysunek. Gdy szła spać, zawiesiła ją sobie na szyi; głowę miała nabitą wizjami czarodziejskiego dworu i Thomasa z Erceldoune.

Śniła. Stała u stóp Wzgórz Eildon. Widziała sławnego czarodzieja Michaela Scotta, rozmawiającego z Panem Ciemności. Nie miała wątpliwości — to był on. Widziała, jak zapadają ciemności, słyszała głos nadciągającej burzy, czuła drżenie i wstrząsy ziemi, gdy wzgórze rozpadało się na trzy części. Potem, jak to bywa w snach, chaos, trzęsienie ziemi i zniszczenia przeszły łagodnie w piękny, pogodny krajobraz. Od ogromnego buku szedł Thomas Rhymer, by ją powitać. Spacerowali razem po zaczarowanych lasach. Thomas opo-

wiadał jej o Dworze Elfów o tym, jak się tam dostać i jakie należy podjąć środki ostrożności. Przede wszystkim nie należy niczego przyjmować od wróżek-elfów, nie upewniwszy się, że jest to dar wolny od wszelkich zobowiązań. Ochronna płytką miała jej zapewnić powrót do domu, w przeciwnym razie elfy zatrzymałyby Isabel u siebie tyle lat, ile by chciały. Thomas przebywał tam siedem lat, ale sam życzył sobie tego; minęły jak jedna noc, jednak mógł wracać, kiedy zechciał.

Rano obudziła się, drżąc z podniecenia. Czekala ją nowa przygoda. Szczerze mówiąc, sprawy Gromady zaczynały ją trochę nużyć, zajmowała się nimi tylko przez miłość dla Pana Ciemności. Nie mogła nie widzieć, że w porównaniu z nią wszystkie one były pospolitymi i ciemnymi kobietami. W Krainie Elfów było całe piękno i poezja jej dziewczęcych snów. Ten świat, tak wspaniale sportretowany przez mistrza Szekspira, w którym wszystko było tak oderwane od rzeczywistości, tak od niej odległe, teraz nagle stawał się — albo miał stać się — faktem.

Skończył się rok, w powietrzu czuło się zapach wiosny, ptaki śpiewały, wijąc gniazda. Do kuchni weszła gadatliwa dziewczyna folwarczna; właśnie wydoiła krowy i przyniosła Isabel ostatnie nowinki. Mistrz Harry Forbes wrócił do zdrowia i następnej niedzieli miał znów kazać w kościele. Najstarszy syn dziedzica Park leżał nieprzytomny od wielu dni i był już jedną nogą na tamtym świecie; młodszy syn zachorował na podobną chorobę, może zaraził się od brata. Dziedzic był zupełnie załamany, ale wciąż zajmował się polityką, był nawet w Londynie, żeby się spotkać z Lordami Komisarzami.

Isabel domyśliła się powodu jego wyjazdu — wciąż prześladował Cosmo Hamiltona — i przelotne wyrzuty sumienia, które odczuwała podczas sabatów i przypiekania glinianej figurki, znikły pod naporem fali nienawiści, obudzonej na dźwięk imienia dziedzica. Z radością zabiłaby wszystkich jego męskich potomków, by oczyścić ziemię z tego podłego plemienia.

Przypadkowo musnęła ręką małą złotą tarczę, którą miała na szyi i przypomniała sobie, że miała wyryć na niej rysunek widziany we śnie; widziała go również na marginesie księgi i u Thomasa z Erceldoune. Zaczęła się niecierpliwie, czekała,

aż dojarka wreszcie przestanie płakać i pójdzie do obrządku, a wtedy ona weźmie się do dzieła..

Szukała jakiegoś narzędzia, którym mogłaby wyryć rysunek w miękkim złocie. Znalazła szewskie szydło; Gilbert naprawiał nim swoje ciężkie buciory. W tamtych czasach wieśniak musiał znać każde rzemiosło. Gdy wreszcie została sama, siadła przy oknie, jak zwykła czynić od dłuższego czasu, położyła na ławie księgę i złoty krążek. Bardzo ostrożnie skopiowała rysunek z księgi; przypominał literę Y, przy czym pionowa linia wydłużała się, by sięgnąć przestrzeni między dwoma ramionami. Następnie przeniosła wzór na krążek, zmierzyła go, porównała z ryciną i zaczęła mozolnie wydrapywać szydłem ów znak, pogłębiając linie, aż rysunek nabrał wyrazu. Mozoliła się nad nim przeszło godzinę, w końcu była zadowolona z wyniku. Wzięła jakąś monetę i stary żeton, używany przez kupców Calderów z portu Findhorn i przy ich pomocy wyrysowała wokół symbolu dwa koła. Gdy kończyła pracę, padł na nią czyjś cień, przysłaniając światło idące od okna. Objęło ją czyjeś ramię; obejrzała się — jej ukochany przyglądał się jej dziełu.

— Więc nauczyły cię tego — powiedział. — Cieszę się. Wejdiesz zatem do Środkowego Królestwa. Znajdziesz tam bezpieczną przystań — może już niedługo będziesz jej potrzebować.

Przygarnął ją do siebie i trwała tak przez kilka chwil, w radosnym zachwycie. Cieszyła się, że jest przy niej i że patrzy życzliwie na jej próby przedostania się do Krainy Elfów. A więc nie straci go przez tę nową przygodę i kiedy opuści Gromadę na jakiś czas, nie będzie musiała się zamartwiać.

— Jak to? Dlaczego będę jej potrzebować, panie?

— Czasy są niebezpieczne. Uciszyliśmy cały ten rejwach po aresztowaniu Latającej Ropuchy, ale ludzie wciąż trochę gadają. Kogokolwiek widziano razem z Ropuchą, jest dziś podejrzany. Mistrz Harry Forbes wyzdrowiał po dwóch miesiącach i trzech dniach choroby, zgodnie z czarami mieszka wiedźmy i zaczyna sobie niejasno przypominać, co mu powiedział dziedzic Park. Dziedzic co prawda nie piśnie słówka w strachu o własną skórę, ale mistrz Forbes stał się podejrzliwy i zacznie dochodzić prawdy. Także chłopak, chociaż już prawie na tamtym świecie, zdążył powiedzieć

kolegom to i owo, a chłopcy, jak to chłopcy z Forres i Nairn — paplają już o czarownicach. Potem ten nieszczęśliwy wypadek z Janet Broadhead, kiedy biegła w postaci zająca; plotka znów ożyła. Właściciel psa, który ją gonił, uwierzył jej wyjaśnieniom tylko w połowie. Każde z tych zdarzeń, wzięte osobno, nie miałyby żadnego znaczenia, ale wszystkie razem mają ten skutek, że ludzie zaczynają przyglądać się podejrzliwie członkom Gromady. Mogę ich chronić tylko w pewnym stopniu. Ale ty, moje kochanie, masz bezpieczne schronienie u wrózek na Wzgórzu. Możesz tam zostać, aż przyjdzie bezpieczniejszy czas. Ze względu na ciebie chętnie obronię panią Jean Gordon, zaś ciasto księżycowe zabezpieczy wolność Cosmo Hamiltona przez rok i jeden dzień. Sądzę, że do tej pory niebezpieczeństwo minie. Teraz popatrz na to. — Wskazał na złoty krążek z wygrawerowanym znakiem.

— Ta lewa linia jest moja; od tej strony grozi ci obecnie niebezpieczeństwo. Środkowa linia wiedzie do Środkowego Królestwa, oznacza bezpieczeństwo. Bacz, byś zawsze go nosiła, nie rozstawaj się z nim pod żadnym pozorem. Chodźmy teraz na przejażdżkę, jak tyle razy przedtem, do Strathdearn i w góry Monaliadh. Będziemy polować na wielkie jelenie, pogonimy wilka i lisa. Wracając spotkamy się z dwiema innymi Gromadami, które będą polować nad lasami Brodie i Moray. Będziemy ucztować dziś w nocy w Darnaway, będziemy tańczyć do białego rana. Hej ho! Koń i bicz! Jeszcze raz, może raz ostatni.

— Tak, jeszcze raz, drogi panie. Więc jedźmy! Nawet jeśli już nigdy nie siądziemy razem na jednym koniu, wiedz, że dałeś mi w życiu tyle radości, radości, o jakiej nie śmiałybym nawet marzyć.

— Moja jedyna! Masz tu zakłęcie Rhymera. Znałem go dobrze, chociaż nie był moim sługą. Natomiast nieraz świetnie się bawiliśmy wraz z mistrzem Michaelem Scottem. Tak, w tamtych czasach byli prawdziwi ludzie, na ziemi panowała prawdziwa radość. Teraz jedynie sir Robert pozostał ze starej gwardii, ale jest zbyt poważny i pełen namaszczenia. Poza tym jego czas już mija. Kiedyś, w Salamance, przechytrzył mnie. Mamy jeszcze jedną rundę do rozegrania.

Jazda była wspaniała, porywająca. Odżyło jej dzikie upojenie z minionej jesieni, kiedy dopiero poznawała nowe życie i potęgę Pana Ciemności.

Był teraz naczelnikiem klanu —

potężnym, wielkim i groźnym, a jednak nieskończenie czułym. Trzymała się jego skórzanego pasa i tuliła do jego piersi, pragnąc być jeszcze bliżej niego, aż stopią się w jedno. Równie namiętnie jak kochała Mistrza, nienawidziła dziedzica Park i całe jego plemię; jej nienawiść była odbiciem jego nienawiści. Wszystko inne nie liczyło się. Wszelkie sztuczki czarownic — odejmowanie krowom mleka, a kłosom ziarna, zsyłanie chorób na ludzi i bydło, palenie domostw, nawet zabijanie ludzi strzałami śmierci — to były zwykłe psoty, jakby chłopiec dręczył złapaną mysz. Wszystko to były głupstwa, ale jej związek z Panem Ciemności był życiem samym, źródłem obezwładniającej wprost rozkoszy. Wiedziała już, że żył i nie zmieniał się poprzez wieki. Będzie żył więc dalej, kiedy obecna rzeczywistość i wszystko, co żyje, przestanie istnieć. Jeśli on będzie żył, dlaczego nie miałyby żyć i ona? Gdyby tylko — jak tego pragnęła — mogła stać się jego częścią. Wyobraziła sobie, jak owija się wokół niego wężowym ruchem — on również staje się wężem — a ona, wijąc się wokół Króla Węży, szuka wciąż nowych punktów styczności z jego ciałem. Polowali na wielkie jelenie wysoko w górach Monaliadh, w ciemnych parowach i głębokich, mglistych dolinach. Krwawy rytuał potęgował ich podniecenie.

— Panie! Teraz, kiedy zyskałam moc, mogłabym zrobić wszystko, wszystko!

— Tak, jedyna! Spójrz tam w dół.

W dolinie stała mała chatka. Zardzewiały skobel ustąpił — drzwi były niedomknięte. W pokoju spało spokojnie malutkie dziecko. Z zewnątrz zakradał się głodny wilk. Wyszczrzył okrutną paszczę, błysnęły białe kły. Zbierał się do skoku, już się sprężył, by skoczyć na śpiące dziecko. Za chwilę...

— Wstrzymaj tego wilka! — nagle krzyknęła Isabel. — Stój! — zawołała.

Wilk już skoczył. Obrócił się już w powietrzu jak od potężnego ciosu i spadł na podłogę. Zawrócił do drzwi i wymknął się z domu, warcząc dziko, z nienawiścią.

— Widzisz teraz, jak siła magiczna wypełnia cię całą. Kiedy jesteś szalona radością, możesz mieć, co tylko zechcesz. Moi uczniowie w krajach Wschodu dobrze o tym wiedzą.,

dlatego są tak potężni, ale na tych zimnych ziemiach północnych niewiele mogą osiągnąć.

Wracając przez ziemie MacIntoshów, spotkali dwie Gromady, które tam polowały i cała kompania, dziko pohukując, ruszyła na wschód szaleńczym galopem. Jacyś chłopcy kłusowali w lasach Cawdor i właśnie przechodzili przez Nairn; usłyszeli te krzyki i spojrzeli w górę.

— Polowanie czarownic — powiedział jeden z nich. Isabel, obejmując kochanka za szyję, natychmiast zakrzyknęła:

— Koń i bicz dla tego chłopca! — Natychmiast coś uniosło go w powietrze i poniosło dalej jak trąba powietrzna.

Znaleziono go później, jak błąkał się w lasach Brodie. Powiadają, że stracił pamięć; nie wiedział, skąd się tam wziął.

Isabel śmiała się wesoło z udanych czarów, ale Mistrz był poważny.

— To są urodzeni czarownicy — powiedział. — Widzieli nas, już nie jesteśmy bezpieczni. Moja jedyna! Musisz jak najszybciej iść do Środkowego Królestwa. Bądź gotowa przed pełnią księżyca. Pozostały trzy dni. Hej ho! Koń i bicz! Dziś jedziemy do Darnaway, będziemy ucztować, śpiewać i tańczyć. Jutro będzie, co ma być.

* * *

Emocje tej nocy przetrwały do następnego dnia; z radością też myślała o nowej przygodzie — odwiedzinach w Krainie Elfów — tym radośniej, że Mistrz, życzył sobie, by tam szła, gdyż tam będzie bezpieczna.

Dlatego przez cały następny dzień pilnie pracowała przy złotym krążku. Tak, jak to wyłożył Thomas Rhymer w swojej historii Krainy Elfów, a także zgodnie z tym, co mówił jej we śnie, pieczołowicie i precyzyjnie wyryła sześciora-mienną gwiazdę, czyli heksagram, używany w magii od czasów Salomona, a może jeszcze wcześniej. Na koniec wyrównała linie i wypolerowała cały krążek.

Wzięła następnie parę sandałów na niskim obcasie; wystrugała z drewna małe patyczki, ułożyła je w zgrabne pięcioramienne gwiazdy, czyli pentagramy i przyszyła je do podeszew sandałów przy pomocy szydła i woskowanych nici. Pan Patrick Innes widział później jeden z tych sandałów, ale nie miał pojęcia, do czego były przeznaczone ani czyją były własnością. Wydawał się mocno poruszony, znajdując swój rodowy herb na podeszwie czyjś buta. Uznał to za umyślną obrazę ze strony

któregoś z Durbanów, depczącego w ten sposób jego znak rodowy, ale pan Harry Forbes wyjaśnił mu, że była to tak zwana czarodziejska stopa i miała prawdopodobnie jakiś związek z diabłem; w tym czasie konszachty z diabłem były w hrabstwie bardzo rozpowszechnione.

Przygotowania były skończone. Wyjęła z kufra tę przejrzystą, połyskliwą szatę francuską, którą tamtej nocy — tak dziwnie odległej, jakby należała do innego życia — włożyła na siebie, pragnąc oczarować Johna Gilberta, z tak oplakany skutkiem. Była bladozielona jak woda, delikatnie haftowana złotą nicią. Położyła ją obok ciemnozielonej narzutki, łącząc jak gdyby kolor młodej trawy z barwą świerkowego igliwia.

Wszystko było gotowe. Księżyc w pełni. Kończył się dzień, ludzie wracali na folwark. John Gilbert już wieczerał. Folwark przygotowywał się do snu. Rozejrzała się po swojej małej izdebce, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Wspominała swoje osamotnienie i smutek w ciągu wszystkich minionych lat; myślała o ostatnich sześciu miesiącach — czasie miłości i tryumfu. Gały swój dobytek schowała w tej starej skrzyni, zamkniętej na klucz i dwie ciężkie kłódki. Zawiesiła klucze od skrzyni przy przypasku; na zieloną suknię narzuciła ciemnopurpurową pelerynę, a sandały zatknęła za pasek.

Wyszła na drogę. Przy rowie stał Mistrz. Wziął ją bez słowa w ramiona, całował jej włosy, oczy, usta — długo, mocno.

— Tej nocy wzięli dwie nasze towarzyszki — powiedział. — To ich własna wina, nie przestrzegały moich zaleceń. Teraz wszyscy są w niebezpieczeństwie. Idź więc tam, gdzie nic ci nie zagrozi. Żegnaj, moja miłości, żegnaj na . czas jakiś. Spotkamy się znów, gdy będzie spokojnie. Wezwał wielkiego rumaka i delikatnie uniósł ją i usadził w siodle.

— Hej! na Wzgórze Elfów! — Isabel popędziła ku wschodzącemu księżycowi.

W tej samej chwili jacyś dwaj mężczyźni zaczęli głośno i natarczywie dobijać się do domu na folwarku Lochloy.

— Otwierać w imię Wspólnoty! Szukamy pani Isabel Goudie. Jesteśmy oficerami szeryfa.

— Dopiero co wyszła na drogę. Czego od niej chcecie?

— Jest oskarżona o przestawanie z zatwardziałymi czarownicami.

— Słuchajcie no! — zawołał Gilbert z wielkim gniewem. — Moja żona jest uczciwą niewiastą i przez wszystkich szanowaną. Jest bogobojną parafianką kościoła reformowanego Szkocji, jak może zaświadczyć mistrz Harry Forbes i wszyscy starsi parafii Aulderne. Wynoście się stąd! Nie wejdziecie do mojego domu. Już was tu nie ma albo wezwę parobków, żeby was wywlekli na drogę. Czarownice — też wymyślili! Jak śmiecie użyć takiego słowa, kiedy mówicie o mojej żonie. Ładne rzeczy dzieją się w naszym kraju przez to wasze bratanie się z Anglikami. No to jak, idziecie stąd spokojnie, czy nie?

Właśnie nadbiegała grupa parobków, którzy słyszeli podniesione głosy; żołnierze odeszli jak niepyszni, mrużąc pod nosem coś o użyciu siły i podobnych rzeczach. Kiedy tylko odeszli na bezpieczną odległość, John Gilbert zarygłował drzwi i wybiegł tylnym wyjściem, by ostrzec żonę lub jej bronić, a za nim pół tuzina jego ludzi. Ale nie znalazł jej ani wtedy, ani później; nie widział jej na folwarku przez wiele długich miesięcy.

Rozdział XVI

Wróżki i czarownice

O wydarzeniach, które potem nastąpiły, wiemy tylko tyle, ile opowiedziała Isabel, a na jej opowieści nie można całkiem polegać. Jedynym sprawdzalnym faktem było to, że zaginęła w noc, kiedy ludzie szeryfa przyszli na folwark Lochloy i że na długi czas wszelki ślad po niej zaginał. Jej opowieść od samego początku wydawała się tak nieprawdopodobna, że słuchacze nie dali jej wiary — jak to później zobaczymy — a niektórzy twierdzili wprost, że chorowała

i leżała w gorączce, pielęgnowana w ukryciu w jakiejś góralskiej chatce; widziała w majakach wszystkie te cudowne wydarzenia, o których czytała w romansie Rhymera, aż sama uwierzyła, że były jej udziałem. Zarazem niezwykle podobieństwo jej rzekomych przeżyć do przygód wielu innych bohaterów romansów w innych krajach i do ich opowieści o Królestwie Elfów zdaje się świadczyć, że było to coś więcej niż senne marzenie. Otóż Isabel nie mogła przeczytać wielu z tych opowieści, a było w nich wiele rzeczy, nie spisanych w historii Rhymera. Ten rozdział jej życia musi pozostać nie wyjaśniony. Oto jak opowiadała o nim Isabel: Podczas, gdy ludzie szeryfa na próżno szukali jej w Lochloy, dzielny rumak zawiózł ją na południowe podnóże zaczarowanego Wzgórza Elfów, nad niewielkie jezioro, otoczone wysokimi drzewami. Pomna wskazówek, które dobrze zakonotowała, stanęła pod piękną brzozą, zerwała z niej gałązkę i trzymając ją w ręce, rozejrzała się wokół z ciekawością i zachwytem, tak piękny przedstawił się jej widok. Na niebie słały się lekkie przejrzyste obłoki, łagodząc jasne światło kragłego księżyca i tworząc białe, świetliste tło dla gałęzi drzew, które układały się w piękne wzory. Od południowej strony dalszy pejzaż, przebijający między delikatnie zarysowanymi pniami gęsto rosnących drzew, był malarską etiudą szarości i srebra. Sitowie na brzegu jeziora rzucało wyraźne odbicie na wciąż jasną wodę. Stanęła na północnym brzegu jeziora twarzą do księżyca i zdjęła purpurową szatę, którą narzuciła na zieloną suknię; światło księżyca rozświetlało mieniającą się koszulkę, przez którą wyraźnie odznaczały się piękne linie jej białego ciała. Trzykrotnie pozdrowiła księżyc; wyjęła z pasa sandały z własnoręcznie sporządzonymi pentagramami, zrzuciła swoje ciężkie trzewiki i wzięła sandały. Podeszła do wody, zanurzyła w niej brzozową gałąź, i zamachnąwszy się, strząsnęła deszcz kropli w kierunku księżyca. Ponownie zanurzyła gałąź głęboko w wodzie i gwałtownym ruchem wyciągnęła ją z jeziora, rozbryzgując krople wody dookoła. Czyniąc to nuciła:

Strumyk z gór wyżyny Splywa na równiny,

z obłoków opada Na ziemię w kropli miriadach. Na krople wodę rozdrabnam, Do mgły ją upodabnam...

Ostatnie słowa wyskandowała jakby w śpiewnej furii:

Mgły wiszące w parowach I ziemi wilgoć od nowa Unoszą się lekkim obłokiem, By wrócić na niebo wysokie. Na krople wodę rozdrabnam,

Do mgły ją upodabnam.

Powietrze wypełniło się milionem kropeł niby delikatną mgłą. Za Isabel znajdował się wysoki kamień, przykryty puszystymi poduszkami zielonego mchu. Ziemia była miękka i gąbczasta; pentagramy pod jej sandałami zostawiały wyraźne ślady. Przestała bić wodę, odwróciła się i obeszła kamień trzy razy w kierunku przeciwnym do ruchu słońca, dokładnie odciskając pentagramy w ziemi. Wróciła nad jezioro, powtórzyła zaklęcie i jeszcze mocniej biła w wodę, aż powietrze wypełniło się białą mgłą. Gdy patrzyła na krąg utworzony przez ślady swoich stóp, wydało jej się, że widzi blade cienie jakichś postaci, które wyłoniły się z białej mgły wytworzonej przez kropelki wody. Wydawało się, że badają odciski jej sandałów. Zrobiła jeszcze trzy okrążenia i powtórzyła zaklęcie:

Na krople wodę rozdrabnam, Do mgły ją upodabnam.

Mgła stała się tak gęsta, że prawie nie było widać drzew, ale postaci chodzące w kręgu i badające ślady jej stóp były teraz o wiele wyraźniejsze. Jeszcze raz wypowiedziała zaklęcie i obróciła się ku środkowi kręgu z twarzą ku księżycowi. Wzniosła gałąź jak berło i stojąc przy omszałym kamieniu, zanuciła wezwanie do Luny-wrózki:

Na białość lotosu i lilii, Promieniem twym wybielonych, Na liście szerokie, płynące Jak tratwy wrózek zielone, Królestwo pięknej nocy,

*Każ stanąć swej karocy.
Rzuć swe światło na jezioro,
Wróżki nie śpią nocną porą.
Senne twe promienie
Budzą w nas marzenie.
Trwa elfów zabawa
Przy strumieniach i stawach.*

Gdy śpiewała, promienie księżycy świecące przez mgłę skupiały się i zgęszczały, aż uformowały wysmukłą, pełną wdzięku postać mężczyzny. Stał przed nią; patrzyła nań, a obraz stawał się coraz wyrazistszy. Zanim podała mu rękę, gdy wyciągnął swoją, rozsunała koszulę na piersi, ukazując mały złoty krążek.

Skłonił się uprzejmie i powiedział:

— Witaj, pani. Przysłano mnie tu, bym cię zaprowadził na dwór władcy tego królestwa. Czy przyjmiesz, pani, moją dłoń?

— Tak, z radością, gdyż widzę, że znasz ten symbol.

— Jest to oznaka naszego Bractwa. Ale pozwól, że przyjrzę się jej uważniej, by mieć pewność, że to właśnie ta oznaka. Zdejmij ją na chwilę, pani.

— Niestety, nie mogę. Nie wolno mi rozstać się z nią ani na chwilę. Ale możesz przyjrzeć się jej tak dokładnie, jak sobie tego życzysz, kiedy wisi na mojej szyi. — To mi wystarczy, pani. Chodźmy. Muszę wykonać rozkaz króla. Wziął ją za rękę i zawrócili w stronę wzgórze. Stanęli przed wysokim portalem — drzwi były otwarte na oścież. Weszli do wspaniałej sali. W powietrzu unosiły się dźwięki muzyki i zapach kwiatów — wiły się wokół kolumn i zwieszały w girlandach z sufitu. Tu i tam poruszały się urocze, zwiewne istoty; niektóre tańczyły przy dźwiękach harf powietrznych. Po przeciwległej stronie sali, na podium, siedzieli król i królowa, tacy jak owej nocy, gdy sądzono Latającą Ropuchę w prastarym kamiennym kręgu. Szarmancki przewodnik podprowadził Isabel do samego podium. Król powstał z tronu i podszedł, by ją powitać.

— Witaj, pani. Mówiłem ci, byś do nas przyszła w czasach strapienia lub trwogi. Kraina Elfów jest przed tobą otwarta. Pytaj, jeśli pragniesz czegoś się dowiedzieć, a wszystko ci wyjaśnimy.

Za pierwszym razem przyszedł do nas z tym, z którym w pewnym stopniu wiąże nas traktat i prawo naszego istnienia. Jego sługi tu nie przychodzą; niewiele mamy z sobą wspólnego. Ale ty nie jesteś całkowicie jego sługą. Pod pewnymi względami bardziej należysz do nas niż do niego.

Witamy cię zatem w naszym gronie. Ponieważ masz odznakę Thomasa z Erceldoune, możesz odchodzić i przychodzić, kiedy zechcesz.

Wokół Isabel tłoczyły się wróżki. Całowały ją i tuliły, rozpuściły jej wspaniałe włosy i pięknie uczesały. Przemyciły jej czoło jakimś aromatycznym płynem — olejkiem różanym, jak mówiły. Opuściły ją wszystkie troski, obawy i zmartwienia; pozostało jedynie uczucie szczęścia i zadowolenia, i pragnienie, by na zawsze pozostać pośród tych łagodnych, radosnych istot.

Potem przypomniała sobie, że miała zapytać o te wszystkie dziwne rzeczy, które jej się przytrafiły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy oraz o tego, który wprowadził ją do tamtego świata niezwykłych zdarzeń, od którego była obecnie wolna. Ale król powiedział tylko:

— Niedługo pokażę ci, pani, niektóre cuda tego królestwa; teraz baw się i odpoczywaj. Powiem ci tyle: on jest królem materialnego świata, pozbawionego duszy, świata, w którym dba się tylko o zaspokojenie własnych przyjemności. Świat ów jest królestwem ziemskim, które jest mu dane. Zaprzecz boskiemu duchowi, odrzuć go, a w tym świecie dostaniesz wszystko, czego pragniesz. Cieleśną rozkosz aż po kres rozkoszy; wiedzę, jeśli jej szukasz; władzę, jeśli jej pożądasz; wszystkie królestwa świata i wszystko, co w nich jest.

Lecz dostaje się to na czas jednego krótkiego życia, wyłącznie ku uciesze ciała. Później, gdy nieśmiertelny duch uwalnia się z ciała i powinna zajaśnieć wieczna radość, duch widzi, co utracił. Ale nie będziemy o tym teraz mówili. To zbyt okropne.

— Kim więc jesteście? Czyż nie jesteście jego kapłanami?

— Nie, jesteśmy duchami żywej przyrody. Każemy kwitnąć kwiatom i sokom krążyć w roślinach i krzewach. Czerpiemy siły życia ze słońca i rozdajemy je, by świat był piękny. Uczymy ptaki śpiewu, a stare drzewa kołysanek, by

mogły je szeptać wieczorami. Bierzemy marzenia od księżyca i dajemy je poecie.

Ale cały czas wielki Duch Wszechświata ma nas w swojej władzy. Zawsze jesteśmy mu posłuszni. Ten, z którym tu przyszedłeś pierwszy raz, jest panem nierównej mocy, władcą dysharmonii.

My z postaci jesteśmy podobni ludziom, bo także jesteśmy istotami ludzkimi, chociaż nie doświadczyliśmy upadku, jak Adam. Ale chodźmy, piękna pani; będziesz z nami tańczyć i słuchać naszej muzyki, skosztujesz nektaru z kwiatów, poznasz rozkosze krainy wolnej od grzechu.

Podeszły łagodne elfy, stłoczyły się wokół Isabel, prosząc, by się z nimi bawiła. Zabrały ją ze sobą, by pokazać jej cuda swojego pięknego królestwa. Jedna z wróżek z uroczym uśmiechem podała jej bukiet cudnych kwiatów. Ale pomna, czego ją uczono, Isabel wdzięcznie odmówiła przyjęcia podarku, mówiąc:

— Nie, droga przyjaciółko, nie mogę niczego przyjąć, jeśli się przedtem nie upewnię, że dar jest wolny od wszelkich zobowiązań.

Dotknęła przy tym ochronnego krążka na piersi. Ofiarodawczyni uśmiechnęła się:

— Widzę, że znasz nasze warunki i przepisy. My musimy próbować zatrzymać pośród nas wszystkich, którzy tu przychodzą. Jednak nie chcemy nikogo przymuszać i chętnie witamy wszystkich, którzy wiedzą dostatecznie dużo i są dość silni, by przyjść tu na równych prawach, jako nasi przyjaciele. Nie obawiaj się. Ofiarowuję ci wolny dar — jak sobie życzysz — i proszę cię, byś go przyjęła. Masz wolny wstęp do Krainy Elfów i jesteś wolna.

Wtedy Isabel podziękowała jej mile i wzięła kwiaty; gdy wdychała ich woń, zdawało jej się, że staje się jedną z wróżek, jedną z elfów; że jej natura staje się równie łagodna i piękna jak natura elfów, nie tracąc przy tym odrębności.

Ale wiedziała również, że z łatwością mogłaby się zatracić w tej woni, zapomnieć o swym ziemskim życiu i zostać tu na zawsze.

Opowieść przenosi się teraz z powrotem do Lochloy, kiedy to ludzie szeryfa, wypędzeni z folwarku przez Johna Gilberta szli drogą i myszkowali wokół folwarku w nadziei, że dopadną Isabel gdzieś niedaleko. Byli przekonani, że

ukrywa się gdzieś w okolicy. Ale jej nie znaleźli i w końcu postanowili **złożyć** wizytę w dworze Park, wierząc, że dziedzic da im jakieś wskazówki. Choć przez pewien czas pchodził za podejrzanego, jednak dzięki wysiłkom mistrza Johna Innesa zdołał oczyścić się z podejrzeń; najpewniej wiedział coś o działalności podejrzanych kobiet, z których kilka dzierżawiło u niego ziemię.

Wprowadzono ich do pokoju, zwanego pokojem pracy pana, choć ta praca sprowadzała się chyba głównie do spijania hiszpańskich win, których już zdążył wchłonąć odrobinę za dużo; nie wstał, gdy weszli, być może pod wpływem wątpliwości, czy zdoła utrzymać się na nogach. Jednak nie potrafił czy nie chciał zaspokoić ich ciekawości.

— Nic nie wiem o czarownicach, panowie. Zresztą mój medyk zapewnia mnie, że czarownic nie ma na świecie. Przyjaźniłem się z pewną ubogą niewiastą. Jak słyszałem, „sądzono ją w Elgin i spalono na stosie.

Uważam to za barbarzyństwo. Ale nie wiem, kim były jej towarzyszki. Nie potrafię niczego powiedzieć na temat pani Isabel Goudie. Najlepiej zapytajcie panowie mistrza Harry'ego Forbesa, naszego pastora. On cieszy się dobrą opinią, ale jeśli chodzi o jej męża, to uważam go za kłopotliwego dzierżawcę. Mówicie, że odeszła z folwarku? Doprawdy, nic mi o tym nie wiadomo. Ale w naszych czasach, gdy hydra papizmu znów podnosi głowę i ludzie spiskują, by przywrócić tron niesławnemu rodowi Stuartów, nie należy się dziwić żadnej podłości.

Powiadam wam, panowie, że usiłujecie aresztować jakieś głupie stare baby, podczas gdy pod waszym nosem zawiązują się spiski, na które nie zwracacie żadnej uwagi. Posłuchajcie! W tych papierach są bardzo dokładne informacje o spisku młodego Cosmo Hamiltona. Pragnie on powrotu Karola Stuarta na tron, a wraz z nim wróciłyby oczywiście wszystkie papistowskie zabobony i całe wyuzdanie jego grzesznego dworu, zaś zamek Gordonstown jest właśnie wylegarnią jego intryg. Tam właśnie, u sir Roberta Gordona, mieszka wraz z ciotką dama, z którą ów wichrzyciel jest zaręczony. Dlaczego nie odetniecie hydrze głowy?

Przejrzyjcie te papiery. Widzieli je Lordowie Komisarze, ale oczywiście nie kiwnęli palcem. My tu mieszkamy i wiemy, co w trawie piszczy, ale tamci w Londynie są tak zarozumiali, że nie wierzą nikomu oprócz siebie.

Panowie, aresztujcie papistów i zwolenników Stuartów — to są wasze prawdziwe czarownice. Aresztujcie sir Roberta Gordona, jeśli wam starczy odwagi. To najgłówniejszy przestępca.

Wręczył im stos notatek, pisanych własną ręką. Szczerze mówiąc, oficerowie byli trochę zmęczeni jego tyradą. Wino rozwiązało mu język, ale mówił niewyraźnie i gubił wątek. Tylko jedna kartka zwróciła ich uwagę, gdy pobieżnie i ospale przerzucali jego zapiski. Był to oddarty kawałek listu, który kiedyś napisał — ale go nie wysłał — do mistrza Forbesa, jeszcze przed chorobą zacnego pastora.

— Popatrz — powiedział jeden z nich — to jest ważne. Są tu nazwiska. Drugi schował ten świstek do kieszeni.

— To wystarczy — powiedział.

— Co tam macie, panowie? — zapytał dziedzic; mimo pijackiego zamroczenia stał się nagle ostrożny.

— To tylko spis nazwisk, który pan umieścił w swoim świetnym, niezwykle przejrzystym sprawozdaniu na temat spisków. Sir Robert Gordon i inni. Przedstawimy szeryfowi wszystko, co nam pan powiedział, a on już się tym zajmie.

W rzeczywistości spis zawierał nazwiska towarzyszek Maggie Wilson, ale ludzie szeryfa uznali, że lepiej tego nie mówić. Na kartce było także nazwisko Isabel Goudie, ale oddarto je. Pozostały trzy inne nazwiska. Tymczasem drugi oficer szperał w papierach, a dziedzic przyglądał się dziełu swych rąk nie bez pewnego pijackiego zadowolenia.

— Spójrz — powiedział oficer przeglądający papiery — są tu ważne rzeczy. Ten list wyraźnie obciąża sir Roberta Gordona, a to sprawozdanie pisane przez Cosmo Hamiltona, jak wynika z treści, podaje, zdaje się, szczegóły spisku przeciw Wspólnocie i reformowanej wierze. Za pana pozwoleniem, musimy zarekwirować te papiery. Zajmie się nimi szeryf.

— Nie, panowie — zawołał dziedzic w nagłym przebłysku czujności. — Nie mogę oddać tych papierów, zawierają samą esencję informacji, które zbierałem z ogromnym wysiłkiem. Jeszcze nikt ich nie widział. Muszę się sam ułożyć z Lordami Komisarzami co do warunków wydania tych dokumentów. Na ich podstawie rząd będzie mógł aresztować

Cosmo Hamiltona jako zdrajcą ojczyzny. Jeśli je stracę, stracę wszystko. Oddajcie mi je!

Podniósł głos do krzyku. Wstał, zataczając się, z krzesła, usiłując wyrwać notatki z rąk żołnierza; ten uchylił się i dziedzic runął ciężko na podłogę. Tamci pozbierali papiery i odeszli.

W tej samej chwili do pokoju weszła pani Hay, blada i zrozpaczona.

— Dawidzie! — zawołała. — Chodź szybko! Chłopiec nie żyje... Och, Dawidzie, wstańże, na litość boską...

Ale Dawid Hay nie ruszył się ani nie odezwał; leżał na podłodze w pijackim odrętwieniu.

* * *

Tymczasem obydwaj mężczyźni wracali do Aulderne, ogromnie zadowoleni z wyniku swojej wizyty w Park.

— Dostaniemy za to niezłe pieniądze — powiedział jeden z nich.

— Tak, mamy dobre karty i musimy je mądrze rozegrać. Coś mi się wydaje, że Lordowie Komisarze dobrze nam za nie zapłacą, a jeśli nie, to zapłaci sir Robert Gordon by, ratować skórę tego młokosa. Zdaje się, że jest do niego bardzo przywiązany. Chyba potrzymamy trochę te papiery, aż przekonamy się, komu najbardziej na nich zależy.

— Dobrze mówisz. Opowiedz mi o tym sir Robercie. Jeszcze niezbyt wiele wiem o sprawach waszego hrabstwa.

— Sir Gordon mieszka — przeważnie sam — w Gordonstown, z którego chce zrobić wielką siedzibę rodową. Mówią, że jego własna rodzina go nie znosi, gdyż często zajmuje się podejrzanymi sprawami. Podobno pomaga mu sam diabeł. Jestem prostym człowiekiem i nie znam się na tych sprawach. Gdyby diabeł ugościł mnie kuflem dobrego piwa i wygodnym noclegiem, nie zważałbym, czy to on mnie gości, czy kto inny.

Obecnie w Gordonstown nie przebywa nikt z rodziny sir Roberta. Ma za żonę córkę lorda Glenluce, ale już od długiego czasu nie widziano jej w tych stronach. Jego syn Ludovic przebywa głównie u swojego bliskiego przyjaciela Dunbara z Hemprings, niedaleko majątku Windyhills. Obecnie dom prowadzi mu jego kuzynka, lady Gordon; przyjechała z nią siostrzenica, zaręczona z tym Cosmo.

— Niech mnie licho! Czuję, że nieźle się na tym wszystkim obłowimy. Chyba pójdziemy do sir Roberta. Wcale się nie boję tego jego diabła. Niech go z tego wyciągnie, jeśli potrafi. Ale chyba te papiery będą mu bardziej przydatne. Chodź, stary druhu! Zerknijmy przez okno do tej chałupy. Widzę jakieś światełko. Popatrz na tamte trzy, co kucają przy ogniu. Co one robią? Na Belzebuba, coś przypiekają. To na pewno taka gliniana figurka, zeznawała o tym wiedźma, którą niedawno pochwycono. Do pioruna, to wystarczający dowód! Wyłamiemy drzwi i bierzemy je! No, kompanie, nieźleśmy się spisali tej nocy.

— A co z nimi zrobimy, jak już je będziemy mieli?

— Możemy zrobić tylko jedno: weźmiemy je do Forres. To daleka droga i woda się podniosła w strumieniu Findhorn, ale nie mamy wyboru. Jeśliby pójść do Nairn, przepadłaby nasza nagroda, bo tam szeryfuje Dallas z Cantrey, a on nie ma zezwolenia od władz. Pójdziemy więc do Forres, tam przenocujemy, a rankiem ruszymy do Elgin.

* * *

Trzy zdrożone kobiety, w zszarganej odzieży, wlokły się przez lasy Brodie w jasnym świetle księżyca, popędzane przez dwóch oficerów. Minęli Dykę i Grangehill, kierując się na bród przez rzekę Findhorn. Kiedy zbliżali się do rzeki, głośny szum był wyraźnym sygnałem, że wody mocno przybrały i przejście przez bród będzie niebezpieczne. Ale dopiero przy samym brodzie uświadomili sobie rozmiary niebezpieczeństwa. W świetle księżyca rzeka toczyła czarne skłębione fale, znaczone białymi bałwanami jak wzburzone morze. W pędzącym nurcie podskakiwały wielkie gałęzie, oddarte od drzew. Przy brodzie woda zabarwiona torfem na ciemnobrązowo kłębiła się nad kamieniami, służącymi za pomost; księżyc, nisko zawieszony na zachodzie nieba, oświetlał rumowisko, które rozszalały nurt niósł w dół rzeki. Wiatr wzmagał się i przechodził niemal w wichurę; porywał grzbiety fal i ciskał w powietrze. Mężczyźni popatrzyli na siebie skonsternowani.

— Co robić? — zapytał jeden z nich.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Nie ma rady, musimy spróbować. Nad kamieniami woda nie sięga wyżej kostki. Przejdziemy bezpiecznie, a jeśli nawet te flądry się

potopią, to najwyżej przypadnie nam nagroda, ale odbijemy to sobie na sir Robercie. Niech się topią, jak chcą. Ruszajcie, czarcie pomiotła — nuże do wody. Wasz mistrz nie da wam utonąć, powiadają, że podtrzyma was na wodzie. Więc nas podtrzyma razem z wami. Niech was diabli wezmą! Jeszcze poprosicie o wodę, jak was posadzą na stos!

Popędzane groźbą i kułakiem, nieszczęsne kobiety brnęły przez wodę do pierwszego kamienia, a stamtąd skoczyły na następny, to ukazujący się, to ginący w kłębowisku fal. Mężczyźni poszli ich śladem.

Kiedy dobrnęli na środek brodu, usłyszeli głuchy ryk i spojrzeli w górę rzeki: pędziła na nich ogromna fala. Ogarnięci straszną trwogą, widzieli jakby potężną i groźną postać, siedzącą na grzbiecie fali. Zdziczali z przerażenia, obydwaj mężczyźni zaskowyczelili jak zajęce we wnykach. Wykrzykiwali na przemian bluźnierstwa i modlitwy, zwracając się do Boga i do diabła bez różnicy, byleby uniknąć zagłady.

Kobiety uniosły ramiona i rzuciły się w kierunku idącej fali. W następnej sekundzie fala pochłonęła wszystkich pięcioro i powlokła za sobą. Nurt rzucał nimi na wszystkie strony — uderzali o korzenie drzew, rozbijali się o kamienie, wplątywali w wirujące gałęzie.

Ciała mężczyzn, zniekształcone nie do poznania, znaleziono w porcie Findhorn. Ich tożsamość stwierdzono na podstawie dokumentów, które mieli przy sobie.

W ten sposób cenne dokumenty, odebrane Hayowi z Lochloy, przeszły w posiadanie Dunbara z Westfield, jako dziedzicznego szeryfa; przezorny ten człowiek, mimo iż niektórzy mieli wątpliwości co do tego, kto był naprawdę szeryfem — skoro już zawładnął papierami, postanowił je zatrzymać i nikomu o nich nie wspomnieć do czasu, aż się zorientuje, jakie mógłby z nich wyciągnąć korzyści dla siebie.

Po trzech kobietach zaginął wszelki ślad. Niektórzy mieszkańcy portu Findhorn przysięgali, że widzieli jakieś trzy czarownice płynące w kierunku morza w skorupkach od jaj. Przez wiele następnych lat chłopcy z portu często o tym opowiadali i nigdy nie wyrzucili skorupki, nie wybiwszy w niej uprzednio otworu w kształcie krzyża, aby jakaś wiedźma nie użyła jej jako łódki.

Ponadto inni twierdzili, że widziano później owe kobiety

w porcie Berwick, czy też, jak utrzymywali jeszcze inni — nad rzeką Fife, gdzie przyplły w swoich skorupkach. Jednak przedstawione dowody są zupełnie niezadowalające. Zachowały się co prawda jakieś zeznania czarownic z North Berwick, jak to przyplły tam w skorupkach (inne mówiły, że w sitach) z odległych miejsc, gdzie je prześladowano. Z ich słów wynika, że znały właściwie te same zaklęcia, które wymieniają archiwalne zapiski dotyczące czarownic z hrabstwa Moray, oraz zajmowały się podobnymi praktykami.

Ale to jeszcze niczego nie dowodzi, gdyż wiemy, że diabeł uczył tego samego swoich uczniów na całym świecie, nawet, w Ameryce, jak czytamy u mądrego Cottona Mathera.

Jedynie, co można twierdzić o tych kobietach z całą pewnością, to fakt, że zabrali je oficerowie szeryfa z domu jednej z nich, że parę osób widziało, jak je prowadzono w kierunku brodu, i że ludzie szeryfa utonęli, a ciała kobiet nigdy nie odnaleziono.

Niektórzy twierdzili, że to wiedźmy wywołały wielką falę na rzece, ale inni mówili, że nie miały one władzy nad wodą, mogły natomiast wywołać wiatr. Inni znów nie bez pewnej racji utrzymywali, że pojmana czarownica traci całą moc czarnoksięską.

Ogólnie rzecz biorąc, można chyba powiedzieć, że pastorowie, lepiej obznajomieni ze zwyczajami diabła niż inni ludzie, doszli do wniosku, iż to on sam wywołał burzę, by potopić uczciwych i pobożnych urzędników Wspólnoty i uwolnić swoje uczennice. Zdaje się, że sir Robert Gordon dowiedział się w jakiś sposób o obciążających go dokumentach, które odebrano Hayowi z Lochloy; prawdopodobnie jeden z zaprzyjaźnionych z nim Dunbarów dowiedział się czegoś i dał mu znać. Sir Robert miał teraz także inne powody do niepokoju. Pan Ciemności czynił przeróżne aluzje, zabarwione wisielczym humorem, które były nie w smak sir Robertowi, i coraz częściej przybierał tony właściciela, który wkrótce upomni się o swoje. Sir Robert grzebał w zakamarkach swej pamięci, usiłując przypomnieć sobie warunki paktu, na którego podstawie zyskał wiedzę, tak bardzo upragnioną.

Przypominał sobie studenckie lata w Hiszpanii, starego mnicha-odszczepieńca, który przekazywał mu diabelską wiedzę, studia nad Grimoire i Trithemiusem, grocie w Sala-

mańce i pochwycenie swojego wyższego ja, które ludzie nie znający się na rzeczy zważyli cieniem, nic nie wiedząc o prawdziwej naturze tej umowy. Potem pakt podpisany krwią. Czy naprawdę zbliżał się kres i trzeba będzie zapłacić tę straszną cenę?

Bardzo teraz pragnął rozmowy z Isabel Goudie, od której instynktownie oczekiwał pomocy. Ale na próżno. Dowiedział się tylko, że zniknęła nie wiadomo gdzie i że aresztowano kilka zatwardziałych czarownic w Aulderne i okolicy, a kilka z nich było, jak twierdzono, jej bliskimi przyjaciółkami. Łatwo można sobie wyobrazić, iż wszystko to ogromnie go niepokoiło.

Rozdział XVII

Powrót Isabel

Wiosna przeszła w lato; na całej nizinie Moray drzewa wczesnie zakwitły i pokryły się delikatnymi listkami. Była to niezwykle łagodna i piękna pora; rzadko zakłócały ją przymrozki czy zimowe burze. Już wtedy uważano, że klimat Moray jest najlepszy w Szkocji. Dawne kłopoty także jakby znikły na jakiś czas.

„Wyniszczająca niemoc” jakby odeszła wraz z ostatnimi zimowymi mrozami. Od marca nie słyszano o żadnych nowych przypadkach tej choroby. Zmarł drugi syn dziedzica Park, ale pozostali synowie cieszyli się dobrym zdrowiem. Sam dziedzic natomiast wciąż chorował i rzadko wychodził z domu. Trapił się niezmiernie utratą papierów, ale nie miał pojęcia, co się mogło z nimi stać. Łudził się nadzieją, że przepadły podczas utonięcia oficerów szeryfa, ale nie ważył się rozpytywać. Lepiej, żeby całkiem przepadły, niż dostały się w obce ręce, myślał. Mógłby mu coś na ten temat powiedzieć Dunbar z Grangehill, gdyby chciał, gdyż cieszył się zaufaniem szeryfa Westfielda.

Westfield rzeczywiście miał zamiar wykorzystać infor-

macje zawarte w owych papierach, by wzmocnić swoją pozycję wobec władz Wspólnoty w Londynie.

Olivera Cromwella mianowano Lordem Protektorem i na raz rojalisci musieli porzucić swoje nadzieje, chociaż Monk¹ wciąż marzył o restauracji Stuartów, tyle że z nikim nie dzielił się tymi marzeniami. Sir Robert Gordon w dalszym ciągu wysyłał starego Danny ego do Francji po obfite dostawy aqua vitae oraz innych towarów, a zjrski przeznaczał na budowę Gordonstown. Powiadają, że pomagał mu w tym Pan Ciemności, gdyż jego statków nigdy nie przyłapano ani nie przeszkodzono mu w tym handlu, chociaż sir Robert uchodził powszechnie za notorycznego przemytnika. Nie udało mi się znaleźć na ten temat żadnego oficjalnego zapisu z tamtych czasów. Opowieści przetrwały do dziś, ciekawi mogą nawet obejrzyć tamte przemytnicze kryjówki, nie zachował się natomiast strzępek dowodu, z czego wnoszę, że albo pomagała mu jakaś nadprzyrodzona siła, albo sam był diabelnie sprytny, przy czym te dwa założenia może nie są zupełnie przeciwstawne. Wielcy filozofowie tamtej epoki twierdzili, że diabeł nie tyle pomaga człowiekowi, co obdarza go przebiegłością, by sam sobie radził. Czasami bardzo niepokoiło go wspomnienie paktu, który podpisał z Panem Ciemności; nie pamiętał dokładnie warunków umowy ani terminu zapłaty. Tymczasem popijali razem na zamku Gordonstown, a Mistrz jak zawsze był wesołym kompanem. Ale na ich spotkania padał przerażający cień grożącej mu zagłady. Sir Robert zaczynał się czuć jak człowiek skazany na śmierć, który nie wie, kiedy po mego przyjdą, a kat w przebraniu czeka tuż obok.

Gdyby znał wyznaczoną godzinę, poszedłby na cmentarz w Birnę, bo wszyscy wiedzieli, że było to miejsce tak niezwyklej świętości, że wszystkie diabły piekła nie mogłyby nikogo stamtąd zabrać. Tam właśnie pójdzie, zbuduje sobie na cmentarzu chatkę, jeśli zajdzie taka potrzeba, i stawi diabłu opór. Patrzył na całą sprawę jak na grę, którą mógłby wygrać z diabłem, gdyby starczyło mu sprytu — jak to się już raz zdarzyło. Gra szła o wysoką stawkę. Zba-

¹ General George MONK (1608-1670) rojalista, przez jakiś czas w służbie parlamentu i Rzeczypospolitej, brał następnie czynny udział w restauracji Stuartów.

wienie duszy, jeśli wygra; wieczne męki piekielne, jeśli przegra. Jednak nie potrafił przypomnieć sobie terminu, a Mistrz nie chciał mu powiedzieć.

— Ostatni rzut, Rob — mówił. — I ja wygrywam tym razem. Ale sir Robert był przekonany, że czas jeszcze nie nadszedł, a nim nadejdzie — uda mu się ustalić wszystkie warunki.

Wczesnym latem łódź Danny'ego przywiozła z Francji ojca Blackhalla; miał mnóstwo do opowiedzenia o swoich przygodach i o Montfaucon. Siedząc w wielkiej sali zamku, z ogromną przyjemnością opowiadał Jean o Cosmo, o tym, jaki był utalentowany, odważny i przez wszystkich lubiany.

Mówił, że życie Cosmo było niby zaczarowane — tyle razy uniknął aresztowania, że jego szczęście stało się przysłowiowe i żołnierze Frondy zaczęli mówić, że nie był człowiekiem, ale jakimś widmem. Czasami wyslizgiwał im się z rąk, kiedy byli zupełnie pewni, że go mają. Innym razem widzieli go bardzo wyraźnie, ale gdy podeszli, już go tam nie było. Innym jeszcze razem z niezwykłą zręcznością i siłą torował sobie drogę przez cały oddział żołnierzy, gdyż fechtmistrz był z niego zawołany i nie było rycerza w żadnej z dwóch armii, który dałby zwycięski odpór jego szabli. Ale ksiądz przywiózł także pewną propozycję, która przywróciła jej sercu tak długo nieobecna nadzieję. Propozycja wyszła od samego wielkiego kardynała Mazariniego, który, jak się zdaje, powziął o Cosmo bardzo wysokie mniemanie i próbował zaradzić w jakiś sposób jego kłopotom. Cosmo, mówił ojciec Blackhall, odbył z kardynałem długą rozmowę i opowiedział mu o swoim narzeczeństwie i zawziętych prześladowaniach, które cierpiał ze strony kowe-nantystów i Lordów Komisarzy. Kardynał chętnie dałby mu stanowisko przy swojej osobie, które zapewniłoby Cosmo awans i wielkie profity, ale ów pragnął tylko spokojnego wiejskiego życia u boku Jean, to zaś wydawało się się niemożliwością w Szkocji, Anglii czy Francji. Kardynał, który szczerze pragnął mu się przysłużyć, gdyż nie tylko polubił utalentowanego młodzieńca, ale i chciał mu się odwdziżyć za jego zasługi, zwrócił myśli ku nowemu światu po drugiej stronie Atlantyku. Leżała tam Nova Scotia, poprzednio francuska Arcadia. Prawie w całości skolonizowali ją Anglicy z Wirginii, a Jakub I uważał ją za swoją

niepodzielną własność. Mówił, że na pewno wroci wkrótce w ręce francuskie. Tymczasem sir Robert Gordon, jako pierwszy z mianowanych przez Jakuba baronetów w Nowej Szkocji, otrzymał na własność 16 000 akrów w najlepszej, najżyźniejszej części tej prowincji. Propozycja kardynała polegała na tym, by sir Robert przepisał tamte ziemie na Cosmo. Miał w rządzie wpływowych przyjaciół, którzy — pod pewnymi warunkami — uznają jego prawa. Kiedy tak się stało i ziemię przepisano na nazwisko Cosmo, Mazarini zaofiarował się doprowadzić do uznania przez rząd francuski prawa własności Cosmo Hamiltona. Wówczas, gwarantowane przez obydwie rządy, prawo Cosmo byłoby nie do obalenia. Mazarini trzymał rękę na pulsie całej polityki europejskiej i wiedział o posunięciach wszystkich rządów; rozumował mądrze, że Cromwell, który był obecnie — praktycznie rzecz biorąc — władcą absolutnym, zamierzał zająć ten półwysep siłą. Ale był także przekonany, że półwysep wróci do Francji przed upływem niewielu lat, kiedy Karol Stuart wróci na tron, który odziedziczył; uważał to za rzecz pewną, mimo iż wszystko zdawało się temu przeczyć.

Zasługi Cosmo dla sprawy wypędzonego monarchy w połączeniu z nadaniem własności ziemskiej, które Mazarini umyślił zdobyć od Ludwika XIV, zapewnią młodzieńcowi spokojny i szczęśliwy dom oraz piękny majątek w kwitnącym zakątku prowincji — w dolinie Annapolis niedaleko urwistych brzegów zatoki Fundi.

Wszystko zależało teraz od tego, czy rząd angielski uzna prawo własności sir Roberta do tych ziem jako pierwszego baroneta Nowej Szkocji, oraz cesję tej własności na rzecz Cosmo.

Ojciec Blackhall wyłożył całą sprawę w najdrobniejszych szczegółach; przywiózł też wszystkie wymagane dokumenty. Prawdę powiedziawszy, sir Robert już dawno zaniechał roszczeń do ziem nowoszkockich. Od czasu morderstwa króla Karola i tryumfu parlamentu, stracił wszelkie zainteresowanie tą kolonią, mimo iż należał do jej założycieli. Osiadł w majątku, który nabył od Innesa z Drainie i poświęcił się nauce i wiedzy, której tak bardzo pragnął.

Teraz otwierały się przed nim nowe widoki. Gdyby tylko starczyło mu czasu, mógłby pokonać swoich wrogów i zabezpieczyć przyszłość Jean, którą kochał bardziej niż kogo-

kolwiek ze swoich najbliższych. Zrobił w myślach przegląd swoich koneksji i zaprzyjaźnionych polityków. Tak! Znał w parlamencie wielu wpływowych ludzi i wszyscy oni byli jego dłużnikami. Mógł liczyć na ich poparcie, a to mu wystarczyło. Cromwell, nowo mianowany Lord Protektor, nie był w stanie im zaszkodzić. Bezzwłocznie wysłał listy do kilku wpływowych polityków z tego ugrupowania. Jednak musi minąć sporo czasu, zanim nadejdą od nich odpowiedzi. Sir Robert obawiał się, że może zabraknąć mu czasu — może będzie musiał stanąć do ostatecznej rozgrywki z Panem Ciemności, jeszcze zanim uzyska potwierdzenie swych praw. Był silnym człowiekiem, przywykł polegać na sobie samym i nie zamierzał poddać się bez walki ani skamleć nad paktem, który sam podpisał. Rozpoczął grę jak prawdziwy hazardzista i zamierzał zwyciężyć, jeśli zdoła. Teraz raczej przyjmował, że zwycięży, niż obliczał szanse. Dla dobra tych dwojga młodych musi doprowadzić sprawę do końca przed ostatecznym pojedynkiem.

— Przed nami jeszcze jeden wyścig, Rob — powiedział Mistrz podczas kolejnej bibki. — Może to ja zwyciężę tym razem.

— Kiedy to będzie, Czarny Jocku? Zgodnie z twoim paktem możesz mnie brać, kiedy wypełni się czas. Nigdy nie obiecywałem, że sam oddam się w twoje ręce. To ty musisz mnie wziąć. Wyzywam cię zatem do walki. Wierzę, że i tym razem przegrasz, jak kiedyś. Ale chciałbym wiedzieć, kiedy to będzie.

Mówił śmiało, ale daleko mu było do tej pewności siebie, o której mogły świadczyć jego słowa.

— Nie, Rob! Właśnie tego nie możesz się dowiedzieć. Myślisz, że jestem taki głupi, by wyrzec się jakiegokolwiek przewagi? Człowiek, który raz pokonał diabła, musi być sprytny, by zrobić to po raz drugi. Miałeś swoją szansę, Rob, i dobrze ją wykorzystałeś. Wkrótce moja kolej. Pij do dna! To hiszpańskie wino jest całkiem niezłe, chociaż ty wolisz swoje bordeau. Mogłeś lepiej korzystać z życia — mogłeś mieć kobiety, wino i śpiew. Ale wolałeś wiedzę, a ja dałem ci także moc czarnoksięską. Ale nie powiem ci, kiedy odbędzie się nasza ostatnia rozgrywka.

Wszedł ojciec Blackhall.

— Ha! Oto spotkanie, którego od dawna pragnąłem. Sza-

tan, mój stary adwersarz! Szatan z krwi i kości! Jeszcze go nie spotkałem w tej postaci.

— Niezupełnie „z krwi i kości”, panie księże. Najwyraźniej jeszcze dziś nie zna mnie pan zbyt dobrze. Ludzie nazywali i nazywają mnie różnymi imionami. Czy ksiądz nie boi się rozmawiać z diabłem? Ludzie uważają, że posiadam pewną moc, pewną siłę.

— To żadna siła w porównaniu z moją bronią — odrzekł ksiądz. — Wiem, że sprawujesz rządy jedynie nad rzeczami materialnymi, a jak wiesz, rzeczy materialne nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Od dawna wiem, że naprawdę istnieje tylko wieczne królestwo Boskiego ducha. Ale dlaczego mówisz „niezupełnie z krwi i kości”?

— Niech więc ksiądz słucha, skoro zna mnie tak mało lo ksiądz jest z krwi i kości. Urodził się ksiądz i umrze, a na razie jest ksiądz tutaj jako pewna forma materii — i nie może się ksiądz wyrwać z więzienia własnego ciała. Ja jestem wieczny jak materia, której jestem władcą, bo tak zostało postanowione. Mogę więc zmieniać swą postać jak sama materia, która jednak nigdy nie ginie.

Niech więc ksiądz powie, co mogę mu ofiarować. Musi być coś, czego ksiądz pragnie dla siebie albo dla kogoś innego. Moję ksiądz prosić o cokolwiek bez żadnej obawy. Przecież ksiądz wie, że mogę dać wszystko, o co poprosi. Nie jestem postacią czy osobą, jestem wieczny, jak księdzu wiadomo, a zatem „istnieję naprawdę”, jak się ksiądz wyraził. Wywód bez zarzutu, ale z gruntu fałszywy — uśmiechnął się ksiądz. — Świat miał początek i będzie miał kres, a wtedy skonczysz marnie, tak jak i twoje naiwne ofiary. Moj Mistrz przyszedł na świat w cielesnej powłoce i będzie Panem wszechrzeczy, kiedy ty i twoje królestwo zostaniecie strącem do piekła. Dlatego nie obawiam się ciebie, dlatego gardzę również twoimi darami. Ale pragnąłbym lepiej poznać twoją naturę, bym mógł wyzwolić kilka biednych dusz z twoich kłamstw. Wiedz także, że i ja posiadam pewną moc. Uczynił znak krzyża.

— Mocą władzy, którą mam od Pana, nakazuję tobie, władco chaosu, którego ludzie zwą diabłem albo Szatanem byś poszedł ze mną i odpowiedział prawdziwie na pytania, które ci postawię.

Powstał — jego władczo wyprostowana postać zdawała się ogromnieć. Kiedy razem wychodzili z sali, Pan Ciemności drżał i kulił się ze strachu. Sir Robert biernie przypatrywał się tej dziwnej scenie. Zdobywał wiedzę z niestrudzonym zapalem i zdobył ją — wiedział więcej, znacznie więcej niż zwykli ludzie. Jego ukochany władca, król Karol, ogromnie podziwiał jego mądrość i ufał mu bardziej niż wszystkim swoim doradcom. Sir Robert uśmiechał się, kiedy myślał o kontraście między tym pobożnym monarchą a źródłem swojej wiedzy, którą ów tak wysławiał. Później ogarnęła go obawa. Ostatecznie jego wiedza dotyczyła tylko tego świata. Król Karol miał dar Ducha Świętego; wobec jego szlachetnej śmierci ziemską wiedzę była żałośnie uboga. Tymczasem ten ksiądz — bez specjalnych aspiracji do mądrości czy wiedzy — wyłącznie mocą swoich święceń kapłańskich zmusił do posłuszeństwa straszliwego pana wszelkiej materii, źródło jego wiedzy i potęgi, dla których zdobycia położył na szalę swoją duszę i życie wieczne.

Cóż, przeszłości nie można odmienić, a on musi robić swoje. W jego rękach leżała piękna przyszłość Cosmo i Jean, musi ją dla nich wywalczyć i musi rozegrać swój ostatni mecz z diabłem; niezależnie od wyniku rozgrywki, musi dowieść, że jest godzien swego rodu i imienia. Nigdy się nie dowiemy, jak przebiegała poufna rozmowa między ojcem Blackhallem i diabłem, ale jest rzeczą pewną, że od tego dnia czcigodny ksiądz wiedział znacznie więcej o dziele i naturze Szatana. Stał się bardzo pobłażliwy wobec wielu zjawisk, które przedtem najostrzej potępiał, a z drugiej strony nieubłaganie tępił wiele uchybień, które świat uważał za całkiem niewinne grzeszki. Być może jego życie zostanie kiedyś opisane, a jego własne pisma wyrwane niepamięci i jeśli nawet — co jest całkiem prawdopodobne — to spotkanie zostanie uznane za sen lub przywidzenie — to jego efekty pozostaną bardzo mocno odczuwalne.

Jednakże fakt, iż ojciec Blackhall pogłębił swoją wiedzę o naturze diabła, w niczym nie pomógł sir Robertowi. Nie mógł powiedzieć księdzu wszystkiego i chociaż był głęboko poruszony, widząc siłę księdza, gdy nakazywał Panu Ciemności, by szedł za nim, a tamten posłuchał jego rozkazu, to jednak Wiedział, że ksiądz nie mógłby zmienić paktu, który

sir Robert podpisał, ani wydobyć z Szatana informacji, której nie chciał on wyjawiać..

Sam nie wiedząc dlaczego, instynktownie pragnął zobaczyć się z panią Isabel Goudie. Od pierwszej chwili znajomości z tą kobietą wyczuwał w niej coś niezwykłego. Mimo iż ostatnio patrzył na nią jako na faworytę Czarnego Jocka, jednak w głębi duszy zaliczał ją do zupełnie innego rodzaju ludzi niż czarownice z Gromady, których, prawdę powiedziawszy, bardzo nie lubił. Ale pani Isabel zaginęła bez wieści, i mimo usilnych poszukiwań nie zdobył najmniejszej wskazówki co do jej obecnego losu. John Gilbert sądził, że ludzie szeryfa jednak ją aresztowali i że utonęła w czasie przeprawy przez Findhorn. Pan Harry Forbes i dziedzic Park zdawali się podzielać to przekonanie, przy czym pastor głośno zapewniał, że jakkolwiek rzecz się miała, pani Isabel Goudie nie była czarownicą, ale najcnotliwszą z niewiast, a sąsiedzi przeważnie przychylali się do tej opinii.

Tymczasem Isabel, ledwie przyjęła kwiaty od przyjaznej wróżki w noc, kiedy otwały się przed nią bramy do Krainy Elfów, poczuła, że jest naprawdę jedną z nich. Z radością oglądała wszystko, co pragnęły jej pokazać, poznając naturę tego nowego świata magii, o którym tyle kiedyś marzyła.

— Jest to świat myśli — mówiły elfy. — Dla nas myśli są rzeczami. Przed jej oczami przesuwaly się cudowne obrazy, ukazując prawdziwą naturę rzeczy. Widziała doskonale urządzony świat, w którym wszystko podlegało wielkiemu boskiemu prawu, ale ludzie szli przez ten świat na wpół ślepi, wszędzie widząc sprzeczności, okrucieństwo i niesprawiedliwość, ponieważ dostrzegali tylko część większej całości. Widziała, że część, którą dostrzegali i zwali światem materialnym, uważali za świat rzeczywisty. Tylko nieliczni wieszczki i poeci zdołali przeniknąć do królestwa myśli i pojąć prawdę, ale świat zwał ich szaleńcami.

Przypatrywała się następnie poczynaniom czarownic i tamtemu światu, do którego przedtem należała. Było w nim rzeczywiste tylko to, co odbierały zmysły. Za jedyną wartość uznawano tylko cielesną radość i za nią goniono; jej najwyższy stopień był osiągalny za cenę zrzeczenia się możliwości patrzenia dalej, widzenia czegoś więcej. Oznaczało to zatem utratę duszy. Zrozumiała naturę i dzieło Szatana.

Patrzyła na swoje życie i życie sir Roberta i zrozumiała, że w gruncie rzeczy znajdują się w tym samym położeniu: ona pragnęła przygody, miłości, fizycznego zaspokojenia zmysłów; on zaś pragnął wiedzy i fizycznego zaspokojenia umysłu. Ona oddała swoją duszę Panu Ciemności w kościele Aulderne, on w Salamance stracił swój cień, który świadczył o jego wyższej umiejętności postrzegania prawd, niedostępnych zmysłom i rozumowi.

Patrzyła następnie, jaki będzie kres tego wszystkiego. Wiedziała, że w świecie myśli pewna część człowieka jest nieśmiertelna, ale jego ciało umiera i podlega rozkładowi. Cóż więc się stanie z bezcielesnym duchem, kiedy umiera instrument, przy którego pomocy zaspokajają swoje pragnienia? Ciało umiera, ale pragnienia wciąż żyją — pożądają wody życia, ale nie ma ani kropli, by zwilżyć trawione gorączką wargi. Nie zostaje nic prócz wiecznej udręki niezaspokojonych pożądań, pożądań, które nie mogą być zaspokojone; nic prócz wiecznej samotności, bezsilnej i beznadziejnej. Isabel nigdy nie wierzyła w piekło teologów, jednak ono nie tylko istniało, ale było nieuniknione.

Nawet w czasach, gdy była katoliczką, nigdy w pełni nie wyznawała zasady kary za przewinienia. Lecz teraz, gdy te obrazy przesuwały się przed jej oczami i widziała rzeczy takimi, jakimi były naprawdę, rozumiała, że nie ma kary a tylko konieczne następstwo jakiegoś działania. Kiedy ktoś wykluwa sobie oczy, nie mówimy, że ośleplł za karę. Widziała także, iż cała nędza i wszystkie nieszczęścia tego świata były wynikiem walki świata materialnego ze światem myśli, światem ducha. Wieszcz, poeci i święci byli szczęśliwi, gdyż świat myśli był dla nich jedyną rzeczywistością, a świat materialny był niczym. Uczniowie Pana Ciemności byli szczęśliwi, dopóki trwało życie, ponieważ dla nich niczym był świat ducha. Wyrzekli się zdolności odczuwania tego świata, bez skrpułów napawali się wszystkimi zmysłowymi przyjemnościami, a on, w zamian za tamto wyrzeczenie, mógł im dostarczyć wszelkich wyobraźalnych rozkoszy, jakich pożądała ich ziemską naturą.

Ale wyrzeczenie Isabel nie było zupełne. Otrzymała chrzest katolicki i zrodzony z niego duch tylko spał; nie umarł, gdyż nie można go zabić. Widziała, niby na jakimś obrazie, rzeczy, które robiła i widziała, że żadna nie jest przewinieniem, za które właśnie — jak to teraz rozumia-

ła — groziło jej teraz straszne niebezpieczeństwo. W wielu wypadkach chodziło o zwykłe prawa przyrody, które uważała za nadprzyrodzone. Wykorzystywała wiele z nich dla przyjemności albo dla zaspokojenia własnej próżności, na przykład wywołując burzę. Ale korzystanie z tych praw nie było grzechem, cokolwiek by o tym mówili pastorowie. Jednakże, odrzucając swoją duchową naturę, straciła całe to życie, które zyskałaby w chwili, gdy umrze jej powłoka fizyczna. Skazała się na wieczną udrękę i samotność.

Jednakże była jeszcze nadzieja dla niej i dla sir Roberta. Dla niej — ponieważ nigdy nie zrzekła się ducha chrztu katolickiego; dla niego — ponieważ zawarł z diabłem pakt, na mocy którego diabeł ma go wziąć, jeśli zdoła. Sir Robert nie poddał się diabłu i być może Isabel będzie mogła mu pomóc. Była tu właśnie po to, żeby wszystko lepiej zrozumieć. W jej sercu obudziła się nowa nadzieja, a z nią nowe szczęście i spokój. Gdy poznała tajemnicę szczęścia miłych i łagodnych wróżek z Krainy Elfów, mogła tej nocy dzielić ich niewinne rozrywki, bawić się i tańczyć z nimi, odzyskując nadwerężone siły. Rankiem powróci do świata, który opuściła. Wiedziała, co powinna zrobić i robi to. Elfy zaprowadziły ją z powrotem do wielkiej sali, w której powitał ją król i tam uczyły ją swoich zabaw i tańców. Wokół rozbrzmiewała delikatna, niezwykła muzyka, a zapach kwiatów otulał ją jak powiewna szata.

Nie darmo sir Robert intuicyjnie pragnął powrotu Isabel — jak to było widać z jej przeżyć w Krainie Elfów — nie darmo coś go do niej ciągnęło od samego początku, chociaż zupełnie nie widział, co to było. Co prawda, odczuwał w jakiś niejasny sposób podobieństwo ich losów, tak dziwnych i niesamowitych i miał jakieś niejasne, dziwaczne przekonanie, że mogłaby mu pomóc, tam gdzie inni nie będą mogli. Ale wszystko przepadło; odeszła nie wiadomo dokąd, a on czuł się bardzo samotny i opuszczony przez wszystkich.

Wiele przyczyn złożyło się na jego niepokój. Posuwał się w latach, a dzień jego ostatniej walki pozostawał niewiadomy. Wiedział tylko, że nie może jej uniknąć, ale wciąż było niejasne, na czym miała polegać. Dni i tygodnie przechodziły w miesiące, a wciąż nie miał odpowiedzi od zaprzyjaźnionych polityków, do których zwrócił się o potwierdzenie swojego prawa do tytułu baroneta i do ziem w No-

wej Szkocji. Nie mógł bez tego przepisać owych ziem na Cosmo; wszystkie statuty i tytuły własności, które Mazarini obiecał, a król podpisał, będą świstkami bez znaczenia. Wszystko bowiem zależało od tego, czy Cosmo otrzyma najpierw prawa własności od sir Roberta. Buki zrzucały w Gordonstown złote jesienne liście na uschlą trawę. Wielkie wzgórza na zachodzie przyodziały się w królewską purpurę pysznych wrzosów i zarzuciły na swe potężne barki białe gronostaje wczesnej zimy — a odpowiedzi wciąż nie było.

Zgodnie z radą Mazariniego, Cosmo miał przyjechać do domu, by wziąć od sir Roberta dokumenty — jakiegokolwiek one były, aby nie tracić więcej czasu.

— Ma talizman — mówił baronet w rozmowie z Panem Ciemności. — Nie mogą go aresztować. — Nie, Rob, nie bądź tego zbyt pewny. Znam dobrze ten talizman. Właściwie to ja go sporządziłem i przekazałem przez panią Isabel. Zachowa moc tylko przez rok i dzień. Spróbuj sobie przypomnieć, Rob. Jak myślisz, kiedy przekazano ten talizman? To było wtedy, kiedy książdz wyjeżdżał stąd ostatnim razem.

Zimny dreszcz przebiegł sir Robertowi przez plecy, włosy zjeżyły mu się na głowie. Przez głowę niby błyskawica przemknęła mu myśl, że przepisany czas już minął. Cosmo wyjechał z Francji zupełnie bezbronny. Szpiedzy Cromwella szukali go wszędzie; z pewnością wiedzieli o każdym jego kroku. Jeśli nie pochwyca go na morzu, aresztują go, gdy tylko postawi stopę na szkockim wybrzeżu. Wtedy wszystkie zabiegi pójdą na marne, wszystkie piękne nadzieje rozwieją się jak dym. To będzie śmiertelny cios dla Jean. Temu staremu człowiekowi już prawie brakowało ducha walki przed ostatnim starciem z diabłem. Czy walka w ogóle ma sens, kiedy Władcy Losu wymierzają takie ciosy?

Cosmo wyruszył w podróż zupełnie jawnie, rozzuchwalony długą bezkarnością i niezwykłym szczęściem — jak mówili ludzie. Byłoby o wiele lepiej, gdyby zawierzył łodzi Danny'ego, gdyby podróżował w przebraniu. Wysłano już Danny'ego na zwiady. Cosmo miał wylądować w Leith, skąd wyruszy do Gordonstown łądem albo w łodzi Danny'ego, jeśli zechce. Ale ostatni meldunek starego żeglarza nie był pocieszający. Angielski admirał widział przepływający obok statek; z pewnością wiedział, że Cosmo jest na pokładzie,

jednak nie reagował. Natomiast w Leith — na molo i na brzegu — żołnierze Lorda Protektora bacznie czegoś wyglądali.

* * *

Isabel czuła, że nie może pozostawać dłużej w tej pięknej baśniowej krainie, choć było jej tam tak dobrze. Ktoś pilnie jej potrzebował — przekonała się o tym, oglądając obrazy, które jej pokazywano. Być może wróci tutaj, gdy zrobi, co do niej należy. Jedna noc w tej krainie stworzyła przed nią nowe życie.

Podczas przerwy w zabawach Isabel znów stanęła przed królem. Prosiła o pozwolenie odejścia następnego dnia i pełna wdzięczności dziękowała za wszystko, co jej tu dano.

— Nie, pani — rzekł król. — Zostań z nami jeszcze trochę.

— Nie mogę, kochani przyjaciele — odpowiedziała. — Tym razem mogę tu zostać tylko jedną noc. Wrócę, kiedy załatwię swoje sprawy, a wy znów udzielicie mi miłej gościny.

— Czy wiesz — zapytał król — że spędziłaś z nami jeden rok i jeden dzień ziemskiego czasu?

Przeraziła się. Rok i dzień. Amulet, który dała Jean Gordon, zaklęcie wymówione nad księżycowym ciastem — zachowywały moc właśnie przez ten czas, a teraz ją utraciły. Kto wie, co może się zdarzyć.

— Pozwól mi odejść natychmiast, najjaśniejszy panie, błagam cię. Nie mam chwili do stracenia. Nie wiem, co się zdarzyło przez ten czas.

— Pani, muszę z przykrością odmówić twojej prośbie. Nie możesz odejść. Wiem, że czekają cię nieszczęścia i cierpienia, jakich sobie nawet nie wyobrażasz. Muszę cię tu zatrzymać dla twojego własnego bezpieczeństwa.

— Nie odważysz się — powiedziała. — Mam amulet Thomasa z Ercildoune.

Wyjęła mały złoty krążek, odwróciła go na drugą stronę i pokazała wygrawerowany z tyłu heksagram.

— Muszę pozwolić ci odejść i życzyć ci szczęśliwej drogi — odpowiedział — ale czynię to z wielką niechęcią. Chętnie bym cię u nas zatrzymał, ale muszę słuchać kogoś, kto jest ode mnie silniejszy. Proszę cię, pani, nigdy nie zapominaj

o

wróżkach ze Wzgórza. Jeśli los będzie dla ciebie łaskawszy, niż przypuszczam i będziesz mogła do nas wrócić, nikt nie będzie tu milej powitany. Będziemy nad tobą czuwać, dodamy ci sił w przedsięwzięciu, które cię czeka. Idź więc w imię tych, którzy sprawują władzę nad nami, nad tobą. Gdzie chciałabyś się obudzić do ziemskiego życia? Na ziemiach Gordonstown. Tam właśnie jestem potrzebna — odpowiedziała.

Zbiegły się wróżki. Całując ją i głaszcząc jej włosy, ułożyły ją na posłaniu z najdelikatniejszego jedwabiu. Muzyka stawała się cichsza i cichsza. Wszystko rozmazywało się i nikło; muzyka umilkła. Poczowała, że jest jej zimno i niewygodnie. Usiłowała otworzyć oczy, choć na chwilę, ciekawa, w jaki sposób wróżki przeniosą ją do Gordonstown. Poczowała słony powiew, ostry i świeży jak zimowy wiatr. Słyszała fale Uderzające o brzeg. Siadła z wysiłkiem i rozejrzała się zdumiona.

Obudziła się na skraju skał w Covesea, pod nią znajdowały się groty. Na pełnym morzu, niedaleko brzegu, kołysała się na kotwicy jakaś łódź. Skrajem urwiska nadchodził stary Danny, który pracował dla sir Roberta; Isabel nieraz z nim rozmawiała w dawnych czasach.

Na mą duszę! — zawołał. — Toż to pani Goudie! Sir Robert od dawna opłakuje panią jako zmarłą. Coś podobnego! Tak się cieszę, że panią widzę. Mam złe wieści dla sir Roberta i jego rodziny. Wprost nie wiem, jak mu powiedzieć. Nic gorszego nie mogło się stać. Panicz Hamilton jest w więzieniu w rękach Wspólnoty, zabrali go z Leith zeszłej nocy. Boję się, że kiepsko z nim. Oni są okrutni wobec więźniów, a ten, co to go zwał Lordem Protektorem, nie zna litości. Sir Robert ostatnio niedomaga.

Boże, zmiłuj się nad nami! Dobrze, że pani mi pomoże. Sam nie umiałbym im o tym powiedzieć. Pani wesprze nas wszystkich.

Isabel ucieszyła się, widząc, że wierny sługa traktuje ich jak własną rodzinę.

Właśnie dlatego tu jestem — powiedziała po prostu. — Prowadź mnie. na zamek, przyjacielu. Zrobię wszystko, co ircogę. niczego nie zaniedbam.

Rozdział XVIII

Isabel wywołuje burzę

W Gordonstoun panował niepokój i troska. Już od dawna nic nie było wiadomo o losie Cosmo, oprócz krótkiego meldunku Danny'ego. Sir Robert słał pilne listy do wszystkich wpływowych znajomych w obu stronnictwach, usiłując zdobyć jakiegokolwiek informacje, ale mijały dni i tygodnie bez słowa odpowiedzi. Nareszcie, gdy wszyscy wprost szaleli z niepokojem, przyszła odpowiedź, która tylko pogłębiła ich rozpacz. Z rozkazu Rady Stanu pięćdziesięciu szkockich więźniów przybędzie pod konwojem na bryg „Liberty” dowodzony przez kapitana Johna Reida; popłyną do Nowej Szkocji, gdzie zostaną sprzedani. W spisie więźniów figurowało nazwisko Cosmo Hamiltona. Sprzedaż szkockich więźniów jako niewolników była nagminnie, stosowana przez Lordów Komisarzy; prowadzono ją także za rządów Lorda Protektora, chociaż większość historyków woli to przemilczeć.

Zachował się spis 272 aresztantów, którzy wypłynęli z Gravesand w dniu ósmym listopada 1651 roku na pokładzie „John i Mary”. W poprzednim roku statek „Unity” przewiózł w podobnym celu sto pięćdziesiąt osób. Mieszkający w Bostonie Szkoci założyli w 1657 roku Szkockie Towarzystwo Dobroczynności, aby pomagać tym nieszczęsnym ofiarom stronnictwa wolności i kościoła reformowanego; Towarzystwo przetrwało do dziś jako najstarsza organizacja dobroczynna w Ameryce. W dokumentach Gordonstoun jest także ***Spis stu więźniów w Castle of Dunatter, którzy będą dostarczeni do rąk pana George'a Scotta z Pitlochrie w celu przewozu, zgodnie z zarządzeniem Rady tej samej treści.*** W wielu rodzinnych archiwach zachowały się także kwity za ***sprzedanych ludzi.*** Jak się wydaje, ceny były wysokie. Niewątpliwie wysoko ceniono Szkotów jako niewolników na amerykańskich plantacjach.

Ten wielki niepokój miał więc swoje uzasadnienie. Jean Gordon leżała chora, niemal odchodząc od zmysłów z żalu i niepokojem. Także sir Robert mocno podupadł na zdrowiu

i cały ciężar prowadzenia domu spadł na barki lady Mary, gdyż dwaj synowie sir Gordona nie mogli czy nie chcieli przyjechać do Gordonstown, zaś obydwie córki były zamężne. Isabel Goudie przedłużyła swój pobyt na zamku i była wielką pociechą i pomocą dla sir Roberta, który nie pozwalał jej wyjechać.

W końcu, po długim oczekiwaniu, przyszła wiadomość, iż „Liberty” miał wypłynąć z Leith następnego dnia. Na nic zdały się wszystkie polityczne wpływy sir Roberta. Rozkaz Rady Stanu był nieodwołalny; nic nie można było zrobić. Pojedynczego ministra można nakłonić albo nawet zmusić do zmiany decyzji, ale cała Rada jest nieubłagana. Zrozpaczony sir Robert zwrócił się do Isabel o radę.

— Mogę panu pomóc, sir Robercie — odpowiedziała. — Niech mi pan tylko powie, skąd i o której godzinie statek odpłynie a ręczę panu, że nie przybije do żadnego brzegu. Ponadto połączę jeszcze raz rozdzielonych kochanków. Wie pan dobrze, że moje czary są skuteczne, chociaż szczerze mówiąc, inaczej już na nie patrzę. Jednak zaryzykuję tym razem, jakkolwiek będzie wynik, jakkolwiek cenę będę musiała zapłacić.

Tylko najpierw muszę jechać do Lochloy.

— Powóz i konie są na pani rozkazy. Pani Isabel, z całego serca dziękuję pani za dobroć i za pomoc w nieszczęściu, której tyle już razy doświadczyliśmy od pani. — Dziękuję, sir Robercie, ale jak pan wie, mam inny, szybszy środek lokomocji. Zdaje się, że teraz mogłabym tam jechać i wrócić przez nikogo nie widziana. O tej porze chyba nikogo nie będzie na folwarku. Wyszła na podjazd, wspięła się na niski murek i zanuciła zaklęcie „Koń i bicz”. Była pewna, że czar zadziała, i tak się stało. Pojawił się smoliście czarny rumak i czekał, by go dosiadła.

— Hej, na Lochloy! — zawołała. Wznieśli się w górę i pędzili nad nizinami, skutymi teraz śniegiem i mrozem.

Gdy zbliżali się do farmy, Isabel przestraszyła się nieco, widząc, że — wbrew swoim zwyczajom — John Gilbert pracuje nie dalej niż dwadzieścia jardów od domu, po wschodniej stronie. Karczował kilka starych głógów na niewielkim spłachetku ziemi, który już dawno zamierzał uprawiać. Gdy odpoczywał, wsparty na oskardzie, zobaczył zająca biegnącego w stronę farmy, ale nie zwrócił na niego większej uwagi.

Drzwi domu były zamknięte na klamkę; Isabel wymówiła słowa przywracające jej postać niewieścią i oto była znowu w swej małej izdebce. Nic się tu nie zmieniło. John Gilbert uległ przesądowi, rozpowszechnionemu w tych czasach w jego środowisku, który nie pozwalał tknąć rzeczy nieboszczyka, zanim odbędzie się pogrzeb, czy może powodowały nim inne względy, w każdym razie pogrzeb się nie odbył, bo nie mógł się odbyć i pokój wyglądał dokładnie tak jak przed rokiem.

Naczynie z księżycowym ciastem, którego właśnie potrzebowała, stało dokładnie tam, gdzie je postawiła. Pośpiesznie, zanim wróci Gilbert, wzięła trochę ciasta i ukryła pod suknią na piersi. Pod wpływem nagłego impulsu schwyciła starą samodzielną suknię ze złotym krzyżykiem i związała ją w węzełek, by zabrać ze sobą. Rozejrzała się jeszcze raz po izdebce; już jej chyba więcej nie zobaczy.

Z okna dobiegł tak dobrze znajomy trzepot skrzydeł. Wydawało się jej, że zostawiła całe to życie dopiero wczoraj — jej pobyt w Gordonstown był jak sen. W pokoju był Pan. Ciemności. Odłożyła tobolek, by jak dawniej znaleźć się w jego ramionach, napawać się jego bliskością. Ale jednak było trochę inaczej. Nie czekała już na radosne przygody u jego boku, uczyty i uciechy w gronie całej Gromady. Ten uścisk był raczej jak pożegnanie, choć sama nie wiedziała, dlaczego tak to odczuwa.

— Moja jedyna! Nie było cię tak długo i wciąż pozostajesz pod wpływem Środkowego Królestwa, ale to minie. Wrócisz do mnie i wszystko będzie jak dawniej. Tak zrzadzili Władcy Losu.

— Doprawdy, sama nie wiem, panie. Ale jestem tak szczęśliwa, że znowu jestem z tobą. Jednak nie mogę teraz tu zostać. Wracam do Gordonstown.

— Tak, ukochana, śpiesz się. Godzina sir Roberta już prawie wybiła. Na mocy naszego paktu będzie mój; będzie służył tobie i mnie. Posadzę cię u mojego boku i będziemy razem królować na ziemi. Pokłoniam się nam wszystkie królestwa świata. W tobie jednej znalazłem godną siebie towarzyszkę.

— Tak... Doprawdy nie wiem, co powiedzieć... Muszę doprowadzić swoje sprawy do końca.

— Tak, oczywiście. Pomogą ci wszystkie zaklęcia mojego, królestwa. Podniosła swój węzełek, a wtedy szybko się odsunął. Wy-

szła z domu, zawołała: „Koń i bicz!” i już jej nie było. John Gilbert mógłby przysiąc, że przez jedną krótką chwilę widział żonę stojącą na progu domu jak dawniej. Przetarł oczy; zrozumiał, że to było tylko złudzenie, figiel pamięci. Jakiś cień i światło słoneczne wpadające przez na wpół otwarte drzwi przypomniało mu postać Isabel. Rzadko miewał przywidzenia.

Po powrocie do Gordonstown Isabel siadła przy łóżku Jean; biedactwo było zbyt słabe, by usiąść. Zmartwienie wpędziło ją w bezsenność, powróciła dawna słabość. Jednak gdy wzięła dłoń Isabel w swoją rękę, poczuła się zdrowsza i mocniejsza; znów nabrała nadziei, mimo że nadzieja wydawała się niemożliwa. Isabel wzięła po kryjomu na palec odrobinę księżycowego ciasta i delikatnie gładząc jej włosy i twarz, skreśliła na jej czole znak krzyża.

— Nie bój się, dziecinko — szeptała. — On wróci do ciebie. To nic, że wszystko wydaje się takie beznadziejne. Obiecuję ci, że będzie lepiej.

— Wierzę ci, Isabel. Jesteś prawdziwą świętą. Jestem tego pewna. Już teraz wracają mi siły i zdrowie. W jakiś sposób czuję, że Cosmo jest tu przy mnie.

Isabel wymówiła półgłosem pewne zaklęcie nad księżycowym ciastem, wzywając jego cząstkę, ukrytą w medalionie Cosmo, by połączyła się z tą, którą rozsmarowała na czole Jean. Znała już zaklęcie łączące rozdzielonych kochanków. Jean odczuła jego wpływ, choć nie zdawała sobie sprawy, czym jest naprawdę.

Tej nocy Isabel ulepiła z księżycowego ciasta figurkę Cosmo tak starannie, jak tylko umiała. Rozlewała wokół niej wodę, dmuchała na nią z całych sił i cały czas bacznie pilnowała, by uchronić ją od wpływu nieokiełznanych sił, które taki miniaturowy wizerunek zawsze do siebie przyciągają. Następnie cicho zanuciła:

Bądź bezpieczny w imię diabła. Oby zła siła cię nie dopadła. Nie tknie cię wichur, nie zatopi woda Tak długo, jak mi się spodoba.

— Nie znam innego imienia, którego mogłabym użyć jako zaklęcia — powiedziała sobie. — Cóż z tego, że stracę własną duszę? Ich dusze i szczęście mają o wiele większą wartość, więc tak jest dobrze.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż tej nocy Jean spokojnie zasnęła. Śniła o Cosmo.

Następnego ranka Isabel poprosiła sir Roberta, by podał jej dokładny czas wypłynięcia „Liberty” z portu. Prosiła także, by zaprowadził ją na dach zamku i dokładnie wskazał, w której stronie leży port Leith. Statek miał wypłynąć o godzinie dziesiątej — będzie wtedy korzystna dla żeglugi fala. Ale dopiero po godzinie odpłyną od portu na znaczniejszą odległość, mówił sir Robert, zaś North Berwick osiągną dopiero pod wieczór. Stojąc obok jednego z wysokich kominów, sir Robert przeprowadził dokładne wyliczenia przy pomocy kompasu. Na blankach wieńczących dach zrobił dwa znaki; jeden oznaczał kierunek Leith, drugi North Berwick. Po czym zszedł z dachu, pozostawiając Isabel samą, jak prosiła. Isabel trzy razy gwizdnęła, strzeliła palcami i zawołała:

— Czerwony Rozbójniku, Czerwony Rozbójniku, do mnie. Stanał przed nią jej duszek służebny, prosząc o rozkazy.

— Pędź do North Berwick, do Cyganki Kirsty Simpson, mojej kумы z dawnych lat. Powiedz jej, żeby wyglądała, czy nie nadpływa bryg „Liberty” z Leith, który ma kurs na Nową Anglię. Kiedy statek opłynie North Berwick, niech mi natychmiast da znać. Powiedz jej, że statek jest obciążony klątwą i nie dopłynie do żadnego portu. Każ jej wspomagać mnie w tym, co robię. Teraz ruszaj. Czekam, aż mi doniesiesz, kiedy statek osiągnie North Berwick.

Czekała na dachu, aż słyszała, że wielki zegar w sali zamkowej wybił godzinę jedenastą. Wtedy zeszła do pralni i pożyczyła kijki do prania od jednej ze służących, mówiąc, że chce sama przeprać kilka swoich drobiazgów. Wróciła na dach z kijkami i kawałkiem płótna i położyła je na znaku, który wskazywał na Leith. Zwilżyła płótno wodą z dzbana, który także tu przyniosła i poczęła uderzać w płótno kijem, mówiąc przy tym:

Bijąc w płótno na kamieniu, Budzę wiatr w diabła imieniu. Nie może ścichnąć, Aż dam mu wytchnąć.

Od komina dobiegło cichutkie zawodzenie, powiał lekki wietrzyk.

— Na razie słabo wieje — powiedziała Isabel. — Ale przed nocą będzie sztorm.

Zeszła do swojej komnaty, z ogromną ostrożnością wzięła do ręki figurkę Cosmo i zniosła ją na dach. W miejscu, gdzie ołowiany dach lekko się zapadł, zebrała się kałuża. Podmuchy wiatru rozpryskiwały ją, tworząc jakby sztorm w miniaturze. Isabel postawiła figurkę obok kałuży, w miejscu, gdzie wiatr rozbryzgiwał najwięcej wody, jednak bryzgi wody nie dosięgły figurki ani nie przewrócił jej wiatr, chociaż Isabel postawiła figurkę pionowo, niczym jej nie podpierając.

— Wszystko dobrze idzie — powiedziała. — Nic złego mu się nie stanie. Zeszła na dół, by posiedzieć przy Jean. Była dobrej myśli i wesoła, więc i chorej wrócił dobry nastrój i prawie uwierzyła — na przekór wszystkiemu — że stanie się cud i Cosmo zostanie uwolniony albo sam ucieknie.

Gdy zapadła ciemność, powtórzyła cały rytuał, tym razem kładąc weń więcej siły i pasji.

Tego dnia, dokładnie o godzinie dziesiątej, pan John Reid, kapitan brygu „Liberty”, wypłynął z Leith i wziął wschodni kurs na North Berwick. Zgodnie z umową przekazano mu pięćdziesięciu więźniów; wypisał stosowne pokwitowanie, zobowiązując się dostarczyć ich całych i zdrowych odbiorcy w Nowej Anglii. Porwisty wiatr wiejący ze wschodu utrudniał rejs i zbliżyli się do North Berwick dopiero o zachodzie słońca. Zza czerwonych chmur na zachodzie przebijała jakaś zielonkawa poświata; wszystko wskazywało na to, iż w nocy będzie tęgi wiatr. Mistrz Reid uznał, że należy skrócić wszystkie żagle i trzymać się jak najdalej od brzegu. Statek ciężko kołysał się na wszystkie strony; wielu aresztantów ciężko się pochorowało. Cosmo dzielnie podtrzymywał ich na duchu, chociaż serce miał ciężkie od smutku; nie wiedział, czy jego przyjaciele na północy orientują się w jego położeniu, nie wiedział, co dzieje się z jego ukochaną.

Przed północą wiatr zmienił nagle kierunek, rzucając statek prosto w dolinę fali. Zanim bryg odzyskał równowagę, uderzyła weń potężna fala, naruszając wiązania kilku belek. Następna fala, idąca bezpośrednio za pierwszą, wyrwała ster i teraz wichura pędziła przed sobą niebezpiecznie prze-

chylony żaglowiec. Marynarze rzucili się do pomp, gdyż w ładowni było już wody na cztery stopy.

Przy pompach wymieniały się grupy marynarzy, ale, ich szalony wysiłek ledwie zapobiegał podnoszeniu się wody. Potężne czołowe uderzenie wiatru ze wschodu niebezpiecznie przechyliło statek; wydawało się, że nie ma dla niego ratunku — musi iść na dno. Z ładowni wylewała się woda i płynęła po pokładzie. Marynarze porzucili pompy i wzięli się do piłowania masztów. Uwolniony od tego ciężaru bryg nareszcie odzyskał równowagę, ale był już tylko kawałkiem drewna, zdany na łaskę fal i wiatrów. Rzucili się teraz do przecieku i zdołali go uszczelnić przynajmniej na jakiś czas. Mogli teraz dryfować, aż natkną się na jakiś statek, który ich wyratuje. Rozszalały żywioł nie pozwalał na spuszczenie szalup. Musieli pozostać na statku i mieć nadzieję, że jakoś przetrwają. Przez ten czas prawie wszyscy więźniowie cierpieli nieznośne udreki. Jedni modlili się, inni przeklinali; kilku wymknęło się strażom i rzuciło się do morza. Wielu marynarzy głośno domagało się grogu, być może w przekonaniu, że lepiej umierać w pijackim zamroczeniu i zaczęli niebezpiecznie blisko podchodzić do składu spirytualiów.

Cosmo wyrwał przerażonemu drugiemu oficerowi krótki pistolet starego typu; skoczył do przodu i zasłonił drzwi składu własnym ciałem, wyzywając ich, by zbliżyli się choć na cal.

Okaleczony statek dryfował na północ wśród szalejących wichrów i dzikich fal; jakaś dziwna opatrność czuwała, by nie zносиło go w kierunku lądu i utrzymywała na wodzie dzięki nieustającej pracy przy pompach.

Rozszalały sztorm pędził ich tak przez dwa długie dni i noce. Na trzeci dzień o zachodzie słońca wiatr przeszedł w południowo-wschodni o jeden czy dwa rumby. Nikt nie wiedział, gdzie się obecnie znajdowali.

Wyglądało na to, że znosi ich w kierunku wybrzeża; nie było dla nich nadziei. Niektórzy krzyczeli, że chcą do łodzi; z wielkimi trudnościami spuszczone szalupę na wzburzone morze. Marynarze odpychali i tratowali jeden drugiego, usiłując dostać się do łodzi; kilku z nich, walcząc jak szaleńcy, wpadło do morza. W końcu usiłowali odepchnąć przeciążoną łódź od burty statku. Gwałtowna fala uderzyła w szalupę, właśnie gdy ta

odbiła od burty, i cisnęła nią o bryg, wyrzucając wszystkich w kipiące wody, które natychmiast porwały ich ze sobą.

W groźnym blasku dopalającego się zachodu widzieli teraz purpurową linię brzegu i wzgórze za Peterhead. Śmierć wydawała się nieunikniona, ale byli zupełnie bezradni. Mogli tylko dryfować, dopóki utrzymają się na wodzie. Tymczasem mistrz John Reid, twardy, zawzięty starzec, zdołał całkowicie zapanować nad załogą. Ta garstka marynarzy, która mu pozostała, zdołała przeciągnąć pod statkiem żagiel i w ten sposób zmniejszyć przeciek na jakiś czas.

Wbrew wszelkim przewidywaniom statek dryfował wzdłuż linii brzegu, mijając Fraserburgh ledwie o milę, gdy wtem wiatr zmienił się na wschodni i zniósł bryg do zatoki Moray, rzucając nim i tocząc przed sobą jak belkę.

Przez noc wiatr uspokoił się nieco i chociaż o świcie morze było wciąż bardzo burzliwie, można było spuścić łodzie. Była to doprawdy ostatnia chwila; widać było, że dzielna „Liberty” tonie. Duża szalupa zatonała, ale pozostał jeszcze barkas, jolka i kuter; mogły zabrać znaczną liczbę ludzi. Niektórzy woleli jednak zbudować tratwę, wiążąc razem połamane reje i wszelkie szczątki statku, które im wpadły w ręce. Mistrz Reid i jego oficerowie dobrze wiedzieli, że Cosmo był najcenniejszym więźniem i że we własnym interesie powinni go strzec jak oka w głowie.

Upewniwszy się, że w łodziach jest dość miejsca dla wszystkich, którzy pozostali jeszcze na statku po spuszczeniu tratwy na wodę, Reid trzymał Cosmo przy sobie i pilnował, by wszyscy zeszli do łodzi. Nie była to prosta sprawa. Reid stał na pokładzie z dwoma pistoletami gotowymi do strzału, przeklinał i miotał się jak szalony, przysięgając, że zabije każdego, kto sprzeciwi się jego rozkazom. Większość z nich wierzyła, że jest do tego zdolny. W końcu wrzucono Cosmo bez ceregieli do barkasa, a Reid zszedł za nim. Statek zaczynał właśnie iść pod wodę; wstrząsnął się po raz ostatni, gdy woda przewaliła się przez pokład, przechylił się dziobem w dół i zatonał. W barkasie, oprócz Cosmo i Reida, było dziewięciu marynarzy. Mieli wiosła i prowizoryczny żagiel, ale wiatr i fala wynosiły ich na otwarte morze. Stanowiło to pomyślną okoliczność, gdyż żaden z nich nie znał wybrzeża Firth; gdyby próbowali przybić do brzegu, na pewno roztrzaskaliby się na kawałki.

Mieli zapasów na kilka dni i beczkę słodkiej wody. Chociaż zimno mocno dawało im się we znaki, byli na razie zdrowi i bezpieczni, mieli ze sobą najważniejszego więźnia i szybko posuwali się na zachód. Reid orientował się trochę, że w górę Firth rozciągają się piaszczyste brzegi. Przy odrobinie szczęścia mogliby tam przybić do brzegu, a nawet spotkać jakichś rybaków czy statki przybrzeżnej żeglugi. Wspomagani przez wiatr i falę, wiosłując i żeglując, posuwali się ze znaczną szybkością. Od czasu, gdy bryg po raz pierwszy zaczął nabierać wody, nie widzieli żadnych statków na tym dzikim bezmiarze wód. Wszystkie albo wyszły dalej w morze, albo schroniły się w portach. Ale burza uspokajała się i rosły ich nadzieje.

Isabel stała z Dannym na skraju urwiska nad Covesea. Wiatr zelżał nieco, ale wciąż dał tak silnie, że żadna łódź nie przybiłaby bezpiecznie do skalistego brzegu. Daleko na otwartym morzu jakaś łódka z trudem posuwała się na zachód, na próżno walcząc z północnym wiatrem, który znosił ją w stronę lądu; była coraz bliżej podwodnych skałek.

— Czy nie rozbiją się o skałki, Danny? — zapytała Isabel.

— Jeśli wiatr osłabnie, to najpewniej się rozbiją — odpowiedział stary żeglarz. — Ale nawet jak się uciszy, to nie wiadomo, czy przejdą, chyba że na pokładzie jest ktoś, kto zna wybrzeże tak dobrze jak ja.

— Czy mógłbyś do nich popłynąć?

— Tak, gdyby wiatr trochę przycichł, popłynąłbym swoją płaskodenką. W tym miejscu można się przeprawić tylko jednym szlakiem, ale chyba nikt, prócz mnie jednego, nie próbowałby popłynąć. Już się kiedyś tędy przeprowałem przy równie podłej pogodzie. Mógłbym spróbować jeszcze raz. Ale wie pani — to niebezpieczna wyprawa.

— Posłuchaj mnie, Danny. W tamtej łodzi jest panicz Cosmo. Gdyby dało się go uratować, to ocaliłoby się również życie panienki Jean i życie sir Roberta, bo on na pewno umarłby, gdyby paniczowi stało się coś złego. Czy mógłbyś spróbować?

— Tak, pani! Dla samego panicza Cosmo. Kocham tego chłopca jak własnego syna. Wszystko bym zrobił dla niego i dla panienki Jean — niech Bóg zachowa jej śliczną twarzyczkę. Umiera się tylko raz. Ale czy wiatr zelżeje — jak pani myśli? Pani, zdaje się, lepiej zna się na pogodzie niż ktokolwiek z nas. Pani przewidziała sztorm, kiedy żaden

marynarz na tym wybrzeżu ani o tym pomyślał. Jestem na morzu już prawie pięćdziesiąt lat — od małego chłopaka. Jak pani mówiła, że zanoszą się na burzę, chciało mi się śmiać, ale się nie śmiałem, bo nie miałem śmiałości. Ale wyszło, że pani miała rację.

— Więc teraz powiem ci, Danny, że wiatr przycichnie w niecały kwadrans.

— Więc idę po łódkę, pani! Teraz pani wierzę i zaraz to udowodnię. Idę po łódź już teraz.

Poszedł wielkimi krokami na brzeg urwiska i zszedł wąską ścieżką na brzeg. Kiedy Isabel została sama, wyjęła z kieszeni płótno, które poprzednio okładała kijem. Było prawie suche. Rozłożyła je na skale i powiedziała:

Kładę wiatr na kamieniu W diabła imieniu. Niech się uciszy, Nim nowy rozkaz usłyszy.

Wiatr tracił na sile, ale nie tak szybko, jak sobie zaplanowała. Gwizdnęła trzy razy i zawołała:

— Czerwony Rozbójniku, Czerwony Rozbójniku, do mnie! W tej samej chwili zjawił się duszek.

— Czerwony Rozbójniku, ucisz mi natychmiast ten wiatr w imię diabła: ***Niech się uciszą wichry na wybrzeżu całym. Mogą powstać dopiero, gdy im powiem, by wstały.***

Od północnej strony dobiegło ostatnie przeciągłe westchnienie i powietrze znieruchomiało. Na dole stary Danny patrzył zdumiony na morze i na niebo. Wszystko wskazywało, że sztorm będzie trwał albo jeszcze się wzmaga, aż tu nagle się skończył, tak jak powiedziała pani Goudie. Danny przeżegnał się; był pobożnym katolikiem, a to było takie niesamowite. Mimo wszystko poszedł spuszczać łódź na wodę. Wielkie fale w dalszym ciągu huczały nad skałkami i rozbijały się na pianę na ostrych zębach skał.

Niesiony falą, barkas zbliżał się do długiej, płaskiej skały zwanej Szalikiem. Jej groźny grzbiet ukazywał się i niknął pod falami. Barkas uderzył w nią z trzaskiem i przeleciał na drugą stronę. Niedaleko było „Wrzeciono” — skała ukry-

ta pod wodą, ale prawie sięgająca powierzchni wody. Potężna fala rzuciła barkas na jej ostry wierzchołek, wyszarpując w burcie wielką dziurę. W jednej chwili wszystkich jedenastu mężczyzn znalazło się w morskiej kipieli. Siła uderzenia rzuciła Cosmo na jakąś skałkę o stromym grzbiecie; przywarł do niej instynktownie. Półprzytomny, potłuczony i pokaleczony miał tylko tyle siły, by czepiać się skały i nie spaść. Pozostałych dziesięciu mężczyzn zabrała powracająca fala i utonęli. Z nadludzkim wprost wysiłkiem próbował Danny dopłynąć do Cosmo. Udało się. Dowiózł półżywego Cosmo na brzeg i z pomocą Isabel zaprowadził go na zamek. Natychmiast położono go do łóżka. Sir Robert i lady Mary słuchali radosnej opowieści.

Po wypłynięciu „Liberty” z Leith z całej załogi i wszystkich pasażerów Cosmo był jedynym rozbitkiem, któremu udało się uratować — przynajmniej wszystko na to wskazywało. Tylko mieszkańcy Gordonstown wiedzieli, że zdołał się uratować. W archiwach Wspólnoty jego imię figuruje pośród ofiar katastrofy brygu „Liberty”.

Cosmo szybko wrócił do sił po tych wszystkich przejściach. Również Jean, radując się odzyskanym narzeczoną, oraz dzięki dobroczynnemu wpływowi Isabel, w niedługim czasie wróciła do zdrowia i nabrała otuchy. Jednak wszystkie te niepokoje i zmartwienia w połączeniu z nagłą radością powrotu Cosmo mocno nadszarpane siły sir Roberta. Przez kilka dni chodził po domu jak oszołomiony. Któregoś wieczoru, wstając od stołu, zachwiał się i nagle upadł na podłogę ze zdławionym okrzykiem; leżał tak, ciężko oddychając. Zaniesiono go do łóżka, bezwładnego i nieprzytomnego. Medyk, pośpiesznie sprowadzony z Elgin, stwierdził atak; chory mógł umrzeć w każdej chwili. Raczej nie należało się spodziewać, że odzyska przytomność, ale nie było to wykluczone. Trzeba mu zapewnić absolutny spokój. Puścił mu krew i kazał się natychmiast powiadomić, gdyby w stanie chorego zaszła jakaś zmiana.

Następnego dnia przysły z Londynu tak bardzo opóźnione dokumenty. Patent, podpisany przez Lorda Protektora, potwierdzał prawo własności sir Roberta do ziem w Nowej Szkocji. Za późno. Sir Robert nie był w stanie ich przeczytać ani w ogóle prowadzić tej sprawy dalej. Ziemie nowo

szkockie przejdą teraz na własność jego syna, Lodovica. Gdyby ta prowincja przypadła Francji — jak zapowiadał Mazarini — potwierdzenie własności wystawione przez Lorda Protektora straciłoby znaczenie i ziemie całkiem by przepadły. Francja potwierdziłaby tylko własność Cosmo, ale Cosmo jeszcze nie uzyskał swych praw, a teraz nie uzyska ich na pewno.

Rozdział XIX

Wyścig z diabłem

Atak sir Roberta określono by dziś pewnie jako epileptyczny, ale należy wątpić, czy o tej dziwnej chorobie wie się dziś więcej niż w siedemnastym wieku. Choroba, która go dotknęła, była dla niego szczególnie przykra, ponieważ po pierwszym jej ataku odczuwał z niezwykłą ostrością wszystko, co działo się wokół niego, ale nie mógł mówić, poruszać się ani reagować w żaden inny sposób. W gruncie rzeczy mogło się wydawać, że umarł. Już nieraz się zdarzyło, że chowano osoby, które zapadły w podobny trans; zdawały sobie sprawę ze wszystkiego, co działo się wokół, ale nie mogły dać najmniejszego znaku, że żyją i są przytomne.

W przypadku sir Roberta jego potężny mózg był bardziej niż zwykle aktywny; cała wiedza, którą do tej pory zdobył, jeszcze się pogłębiła i rozwinęła, a jego percepcja psychiczna jeszcze bardziej się rozjaśniła. Isabel, jego niezmordowana pielęgniarzka, nie opuszczała wezglowia chorego. Cosmo i Jean byli pochłonięci sobą — rzecz zupełnie zrozumiała. Byli teraz bezpieczni; lord Protektor i jego rząd, uznawszy, że Cosmo zatonął wraz z innymi w katastrofie nieszczęsnej „Liberty”, nie zaprzęтали nim sobie więcej głowy. Cosmo i Isabel Goudie — oboje uznani za zmarłych — znaleźli bezpieczną przystań w Gordonstown; nikt z czeladzi nie zdradziłby ich tajemnicy.

W siedemnastym wieku można było czasem znaleźć wiernych służących; wierność nie była jeszcze wtedy zapomnianą cnotą.

Utrata ziem w Nowej Szkocji była dla dwojga młodych strasznym ciosem; rozwiały się ich marzenia o szczęśliwym życiu w nowym kraju właśnie wtedy, gdy wszystko wydawało się ułożone, a ich przyszłość zapewniona. Wielokrotnie zawzięcie dyskutowali, czy nie powinni mimo wszystko spróbować szczęścia na zachodzie. Bez przyjaciół i kapitału sprawa wydawała się z góry przegrana. Ale Cosmo był młody, silny i pełen życia, potrafił i chciał pracować, zaś Jean z zapałem dzieliłaby z nim wszystkie trudy, by udowodnić, że znalazł w niej pomocnicę. Ale nie można było zapominać o jej wątłym zdrowiu; czy przy całym swoim zapale podoba trudom pionierskiego życia?

Innym wyjściem byłoby przyjęcie propozycji kardynała; Cosmo służyłby przy nim albo przy królu Ludwiku i znów wypłynąłby na niebezpieczne wody polityki europejskiej. To rozwiązanie miałoby swoje dobre strony. Cosmo był żołnierzem z urodzenia i wykształcenia. Znał się na wojacze lepiej niż jakikolwiek jego rówieśnik w Europie; zdobywał sobie przyjaźń i zaufanie wszystkich, z którymi zetknął go los. Z drugiej strony, miał groźnych i nieubłaganych wrogów. Jean nie groziłby niedostatek, na francuskim dworze znalazłaby wygodę i luksus — ale nie była przyzwyczajona do dworskiego życia, nie uśmiechała jej się perspektywa ograniczeń, sztuczności i konwenansów zamkniętego świata, jakim był dwór.

W sumie byli skłonni postawić wszystko na jedną kartę i spróbować szczęścia w Nowym Świecie.

W razie śmierci sir Roberta zostaliby bez grosza, gdyż wszystkie posiadłości przeszłyby na własność Lodovica,[^] który właśnie się ożenił, a ponadto nie miał krzty sympatii dla stronnictwa rojalistów i katolików. Lady Mary pomagałaby im w miarę możliwości, ale sama niewiele miała; jej własne dochody — gdyby sir Robert umarł — byłyby bardzo skromne. Z tych narad w rodzinnym kółku wynikało, że perspektywy były mroczne, w którąkolwiek stronę by się zwrócić. Bardzo im brakowało mądrych rad sir Roberta, ale on leżał niezdolny do najmniejszego ruchu, wyraźnie nieprzytomny; w rzeczywistości wiedział o wszystkich ich projektach i roz-

terkach, lecz nie mógł im niczego doradzić, niczego wyjaśnić.

Niekiedy, gdy Isabel czuwała przy łóżku sir Robeęta, zjawiał się także Pan Ciemności. Isabel błagała kochanka, by użył swej mocy i przywrócił choremu dawne zdrowie, ale nie mógł tego uczynić.

— Nie miej do mnie żalu, Rob — powiedział któregoś dnia, gdyż wiedział, że sir Robert słyszy go i rozumie. — Podpisując pakt, oddałeś się w ręce Władców Losu; obydwaj jesteście w ich mocy, żaden z nas nie może się sprzeciwić ich wyrokowi. Muszę cię zabrać, jeśli zdołam; czy mi się to uda czy nie — o tym zadecyduje Los. Gramy o wysoką stawkę i musimy grać do końca. Ja dotrzymałem warunków umowy, jak dobrze wiesz.

Sir Robert nie poruszył się ani niczym nie okazał, że słyszy, ale Isabel wydało się, że w swoim umyśle odpowiedział:

— Tak, wiem. Sam również nie odstąpiłem od warunków umowy, i nie odstąpię. Ale pokonam cię, jeśli zdołam. Pakt mi tego nie zabrania.

Sir Robert leżał na łóżku jak figura woskowa. Bładość i nieruchomość twarzy czyniły jego delikatne rysy jeszcze szlachetniejszymi. Ale jego mózg pracował gorączkowo i odbierał wszystkie doznania z nadnormalną ostrością. W jego oczach Pan Ciemności był teraz równie rzeczywisty jak Isabel czy jakikolwiek rzeczywisty przedmiot w pokoju; równie rzeczywiste były też inne zjawiska, niedostępne oczom innych ludzi.

Widział też wszystko o wiele dokładniej niż wówczas, gdy był w pełni zdrowia; pojął naturę Pana Ciemności oraz warunki i wynik ich paktu. Jego umysł intensywnie opracowywał plan pokonania diabła. Ale zanosiło się na to, że wszystkie jego wybiegi były już z góry przewidziane przez przeciwnika, który zabezpieczył się przed nimi z iście diabelską przebiegłością. Sir Robert widział to dopiero teraz.

Również Isabel, ze względu na swój szczególny związek z Panem Ciemności, mogła śledzić ich dialogi, rozumiejąc bieg myśli sir Roberta tak dobrze, jak gdyby mówił na głos. Bardzo żałowała, że nie ma wśród nich ojca Blackhall. Ten silny, rozumny człowiek, któremu ufała, byłby jej ogromną pomocą w tym ciężkim położeniu. Ale ojciec wyjechał, by odwiedzić katolickie kongregacje rozrzucone w zachodniej części kraju. Na pozór pasterz, doglądający stada owiec

w wysokogórskiej Szkocji, przemierzał góry i doliny, odprawiając msze, gdziekolwiek znalazło się kilka osób pragnących duszpasterskiej posługi. Po jakimś czasie w chorobie sir Roberta zaszły pewne zmiany. Zaczęły go dręczyć koszmary. Były to ponure i przerażające sceny: ścigały go zastępy diabłów przez bezkresne pustkowia, przez nie kończące się stulecia — tracił już siły, a straszni prześladowcy byli coraz bliżej. Szedł po desce przerzuconej nad przerażającymi przepaściami, widząc w dole głębokie kratery wulkanów, czeluście zionące żywym ogniem i ostre szczyty rozpalonych do białości skał. Duszące wyziewy zatykały mu oddech. Śniło mu się, że traci równowagę, chwieje się i spada. Udało mu się wczepić palcami w deskę. Wisiał tak i miał wisieć po wsze czasy albo spaść w czeluść ognia, która usiłowała go dosięgnąć długimi językami płomieni. Usiłował wspiąć się z powrotem na deskę i podczas tych prób uczuł, że coś jakby pękło w jego mózgu. Mógł się poruszać. W oczach ludzi siedzących w jego pokoju wyglądało to, jakby odrętwienie przeszło w konwulsje.

Uniósł się ze zduszonym okrzykiem. Wygiął się w łuk i zeszywniał. Na wezwanie Isabel wpadł do pokoju lokaj sir Roberta. Potężny góral wziął starego człowieka w objęcia i mocno trzymał, podczas gdy chory rzucał się jak oszalały i z siłą szaleńca, wykrzykując coś niezrozumiale. Atak trwał krótko. Chory leciał lokajowi przez ręce. Ułożyli go na łożu. Leżał cicho i spokojnie. Sir Gordonowi wydawało się, że gdy wisiał nad straszną przepaścią uczepony deski, pochyliła się nad nim Isabel, schwyciła go za rękę i złożyła bezpiecznie na łące pełnej kwiatów, gdzie zasnął. Tymczasem Isabel zauważyła z radością, że sir Robert poruszył się trochę, gdy atak już minął, choć tylko lekko odwrócił głowę i odrobinę przesunął rękę. W niecałą godzinę przyszedł medyk i jeszcze raz puścił mu krew.

— Proszę się nie łudzić — powiedział. — Chciałbym dać państwu odrobinę nadziei, gdybym mógł, ale on nigdy nie odzyska świadomości. To tylko przedśmiertne kurcze. Jeśli wyżyje, nigdy nie odzyska władz umysłowych. Będzie zupełnym szaleńcem. Ale jestem przekonany, że przeżyje najwyżej dzień lub dwa.

Któregoś razu Isabel, bardzo już znużona, zasnęła na swoim posterunku, a w każdym razie straciła na chwilę

świadomość tego, co działo się wokół. Ale rzeczywiście tylko na chwilę, gdyż jakieś poruszenie chorego natychmiast zwróciło jej uwagę. Chory uniósł się i siadł na łóżku.

— Pani Isabel — powiedział. — Już wiem wszystko. Mój czas się zbliża. Udało mi się uciec przed diabłami we śnie; muszę im umknąć także w rzeczywistości. Cmentarz w Birnie jest bezpieczny. Proszę się modlić, by udało mi się tam dotrzeć.

— Ja — modlić się? — Zdumienie zapało jej oddech w piersiach. Oddała diabłu swoją duszę i ciało; jakie znaczenie miałyby jej modlitwa?

— Tak, proszę się modlić. Wiem, że pomodli się pani za mnie, gdy wybije moja godzina.

Opadł z powrotem na poduszki. W pokoju był jego lokaj, na wypadek, gdyby trzeba mu było usłużyć.

— Widziałeś, Duncanie? — spytała. — Panu już lepiej. Usiadł i mówił.

— Nie, pani! Ja myślę, że się to pani przyśniło. Pan się nawet nie poruszył. Coś mi się zdaje, że on już nigdy się nie poruszy. Tyle dni leży niby w całunie. Niech Bóg się zmiłuje nad jego duszą. Pan wiedział więcej, niż przystało chrześcijaninowi.

Isabel zamyśliła się. Nareszcie zaczynała rozumieć. Być może wyteżona aktywność mózgu sir Roberta oddziaływała na jej mózg; zaczynała rozumieć stan raeczy lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Zatem to był ów ostatni rzut kością, sir Robert musi dotrzeć na cmentarz w Birnie, zanim go pochwyca; na pewno ruszy za nim pościg. Ścigano go w koszmarnym śnie, to była przepowiednia. Udało mu się wówczas zbiec — ona mu pomogła. W jaki sposób mogłaby mu znów pomóc? Powiedział: „Proszę się za mnie modlić”. Jak mogłaby się modlić? Ten pomysł był sprzeczny w samym założeniu. Wszystko, o co prosiła, dostawała w imię diabła; w tym wypadku diabeł nie mógł jej pomóc. Będzie musiała modlić się na przekór diabłu — jeśli będzie się modlić. Jak może modlić się ktoś, kto oddał czartu ciało i duszę? Do kogo się modlić? Mogłaby odmawiać swe dawne katolickie modlitwy, ale nie będą miały żadnej mocy. To byłoby bluźnierstwo. A bluźnierstwo przywołuje diabła — tak uczył ją pewien stary ksiądz, kiedy była małą dziewczynką. Nie było ucieczki z tego zaklętego kręgu.

Tak bardzo chciała mu pomóc. Nie tylko los sir Roberta,

ale także los Jean i Cosmo zależał od tego, czy Isabel postąpi właściwie. Nie miała pojęcia, jak należy postąpić!

Gdyby mogła porozmawiać z Ojcem Blackhallem przez pięć minut! Ale nie było to możliwe. Musi sama rozegrać tę grę.

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Sir Robert musi uciekać, więc mogłaby przynajmniej dostarczyć mu szybkiego konia. Jak się przekonała, zakłęcie „Koń i bicz” służyło jej równie dobrze jak przedtem. Koń, który zjawiał się na jej wezwanie, w niczym nie ustępował rumakowi Pana Ciemności; i o tym się przekonała, gdy ścigała się z nim dla zabawy nad górami Monaliahds. Mogłaby posadzić sir Roberta na tego konia; może nawet uda jej się zatrzymać Pana Ciemności na kilka minut. Mistrz wpadnie w gniew, to prawda. Może stracić jego łaskę i miłość, mieszając się w jego plany. Może zażądać od niej tego, czego nie pozwoliła mu zabrać sir Robertowi — oczywiście gdyby jej plan się powiódł. To i cóż? Jakie znaczenie miało jej nieszczęsne życie, jeśliby na drugiej szali złożyć los tych trojga ludzi, zależny od jej decyzji? Tak! Mogła jeszcze coś dobrego zrobić.

Mistrz mówił, że tak chciał los. Przypomniała sobie w nagłym olśnieniu, że jeden jedyny raz mogła odwrócić wyroki potężnych Władców Losu. Może teraz będzie ten raz?

Przeraziła się. Co chciała uczynić? Ona, słaba niewiasta, przy tym związana na ciele i duszy własną przysięgą, miałaby wystąpić przeciw całej potędze Szatana i przeciw Władcom Losu, którym nikt nie może się sprzeciwić. Jej własna dusza, jej zbawienie (o ile już ich nie zaprzepaściła) byłaby stawką w grze, którą miałaby rozegrać dla dobra tych trojga drogich jej ludzi. Stawka była ogromna; nie miała w grze żadnych atutów i nie wiedziała, jak grać. Poza tym, że ściągnie na siebie gniew kochanka i zaryzykuje utratę wszystkich radości tej ziemi, utratę całej miłości i rozkoszy, które przyniósł jej świat nowych doznań, poza tym, że dostarczy sir Robertowi konia i w miarę możliwości zapewni mu kilka chwil przewagi — nie miała pojęcia, co się jeszcze stanie i co ma robić. Podejmie to ryzyko i nie ulęknie się następstw, jakiegokolwiek one będą. Będzie odmawiać katolickie modlitwy, gdy wybije godzina. Te modlitwy będą skierowane przeciw jej ukochanemu, któremu zawdzięczała całą radość życia od

chwili, gdy skończyły się jej lata dziewczęce. Może bluźnierstwo, którego się w ten sposób dopuści, jeszcze bardziej umocni potęgę diabła. Ale sir Robert prosił ją o modlitwę. Niech więc tak się stanie. Zaciśnięta zęby i ogromnym wysiłkiem woli odrzuciła od siebie wszystko, co czyniło jej życie pięknym. Czekają ją niewiadome nieszczęścia i cierpienia, ale czuła w sobie siłę olbrzyma — wiedziała, że potrafi je znieść. Minęły jeszcze dwa dni i niewiele się zmieniło. Sir Robert poruszał się lekko od czasu do czasu; widać było z jego twarzy, że jest świadom obecności domowników; to było wszystko. Ale' jego mózg pracował jak zawsze.

Przyszła noc pełni księżyca; wstawał po wschodniej stronie nieba, srebrząc drzewa w parku Gordonstown. Sir Robert odczuwał piękno tej nocy, pragnął wyjść z domu jak dawniej i sycić się cudowną ciszą rozgwieżdżonego nieba i uspiionych lasów. Był świadom swego ciała bardziej niż kiedykolwiek od czasu ataku. Rozumiał cały jego mechanizm, czynność każdego organu. Widział cały swój mózg, tysiące jego komórek, nerwów i zwojów i wiedział, w którym miejscu jest skaza, gdzie nastąpiło uszkodzenie, które doprowadziło do paraliżu. Zrozumiał, w jaki sposób odpowiednio ukierunkowany wysiłek woli — a teraz wiedział, jak to zrobić — usunie skazę i przywróci mu władzę nad własnym ciałem. Wyzdrowieje.

W tej samej chwili rozległ się głos — wydawało się, że idzie z powietrza, nieba, ziemi, zewsząd. Brzmiał przerażająco wyraźnie, jak głos samej ciszy:

— Przyszedł twój czas. Wstawaj, Robercie Gordonie i chodź ze swym panem!

Zimny pot wystąpił mu na całym ciele. Nadeszło straszne wezwanie. Właśnie teraz, gdy dowiedział się, że mógłby odzyskać możliwość poruszania się i działania, wezwano go, by wstał i poddał się. Zerwał się na równe nogi. Isabel także usłyszała to wezwanie. Nie wahała się ani chwili. Okno pokoju wychodziło na niski dach. Otworzyła je na oścież, trzykrotnie zagwizdała i zawołała:

Koń i bicz! Siadaj i jedź! Koń i bicz! Przed wiatrem leć! Ruszaj w imię diabła!

Na niskim dachu stał jej smoliście czarny wierzchowiec. Sir Robert podszedł do Isabel.

— Niech pan wsiada, sir Robercie! Niech pan wsiada i jedzie! Nie ma chwili do stracenia. Niech pan pędzi jak burza. Hej — na Birnie! Niechże pan już rusza! Zwycięży pan — zastawiłam za was własną duszę.

Sir Robert jakby nabrał nowych sił — wyskoczył przez okno i już po chwili dosiadał wielkiego rumaka. Był wytrawnym i odważnym jeźdźcem. Wydawało się teraz, że wróciły mu wszystkie umiejętności i siły młodych lat. Koń zeskoczył z dachu jednym potężnym susem i pomknął jak strzała w cień lasów. Zielona murawa błyskawicznie uciekała do tyłu. Sir Robert, podniecony szaloną jazdą, zapomniał o swoim wieku, o chorobie, zapomniał o wszystkim — upił się radością tego galopu. Isabel odwróciła się. Stał przy niej Pan Ciemności.

— Niewiasto! Coś uczyniła?! Czy skrzywdziłam cię kiedy w jakikolwiek sposób, że sprzeciwiasz się mojej woli, przeciwstawiając swoje wątłe siły mojej potędze? Źle teraz będzie z tym, którego próbowałaś mi odebrać. Gdyby przyszedł do mnie, zgodnie z naszą umową, traktowałbym go dobrze. Teraz będzie cierpieć! Cierpieć przez wieki! Ty do tego doprowadziłaś, wtrącając się w nieswoje sprawy. Niech jedzie najszybciej, jak może. Dogonię go. Nawet gdyby wyruszył pół godziny przede mną. Czy jeszcze nie wiesz, na co mnie stać?

Isabel straciła na chwilę odwagę. Czy naprawdę zaszkodziła sir Robertowi, usiłując mu pomóc? Nie wiedziała, jak rozegrać tę grę. Czy zrobiła fałszywy ruch? Nie! Gdyby tak było, Mistrz nie byłby tak rozgniewany.

— Ależ, nie, ukochany — szepnęła, tuląc się do niego jak dawniej. — Nie gniewaj się. Bezsprzecznie znam twoją potęgę, w przeciwnym razie nie próbowałabym ci przeszkodzić. Widzisz, dałam ci sposobność, byś mógł wykazać, na co cię stać. Posłuchaj mnie! Przecież żaden myśliwy godzien tego miana nie strzeliłby do siedzącej zwierzyny. Ja tylko napędziłam ci zwierzynę, jak dobry naganiacz. Będiesz miał świetną gonitwę — jak wtedy, gdy goniliśmy wielkie jelenie nad górami Monaliadhs — czy pamiętasz? Czy pamiętasz, jak później, kiedyśmy dobili je, obejmowaliśmy się i kochali, w dolinie, ukryci w paprociach? Kiedy się znów wybierzemy na taką wyprawę?

— Doprawdy, moja jedyna, prawdziwa z ciebie czarownica, potrafisz rzucić czar na samego czarta. Chętnie zostałbym, aby choć chwilę trzymać cię w swoich ramionach, ale nie mogę. Niech tylko złapię tego przebiegłego łotra,' któremu się zdaje, że wyprowadzi diabła w pole. Potem wrócę. Spędzimy noc miłosną, jak dawniej.

Obejmowała go mocno — opóźniała jego odjazd. Ale w końcu oderwał ją od siebie, krzyknął: „Koń i bicz!” Za oknem stanął jego wspaniały ogier. Skoczył na siodło, machnął jej ręką na pożegnanie i pomknął w księżycową ciszę.

Sir Robert wiedział, w jaki sposób Isabel opóźniła odjazd Pana Ciemności; musiał jak najlepiej wykorzystać uzyskaną w ten sposób przewagę. Chociaż wyskoczył z łóżka w nocnej bieliźnie, teraz — jak zauważył — miał na sobie kompletny strój jeździecki, łącznie z długimi butami i ostrogami. Pochylił głowę, spiął konia ostrogami i pomknął nizinami Gordonstown jak wiatr.

Słyszał opowieści o tym, jak diabeł i czarownice wznosili się w powietrze; jak z chmur dobiegały dzikie pokrzykiwania, śmiech i dźwięki rogu, kiedy wiatr pędził przed sobą burzę. Znał zaklęcia, których używali, jak i znał inne zaklęcia. Ale dziś te zaklęcia wydały mu się nieprawdziwe. Wznoszenie się w góry było doznaniem zbyt rzeczywistym. Rzeczywisty mógł być tylko wściekły galop zwykłego ziemskiego wierzchowca. Jego prześladowca ruszy w ślad za nim. Czy on potrafi wznieść się w powietrze i pędzić przez chmury? Jeśli tak to on, Robert Gordon, nie miał na co liczyć. Wróg spadnie na niego jak jastrząb, okrutny i nieubłagany. Coraz ostrzej popędzał smolistego ogiera. Rozpędzone podkowy wyrywały wielkie kawałki darni. Przed nimi wyrósł nagle zamek Duffus — czarny na tle księżyca — i zaraz został z tyłu. Wciąż nie słyszał za sobą pogoni. Jego wrogowi nie spieszyło się, był pewien swego. Sam fakt, że jeszcze nie ruszył w pościg, był niepokojący. Gdyby choć trochę wątpił o ostatecznym ujęciu ofiary, nie igrałby w ten sposób z losem.

Przed nim zamajaczyło słabym blaskiem jezioro Spynie pokryte cienką taflą lodu. Czy miał ryzykować, czy tracić czas na objazd? Z daleka dobiegł stukot cwałujących kopyt. Pogoń ruszyła; nie miał czasu do stracenia. Gdyby chciał

teraz objechać jezioro dookoła, jego prześladowca pomknąłby przez jezioro jak strzeł i odciąłby mu drogę. Mogła go uratować tylko jazda przez zamrożone jezioro. Tuż przed nim wyrósł wysoki mur. Koń skręcił w prawo małym łukiem jak ptak szybujący w powietrzu, zebrał się do potężnego skoku i lekko przesadził przeszkodę z zapasem co najmniej sześciu cali.

Byli teraz na skraju jeziora. Sir Robert wyszeptał zaklęcie do duchów wodnego żywiołu, gdy kopyta konia zachręściły wśród przybrzeżnych trzcin. Po chwili znaleźli się na jeziorze. Pękający lód brzmiał jak wystrzały z pistoletu, przez całą powierzchnię jeziora pobiegły długie pęknięcia, lód gwałcił się jak dywan, koń potykał się i zapadał, ale pędził dalej.

Przed nimi wyrósł pałac Spynie. Potężna ta budowla stała teraz samotna i opuszczona; na tle gwiazd czarnym cieniem majaczyły wieże siedziby biskupa Hepburna. Sir Robertowi wydało się, że stary biskup, który także był czarnoksiężnikiem a teraz odszedł — jak powiadali ludzie — do miejsca wiecznej udręki, stał na wieży spowity płomieniem, czekając na nowego przybysza w swym przerażającym pałacu-więzieniu.

W trzcinach u stóp stromego brzegu jeziora, na którym wznosił się pałac, czaili się dwaj kłusownicy, polujący na gnieźdzące się tam dzikie ptactwo. Skąd wziął się tak nagle ten jeździec, pędzący na potężnym czarnym koniu jak burza pod zamkowymi murami, a zanim inny jeździec, w niezbyt dalekiej odległości za pierwszym? Przecież nie mogli przejechać przez jezioro, a jaką inną drogą mogliby się tu dostać? Czy byli to jeźdźcy z Sidhe — ostrzeżenie o czekającej ich śmierci? Drżąc z przerażenia, porzucili sidła i wnyki i pobiegli do swoich chałup, by się modlić. Postanawiali sobie żyć w przyszłości uczciwie, jeśli tylko ujdą śmierci.

Tęten drugiego konia dobiegał już od Findrassie, dzieliła ich tylko mila. Odległość między nimi zmniejszała się powoli, ale stale.

Isabel stała w oknie jak zaczarowana. W przedziwnie jasnej wizji śledziła myślą szalony wyścig, zupełnie jakby jechała razem z sir Robertem. Jej nerwy napinały się coraz bardziej, gdy widziała, jak prześladowca stopniowo nadrabia spóźnienie; na jego twarzy widziała złośliwy, pewny siebie uśmiech. Był jak okrutny drapieżny ptak, pewny swej zdo-

byczy. Na krótką chwilę obejrzała się za siebie, popatrzyła na pokój. Wydało jej się, że sir Robert leży na łóżku, wstrząsany gorączką. Czy zbliżał się następny atak?

Oczy i wyobrażenia oszukały ją; zrozumiała, że był to podstęp diabła, który chciał odwrócić jej uwagę. Mogła pomóc sir Robertowi — i pomagała. Czuła, wiedziała, że wysiłek jej woli nakierowany na ucieczkę sir Roberta i zmylenie pościgu nie był daremny. Przekazywała mu swoją siłę, by wesprzeć jego wysiłki, dawała mu nadzieję i odwagę. Jeśli Isabel zawaha się przez chwilę lub straci go z myśli, sir Robert nie będzie miał w nikim oparcia. Właśnie tego chciał diabeł. Wmówi jej, że to wszystko jest snem; że sir Robert nie pędzi w tym przerażającym wyścigu, a tylko śni w swym łóżu. Pozbawiony jej wsparcia, odcięty od jednego ze źródeł swej siły, sir Robert przegra. Isabel, pełna oburzenia i pogardy wobec tego podłego wybiegu, odcięła się od tych myśli i wróciła do okna, by śledzić rozgrywkę. Wielki rumak niosący sir Roberta popędził przez Lossie; jego prześladowca był tu już po dwóch minutach- Mieszkańcy Elgin obudzili się, gdy na głównej ulicy miasta zagrzmiały końskie kopyta, krzesząc iskry po bruku. Najpierw jeden jeździec, za nim — w pełnym galopie — drugi. Burmistrz w nocnej koszuli wychylił się z okna; mignęła mu czyjaś blada twarz, słabo oświetlona blaskiem księżyca.

— Boże, zmiłuj się nad nami! — zawołał. — Przecież to sir Robert i jeszcze ktoś. Cóż to za pilna sprawa tak późno w noc? Sir Robert jest sparaliżowany. Pewnie umarł. Co za okropny widok!

Inni nie widzieli jeźdźców tak dokładnie i wzięli ich za posłańców Wspólnoty, jadących z pilnym rozkazem. Jeszcze inni byli przekonani, że w końcu Karol Stuart wylądował w Szkocji; skończyła się tyrania „wolności i demokracji”, a ci dwaj byli zwiastunami tego wielkiego wydarzenia. Jednak ich pytania pozostały bez odpowiedzi. Jeźdźcy wypadli na otwartą przestrzeń, na ulicy zapadła cisza.

Niepokój Isabel wzmógł się aż do bólu. Prawie zapomniała, gdzie się naprawdę znajduje. Była u boku sir Roberta, odczuwała to samo co on, słabła ze zmęczenia i przerażenia podczas tego długiego wyścigu. Przy górnym odcinku rzeczki Lossie prześladowca był już bardzo blisko. Daleko na horyzoncie można już było dojrzeć niewyraźne linie cmentarza Birnie, ale odległość między końmi zmniejszyła się do

kilku jardów. Wyścig nie mógł już chyba trwać dłużej niż minutę lub dwie. Co jeszcze mogła uczynić? Była tam, śledziła każdy ich ruch, każdy moment pościgu, ale była bezradna. Wtedy wydało jej się, że słyszy głos sir Roberta „Proszę się za mnie modlić”. Prosił ją, więc musi się modlić: *Ave Maria, gratia plena.*

Przypomniała jej się ta dawna katolicka modlitwa. Czy coś pomoże? Gdy mówiła te słowa, czuła obok siebie czyjąś obecność. Ktoś lub coś powiedziało jej, że ma być spokojna, gdyż stanie się, co ma się stać. Ale sytuacja między ściganym a ścigającym nie zmieniła się; konie pędziły przed siebie. Birnie był coraz bliżej, ale drugi koń już zachodził pierwszego z boku.

Zostało im najwyżej półtorej minuty drogi — dziewięćdziesiąt sekund, nim dopadną cmentarnego muru — albo Szatan przytroczy sobie ciało sir Roberta do siodła jako nagrodę zwycięzcy. Długi suchy łeb czarnego ogiera nacierał na bok pierwszego konia. Okrutny uśmiech na twarzy jeźdźca przeszedł w głośny, szyderczy śmiech tryumfu. Już uwalniał jedno ramię z fałd peleryny i przekładał bicz do ręki, którą powodził. Był gotów — pozostawało mu tylko wychylić się z siodła i schwytać ofiarę. Żrenice Isabel rozszerzyły się z przerażenia; z dziewięćdziesięciu sekund minęło pięćdziesiąt. Konie biegły prawie bok w bok. Wyścig się kończył, opadało pełne męki napięcie. Diabeł wygrywał. Usłyszała te słowa: — Tak było postanowione. Nikt nie może się sprzeciwić losowi. Po sir Roberta sięgnęło ramię zdobywcy — nie ręka, ale okrutne, zabójcze szpony; zacisnęły się jak stalowa pułapka na ramieniu sir Roberta i ściągały go z konia.

Wtedy przypomniała sobie:

— Przecież mi to obiecano. Mogę odwrócić zrządzenia Władców Losu.

Głos mówił:

— Więc chcesz wyrzec się wszystkiego — wszystkich swych radości, całego swego szczęścia, siebie samej — swojej duszy?

Odpowiedziała twardo:

— Tak, chcę tego — wyrzekam się wszystkiego. Tylko jego ratujcie!

Konie pędziły łeb w łeb prosto na cmentarny mur. Diabeł nie puszczał ramienia sir Roberta; szpony wbiły mu się przez odzież w ciało i paliły go żywym ogniem. Oddech prześladowcy buchał na niego piekielnym żarem; czuł na sobie jego złe oczy, pełne tryumfu, i wyczytał w nich swój koniec. Jowialny kompan był brutalnym, bezlitosnym katem, cieszył się z jego upadku.

W tej chwili koń sir Roberta rzucił się w bok. Sir Robert poczuł ostre szarpnięcie, gdy tamten omal nie puścił jego ramienia: ostre szpony rozdarły mu pelerynę i głęboko rozorały ciało. Koń rzucił się z furją na mur, strącając kilka górnych kamieni, a jeździec, zbyt umęczony, by utrzymać się w siodle, przekoziółkował przez mur i ciężko spadł po tamtej stronie. Poczul silny wstrząs i ogarnęła go ciemność.

Isabel usłyszała ten łomot — pierwszy rzeczywisty dźwięk, który usłyszała od czasu, gdy zaczął się ten straszliwy pościg. Sir Robert machnął ręką i przewrócił mały stolik.

Patrzył na nią oszołomiony, jak człowiek, który we śnie długo wędrował przez krainę koszmarów. Isabel także czuła, jakby skończył się jakiś straszny sen. W okno zaglądał księżyc; żadne z nich nie odważyło się zakłócić milczenia.

Rozdział XX

Rozgrzeszenie Isabel

Ijfa pozór niewiele zmieniło się w domu Gordonstowu następnego ranka. Sir Robert leżał nieruchomo, nie czyniąc prawie żadnego ruchu, jak od tyłu już dni. Ale ci, którzy patrzyli uważnie, zauważyli pewne zmiany. Jego ruchy były odrobinę żywsze, twarz nabrała więcej wyrazu; gdy patrzył na Isabel, w jego oczach była nieskończona wdzięczność, a także spokój, jaki nie gościł tam od czasu, gdy zachorował.

Jean zauważyła to i powiedziała:

— Isabel, moje kochanie! Jestem pewna, że wuj chce ci powiedzieć, jak ogromnie jest ci wdzięczny za opiekę i całą

dobroć, której od ciebie doświadcza. Dzięki tobie czuje się o wiele lepiej. Isabel milczała. Zmagała się ze wspomnieniem jakiegoś dziwnego, męczącego koszmaru sennego, którego jednak nie mogła sobie przypomnieć. Zdawało jej się, że coś dla niego zrobiła, coś mu oddała, ale nie była pewna, co to było. Drzemała przy oknie i obudziła się dopiero, gdy przez sen czy w transie rzucił się gwałtownie na łożu i przewrócił stolik; często zdarza się to śpiącym, kiedy się budzą z koszmarne snu. Później leżał spokojnie, z wyrazem wielkiego szczęścia na twarzy.

Wydawało się, że zasnął. Przyszedł lokaj sir Roberta, by zmienić Isabel przy łóżku chorego. Poszła więc do swojego pokoju i zasnęła. Ale światło ranka jakby wymazało z jej pamięci wszystkie sny, wizje czy rzeczywiste zdarzenia minionej nocy. Tego popołudnia, spacerując przez diuny w kierunku morza, Jean i Cosmo spotkali jakiegoś pasterza, zdrożonego, w zakurzonej odzieży. Zapytał, czy mógłby zatrzymać się ze stadem owiec na kilkudniowy popas; przyszedł z daleka i pędził owce do Aberdeen.

— Sir Robert Gordon jest ciężko chory — odpowiedziała Jean. — Nie zajmuje się teraz interesami. Ale chyba mogę powiedzieć w jego imieniu, że możecie wypasać owce na naszych pastwiskach. Bardzo prosimy. Teraz nie ma tam owiec, chociaż przeważnie pasimy je o tej porze roku. Sir Robert daje zwykle zezwolenie — bez żadnych opłat — na kilkudniowy popas dla pędzonych stad. Mówi, że to w interesie kraju, że owce powinny paść się zimą na dobrych pastwiskach i że właściciele pastwisk powinni zezwolić na to i nie żądać zapłaty.

— Benedicite 2 — powiedział pasterz.

Jean zdziwiła się na takie pozdrowienie. Popatrzyła mu w twarz.

— Moje owieczki rozeszły się po górach, ale biedny pasterz dziękuje wam za gościnę.

Wtedy go poznała. W tym sprytnym przebraniu rozpoznała ojca Blackhalla.

— Witaj, ojcze! — zawołała. — Tak tęskniliśmy za tobą, tak nam ciebie brakowało, że wprost brak mi słów. Mój wuj leży na łożu śmierci, nie może się poruszyć, nic do niego nie

dociera. Wszystkie sprawy bardzo źle stoją. Nawet propozycja, którą ksiądz przywiózł z Francji, poszła na marne, ponieważ dokumenty przyszły za późno.

Poszli w stronę domu. Jean z przejęciem opowiedziała mu pokrótce o wszystkim, co się zdarzyło od czasu, gdy wyjechał, a Cosmo wyjaśnił sprawę dokumentów. Trudność polegała na zdobyciu zgody Lorda Protektora, a wiązała się, jak sądziła — pewnie słusznie — z jego właśnie osobą. Powszechnie wiedziano o przywiązaniu, jakie sir Robert miał dla Cosmo, i chociaż rząd angielski nie odważył się otwarcie atakować sir Roberta, jednak nie chciał dopuścić, by Cosmo otrzymał ziemie od sir Roberta; widziano w nim potężniejszego przeciwnika, niż można by sądzić z jego młodych lat. Dlatego rząd wysłuchał przyjaciół sir Roberta i przychylił się do jego prośby dopiero, gdy zyskał pewność, że nie będzie miał z nim więcej kłopotu, kiedy to rzekomo zatonął na „Liberty”.

Tak najprawdopodobniej rzecz się miała; nie było już żadnej nadziei, że uda się jakoś popchnąć sprawę dalej. Obecnie sir Robert nie potrzebował żadnego zezwolenia ani pomocy od żadnego rządu, zaś Ludovick nie miał żadnych wpływowych przyjaciół, nawet gdyby się udało namówić go do działania. A gdyby Cosmo się ujawnił, cała nagonka zaczęłaby się od początku. Jego jedyna szansa to pozostać w ukryciu i — pozostać zmarłym, jak mówił ojciec Blackhall.

Ojciec Blackhall ogromnie się ucieszył, słysząc, że Isabel wciąż przebywa w Gordonstown. Rozmowa z Szatanem była dla niego niezwykłym wydarzeniem, a fakt, że Isabel się z nim związała, budził w ojcu najwyższą ciekawość. Mógł iść dalej w tym kierunku i dowiedzieć się więcej o swoim starym adwersarzu, a następnie wykorzystać to w przyszłości. Isabel wpadła w beznadziejną rozpacz. Wyrzekła się zba-
wienna wiecznego dla przygody, miłości, mocy czarnoksiężkiej i przyjemności życiowych, a tego z kolei wyrzekła się dla trojga osób, które były jej szczególnie drogie. Co jej teraz zostało?

Trochę niepewnie spróbowała dawnych zaklęć — wszystkie straciły moc. Na próżno wołała: „Koń i bicz” — czarny rumak nie przyszedł na jej wezwanie. Na próżno przywoływała Czerwonego Rozbójnika; duszek nie zjawił się ani nie dał żadnego znaku.

Czuła na twarzy rześkie, zimowe powietrze, ale nie potra-

fiła się nim cieszyć. Już nic jej nie cieszyło. Ogarnęło ją tępe przygnębienie. Nie czekała jej — nie mogła jej czekać — żadna radość ani przygoda. A kiedy życie dobiegnie kresu, czekała ją straszna perspektywa; sama nie wiedziała jaka. Być może męki — tak mówili teologowie. Niewola w służbie diabła i czarownic — tak sądziła Isabel. A może wieczny niebyt. W każdym razie, żadnej nadziei po śmierci. Miała to, czego pragnęła: przelotną radość, ziemskie przyjemności. To już miała za sobą. Pozostało tylko dobro wyświadczony ludziom, którzy byli dobrzy dla niej. Ona sama straciła wszystko, co było i co będzie. Jednak wiedziała, że gdyby miała zrobić to samo jeszcze raz — zrobiłaby to. Była raczej beznadziejnie przygnębiona niż przerażona. Po prostu zmęczyło ją życie, wszystko ją męczyło. Nic nie miało wartości. Opiekowała się sir Robertem jak automat; jego stan prawie się nie zmieniał. W tym nastroju zastał ją ojciec Blackhall. W pierwszej chwili trochę się jakby rozczarował, gdyż szczerze mówiąc, nie traktował jej jako kobiety i chrześcijanki, lecz zaliczał ją do jednej kategorii z Szatanem, jako podludzkie czy nadludzkie wcielenie zła, które poddałby badaniu, podobnie jak współczesny lekarz bada bakterię — a to dlatego, że znając jego naturę i warunki życia, będzie mógł ochronić innych, którzy go proszą o ochronę. Ale to nie była żadna czarownica, żadne wcielenie zła; po prostu zmęczona, złamana życiem kobieta, nad którą litowało się jego serce. Skąd w niej ta zmiana? W każdym razie wiedziała coś o "naturze i potędze Szatana. Mogła mu pomóc. Doprawdy, mogła mu być bardzo pomocna, gdyby ją — będącą obecnie w niewoli Szatana — udało się w jakiś sposób wyrwać z jego mocy. Ojciec Blackhall ogromnie zainteresował się sprawą Isabel.

Ona także ucieszyła się na jego widok. Wyczuła instynktownie, że stoi przed nią ktoś, komu może całkowicie zaufać.

Zapytał łagodnie, dlaczego jest tak odmieniona.

— Ojczy, widzisz kogoś, kto stracił całą radość w tym życiu i całą nadzieję na przyszłość, i teraz dopiero rozumie, co naprawdę utracił.

Ojczy, poradź mi, co robić, jeśli możesz, chociaż sama wiem, że już za późno na rady i pomoc.

— Nie, dziecko, ja tak nie myślę. Ale jeśli uważasz, że mogę ci pomóc, to chodź jutro ze mną do kościoła św. Mi-

chała i wyspowiadaj się. Mogę ci pomóc tylko sakramentem spowiedzi. Ale ty pewnie nie znasz nawet najprostszej formy spowiedzi. Słyszałem, że kościół reformowany jej nie stosuje.

— Nie, dobrze wiem, na czym polega spowiedź. Wychowano mnie w katolickim domu i nieraz się spowiadałam. Tym większa moja hańba!

— Dobrze więc. Teraz powiem ci coś, co cię ucieszy, jeśli się nie mylę, a myślę, że nie. W czasie moich licznych wędrówek musiałem nauczyć się nieco medycyny. Musiałem leczyć nie tylko duszę, ale i ciało, jeśli nikt inny nie mógł tego robić. Miałem sposobność przypatrzeć się sztuce leczenia na obczyźnie i w kraju, i jestem przekonany, że sir Robert wróci do zdrowia. Nie twierdzę, że wróci do pełni sił, ani że pożyje dłużej niż kilka tygodni. Tak nie myślę. Ale wróci mu mowa i być może zdolność poruszania się, a także pełnia władz umysłowych. Myślę, że już zaczyna wracać do siebie, chociaż niewiele na to wskazuje. Widziałem wiele podobnych przypadków i obserwowałem podobne symptomy stopniowego zdrowienia, jak w jego wypadku. Spodziewam się, że będzie z nami rozmawiał za jakieś trzy dni.

— Ojcze! Niech cię Bóg błogosławi za te słowa! Wiesz, co to oznacza dla nas wszystkich.

— Tak, moje dziecko, wiem coś na ten temat. Ale może ty będziesz mogła powiedzieć mi więcej. Teraz idź i przygotuj się. Nie będę cię pouczał, jak się przygotować. Wolę zostawić to tobie.

Słowa kapłana były dla Isabel źródłem wielkiej nadziei. Sądziła, że jej wielka ofiara była prawie cała dremna. Odwróciła co prawda wyroki potężnych Władców Losu i wywalczyła dla sir Roberta drugie zwycięstwo nad czartem. Ale wszystko, co zrobiła i czego się wyrzekła w niczym -nie pomogło Jean i Cosmo, których dobro tak jej leżało na sercu

— ich przyszłość była równie mroczna i beznadziejna jak dawniej. Co prawda sir Robert zdołał uniknąć straszliwego losu — potępienia wiecznego — ale nie udało mu się zabezpieczyć przyszłości tych dwojga młodych, mimo ogromnych wysiłków. Dokumenty przyszły zbyt późno. Ale jeśli ojciec Blackhall miał rację — a mówił o tym z takim przekonaniem — to sir Robert będzie jeszcze mógł podpisać te dokumenty.

Młodzi będą mogli przejąć majątek w Nowej

Szkocji; jeśli o nich chodzi, jej wielka ofiara nie będzie daremna.

Gdy Isabel siedziała obok sir Roberta, wydało jej się, że widzi pierwsze oznaki powracających sił, a w jego oczach wyraz, jakby za chwilę miał przemówić; znikną wtedy wszystkie troski tego domu. Ale oprócz tych ledwie dostrzegalnych objawów życia nie działo się nic więcej.

Zrobiła w myśli szybki przegląd całego swojego życia. Musi przypomnieć sobie każde zdarzenie i przedstawić je ojcu bez upiększeń, a wtedy on odwróci się od niej z gniewem i odrazą. Ale Isabel musi to znieść — była to część kary, którą musi przyjąć. Oczywiście rozgrzeszenie było niemożliwe po wsze czasy.

Przypomniała sobie dziewczęcą lekturę przygód Tannhausera; papież potrząsnął z gniewem pastorałem, chociaż Tannhauser grzeszył o wiele mniej niż ona, i kazał mu odejść.

— Prędzej ten suchy kij pastorału pokryje się liśćmi i kwieciem — rzekł — niż ty uzyskasz rozgrzeszenie.

Ojciec Blackhall będzie z nią podobnie rozmawiać, a potem na zawsze się od niej odwróci. Przypomniało jej się zakończenie tej legendy. Rycerz odszedł ze złamanym sercem, zaś papież w wielkim pośpiechu wysłał za nim posłańca. Posłaniec przyniósł rycerzowi pastorał pokryty liśćmi i kwieciem jako znak rozgrzeszenia dla Tannhausera, a Boskiej nagany dla papieża. Rycerz spędził tylko trochę czasu u boku Wenus w głębi góry Horsel. A co zrobiła Isabel? Czy raczej — czego nie robiła? Czy był jakiś grzech, którego nie popełniła?

Przypominała sobie wszystko, co się zdarzyło od czasu, gdy po raz pierwszy spotkała Mistrza niedaleko Drumduan. Następnie inicjację i chrzest w kościele w Aulderne. Swoją szaloną miłość do niego — teraz wiedziała, że była to miłość zmysłowa i samolubna. Swoją niepohamowaną nienawiść wobec dziedzica Park, równie samolubną. Życie pośród czarownic — polowania, uczyty, hulanki. Narobiła tyle złego, zabiła tyle ludzi. Nad tym bolała obecnie najbardziej. Widziała każde wydarzenie z okrutną jasnością, aż doszła do ostatniej sceny: ucieczki sir Roberta i swojego w tym udziału — wtedy po raz ostatni wymówiła zaklęcie — i wreszcie przeciwstawienia się Władcom Losu. Zrządzili, że sir Robert w końcu dostanie się diabłu. Ona go wyratowała. Od tej pory Los był jej wrogiem, a diabeł, Pan Ciemno-

ści, jej ukochany, stał się jej bezlitosnym tyranem. Nigdy jej nie przebaczy. Nie zawaha się, by zadać jej największy ból, najcięższą torturę. Znała go dobrze. Wybaczenie nie leżało w jego naturze. Z własnej woli oddała się w ręce twardego, bezlitosnego pana — oddała mu swe ciało i duszę po wsze czasy.

— Co mi przyjdzie ze spowiedzi — myślała, gdy całe życie przesuwało się przed jej oczami. Cokolwiek zrobiłam, zrobiłam to z własnej woli i muszę za to zapłacić. Ale gdy opowiem moją nieszczęsną historię, może będzie ona ostrzeżeniem dla innych; zdaje się, że dlatego ojciec Blackhall chciał ją usłyszeć. Sir Robert bacznie się w nią wpatrywał; odczytała z jego oczu, że jej spowiedź w jakiś sposób pomoże i jemu. Pogodziła się więc z tą myślą. Ale nie była w stanie odmówić modlitw poprzedzających spowiedź. Rano ojciec Blackhall przywołał ją do siebie, a służący sir Roberta zajął miejsce przy chorym. Wyszli z domu południowym wyjściem, przeszli przez ogrody, jeszcze nie ukończone, a potem w lewo, około mili, do małego kościółka. Był tak mały, że z trudem mieścił domowników Gordons-town, a jednak w czasach katolicyzmu musiał pełnić funkcje kościoła parafialnego. Był teraz opuszczony i prawie zupełnie zrujnowany. Ponieważ krył się w głębokich lasach, zapomnieli o nim gorliwi protestanci. Sir Robert zawsze głosił swą przynależność do kościoła reformowanego, ale trzeba zaznaczyć, iż nigdy nie chodził do kościoła, nie zasiadał w ławie w pobliżu pulpitu Duffusa, skąd przemawiał pobożny pastor. Jednak cała jego służba była wyznania katolickiego. Kiedy tylko było to możliwe, odprawiano mszę w maleńkim kościółku pod wezwaniem świętego Michała.

Ojciec Blackhall usiadł na kamiennej ławie po południowej stronie ołtarza; służyła mu za konfesjonał. Isabel uklękła obok. Teraz, kiedy znów znalazła się w kościele, klęcząc przed spowiednikiem, była trochę przestraszona, ale pcha tym apatyczna. Chciała przysłużyć się jakoś sir Robertowi i była też pod wrażeniem kategorycznego oświadczenia księdza, że odzyska on pełną świadomość i zdolność poruszania się. Co jeszcze mogła zrobić dla innych? Oddała już wszystko, nie miała nic więcej do oddania.

Stopniowo opowiedziała księdzu wszystko. Ojciec Blackhall słuchał, pełen ogromnego współczucia i litości. Z pew-

nością jeszcze żadna czarownica, oddana służbie diabłu duszą i ciałem, nie klęczała skruszona u stóp katolickiego księdza, wyznając mu wszystkie swoje doświadczenia.

Co mógł powiedzieć? Jak mógł udzielić rozgrzeszenia, słysząc tak niesłychaną opowieść? Jaką pokutę miałby jej wyznaczyć? A poza tym, czy żałowała za swoje grzechy? Wydawało się, że umarły w niej wszystkie uczucia. Umarła jej dusza, a to piękne, namiętne ciało pograżyło się w stanie, który był niby śmierć za życia.

— In nomine... — ale nie dokończył. Nie mógł wymówić świętego imienia.

— Moje dziecko — powiedział. — Muszę to wszystko rozważyć. Jedno jest dla mnie jasne. Twoim największym grzechem jest brak wiary. Powiedz mi, dlaczego porzuciłaś wiarę katolicką, w której się urodziłaś i wychowałaś, i przeszłaś do tak zwanego kościoła reformowanego? Czy z przeświadczenia, że jest to jedyna prawdziwa wiara?

— Proszę księdza, to była wiara mojego męża.

— Żałosny powód! Gdybyś prawdziwie wierzyła, nie wyrzekłabyś się tak łatwo wiary, w której cię ochrzczono. Czulaś wtedy, że wszystko stało się jałowe i beznadziejne, czy nie tak było?

— Tak było.

— Otóż to. Nigdy nie wierzyłaś w to, co porzuciłaś ani w to, co przyjęłaś.

— Nie miałam wiary, ojciec. Goniłam tylko za przyjemnościami, za dobrem doczesnym. Ale teraz wierzę, bo wiem, co jest prawdą.

— Nie, córko. Wiesz, co jest prawdą, gdyż wierzysz. A zatem w imię...
Milczenie. Nie mógł wypowiedzieć tych słów.

— Widzi ojciec, to beznadziejne. Nie ma już dla mnie nadziei, modlitwy tu nie pomogą.

Przez jakiś czas żadne się nie odezwało. Ta cisza, w której miało zabrzmieć imię Najwyższego, budziła większą grozę niż najstraszniejszy pokaz władzy Szatana. Była tak nieuchwytna, tak potężna.

Ich nerwy napięły się do granic wytrzymałości. Skąd ten śmiech za ołtarzem? Ten cichy, szyderyczy śmiech w świętym miejscu w chwili, gdy ich uczucia spotęgowały się do ostatnich granic, zabrzmiał w uszach grzesznicy i kapłana jak

głos potępienia, idący z głębi piekieł, głoszący niemoc kościoła, a nawet samego odkupienia. Żądał, by oddano mu tę duszę jako jego własność — wbrew mocy Ducha Świętego, mocy, którą od najpierwszych Zielonych Świętów dziedziczyły nieprzerwanie poprzez wieki wszyscy księża, a teraz odziedziczył ją ten kapłan, siedzący w małej kapliczce u stóp ołtarza.

Był to straszny śmiech, bezczelne wyzwanie.

— Bóg nie istnieje — mówił. — Biedni głupcy! Straciliście wszystko, co mogliście mieć, a teraz nic wam nie zostało.

Ten bezczelny śmiech, rozlegający się przy ołtarzu samego Boga, niemal zachwiał wiarą kapłana. Ale tylko na krótką chwilę. .

Ksiądz powstał. Isabel wciąż klęczała skulona, przejęta zgrozą. Słyszała ten śmiech już przedtem. To był wyrok skazujący ją na potępienie.

Sprzeciwiła się Panu Ciemności, a on jej me wybaczył. Czekala ją wieczna udreka. Nie bylo ucieczki, nie bylo dla niej zbawienia. Bedzie sie cieszył jej bólem i udreka, tak jak dawniej cieszył się, dając jej wszystko, o co prosila. Były to jego odczucia zmyslowe. Rozumiała to, widząc, jak niewolił i dręczył innych ludzi. Teraz przyszła jej kolej.

Ksiądz stanął przed ołtarzem. Nie było czasu na szukanie kluczyków, na otwieranie. Uderzył w drzwiczki tabernaculum, w którym przechowywana była hostia i wyjął święty opłatek. Wydawało się, że postać kapłana jest niby postać olbrzyma, potężnego i bohaterskiego. Isabel pomyślała, że jest niby sam święty Michał, wielki archanioł, który ukazał się we własnej kaplicy, by udowodnić swą świętość i wielkość. Ogarnęła ją wielka trwoga. Wypędził ją także z tej ostatniej świątyni, w której się schroniła. Jak śmiała postawić swoją bluźnierczą stopę w tej kaplicy, brukając świątynię Michała archanioła.

— Wystąp, szatanie! — zawołał ksiądz wielkim głosem. — Exorciso te, in nomine...³ — zamilkł na chwilę, a potem przełamał czar. Wprost wykrzyczał Boskie imię w świętej ekstazie. Isabel leżała krzyżem na podłodze kaplicy, ale zdawało jej się, że widzi, jak wielki archanioł potrząsa promienistym krzyżem i dobywa miecza, jak płomienia. Pan Ciemności wyszedł zza ołtarza na wezwanie kapłana, kuląc się i drżąc, ale i teraz zachowywał się bezczelnie.

³ Zaklinam cię, w imię... (łac.)

— Czego chcesz, księże? Chcesz mi odebrać, co moje?
— Przeszłaś bluźnić i przestań kłamać! Nie możesz zabrać duszy, która otrzymała chrzest katolicki.
— Wyrzekła się chrztu. Jest moja i będę ją miał.
— Sam mówiłeś, że jej chrzest katolicki nic cię nie obchodzi. W imię Tego, któremu służę i na mocy tego, co trzymam w ręku, powiadam ci: przyjmij teraz swoją właściwą postać, aby ta pokutnica rozpoznała ciebie. Nigdy się nie dowiemy, co ujrziała Isabel. Padła na kamienną posadzkę jak martwa. Ksiądz skreślił znak krzyża i rzekł uroczyście:
— Mocą mojej władzy kapłańskiej i tej świętej hostii, którą trzymam w ręku oraz tego symbolu odkupienia człowieka od grzechu, nakazuję ci odejść. Nic ci do tej niewiasty. Teraz posłuchaj, co ci powiem. Twierdzisz, że najściślej przestrzegasz zasad sprawiedliwości, chociaż jesteś Panem Chaosu, a zatem z założenia jesteś niesprawiedliwy i kłamliwy, ale że uważasz się za sprawiedliwego, powiem ci, co następuje: rzeczywiście namówiłeś ją podstępnie, by zamieniła wieczną szczęśliwość i radość, którą czerpałaby ze wszystkich zmysłów, nie tylko fizycznych — na krótki okres ziemskiego zadowolenia. Mówisz, że przyjęła te warunki — ale co zyskała? Pozbawiono ją wszystkich radości, które jej obiecałeś.
— Tak, taka była jej własna woła.
— Wiem, a ty nie potrafiłeś jej zapewnić nawet tego' lichego, godnego pogardy zadośćuczynienia, które jej obiecałeś. Odejdź, oszuście i kłamco! In nomine Sancti Trinitatis 4 rozkazuję ci odejść i nie niepokoić więcej tego domu ani żadnego z tych, którzy w nim mieszkają, gdziekolwiek by przebywali na tej ziemi. W szczególności zostaw w spokoju tego starego człowieka, sir Roberta Gordona, którego chciałeś schwytać w swe sidła, oraz tę niewiastę, Isabel Gou-die, która zawarła z tobą pakt, ale ty go zerwałeś, ponieważ nie mogłeś dotrzymać warunków. Odstap! Albo ja będę cię dręczył potęgą symboli i znaków, którymi się posługuję. Będziesz moim więźniem. Wiesz, że mam wystarczającą moc,
*** W imię Trójcy Świętej**

4 Zaklinam cię, w imię... (lac.)

by cię uczynić swoim więźniem i zadać ci o wiele cięższe męki niż męki, które ty zadajesz swoim ofiarom. Uczynię tak, jeśli cię zobaczę lub usłyszę na ziemiach Gordonstown, albo jeśli będziesz niepokoił kogokolwiek z tych, którzy tu teraz mieszkają. Teraz przepadnij, i ciesz się moją łaskawością, jeśli potrafisz.

Ciemna, zła, skulona postać odeszła. Ojciec Blackhall odłożył z czcią hostię na miejsce i wstawił na powrót potrzaskane fragmenty tabernaculum, na ile to było możliwe.

Isabel wciąż leżała zemdlna na kamiennej podłodze. Widziała diabła w prawdziwej postaci i ten straszny widok zostawił w jej pamięci niezatarte piętno. Ojciec Blackhall zaniósł ją w swoich potężnych ramionach na zamek i powierzył opiece Jean, która ułożyła Isabel w swoim własnym łóżku.

Przez następne dwa dni ci dwoje, sir Robert Gordon i Isabel Goudie, dawni słudzy Szatana, obecnie wyzwoleni z niewoli, leżeli bezsilni i — jak się wydawało — nieprzytomni. Jean, Cosmo i lady Mary pielęgowali ich z największym oddaniem; ojciec Blackhall był im wielką pomocą. Przemierzył pół Europy, często w przebraniu, i w czasie swej tułaczki nauczył się większości prac domowych, potrafił gotować i podać do stołu — właściwie mógł sam prowadzić dom w razie potrzeby. Wyřeczali całą służbę — prócz pokojowego sir Roberta — w pielęgnacji chorych. Tego życzył sobie ojciec Blackhall; nie wiedział, czy wracając do przytomności któreś z nich nie powie lub nie uczyni czegoś, czego służba nie powinna być świadkiem. Isabel szybko wróciła do siebie. Jej żelazne zdrowie pokonało skutki szoku w dwie doby i mogła na nowo podjąć czuwanie u wezgłowa sir Roberta. Na trzeci dzień, jak przepowiedział ojciec Blackhall, sir Robert zbudził się z pozornej śpiączki, siadł na łóżku i odezwał się zupełnie rozumnie, wypyując o wszystko, co zaszło w czasie jego choroby. Powiedzieli mu o nadejściu dokumentów; wiedział o tym podczas transu, ale zapomniał po przebudzeniu. Jednak teraz, gdy mu o nich powiedziano, przypomniał sobie wszystko, co planował, kiedy leżał na pozór nieprzytomny; od razu wiedział, co należy uczynić. Wezwano z Elgin mistrza Johna Innesa, notariusza publicznego, aby uwierzytelnił podpis sir Roberta na akcie darowizny, mocą którego oddawał wszystkie swoje ziemie

w Nowej Szkocji swojemu ukochanemu kuzynowi Cosmo Hamiltonowi i swej ukochanej kuzynce, Jean Gordon Dokument miał nabrać mocy w dniu ich ślubu.

— A teraz niech pan słucha, mistrzu notariuszu — rzekł sir Robert — niech pan tylko piśnie komukolwiek słówko o tej transakcji, a skrećę panu kark i pewnie nikt na tym nie straci.

- Niech pan uwza, mistrzu notariuszu - powiedział ojciec Blackhall - jedno słówko, a będziesz potępiony

Mistrz John Innes zadrzał. Chociaż jego pobożność była mocno wątpliwa, był człowiekiem przesadnym i mocno wierzył w potęgę kościoła.

— Teraz mnie wysłuchaj, mistrzu notariuszu — wtrącił Cosmo. — Dobrześ się przysłużył mnie i mojej Jean, a teraz przygotujesz nam dokumenty, potrzebne do zawarcia małżeństwa. Jeśli mi się powiedzie na zachodzie, a sądzę że tak, dostaniesz dodatkowo hojną zapłatę. Ale jeśli się wygadasz choć jednym słowem, wrócę tu i poderżnę ci twoie chciwe gardło.

Historia milczy o tym, czy Cosmo dotrzymał słowa, ale gdy mistrz John Innes umarł, oceniono, iż jego majątek był o wiele znaczniejszy, niż notariusz mógłby uezierać ze swoich legalnych dochodów.

Sir Robert odzyskał mowę i pełnię władz umysłowych, ale zdolność poruszania tylko w nieznacznym stopniu Mógł sam siedzieć i chodzić z pomocą innych, ale nie mógł pisać. Jak zwykle interesował się tym, co działo się wokół niego oraz polityką. Natomiast zupełnie zarzucił wiedzę tajemną i dziwne eksperymenty, które kiedyś tak go pochłaniały Jego laboratorium i piec alchemiczny stały opuszczone, wydane na pastwę myszy i kurzu. Nikt już nie przywoływał .duchów żywiołu ziemskiego w magicznym kręgu okrągłych stajni. Zaprzestał nawet przemytu z Francji; co prawda stary Danny pozostawał na służbie u sir Roberta, ale prowadził teraz niewinny handel z firmą Calders w porcie Findhorn. Te sprawy należały do minionej epoki. Kiedy Ludovick odziedziczył Gordonstown, zupełnie się nimi nie interesował. Następnie wnuk, także sir Gordon, próbował uprawiać magię na własną rękę, przy czym posłużył się niektórymi opowieściami dziadka, przedstawiając je jako własne doświadczenia; w konsekwencji, wielu ludzi, którzy

nie znali się na rzeczy, sądzeni, że to on był tym słynnym lordem-czarnoksiężnikiem z Gordonstown.

Fakty wymieszały się z mistyfikacją i dziś trudno byłoby oddzielić jedno od drugiego. Tajemnej groty, w której sir Robert przechowywał beczułki sprowadzane z Francji, używano w czterdziestym piątym roku jako bezpiecznej stajni: jeszcze dziś nazywa się ją stajnią sir Roberta. , Ale wszystkie te sprawy zupełnie przestały go interesować. Najwięcej czasu poświęcał pisaniu swoich wielkich „Dziejów szlachty Sutherland”, monumentalnego dzieła, które do dziś jest uważane za bardzo wartościowe. Pragnął doprowadzić tę historię do czasów sobie współczesnych i wprowadzić pewne poprawki, które niedawno odkryto. Isabel była mu bardzo pomocna jako sekretarka. Uważa się, że ostatnie poprawki na prywatnym egzemplarzu sir Roberta były pisane jej ręką. Nie potrafię jednak powiedzieć, co się stało z tym egzemplarzem, gdyż biblioteka Gordonstown od dawna nie istnieje.

Pod wpływem tej pracy nastrój Isabel nieco się poprawił i wydawało się, że zaczyna pokonywać swoją głęboką apatię, kiedy sir Robert zmarł nagle i bardzo cicho, po upływie mniej więcej dwóch tygodni od opisanych wyżej wydarzeń. Pochowano go w starym kościółku św. Michała. Minęło wiele czasu od jego śmierci, kiedy pastor z Birnie wyznał, że któreś nocy dawno temu był świadkiem zakończenia tamtego szalonego wyścigu z Szatanem; widział, jak sir Robert spadał przez mur. Myślał wtedy, że to sen, zanim znalazł na cmentarzu złamaną ostrogę. Ale najpewniej wyobraził to sobie już po fakcie. Krążyło wiele opowieści o cmentarzu Birnie, a także o pakcie sir Roberta i diabła, zwłaszcza gdy szlachcic umarł. A ponieważ zszedł z tego świata spokojnie we własnym łóżku, należało przypuszczać, że w taki czy inny sposób dostał się na cmentarz Birnie. uważany za święte miejsce.

W tym czasie ojciec Blackhall mocno gryzł się faktem, że chociaż Isabel odbyła pełną spowiedź, to jednak nie uzyskała rozgrzeszenia. Sam nie był pewien, co należy zrobić. Sprawa była równie bezprecedensowa jak przypadek rycerza Tannhausera — przyczyna ogromnej rozterki jednego z papieży. Ale trzeba było coś postanowić, gdyż sir Robert odszedł z tego świata. Ludovick przybędzie do Gordonstown jako dziedzic, a z nim jego żona i syn, także Robert, obecnie

niemowlę. Wszyscy domownicy będą musieli odejść. Ojciec Blackhall, czując się odpowiedzialny za Isabel Goudie, nie mógł jej pozostawić samej sobie.

Odbywali długie spacery, w trakcie których kapłan usiłował dociec, jak się rzecz naprawdę miała.

— Moje dziecko — mówił. — Widzę teraz jasno, że zamierzałaś sprzedać wieczną szczęśliwość za przemijające, doczesne zadowolenie, niezbyt dobrze rozumiejąc, czym ona jest albo nie wierząc w nią. Dlatego zgodziłaś się, by wyrzec się chrztu. Ale dobry Bóg nie pozwolił ci tego uczynić — nie mogłaś bowiem wyrzec się chrztu katolickiego i nie wyrzekłaś się go. Dlatego też, chociaż oszukano cię dwukrotnie: po raz pierwszy, gdy wykorzystano twoją niewiedzę i po raz drugi, gdy ofiarowano ci tak mało za tak wielkie wyrzeczenie — nie oddałaś tego, co wielki wróg zamierzał zyskać, chociaż sądziłaś, że tak się stało.

Ale jednak strasznie zgrzeszyłaś. Skrzywdziłaś ludzi, którzy nie zrobili ci nic złego, zrobiłaś to umyślnie i dla zabawy. Ale wszystkie twoje grzechy są cielesne i dotyczą spraw doczesnych. Dlatego sądzę, że należy je odpokutować cielesnie. To nie są grzechy duszy.

Warunkiem rozgrzeszenia jest naprawa krzywdy, o ile jest to możliwe. W tym leży moja trudność, gdyż wielu krzywd, które wyrządziłaś, nie da się naprawić. Zabijałaś ludzi przy pomocy glininych figurek, inni ginęli od strzał śmierci, jeszcze innych okradałaś z ich dobytku — tych krzywd nie można naprawić.

— Sam ojciec widzi, w jak beznadziejnym położeniu się znajduję. Tak właśnie mówiłam. Nie da się odwrócić zła, które czyniłam. Bez naprawy zła nie ma rozgrzeszenia. Nigdy nie uzyskam przebaczenia.

— Ja tego nie powiedziałem. Nie zajmowałaś się wyłącznie własnymi przyjemnościami. Przybyłaś tutaj i uzdrowiłaś Jean Gordon. Poza tym, gdyby wszystkie twoje uczynki były grzeszne, nie przyjęto by cię do Środkowego Królestwa — na ile zrozumiałem ich prawa. Na koniec, dokonałaś aktu wielkiej ofiary dla dobra innych. Oddałaś wszystko, co miałaś, aby pomóc sir Robertowi w uwolnieniu się spod władzy Szatana i by zapewnić pomyślność Jean i Cosmo. Jest to rodzaj wielkiego zadośćuczynienia, a nasz Ojciec widzi wszystkie dobre uczynki.

Oto, co ci powiem. Zgrzeszyłaś przeciw rodzajowi ludz-

kiemu; za ten grzech ludzie wyznaczają straszne kary. Ciało grzeszy i ciało podlega karze. Na tym polega pokuta, która uwalnia ciało od grzechu. Ale nie wiem, jaka powinna być pokuta w twoim przypadku. Muszą się zastanowić. Na razie, jeśli zechcesz mi zaufać, umieszczę cię na jakiś czas pośród pobożnych niewiast, które pędzą samotnicze życie w służbie bożej, ukryte przed ludzkim okiem w pewnym klasztorze w górach, daleko stąd. Będziesz się tam przygotowywać, medytując i modląc się. Odwiedzę cię tam po pewnym czasie. Sądzę, że dowiesz się tam, co powinnaś uczynić.

— Ojczy! Zrobię, co każesz. Rób ze mną, co chcesz, bylebym uzyskała przebaczenie. Żałuję szczerze tego, co uczyniłam. Najbardziej żałuję utraty wiary.

— Zatem, dziecko, ponieważ polegam na twojej obietnicy i wierzę w twoją skrucę, mocą władzy kapłańskiej odpuszczam twoje grzechy. Myślę, że drogę do zbawienia wskaże ci sam Bóg.

Położył dłoń na jej głowie, błogosławiąc ją.

Następnego ranka wyruszyli w drogę.

Rozdział XXI

Ostatnia pokusa Szatana

Od czasu, gdy sir Robert odszedł na miejsce wiecznego spoczynku, Gordonstown zupełnie się zmieniło. Dotychczasowi domownicy rozproszyli się w mgnieniu oka, ponieważ Ludovick był prawnym dziedzicem i natychmiast przyjechał, by objąć majątek w swoje posiadanie. Lady Gordon, jego matka, a wdowa po sir Gordonie przybyła także po długiej nieobecności, a z nią jej córka, pani Barclay z Ury, której mąż był znanym członkiem nowo założonej sekty kwakrów.

Ojciec Blackhall i Isabel odjechali jako pierwsi. Isabel chodziła teraz w starej samodziałowej sukni; przywiozła ją z ostatniej wyprawy do Lochloy. Ta suknia i mały złoty krzyżyk stanowiły ogniwa łączące ją z latami dziewczęcy-

mi, najmilszymi jej sercu. Miała ją na sobie, gdy uleczyła Jean z choroby; żegnając się z Jean, znów ją włożyła i pokazała przyjaciółce ukryty złoty krzyżyk, by wiedziała, jak drogi jej sercu był ten dar. Ojciec Blackhall znów przywdział strój pasterza, w którym przyszedł do Gordonstown. Wyglądali oboje jak para wieśniaków wędrujących w poszukiwaniu pracy; wielu ich można było widzieć na drogach w owym czasie.

Ale nim odeszli, ojciec Blackhall złączył węzłem małżeńskim Cosmo i Jean w kapliczce kościoła Michała archanioła. Kilka dni później łódź starego Danny'ego zawiozła ich do Francji, a stamtąd opłynęli do Nowej Szkocji jednym ze statków króla Ludwika XIV. Nie do nas należy opis ich dalszego życia. Kroniki półwyspu mówią, że Cosmo powitano tam życzliwie; chociaż Lord Protektor zajął prowincję siłą w imieniu Anglii, powszechnie tu były sympatie francuskie i — jeśli nie liczyć garnizonów — bardzo się oburzano na ten akt bezwzględności.

Cosmo miał akt własności, który wszyscy zwolennicy Lorda Protektora obowiązani byli respektować, gdyż lord Gordon otrzymał te ziemie bezwarunkowo na swoją wyłączną własność, a następnie w równie legalny sposób przekazał je Cosmo. Listy i rekomendacje od byłego regenta, kardynała Mazariniego i samego króla Ludwika zapewniły mu życzliwe przyjęcie ze strony francuskich osadników. Kilka lat później, kiedy król Karol II odzyskał tron swoich przodków, zwrócił Francji tę zamożną prowincję; spełniła się przepowiednia Mazariniego.

Pozostawmy więc tę parę młodych ludzi ich losom. W każdym razie jeszcze sto lat później żyli w Nowej Szkocji Hamiltonowie, którzy właśnie od nich wywodzili swój ród. Na ile się orientuję, ta rodzina wciąż tam mieszka i dobrze jej się wiedzie. Słyszałem tylko, że nie sposób dziś dojść, które ziemie naprawdę przyznano sir Gordonowi.

Lady Mary wyjechała do małego domku w hrabstwie Aberdeen. W krótkim czasie lord-czarodziej i niewielkie grono jego przyjaciół przeszli do legendy, upiększanej i wyolbrzymianej, jak to bywa z legendami.

Jeśli chodzi o samo Gordonstown, to sir Ludovick, który kształcił się w Holandii, kontynuował rozbudowę dworu i całej posiadłości, ozdabiając ją prostymi kanałami i alejkami na modłę holenderską. Niektóre z nich przetrwały do

dziś. Natomiast lochy, piec starego sir Kohorta, jego alembiki oraz inne niesamowite przybory stały nietknięte, podlegając powolnemu zniszczeniu.

Tymczasem ojciec Blackhall i Isabel wędrowali doliną Dallas, wspinając się coraz wyżej w kierunku wielkich, dzikich gór. Czasem zatrzymywali się na dzień czy dwa w góralskich chatkach, by ksiądz mógł odprawić mszę dla garstki parafian rozrzuconych wśród wzgórz, lub też w domu miejscowego pana czy naczelnika klanu, który wytrwał przy dawnej wierze mimo prześladowań.

W czasie tej wędrówki ksiądz dowiedział się o Szatanie więcej, niż kiedykolwiek przedtem; udzielał także nauk katolickich swojej towarzyszce. Stopniowo poznając zasady tej wiary, stała się gorliwą katoliczką i była zdumiona wrogością miejscowej ludności wobec papistów.

Pewnego dnia schronili się przed burzą w małej wiejskiej chatce. W łóżeczku niedaleko ognia leżało małe dziecko, wstrząsane malaryczną gorączką. Isabel siadła przy cierpiącym maleństwie i nucąc kołysankę, łagodnie gładziła kędzierzawą główkę, obolałą i mokrą od potu. Dziecko przestało rzucać się niespokojnie, jego rączki były chłodniejsze, wreszcie słodko zasnęło. — Święta Mario, mistyczna Rózo — śpiewała Isabel cichym głosem; oddech dziecka był spokojny i regularny, po raz pierwszy od wielu tygodni nie odczuwało bólu. Ale czujne ucho matki wychwyciło słowa pieśni. — Przeklęta papistka! — zawołała. — Jak śmiesz mamrotać te przeklęte zaklęcia nad niewinnym dzieckiem! Bo-dajżeś przepadła; widzę, że zamówiłaś u małej choroby. Wynoś się z mojego domu, zanim cię poszczują psami! W jaki sposób leczysz chorych? Wszyscy wiedzą, że można leczyć bydło tylko z pomocą diabła.

Kobieta była tak rozjuszona, że musieli zaraz uciekać. Tyle, że dziecko wyzdrowiało. Mimo wszystko wędrówka głębokimi dolinami, zdrowy tryb życia na otwartej przestrzeni i proste pożywienie przywróciły Isabel zdrowie i częściowo złagodziły jej przygnębienie.

Zaczynała obecnie widzieć, jak posępne było jej życie i jak beznadziejne; była to naturalna reakcja po okresach wielkich uniesień, które doprowadziły do jej wielkiej ofiary, spowiedzi oraz decyzji, by iść za ojcem Blackhallem, do-

kądkolwiek ją zaprowadzi. Mimo woli jej umysł i pamięć wracały do minionych spraw. Cóż to były za dni!

Oczywiście żałowała za grzechy, chętnie cofnęłaby przeszłość, gdyby mogła; pragnęła rozgrzeszenia i przyrzekła odbyć pokutę. Ale co było złego w myśli o tamtych szalonych dniach, miłości, polowaniach, ucztach. Ojciec Blackhall był bardzo dobry, ale niezbyt zajmujący.

Pamięć niektórych miłych przeżyć nie mogła być zbyt wielkim grzechem. Nie myślała o zabijaniu ludzi, okradaniu ich z dobytku czy krzywdzeniu ludzi, którzy nie zrobili jej nic złego — nad tymi uczynkami szczerze bolała. Ale ojciec nie potępiał zbyt surowo biesiad, tańców, polowań ani żadnej z rozrywek, która nie szkodziła innym — potępiał jedynie fakt, że oddała za nie swoją duszę. Pozwalała więc igrać swoim myślom.

Któregoś razu, gdy wędrowali przez bezludną okolicę, a zaczynało się już ściemniać, jedynym schronieniem, jakie znaleźli na noc, była samotna chatka, opuszczona i na pół zrujnowana. Znajdowały się tam dwie izdebki, każda z osobnym wejściem oraz drewnutnia. Ale zebrali trochę suchego wrzosu, z którego wymościli sobie posłania w dwóch izdebkach. Zjedli skromną wieczerzę złożoną z małego owsianego placka i płaskich góralskich chlebków z pszenicznej mąki, które przynieśli z ostatniego popasu; popili wodą przyniesioną z pobliskiego strumienia i zmówiwszy modlitwy, udali się na spoczynek.

Mogli stąd widzieć dom, który stanowił cel ich wędrówki; bielone ściany daleko w górach, prawie nie różniące się od okolicznych skał Powaga i majestat tych wielkich wzgórz przypominał jej góry Monaliadh i wesołe polowania, na które tam jeździli.

Nadbiegł mały jelonek, zdaje się, że zwykł szukać schronienia w tej chatce. Może był oswojony, gdyż nie okazywał najmniejszego lęku.

Podbiegł do Isabel i położył głowę na jej kolanach. Isabel głaskała go i pieszczotliwie ciągnęła za delikatne uszka.

Nagle coś w oczach zwierzęcia przywołało dawne wspomnienia. Nie tylko oczy, ale dziwnie ludzki kształt jego głowy. To nie mogła być tylko wyobraźnia. To musi być coś więcej niż zwykły jelonek. Dlaczego podszedł do Isabel tak śmiało? Dlaczego tak go polubiła? Przypomniały jej się legendy o jeleniach, które ukazywały się świętym i słu-

żyły im za przewodnika. Trochę z nadzieją, a trochę nieufnie szukała między rogami jelonka krzyża, o którym mówiły te legendy. Nic takiego nie znalazła, natomiast jego głowa i ramiona były przedziwnie ludzkie. Jak mogła nie widzieć tego przedtem? Usłyszała cichy śmiech i serce jej się ścisnęło. Był to Pan Ciemności.

— Widzisz, moja jedyna, nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka. Nie, nie uciekaj ode mnie! Teraz cię nie skrzywdzę, przecież zgoliłaś włosy i jesteś święta.

Owszem, zwiodłem cię — czego innego można oczekiwać od diabła? Ale byłbym dla ciebie bardzo dobry. Nigdy byś nie pożałowała. Tak, wiem, że byłaś moją służką, a nie powinnaś, ale jak inaczej mogłem cię zatrzymać? Ale teraz jesteś wolna, zgoliłaś włosy. Możemy spotykać się po starej przyjaźni. Mogę dać ci radość, nie żądając w zamian niczego. Uciekłaś ode mnie — nie mogę ci stawiać żadnych warunków. Jesteś teraz silniejsza ode mnie. Przychodząc tu postąpiłem wbrew własnej naturze, ale nie potrafię cię porzucić. Uczcijmy twoją nowo nabytą wolność i zabawmy się. Wiem, że tęsknisz za odrobiną radości. Powiedz tylko, że tak i chodź ze mną. Godzina radości bez żadnych zobowiązań. Rzeczywiście pragnęła radości, wydawało jej się, że nawet jej dusza tego pragnie. Zastanawiała się, dlaczego nie objął jej, jak dawniej. Wtedy przypomniawszy sobie o krzyżyku zaszytym w sukni. Nie mógł się do niej zbliżyć.

— Wyrzucić ją — powiedział, jakby czytał w jej myślach. — Ta suknia rozlatuje się ze starości. Przyniosłem ci Strój na polowanie, godny ciebie.

— Nie podchodź do mnie! — zawołała. — Radość jest dobrą rzeczą i nieraz wspaniale się bawiliśmy. Ale lepsza jest radość wieczna niż taka, która ginie. Duch jest ważniejszy niż wszystko inne. Ten, któremu teraz służę, zapewni mi radości o wiele lepsze i trwalsze niż radości doczesne.

— Jakżeś głupia i naiwna! — zawołał. — Jak możesz wierzyć tym niemądrym księżowskiemu opowiadaniu. Nie rozumiesz, że wymyślił to wszystko, żeby ogłupiać łatwowierne kobiety. Jego Bóg, zbawienie i cała ta reszta to wytarte historyjki, dobre do zabawiania dzieci. Co on ci w ogóle dał?

— Pokój — odpowiedziała.

- Mogę ci dać pokój i władzę królewską na dodatek —

sztydził. — Widzisz, ukochana, musiałem do ciebie przyjść, bo jesteś ode mnie silniejsza, o wiele silniejsza. Przecież wzywałaś i pokonałaś potężnych Władców Losu, którym ja muszę być posłuszny po wsze czasy. Czy nie wyrwałaś mi z rąk duszy sir Roberta, którą przeznaczili dla mnie? Jak wiesz, jestem królem ziemi, a ty jesteś moją królową, zatem jesteś królową ziemi. Jeśli doświadczasz szlachetniejszych i piękniejszych radości niż moje, weź mnie i moje królestwo i oddaj w służbę temu nowemu panu, któremu służysz. Daj całemu światu tę wiedzę i radość, którą posiadasz. Tak, pomyśl choćby o tym księdzu, o którym masz takie wysokie mniemanie — dzięki tobie mógłby zaszczerpić swoją wiarę na całym świecie, nie byłby prześladowany i pogardzany, jego życie nie byłoby zagrożone. Jedno twoje słowo mogłoby zdmuchnąć cały ten reformowany kościół. Wymów je tylko.

To była kusząca perspektywa — dać ojcu Blackhall to, czego tak pragnął. Miała na to dość sił — wypróbowała je. Siła, która na przekór potężnym przeszkodom ocaliła w ostatniej chwili duszę sir Roberta, mogłaby na pewno dokonać jeszcze więcej. Ona, Isabel, była czymś więcej niż tylko człowiekiem — czuła to, wiedziała. Czy nie było grzechem mieć taką moc i nie korzystać z niej, kiedy tyle jest do zrobienia — takie ogromne pokłady zła na całym świecie?

Ale dlaczego miałyby to robić? Gdyby Zbawiciel chciał zniszczyć całe zło, nie potrzebowałby jej pomocy. Ojciec Blackhall często jej to powtarzał. Jej pycha, przed chwilą tak wielka, bardzo zmaląła.

— Nie — odpowiedziała. — Mój nowy Pan, jak go nazywasz, może zrobić wszystko, co zechce bez mojej pomocy. Jestem zadowolona, że mogę pozostawić wszystko w Jego ręku.

— Głupia, nieszczęsna niewiasto — powiedział. — Mają szczęście ten twój Pan i jego księża, że istnieją kobiety takie jak ty, które mogą ogłupiać. Diabeł mógłby z łatwością omamić taką naiwną istotę jak ty, ale szkoda jego zachodu. Rzucam ci teraz wyzwanie. Poddaj się próbie. Dobrze wiesz, że potrafię cię obronić. Czy przez cały ten czas, gdy szeryf i Komisarze polowali na czarownice, ktokolwiek ci zagroził? Czy ktoś pomyślał, że jesteś jedną z nich?

Czy twój nowy Pan może ci zapewnić podobną ochronę?

Mówi, że weźmie cię pod swoją obronę. Teraz nic proszę o żadną przysięgę — chodź ze mną na przejażdżkę, a zobaczymy, czy cię obroni. Zapewniam cię, że nie. Nie potrafi. Daję ci także słowo, że kiedy On cię zawiedzie, ja cię obronię, zapewnię ci bezpieczeństwo.

Chodź, ukochana! Jeśli w Niego wierzysz, nie bój się wypróbować Jego mocy. Pomyśl, jaki to byłby tryumf dla Niego i dla twojego księdza.

Wasze doktryny podbija Szkocję-

_ Nie — odpowiedziała. — Dałam słowo... Ja wierzę... Byłoby aktem niewiary poddawać próbie to, w co wierzę.

Jakiś cień ukazał się w drzwiach na tle księżycowej nocy. W srebrnym świetle; stal ojciec Blackhall, surowy i silny.

— Vade reto, Sathanas! 5 — zawołał, wznosząc w górę krucyfiks, który nosił pod pasterską peleryną. — Exorciso te, in nomine Sancti Trinitatis 6. To był twój ostatni rzut — przegrałeś. Jest uratowana i odkupiona, nie jest już więcej twoją niewolnicą, ale wolną służebnicą Pana Zastępów Niebieskich.

— Tak — powiedział Pan Ciemności. — Ale czeka ją jeszcze straszna męka i trwoga, przed którą cofnęliby się najsilniejsi; musi przez to przejść z własnej woli i wyboru. Czy zrobi to, jak pan myśli panie księże?

Doprawdy, ja jestem innego zdania. Jeszcze do mnie przyjdzie, bym ją wybawił od ciebie i twoich fałszywych darów, które są mc niewarte, jak sam wiesz. Hańba ci, że tak zwodzisz łatwowiernych! Wiesz przecież, że Bóg, o którym tak głośno mówisz, jest tylko twoim własnym wymysłem, którym się posługujesz, by zdobywać te niemądre kobiety. Bóg nie istnieje. Wszyscy muszą do mnie przyjść, prędzej czy później.

— Przestań bluźnić i odejdz — zawołał ksiądz stentoro-wym głosem. — Jeśli będzie konieczne, przez udrękę i ból osiągnie pokój i chwałę, które nie przeminą, zaś ty i twoje królestwo skurczycie się jak stary pergamin i odleciecie z wiatrem jak zwiędły liść. Męka będzie krótka i nieznośna, ale zwycięstwo pełne chwały, gdy otworzą się złote wrota na dźwięk trąbki boskiego archanioła.

5 Odstap, szatanie.

6 Zaklinam cię, w imię Trójcy Sw.

Uczynił znak krzyża. Pan Ciemności skulił się, zadrzał i uciekł.

Ojciec podtrzymał ramieniem osłabłą Isabel.

— Dobrze odpowiedziałaś, wierna i uczciwa niewiasto! — powiedział.

— Musiałem cię z nim zostawić sam na sam, żebyś mogła sama stoczyć z nim walkę, ale usilnie się modliłem, żeby twoja wiara nie osłabła. Teraz połóż się, odpocznij. Żadne złe moce nie zakłócą twego snu. Jutro dojdziemy do domu, w którym znajdziesz spokój dla twojej duszy.

Wyruszyli rano, wypoczęci i pokrzepieni, by pod wieczór dotrzeć do niewielkiego domu w samym sercu dzikich gór. Mieszkała tam, w zupełnym zapomnieniu i izolacji od świata, wspólnota sześciu pobożnych niewiast; w maleńkiej kapliczce poświęciły się nieustającej adoracji najświętszego sakramentu.

Czcigodna matka, osoba pełna spokoju i dostojeństwa, o pięknej twarzy i śnieżnobiałych włosach, wywodząca się z jednego z najszlachetniejszych i najstarszych rodów Szkocji, wyszła ich przywitać. Wysłuchała opowieści ojca Blackhalla, a później zaprowadziła Isabel do celi, w której miała mieszkać do czasu, kiedy przyjdzie po nią ksiądz.

— Moje dziecko — powiedział. — Myślę, że sam Pan wskaże ci drogę. Odwiedzę teraz naszych parafian, rozrzuconych po całym zachodzie i wrócę. Tutaj jesteś bezpieczna. Módl się i medytuj i staraj się zbliżyć do Tego, który cię miłuje.

Rankiem odprawił mszę dla tego niewielkiego zgromadzenia i odszedł. Nic nie wiadomo o życiu Isabel, które prowadziła w tym maleńkim klasztorze, ani jak długo tam przebywała. Nawet wśród katolików bardzo niewiele osób wiedziało o tym niewielkim domu modlitwy. Okoliczni wieśniacy zaopatrywali go w rzeczy niezbędne do życia i strzegli tajemnicy bardzo pieczołowicie. Możemy tylko się domyślać, że spokojne regularne życie poświęcone modłom i medytacji uciszyło w jej sercu wszelkie niepokoje i tęsknoty, zaś wrodzony jej dar widzenia, wsparty modlitwą i surową regułą zakonu, rozwinął się w dar wizji, które nawiedzają świętych, jak mówią legendy.

Ojciec Blackhall przyszedł raz czy dwa razy, ale nie przyniósł żadnych nowin. Wydawało się, że Isabel pozostanie w tym przybytku ciszy do końca swoich dni.

Pewnej nocy, gdy wstawiała od modlitwy, nagle jasność wypełniła jej celę. Wiedziała, że stał przed nią sam Chrystus. Nigdy się nie dowiemy, co się wtedy zdarzyło ani co jej powiedziano.

Następnego dnia odszukała matkę przełożoną i poprosiła ją o pozwolenie odejścia.

— Wezwano mnie — powiedziała po prostu.

Matka przełożona schyliła srebrzystą głowę i rzekła:

— Odejdź w pokoju, moja córko. Taka jest wola Pana. Isabel poszła ścieżką w dół — samotna postać wśród

wielkiej uroczystej ciszy gór. Znów miała na sobie starą samodziałową suknię; w klasztorze chodziła w habicie. Maleńki klasztor z przyległą kapliczką jakby wisiał uczepiony ściany skalnej — sprawiało to niesamowite wrażenie. Był symbolem wiary, która przetrwała trudności i prześladowania, zachowała siłę i czystość w samym sercu pustyni samotności i opuszczenia. Był jasno świecącym znakiem, który pozwalał odnaleźć wędrowcom drogę, chociaż nikt nigdy się nie dowiedział, czym było to niesamowite światło na litej ścianie skalnej.

Isabel nie miała pojęcia, dokąd idzie. Zupełnie nie знаła tych okolic. Nie wiedziała nawet, z której strony przywędrowała tutaj z ojcem Blackhallem, ani z jak daleka. Wzywały ją głosy. Nie mogła się im sprzeciwić. Schodziła wciąż niżej i niżej, przez szorstkie wrzosey i mchy na torfowiskach, z trudem wyszukiwała sobie przejście między wielkimi głazami, przeprowiała się przez wiele strumieni. Tego szlaku używali tylko pasterze, i to z rzadka. Zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło, które ją prowadzi i nie pozwoli zablądzić. W niedużej sakwie niosła trochę pożywienia, które matka przełożona dała jej na drogę, a gdy się skończyło, nie miała co jeść. Nigdzie nie widziała ludzkich siedzib, żadnego śladu człowieka ani ludzkiej działalności. Już dawno straciła klasztor z oczu. Nie potrafiła odnaleźć drogi, którą tu przyszła. Czy zostało postanowione, by tu zastała ją śmierć, by zginęła z głodu i zimna, by rozszarpały ją wilki? Czy na tym miała polegać jej męka i trwoga, którymi odkupi swoje grzechy? Ta kara wydała jej się zbyt lekka, ale chętnie by ją przyjęła. Tę drogę wybrał dla niej Pan, a teraz ją prowadził. Gdy zapadała noc, dojrzała do jakiejś pasterskiej chatki — maleńkiej glinianej budowli pokrytej wrzosem. Mie-

szkała tam samotnie staruszka o miłej twarzy; bardzo już była stara i zgięta wiekiem.

— Benedicite 7 — powiedziała Isabel. — Niech będzie Bóg pochwalony. Czy możecie przyjąć mnie na noc, matko?

— Tak, z wielką radością. Już dawno nie słyszałam katolickiego słowa. Wejdź do domu i posil się. To prosta strawa — owsiane placki i woda ze źródła. Tak się cieszę, mówisz jak katoliczka.

Następnego dnia znów ruszyła w daleką drogę. Wiedziała, w którą ma iść stronę, nigdy nie nachodziły ją wątpliwości, czy dobrze idzie, chociaż zdarzało się, że nie było żadnego widocznego szlaku, a wokół rozpościerały się głucho bezdroża.

W końcu doszła do wyboistego traktu, który nosił ślady wozów. Niemal padała ze zmęczenia, kiedy nadjechał lekki wóz wędrownego handlarza. Powoził mężczyzna o śniadej twarzy, w zaniedabnej i brudnej odzieży, jednak w oczach świeciła mu wesołość; szyję miał obwiązaną jaskrawą chustką, a spod zagiętego ronda miękkiego kapelusza wymykały się czarne włosy, skręcone w długie oleiste loki. Był to jeden z owych wędrownych Egipcjan, których szkoccy królowie na przemian wspierali i prześladowali; teraz byli znowu w wyraźnej niełasce.

— Wyglądasz na zmęczoną, panienko — odezwał się. — Czy chcesz się ze mną zabrać, jeśli idziesz w moją stronę?

— Nie wiem, w którą idę stronę — odparła. — Ale dziękuję ci. A dokąd ty jedziesz? — Jadę do Nairn i Aulderne, będę tam handlować, jeżeli mi pozwolą. Isabel drgnęła. Nie sądziła, że jeszcze wróci w okolice swego dawnego domu. Czy Pan właśnie tam ją prowadził?

— To pewnie daleko? — zapytała.

— E, niezbyt daleko, jakieś dwadzieścia mil szkockich. Panienska wie, nocą podróż bezpieczniejsza. Za dnia ukrywam konia i wózek i śpię gdzieś w rowie. W miastach cieszą się, gdy przyjeżdżam, ale wieśniacy są nieokrzesani, no i niechętnie teraz patrzą na ludzi mojej rasy.

Jechali nocą, a gdy szary świt zaczął się różowić nad morzem, wyjechali z lasów Cawdor i zobaczyli przed sobą jasne

Nairn. Zdrożona Isabel spała w wozie, choć mocno trząsał i podskakiwał na trakcie, wiodącym przez wrzosowiska. Kiedy wyjeżdżali z lasu, dwóch mężczyzn, którzy przyczaili się w rowie, podbiegło i przytrzymało konia za uzdę.

— Dobrze myślałem, że go tu złapiemy — powiedział jeden z nich. — To ten Cygan, Michael Fea. Dobrze, że go tu dopadliśmy. W mieście by nam na to nie pozwolili. A to j co za jedna? Na pewno jakaś czarownica.

— Nie widzisz, pacanie? Przecież to Isabel Goudie. Tyle czasu jej szukamy. Schodź, kobieto. Szukają cię. Uznali cię za czarownicę. Doniosła na ciebie jedna z twoich czarcich kum, co to ją spalili. Mówiła, że już nie ma w tobie żadnej mocy, pewnie wiedziała, co mówi. Chwycili ją brutalnie za ramiona.

— Właśnie dlatego tu przyszedłam — powiedziała po prostu. — Proszę was, zaprowadźcie mnie do kogoś, komu .. mogłabym wszystko opowiedzieć.

— Oho! Chcesz się spowiadać? Nie, pewnie będziesz łącać w żywe oczy, jak one wszystkie. Zaczynają mówić dopiero, jak je biorą na męki. No, ruszaj! Pójdiesz teraz do więzienia w Nairn i tam sobie posiedzisz, aż się zbierze sąd i posłucha, co powiesz. Sprawozdanie z tej rozprawy sądowej, która odbyła się w Aulderne, jest obecnie dostępne dla publiczności — każdy, kto chce, może je przeczytać. Sporządził je John Innes, notariusz publiczny. Przewodniczył mistrz Harry Forbes. Ponadto byli tam: Dallas z Cantrey, szeryf z Nairn, młody Brodie z Lethen, Hay z Bringhtmoney — młodszy brat dziedzica z Lochloy i oczywiście kilku Dunbarów. John Innes oświadcza we wstępie do sprawozdania, że zeznanie złożono „z własnej woli i bez użycia siły”, co w tym wypadku było bardziej niż zwykle zgodne z prawdą. Jednak zapisywał nie tyle słowa Isabel, ile to, co ławnicy uważali, że powinna była powiedzieć. Kiedy doszła do momentu gdy śniło jej się, jak czarownicy wykopują na cmentarzu ciało dziecka, szeryf zawołał: — Śniło jej się, na Boga! Chcesz nam wmówić, że nic z tych rzeczy nie robiłaś, tylko miałaś jakieś głupie sny. Na mą duszę, to kiepska obrona. Mistrzu Innes, proszę zapisać, że powiedziała: „Odgrzebałyśmy ciało nie ochrzczonego dziecka”. W ten sposób wreszcie dojdziemy do prawdy. ¹ Opowiedziała także o tym, jak odwiedziła królewski dwór

w Krainie Elfów, ale ta sprawa nie zainteresowała inkwizytorów.

— To czysta bzdura — powiedział mistrz Harry Forbes. — Wiemy, że istnieją diabły, a w każdym razie diabeł. Ale nie ma nic takiego jak wróżki czy elfy. Wykreśl to wszystko, mistrzu Innes, to nie należy do sprawy.

— Opowiedz nam więcej o swoich sprawkach z diabłem na zamku Inshoch — odezwał się młody Brodie z Lethen. — Do licha, żałuję, że to nie ja byłem diabłem — mruknął. — Pójdę tam któregoś dnia i sam sobie znajdę jakąś czarownicę.

Nareszcie, po czterech długich posiedzeniach spisano zeznania Isabel w sposób, który odpowiadał nader bogobojnej ławie przysięgłych i przekazano je sędziemu. Do tego dokumentu dołączono orzeczenie sędziego, nieco teraz podarte, ale można je odczytać. Na odwrocie napisano:

„Sędzia rozpatrzył sprawę i uznał za przedmiotową. Zachować ten dokument. Odczytać orzeczenie sędziego. Pokazać Komisarzom”.

A oto orzeczenie sędziego:

Po przeczytaniu i rozważeniu zeznania Isabel Goudie, zawartego w niniejszym dokumencie, w szczególności: sprawy z diabłem, wyrzeczenie się chrztu jako też inne przewinienia, stwierdzam, iż powinna się zebrać komisja na jej ostatnią rozprawę.

(sic subscribiter) A. COLUJAJLE (Sędzia)

Nie ma potrzeby opisywania całego przebiegu procesu kryminalnego z 17. wieku. Ciekawi mogą sami prześledzić wszystkie jego etapy, aż do końcowego, okrutnego i bezlitosnego: — *Skazuje.*

Skazuję cię na doprowadzenie do miasta Elgin, gdzie, w Zachodniej Bramie, między godziną trzecią a czwartą po południu kat zadusi cię na śmierć, po czym ciało twoje będzie spalone na popiół, a wszystek twój ruchomy dobytek zostanie ci odebrany i przekazany w użytek Króla Jegomości, z przyczyn wymienionych wyżej.

*** podpisano**

Z owego *Skazują* przetrwał tylko skrawek papieru, by świadczyć o okrucieństwie tamtej epoki.

Powracając z zachodniej części kraju, ojciec Blackhail odwiedził mały klasztor w górach. Powiedziano mu o nagłym postanowieniu Isabel i jej odejściu.

— Bóg ją wezwał — rzekł. — Poszła po własną śmierć. Z największym pośpiechem schodził z gór w niziny Moray.

Któregoś wczesnego ranka dotarł do Elgin. Nie potrzebował już chodzić w przebraniu, gdyż król Karol wrócił z wygnania i przez pewien czas nie prześladowano katolików.

Znajomy ksiądz opowiedział mu wszystkie nowiny. Zapytał o Isabel Goudie. Jego przyjaciel w milczeniu, z pochyloną głową zaprowadził go do Zachodniej Bramy, gdzie stał jeszcze na wpół spalony stos; poranny wiatr rozrzucał garstkę białego popiołu.

— Dawno temu — rzekł ojciec Blackhail — sir Robert Gordon powiedział mi, że była albo wielką grzesznicą, albo prawdziwą świętą. Ja uważam, że była jednym i drugim. Niech się Bóg zlituje nad jej duszą!

— Amen — odpowiedział jego towarzysz.

Posłowie

Rafał T. Prinke

J. W. Brodie-Innes — mag i pisarz

John William Brodie-Innes (1848—1923) nie został zaliczony przez historyków literatury do wielkich pisarzy. Nie znajdziemy jego nazwiska w *Słowniku pisarzy angielskich i amerykańskich*. A jednak jego powieści o czarownicach nadal cieszą się znaczną popularnością, mając trwale miejsce w literaturze fantasy i occult fiction.

Ich autor urodził się w hrabstwie Moray, w górzystej części Szkocji, gdzie ludowa magia i czary były nadal żywe. Po ukończeniu studiów prawniczych w Cambridge i uzyskaniu doktoratu powrócił do rodzinnej Szkocji, prowadząc praktykę adwokacką w Edynburgu. Choć napisał obszerne dzieło prawnicze, jego prawdziwą pasją stał się okultyzm i magia, a także studia nad folklorem szkockim. Kiedy w 1875 roku Helena Pietrowna Bławatska i pułkownik Henry Olcott założyli w Nowym Jorku Towarzystwo Teozoficzne, mało kto mógłby przypuścić, iż w bardzo krótkim czasie stanie się ono organizacją o światowym zasięgu, skupiającą niezliczone rzesze osób zainteresowanych teoretycznymi i praktycznymi poszukiwaniami alternatywnych dróg do zbawienia. Niedługo później powstały pierwsze loże Towarzystwa w Londynie, a Brodie-Innes został współzałożycielem i pierwszym prezesem jego Loży Szkockiej. Starał się przy tym utrzymać niezależność swej grupy, kierując jej zainteresowania raczej na ezoteryczne chrześcijaństwo niż buddyzm i hinduizm, które dominowały wśród innych teozofów. Regularnie pisywał w biuletynie wydawanym przez Lożę, a później także opublikował dziwną książkę *Prawdziwy Kościół Chrystusa (The True Church of Christ, 1893)*.

Zapewne w środowisku teozoficznym Brodie-Innes usłyszał

0 nowo powstałej grupie magiczno-hermetycznej z Londynu, po-
wołującej się na europejską tradycję Różokrzyżowców, której
ogłoszenie ukazało się w wydawanym przez Towarzystwo
Teozo-ficzne czasopiśmie *Lucifer* w czerwcu 1889 roku. Grupą tą był
założony rok wcześniej Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku
(Hermetic Order of the Golden Dawn), który później wywarł tak
wielki wpływ na europejski okultyzm XX wieku [1]. Założycielami
zakonu było trzech wolnomularzy: dr William Wynn Westcott,
lekarz i Wielki Mag wolnomularskiej loży hermetycznej Societas
Rosicruciana in Anglia, dr William Robert Woodman, również
lekarz i wcześniejszy Wielki Mag tejże Loży, oraz Samuel Liddell
Mathers, właściwy organizator i przywódca Złotego Brzasku.
Wszyscy mieli już na swoim koncie publikacje książkowe na temat
magii, alchemii, kabały i Różokrzyżowców,
1 w krótkim czasie zdołali skupić w pierwszej „świątyni” Zakonu —
Isis-Urania w Londynie — wielu przedstawicieli ówczesnej elity
intelektualnej i śmietanki towarzyskiej. Byli jej członkami m.in.
William Butler Yeats, wybitny poeta, późniejszy laureat literackiej
Nagrody Nobla, jego nieszczęśliwa miłość, a zarazem liderka
irlandzkiego ruchu Przebudzenia Narodowego — Maud Gonne,
Moina Bergson, siostra wielkiego filozofa Henri Bergsona, a żona
Mathersa, Allan Bennett — zwany „pierwszym europejskim
buddystą”, późniejszy założyciel międzynarodowego Towarzystwa
Buddyjskiego z siedzibą na Cejlonie, dokąd się przeniósł, dr Edward
W. Berridge, znany londyński lekarz-homeopata. Mabel Collins i A.
P. Sinnett, przywódcy Towarzystwa Teozoficznego, Florence Farr,
wybitna aktorka wiktoriańska i kochanka George'a Bernarda Shaw,
Annie Horniman, córki bardzo zamożnego biznesmena i kochanka
Yeatsa, Gerald Kelly, nadworny portrecista rodziny' królewskiej, a
później prezes Akademii Królewskiej, Constance Wilde, żona Oscara
Wilde'a, autor znakomitych powieści grozy Arthur Machen, itd.
W takim towarzystwie znalazł się również, w 1890 roku, J. W.
Brodie-Innes. Każdy członek Zakonu Złotego Brzasku przyjmował
zakonne motto — zwykle łacińskie lub celtyckie. Poeta Yeats, na
przykład, miał motto „Demon Est Deus Inversus” (Demon to

odwrócony Bóg), Mathers (który używał też nazwiska MacGregor Mathers, choć nie pochodził ze szkockiej rodziny) przyjął motto „S Rioghail Mo Dhream” (po gaelicku „Królewskie jest me plemię”), zaś Brodie-Innes znany był w Zakonie jako „Sub Spe” (Pod Nadzieją).

Adepci Złotego Brzasku zdobywali wiedzę hermetyczną i praktykowali magię, zdobywając kolejne stopnie wtajemniczenia. Sami również wnosili wiele do korpusu nauk Zakonu, opracowując tajne instrukcje dla neofitów i wygłaszając wykłady. Obszary zainteresowań członków Złotego Brzasku obejmowały kabałę i magię rytualną (w tym również przywoływanie duchów i demonów), karty tarota (których talię każdy adept musiał sam wykonać), mistyczne nauki elżbietańskiego maga Johna Dee, ale także rozwijanie — jak byśmy dzisiaj powiedzieli — zdolności parapsychicznych. Szczególnie ważną praktyką, wynalezioną i stale doskonaloną w Zakonie, było tzw. „skrying” czyli „medytacja astralna”, polegająca na koncentrowaniu się na jakimś symbolu — często była to karta tarota — aż do „wejścia” do jego wnętrza i ożywienia go. Opublikowane już współcześnie relacje z takich seansów opisują rozmowy z figurami na kartach tarota, a nawet dalekie „fantastyczne” podróże w świecie astralnym.

J. W. Brodie-Innes szybko awansował i już w 1893 roku założył Świątynię Amen-Ra w Edynburgu, zostając jej Imperatorem, co w terminologii Złotego Brzasku odpowiadało wolnomu-larskiemu Mistrzowi Łoży. Mając za sobą pierwsze próby na polu literatury, zapewne czuł się bardzo dobrze w otoczeniu znakomitych pisarzy i poetów, sam również powoli zyskując ich uznanie. Maud Gonne tak pisała po latach wspominając okres Złotego Brzasku:

Algeron Blackwood, autor opowiadań grozy [...] i Brodie-Innes, którego opowieści o czarownicach były bardzo podniecające, nadawali Złotemu Brzaskowi pewnej literackiej dystynkcji [2]. W 1902 roku, kiedy MacGregor Mathers przebywał w Paryżu, w nowo założonej tam świątyni, w Zakonie nastąpił bunt przeciwko jego przywódcy, który stał się początkiem końca tej organizacji w jej pierwotnym kształcie. Brodie-Innes odegrał w tym wydarzeniu

znaczącą, ale niezbyt pozytywną rolę. Początkowo usiłował sam przejąć kontrolę nad całym Zakonem, co jednak mu się nie udało. W rok później nastąpił rozpad Złotego Brzasku na kilka grup kierowanych m.in. przez znanego historyka magii i alchemii Arthura Edwarda Waite'a (Złoty Zakon), przez Williama Butlera Yeatsa (Zakon Stella Matutina), i przez dra Berridge'a, który pozostał wierny Mathersowi. Również w Świątyni Amon-Ra w Edynburgu pojawiła się schizma pod przywództwem Williama Pecka, Królewskiego Astronoma Szkocji. W 1908 roku Brodie-Innes wrócił skruszony do Mathersa, któremu pozostał już lojalny, a w 1912 r. ponownie przejął przewodzenie Świątyni Amon-Ra. Kierował też Lożą Alpha Omega w Londynie, w której jego uczennicą była Violet Firth, później szeroko znana okultystka i autorka wielu książek pisanych pod pseudonimem Dion Fortune. Założył wreszcie Świątynię Kromlecha, którego członkowie w większości wywodzili się z kleru kościoła anglikańskiego i skupiali się na mistyce, a nie magii. Wielu adeptów Złotego Brzasku opisywało niezwykle zdolności parapsychiczne i hipnotyczne Brodie-Innesa. Dion Fortune mówiła o nim jako o swym pierwszym guru (w książce *Samoobrona*

psychiczna, Psychic Self-Defence, 1930), a nawet oparła na nim postać „lekarza dusz” w powieści *Tajemnice Doktora Tavernera (The Secrets of Dr. Taverner, 1926)*, napisanej krótko po jego śmierci.

J. W. Brodie-Innes był dość płodnym autorem, tak na polu literatury jak i okultyzmu. Debiutował czteroaktową sztuką napisaną wierszem *Thomas a Becket (1887)*, ale prawdziwą popularność przyniosły mu powieści o czarownicach, których akcja rozgrywa się w górskiej części Szkocji. Pierwszą z nich była *Foczyca Morąg (Morąg the Seal, 1908)*, a ostatnią — *Złoty Sznur (The Golden Rope, 1919)*. Nie był on oczywiście pierwszym po-wieściopisarzem wykorzystującym ten temat, ale znakomita znajomość szkockiego folkloru i tradycji magicznej, a także niekonwencjonalne studia ludzkiej psychiki w ramach praktyk Złotego Brzasku, pozwoliły mu na uzyskanie niezwyklej głębi psychologicznej i efektu przeplatania się świata rzeczywistego z marzeniami, urojeniami i „światem astralnym” okultystów. Podobnie jak na poezję Yeatsa, tak i na powieści Brodiego-Innesa, duży wpływ wywarły nauki otrzymane w Zakonie Złotego Brzasku.

W powieściach *Księżycowe dziecko (Moonchild)* i *Kochanica Szatana (The Devil's Mistress)*, napisanych odpowiednio przez Aleistera Crowleya i J. W. Brodiego-Innesa, podane są (w formie beletrystycznej) astralne i magiczne interpretacje zjawiska czarownic i jego powiązania ze złem, dławionym popędem seksualnym, Wielkim Bogiem Panem ((Szatanem) i ludzkim atawizmem — powracaniem umysłu i protoplazmy do wcześniejszych form rozwojowych. Interpretacje te zdają się wywodzić ze Złotego Brzasku, którego obaj autorzy byli wtajemniczonymi wysokiego stopnia, albowiem są one zawarte implicite w naukach Mathersa o qlipoth, odwrotnej stronie kabalistycznego Drzewa Życia, symbolu zła, o której „niebezpiecznie jest nawet myśleć” [3].

Z kolei powieści Brodiego-Innesa miały zapewne wpływ na powstanie niezwyklej tezy naukowej, dziś już definitywnie odrzuconej, jakoby czarownice przechowywały pradawną europejską religię opartą na kulcie płodności. Wystąpiła z nią Margaret Murray

w swej pracy doktorskiej *Kult Czarownic w Europie Zachodniej (Witch Cult in Western Europe, 1921)*, z której później korzystali, jak na ironię, twórcy współczesnego ruchu czarownic.

Z publikacji okultystycznych, poza wspomnianą już wyżej książką *Prawdziwy Kościół Chrystusa*, Brodie-Innes napisał wstęp do angielskiego tłumaczenia, dokonanego przez Izabellę de Steiger, również adeptkę Złotego Brzasku, mistycznego traktatu Karla von Eckarthausera *Obłok nad Sanktuarium (The Cloud upon the Sanctuary, 1896)* oraz wiele artykułów i rozpraw publikowanych w czasopismach okultystycznych, m.in. *Light, Lucifer, The Occult Review*, które zebrał i wydał w 1983 r. znany londyński antykwariusz, kolekcjoner i historyk współczesnego okultyzmu R. A. Gilbert [4].

[1] Na temat historii Zakonu Złotego Brzasku istnieje bardzo bogata literatura. Zob. np. Ellic Howe, *The magicians of the Golden Dawn*, 1972, Francis King, *Ritual Magic in England*, 1970, Ithell Colquhoun, *Sword of Wisdom*, 1975, R. A. Gilbert, *The Golden Dawn: Twilight of the Magicians*, 1983.

[2] Maud Gonne MacBride, *A Servant of the Queen: Reminiscences*, 1938, s. 257.

[3] Francis King, Isabel Sutherland, *The rebirth of magic*, 1982, s. 107.

[4] R. A. Gilbert, *The Sorcerer and his Apprentice*, 1983.